Marszałek

JÓZEF PIŁSUDSKI

100 Rocznica Narodzin

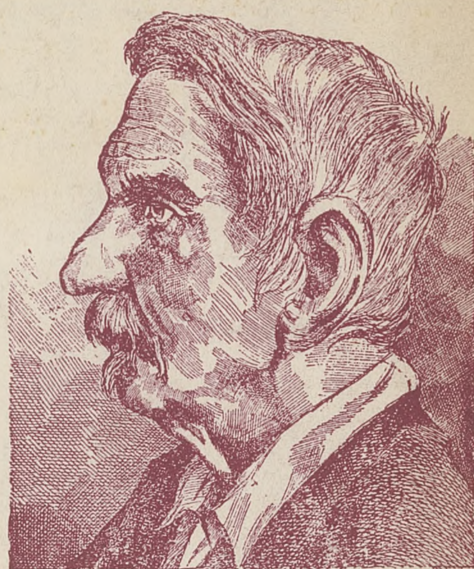


KALENDARZ ZWIĄZKOWY



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

100 Rocznica Narodzin



ALEKSANDER FREDRO

1793—1876

175 Rocznica Narodzin

1968 P. N. A. ALMANAC $1.50





Kalendarz Związkowy

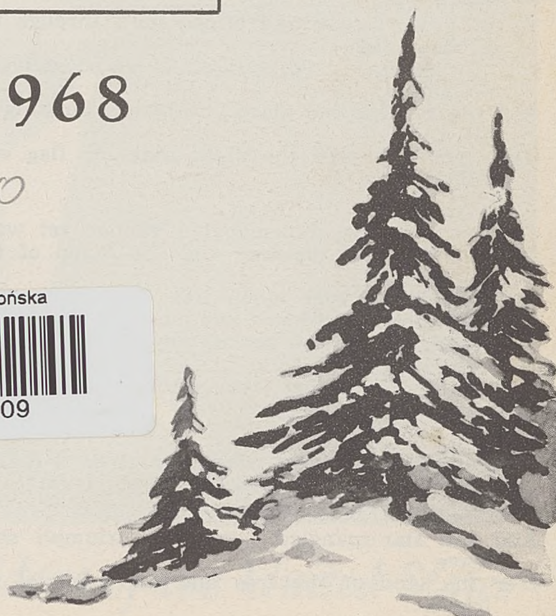




Na Rok

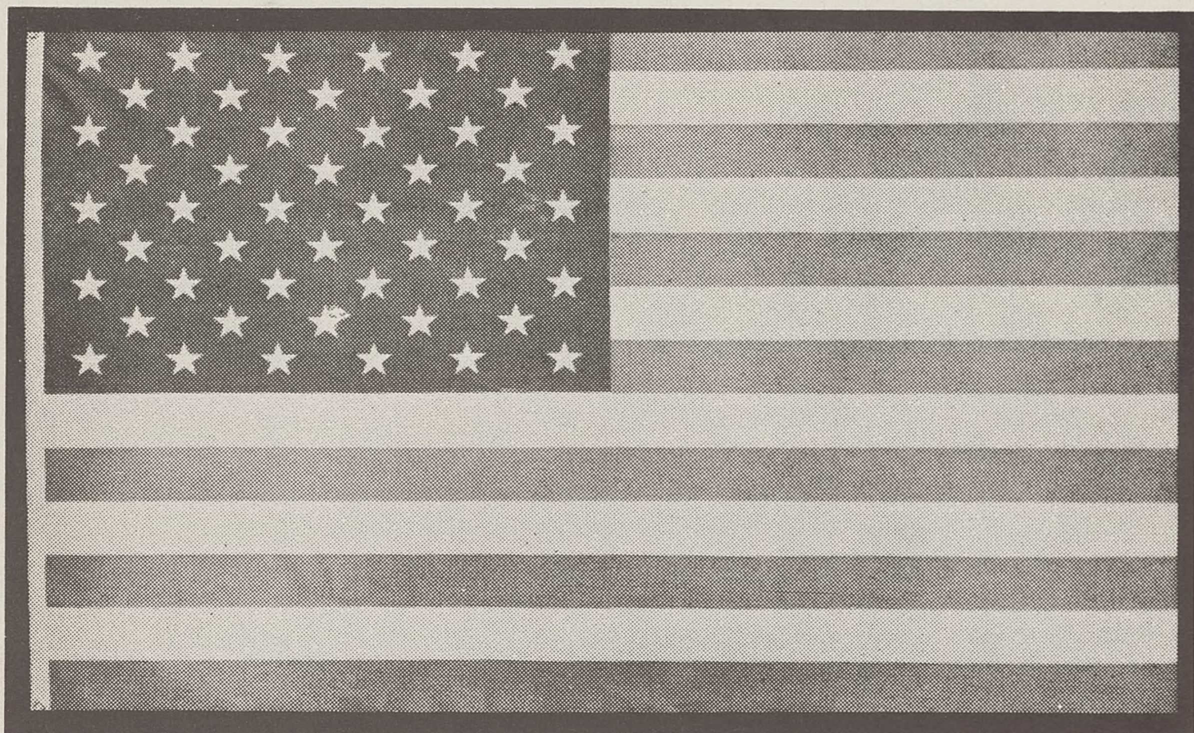
1968





WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS

THE STAR SPANGLED BANNER



Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallatnly streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night that our flag was still there.

Oh, say does the star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.

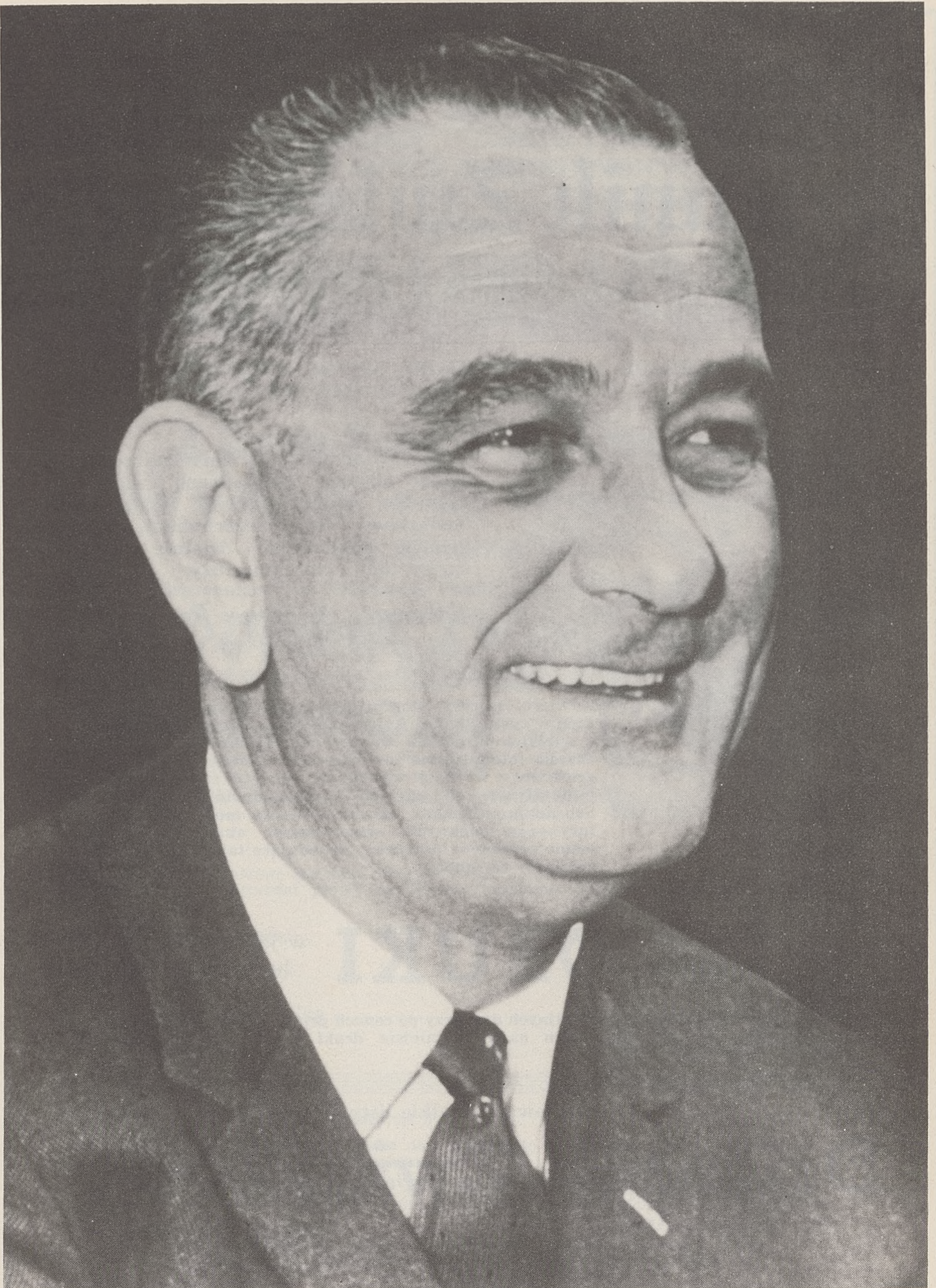
Star Spangled Banner w tłómaczeniu na polskie:

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczycie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszysz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

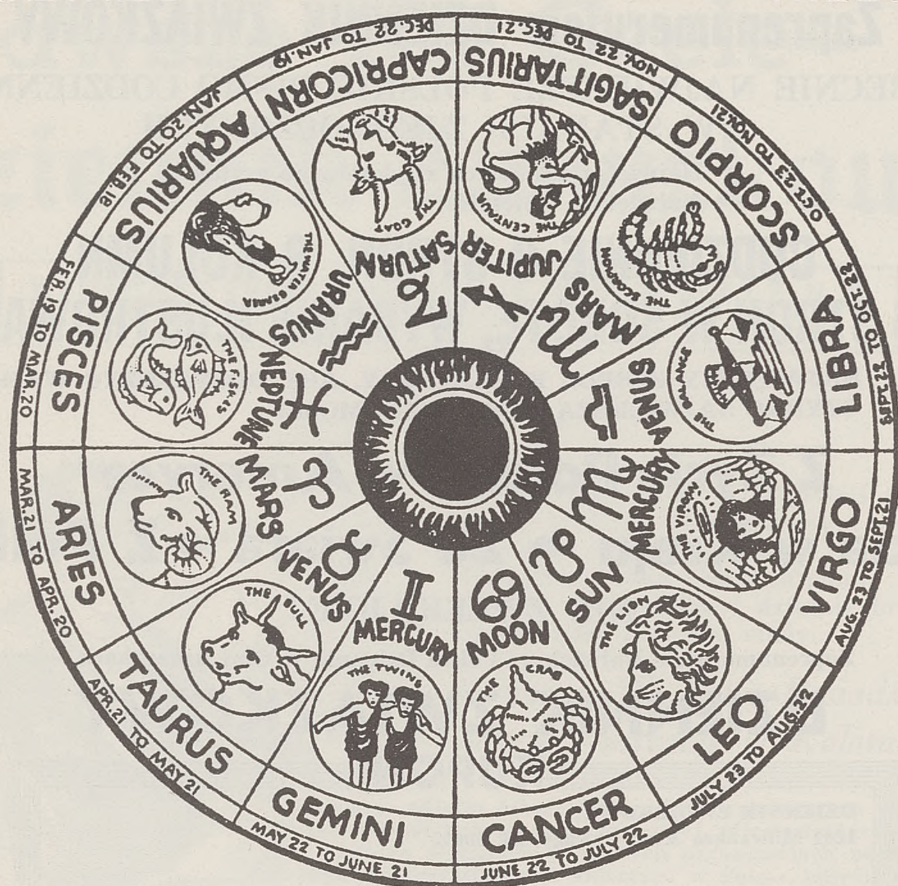
Gdzież chełpliwości pełna i wraża dziś nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!



Lyndon B. Johnson - 36th President of the United States

ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—skońce.

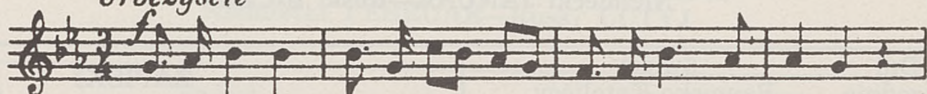
AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.



Słowa
Józef Wybicki

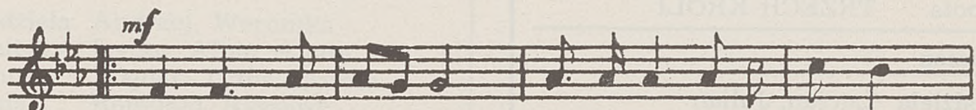
Uroczyście



Jeszcze Polska nie zgi-nę - ła -, kie-dy my ży - je - my,



co nam ob-ca przemoc wzię-ła -, szab-lą od - bie - rze-my.



Marsz, marsz, Dą-brow - ski, z zie-mi włoskiej do Pol - ski!



Za twoim prze-wo - dem złączym się z na-ro- em. -ro-dem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
będziem Polakami,
dał nam przykład Bonaparte,
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Jak Czarniecki do Poznania
po szwedzkim zaborze,
dla ojczyzny ratowania
wrócim się przez morze.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

BOŻE COŚ POLSKĘ

Boże coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały.
Coś Ją osłaniał tarczą Swej opieki
Od nieszczęść które przygnębić ją miały,

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie



31 DNI | Angielski **JANUARY—Litewski—SAUSIS** Niemiecki **JANUAR—Ruski SICZEŃ** | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katolliccy
1szy Tydzień		
1	Poniedz.	**NOWY ROK**, Mieczysław
2	Wtorek	Makary, Bazyli
3	Środa	Daniel, Genowefa
4	Czwartek	Eugeniusz, Tytus, Aniela
5	Piątek	Telesfor, Emilian, Edward
6	Sobota	TRZECH KRÓLI
2gi Tydzień		
7	**Niedziela**	Łucjan, Julian
8	Poniedz.	Seweryn, Mścisław
9	Wtorek	Julian, Bazyli, Marcjanna
10	Środa	Agaton, Wilhelm
11	Czwartek	Feliks, Honorata
12	Piątek	Arkadiusz, Ernest
13	Sobota	Weronika
3ci Tydzień		
14	**Niedziela**	Hilary, Feliks
15	Poniedz.	Paweł, Marek
16	Wtorek	Marcel, Włodzimierz
17	Środa	Antoni
18	Czwartek	Kat. Św. Piotra w Rzymie
19	Piątek	Henryk, Mariusz, Marta
20	Sobota	Fabian i Sebastian
4ty Tydzień		
21	**Niedziela**	Agnieszka, Jarosława
22	Poniedz.	Wincenty, Anastazy
23	Wtorek	Zaśl. N.M.P., Rajmund
24	Środa	Tymoteusz, Felicjan
25	Czwartek	Nawr. Św. Pawła
26	Piątek	Polikarp, Paulina
27	Sobota	Jan Złotousty, Agnieszka
5ty Tydzień		
28	**Niedziela**	Karol, Walery, Piotr
29	Poniedz.	Franc. Salezy, Zdzisław
30	Wtorek	Felicjan, Martyna, Hiacynta
31	Środa	Jan Bosko, Ludwik, Marcela

ZAPISKI

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 28.



29 DNI

Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS
Niemiecki FEBRUAR—Ruski LUTYJ

29 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Czwartek	Ignacy, Brygida	
2	Piątek	M.B. Gromnicz., Mirosław	
3	Sobota	Błażej, Wawrzyniec	
6ty Tydzień			
4	**Niedziela**	Andrzej, Weronika	
5	Poniedz.	Izydor, Albin, Agata	
6	Wtorek	Bogdan Tytus, Dorota	
7	Środa	Romuald, Ryszard	
8	Czwartek	Jan z Malty, Emilia	
9	Piątek	Cyryl, Apolonia	
10	Sobota	Jacek, Scholastyka	
7my Tydzień			
11	**Niedziela**	Honorata, Adolf	
12	Poniedz.	**Ur. Lincolna i Kościuszki**	
13	Wtorek	Grzegorz, Katarzyna	
14	Środa	Walenty, Zenon	
15	Czwartek	Klaudiusz	
16	Piątek	Bernard, Julianna	
17	Sobota	Donata, Julian	
8my Tydzień			
18	**Niedziela**	Szymona, Marianny	
19	Poniedz.	Konrad, Marceli	
20	Wtorek	Leon, Zenobiusz, Eustachy	
21	Środa	Feliks, Robert, Eleonora	
22	Czwartek	**Ur. Washing. i Pułaskiego**	
23	Piątek	Piotr, Roman, Marta	
24	Sobota	Maciej, Cezary	
9ty Tydzień			
25	**Niedziela**	Wiktor, Izabela, Anastazja	
26	Poniedz.	Aleksander, Mirosława	
27	Wtorek	Gabriel, Nestor	
28	Środa	Teofil, **Popielec.**	
29	**Czwartek**	**Romana**	

Post obowiązuje: 2, 9, 16, 23.



Angielski MARCH—Litewski KOVAS
Niemiecki MAERZ—Ruski BEREZEŃ

31 DNI | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Piątek	Albin, Antonina
2	Sobota	Helena, Amelia
10-ty Tydzień		
3	**Niedziela**	Kunegunda, Teresa
4	Poniedz.	Kazimierz
5	Wtorek	Wacław, Euzebiusz
6	Środa	Jan B., Wiktor, Róża
7	Czwartek	Tomasz z Akw.
8	Piątek	Jan B., Wincenty, Emil
9	Sobota	Franciszka
11-ty Tydzień		
10	**Niedziela**	40 Męczenników, Cyprian
11	Poniedz.	Pelagii, Konstantyn
12	Wtorek	Grzegorz
13	Środa	Marek, Krystyna, Sabina
14	Czwartek	Leon, Matylda, Bożenna
15	Piątek	Klemens, Longin
16	Sobota	Hilary, Eufrozyna
12-ty Tydzień		
17	**Niedziela**	Jan, Patryk, Zbigniew
18	Poniedz.	Cyryl, Edward
19	Wtorek	Józef, Bogdan
20	Środa	Aleksander, Anatol, Teodozja
21	Czwartek	Benedykt
22	Piątek	Oktawian, Katarzyna
23	Sobota	Feliks, Wiktor, Pelagia
13-ty Tydzień		
24	**Niedziela**	Marek i Gabriel
25	Poniedz.	ZWIASTOWANIE N. M. P.
26	Wtorek	Emanuel, Teodor, Tekla
27	Środa	Jan z Damaszku
28	Czwartek	Jan Kapistran
29	Piątek	Cyryl, Jonasz
30	Sobota	Jan, Aniela
14-ty Tydzień		
31	**Niedziela**	Benjamin, Balbina

ZAPISKI

Post obowiązuje: 1, 6, 8, 9, 15, 22, 29.

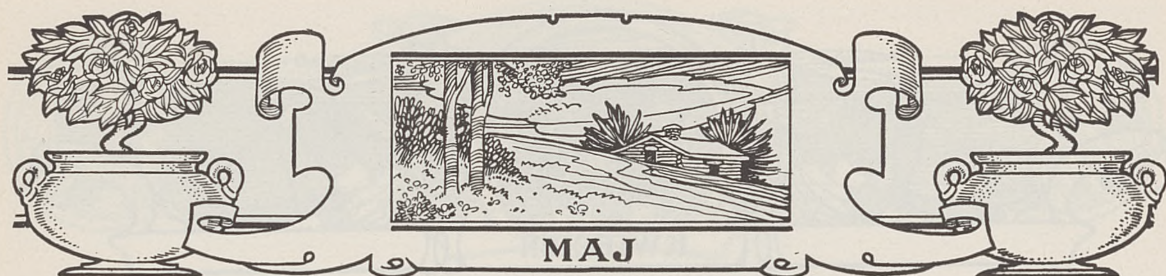


30 DNI | **Angielski APRIL—Litewski BALANDIS**
Niemiecki APRIL—Ruski KWITEŃ | **30 DNI**

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Poniedz.	Hugon, Teodora
2	Wtorek	Franciszek, Leopold
3	Środa	Ryszard, Pankracy
4	Czwartek	Izydor, Benedykt, Ambroży
5	Piątek	Wincenty, Irena
6	Sobota	Celestyn, Julianna
15-ty Tydzień		
7	**Niedziela**	**PALMOWA**, Herman,
8	Poniedz.	Dionizy, January
9	Wtorek	Hugon, Maria
10	Środa	Michał
11	Czwartek	WIELKI CZWARTEK
12	Piątek	WIELKI PIĄTEK
13	Sobota	WIELKA SOBOTA
16-ty Tydzień		
14	**Niedziela**	**WIELKANOC,**
15	Poniedz.	Anastazy, Bazyli
16	Wtorek	Benedykt, Marcelian
17	Środa	Robert, Inocenty
18	Czwartek	Bogumił, Rudolf
19	Piątek	Adolf, Tymon
20	Sobota	Marian, Teodor
17-ty Tydzień		
21	**Niedziela**	Feliks, Anzelm
22	Poniedz.	Łukasz, Leon
23	Wtorek	Wojciech, Jerzy
24	Środa	Fidelis, Grzegorz
25	Czwartek	Marek, Jarosław, Grzegorz
26	Piątek	Marceli
27	Sobota	Teofil, Piotr, Zyta
18-ty Tydzień		
28	**Niedziela**	Witalis, Paweł, Waleria
29	Poniedz.	Piotr, Robert, Bogusław
30	Wtorek	Marian, Katarzyna

ZAPISKI

Post obowiązuje: 5, 12, 13, 19, 26.



31 DNI **Angielski MAY—Litewski GEGUŽIS** 31 DNI
Niemiecki MAI—Ruski TRAWEŃ

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Środa	Józefa Robotnika	
2	Czwartek	Zygmunt, Anastazy	
3	Piątek	ROCZ. KONST. 3 MAJA	
4	Sobota	Florian, Monika	
19-ty Tydzień			
5	**Niedziela**	Pius, Izydor, Irena	
6	Poniedz.	Jan w Oleju	
7	Wtorek	Florian, Benedykt	
8	Środa	Stanisław, Michał	
9	Czwartek	Grzegorz	
10	Piątek	Izydor, Antoni	
11	Sobota	Filip, Jakub	
20-ty Tydzień			
12	**Niedziela**	**Dzień Matek,** Pankracy	
13	Poniedz.	Serwacy	
14	Wtorek	Bonifacy	
15	Środa	Jan, Izydor, Zofia	
16	Czwartek	Jan Nep., Andrzej Bobola	
17	Piątek	Paschalis, Brunon	
18	Sobota	Feliks, Bogdan	
21-szy Tydzień			
19	**Niedziela**	Piotr, Mikołaj, Celestyn	
20	Poniedz.	Bernardyn, Zuzanna	
21	Wtorek	Wiktor, Julia	
22	Środa	Emil, Helena, Julia, Róża	
23	Czwartek	WNIEBOWSTĄPIENIE	
24	Piątek	Joanna, Estera, Zuzanna	
25	Sobota	Grzegorz, Urban	
22-gi Tydzień			
26	**Niedziela**	Filip, Augustyn	
27	Poniedz.	Jan Papież	
28	Wtorek	Germana, Małgorzata	
29	Środa	Magdalena	
30	Czwartek	**MEMORIAL DAY**	
31	Piątek	Aniela, Petronela	

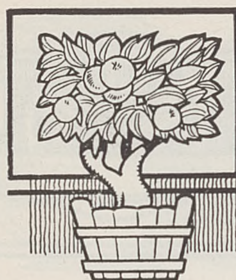
Post obowiązuje: 3, 10, 17, 24, 31.



30 DNI | Angielski JUNE—Litewski BERŻELIS
Niemiecki JUNI—Ruski CZERWEŃ | 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Sobota	Jakub, Konrad	
23-ci Tydzień			
2	**Niedziela**	Zielone Święta	
3	Poniedz.	Leszek, Klotylda	
4	Wtorek	Franciszek, Teodora	
5	Środa	Bonifacy, Waleria	
6	Czwartek	Norbert, Łucja	
7	Piątek	Robert, Wiesław	
8	Sobota	Medard, Elżbieta	
24-ty Tydzień			
9	**Niedziela**	Felicjan	
10	Poniedz.	Jan, Małgorzata	
11	Wtorek	Barnaba, Feliks	
12	Środa	Jan, Onufry	
13	Czwartek	BOŻE CIAŁO	
14	Piątek	**DZIEŃ FLAGI**, Bazyli	
15	Sobota	Witold, Jolanta	
25-ty Tydzień			
16	**Niedziela**	DZIEŃ OJCÓW, Alina,	
17	Poniedz.	Marian, Adolf	
18	Wtorek	Marek, Elżbieta	
19	Środa	Alojzy, Gerwazy, Protazy	
20	Czwartek	Juliana, Florentyna	
21	Piątek	Janusz, Alojzy	
22	Sobota	Paulina	
26-ty Tydzień			
23	**Niedziela**	Zenon, Wanda,	
24	Poniedz.	Jan Chrzciciel	
25	Wtorek	Wilhelm, Łucja	
26	Środa	Jan, Paweł	
27	Czwartek	Władysław	
28	Piątek	Ireneusz, Leon	
29	Sobota	PIOTR i PAWEŁ	
27-my Tydzień			
30	**Niedziela**	Ernest, Lucyna, Emilia	

Post obowiązuje: 5, 7, 8, 14, 21, 28.





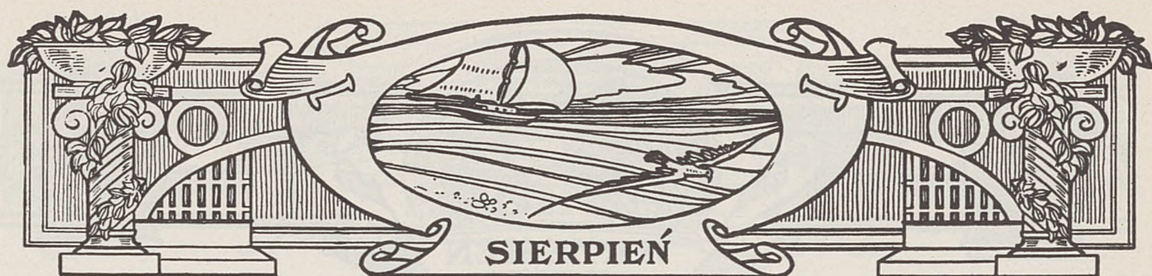

Angielski JULY—Litewski LIEPOS
Niemiecki JULI—Ruski ŁYPIEŃ

31 DNI — 31 DNI

	Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Poniedz.	Przem. Krwi P. J., Juliusz
2	Wtorek	Nawiedz. N.M.P., Urban
3	Środa	Anatol, Leon, Alfred, Jacek
4	Czwartek	**DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI**
5	Piątek	Antoni, Filomena
6	Sobota	Dominik, Romuald, Łucja
28-my Tydzień		
7	**Niedziela**	Cyryl i Metody
8	Poniedz.	Prokop, Elżbieta
9	Wtorek	Tomasz, Weronika, Mikołaj
10	Środa	7 Braci Męczen., Amelia
11	Czwartek	Pius, Olga, Pelagia
12	Piątek	Jan, Gwalbert
13	Sobota	Eugeniusz, Małgorzata
29-ty Tydzień		
14	**Niedziela**	Bonawentura, Marceli
15	Poniedz.	Henryk, Wit
16	Wtorek	N.M.P. Szkapl., Andrzej
17	Środa	Aleksy, Bogdan
18	Czwartek	Kamil, Szymon
19	Piątek	Wincenty a Paulo
20	Sobota	Czesław, Hieronim, Małg.
30-ty Tydzień		
21	**Niedziela**	Wiktor, Andrzej, Prakseda
22	Poniedz.	Maria Magdalena
23	Wtorek	Apolinary
24	Środa	Kunegunda, Kinga, Kryst.
25	Czwartek	Jakub, Krzysztof
26	Piątek	Anna, Mirosława
27	Sobota	Pantaleon, Natalia
31-szy Tydzień		
28	**Niedziela**	Innocenty, Wiktor
29	Poniedz.	Urban, Fel. Marta Beatr.
30	Wtorek	Abdon, Donat, Rufin
31	Środa	Ignacy L., Justyn, Helena

ZAPISKI

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 26.



31 DNI | Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS
Niemiecki AUGUST—Ruski SERPEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Czwartek	Piotr w Okowach
2	Piątek	N.M.P. Anielska, Gustaw
3	Sobota	Znal. Relikwii św. Szczep.
32-gi Tydzień		
4	**Niedziela**	Dominik
5	Poniedz.	N.M.P. Śnieżna, Stanisława
6	Wtorek	Przemienienie Pańskie
7	Środa	Kajetan, Donat
8	Czwartek	Cyriak, Emilian, Justyn
9	Piątek	Roman, Jan
10	Sobota	Wawrzyniec, Bogdan
33-ci Tydzień		
11	**Niedziela**	Tybercjusz, Zuzanna
12	Poniedz.	Hilary, Klara
13	Wtorek	Hipolit, Jan, Helena
14	Środa	Euzebiusz
15	Czwartek	**WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.**
16	Piątek	Roch, Joachim, Ambroży
17	Sobota	Jacek, Paweł, Julian
34-ty Tydzień		
18	**Niedziela**	Klara, Włodzimierz
19	Poniedz.	Bolesław, Ludwik, Marian
20	Wtorek	Bernard, Samuel
21	Środa	Daniel, Joanna
22	Czwartek	Tymoteusz, Hipolit
23	Piątek	Filip, Apolinary, Wiktor
24	Sobota	Bartłomiej, Jerzy
35-ty Tydzień		
25	**Niedziela**	Ludwik, Grzegorz
26	Poniedz.	N.M.P. Częstochowskiej
27	Wtorek	Józef Kalasanty
28	Środa	Augustyn
29	Czwartek	Ścięcie Św. Jana, Sabina
30	Piątek	Feliks, Róża z Limy
31	Sobota	Rajmund, Marek

ZAPISKI

Post obowiązuje: 2, 9, 16, 23, 30.



30 DNI

Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS
Niemiecki SEPTEMBER—Ruski WERESEŃ

30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
36ty Tydzień		
1	**Niedziela**	Idzi, Bronisława
2	Poniedz.	**ŚWIĘTO PRACY** Stefan
3	Wtorek	Szymon, Zenon, Izabela
4	Środa	Rozalia, Róża
5	Czwartek	Wawrzyniec, Dorota
6	Piątek	Zachariasz, Eugeniusz
7	Sobota	Melchior, Regina
37my Tydzień		
8	**Niedziela**	Narodzenie N. M. P.
9	Poniedz.	Piotr, Sergiusz
10	Wtorek	Mikołaj, Łukasz, Łucja
11	Środa	Prot, Jacek, Pafnucy
12	Czwartek	Im. N.M.P., Gwidon, Klara
13	Piątek	Filip, Eugenia
14	Sobota	Podw. Św. Krzyża, Kalikst
38my Tydzień		
15	**Niedziela**	M.B. Bolesnej, Nikodem
16	Poniedz.	Kornel, Cyprian, Ludmiła
17	Wtorek	Franciszek, Jacek
18	Środa	Józef, Tomasz, Irena
19	Czwartek	January, Gustaw, Teodor
20	Piątek	Eustachy, Filipina
21	Sobota	Mateusz,
39ty Tydzień		
22	**Niedziela**	Tomasz, Maurycy
23	Poniedz.	Tekla, Boguchwał
24	Wtorek	N. M. P. od Wyk. Niewol.
25	Środa	Władysław, Kleofas
26	Czwartek	Cyprian, Justyn
27	Piątek	Władysław, Damian
28	Sobota	Wacław, Marek
40ty Tydzień		
29	**Niedziela**	Michał Archanioł
30	Poniedz.	Hieronim, Grzegorz

ZAPISKI

Post obowiązuje: 6, 13, 18, 20, 21, 27.



31 DNI — Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS / Niemiecki OKTOBER—Ruski ŻOWTEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Wtorek	Jan z Dukli, Remigiusz
2	Środa	Aniołów Stróżów, Teofil
3	Czwartek	Teresa od Dziec. Jezus
4	Piątek	Franciszek z Asyżu
5	Sobota	Placyd, Apolinary
41szy Tydzień		
6	**Niedziela**	Brunon, Artur, Emil
7	Poniedz.	N.M.P. Różańcowa, Marek
8	Wtorek	Brygida, Pelagia
9	Środa	Dionizy, Ludwik, Bogdan
10	Czwartek	Franciszek Borg. Paula
11	Piątek	**DZIEŃ PUŁASKIEGO**
12	Sobota	**COLUMBUS DAY**, Serafin
42gi Tydzień		
13	**Niedziela**	M. B. z Fatima, Edward,
14	Poniedz.	Kalikst
15	Wtorek	Jadwiga, Teresa
16	Środa	Leopold, Gaweł, Florentyna
17	Czwartek	Wiktor, Małgorzata, Maria
18	Piątek	Łukasz Ewangelista
19	Sobota	Piotr, Pelagia
43ci Tydzień		
20	**Niedziela**	Jan Kanty, Irena
21	Poniedz.	Hilarion, Urszula
22	Wtorek	Filip, Wojciech, Salomea
23	Środa	Seweryn, Ignacy, Roman
24	Czwartek	Rafał Archanioł, Marcin
25	Piątek	Kryspin, Bonifacy
26	Sobota	Ewaryst
44ty Tydzień		
27	**Niedziela**	Św. Chrystusa Króla
28	Poniedz.	Szymon, Tadeusz
29	Wtorek	Abraham, Narcyz, Euzebia
30	Środa	Alfons, Edmund
31	Czwartek	DZIEŃ WILKOŁAKÓW,

ZAPISKI

Post obowiązuje: 4, 11, 18, 25.



Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS
30 DNI Niemiecki NOVEMBER—Ruski PADOŁYST 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Piątek	**WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH**
2	Sobota	DZIEŃ ZADUSZNY
45ty Tydzień		
3	**Niedziela**	Hubert, Sylwia
4	Poniedz.	Karol Borom., Witalis
5	Wtorek	Zachariasz, Elżbieta
6	Środa	Leonard, Feliks
7	Czwartek	Ernest, Antoni, Salomea
8	Piątek	Bogdan, Sewer, Ida
9	Sobota	Teodor, Orest
46ty Tydzień		
10	**Niedziela**	Andrzej, Lubomir
11	Poniedz.	**Święto Niepodl. Polski**
12	Wtorek	Mateusz, Witold
13	Środa	Stanisław Kostka
14	Czwartek	Józefat
15	Piątek	Leopold, Wojciech
16	Sobota	M.B. Ostrobram., Edmund
47my Tydzień		
17	**Niedziela**	Grzegorz, Salomea
18	Poniedz.	Katedry Św. Piotra, Roman
19	Wtorek	Felicjan, Elżbieta
20	Środa	Feliks, Edmund, Anatol
21	Czwartek	Ofiarowanie NMP., Janusz
22	Piątek	Cecylia, Marek
23	Sobota	Klemens, Felicyta
48my Tydzień		
24	**Niedziela**	Jan, Aleksander
25	Poniedz.	Katarzyna, Erazm
26	Wtorek	Konrad, Jan
27	Środa	Walerian
28	Czwartek	**Dzień DZIĘKCZYNIENIA**
29	Piątek	Błażej, Saturnin
30	Sobota	Andrzej, Zbysława

ZAPISKI

Post obowiązuje: 1, 8, 15, 22, 29.



31 DNI | Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS
Niemiecki DEZEMBER—Ruski HRUDEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
49ty Tydzień		
1 **Niedziela**	**1 Niedz Adwentu,** Eligiusz	
2 Poniedz.	Bibiana, Hipolit, Paulina	
3 Wtorek	Franciszek Ksaw.	
4 Środa	Piotr, Barbara	
5 Czwartek	Anastazy, Saba, Krystyna	
6 Piątek	Mikołaj, Emil	
7 Sobota	Ambroży	
50ty Tydzień		
8 **Niedziela**	**2 Niedz. Adw. Niep. Pocz.**	
9 Poniedz.	Piotr, Leokadia, Wiesław	
10 Wtorek	N. M. P. Loret. Julia	
11 Środa	Damazy, Sabina	
12 Czwartek	Aleksander, Konstanty	
13 Piątek	Władysław, Łucja, Otylia	
14 Sobota	Teodor, Alfred	
51szy Tydzień		
15 **Niedziela**	**3 Niedz. Adw.,** Walerian	
16 Poniedz.	Adela,Zdzisław	
17 Wtorek	Łazarz, Florian	
18 Środa	Gracjan, Bogusław	
19 Czwartek	Grzegorz, Urban	
20 Piątek	Teofil, Juliusz, Bogumiła	
21 Sobota	Jan, Tomasz	
52gi Tydzień		
22 **Niedziela**	**4 Niedz. Adw.,** Leon Zenon	
23 Poniedz.	Wiktoria	
24 Wtorek	WIGILIA, Adam, Ewa	
25 Środa	**BOŻE NARODZENIE**	
26 Czwartek	Szczepan	
27 Piątek	Jan Ewangelista	
28 Sobota	Ś.Ś. Młodzianków, Teofil	
Ostatni Tydzień Roku		
29 **Niedziela**	Tomasz	
30 Poniedz.	Eugeniusz, Sabina	
31 Wtorek	Sylwester, Melania	

Post obowiązuje: 6, 13, 18, 20, 21, 24, 27.

Zarząd Związku Narodowego Polskiego

Wybrany Na Sejmie 35-tym Z.N.P. w Detroit, Michigan

WŁADYSŁAW L. DWORAKOWSKI
Cenzor Z.N.P.
507 Akron Svgs. & Loan Bldg.
Akron, Ohio 44308

ANTONI CZELEŃ
Wicecenzor Z.N.P.
924 Dennis Ave., Monessen, Pa. 15062

ALOJZY A. MAZEWSKI
Krajowy Prezes Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

IRENA WALLACE
Krajowa Wiceprezeska Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

FRANCISZEK M. PROCHOT
Krajowy Wiceprezes Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

ADOLF K. PACHUCKI
Krajowy Sekretarz Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

EDWARD J. MOSKAL
Krajowy Skarbnik Z.N.P.
1514 W. Division St., Chicago, Ill. 60622

DYREKCJA Z.N.P.

JÓZEF A. DANCEWICZ,
12 Locust St., New Bedford, Mass. 02740

JAN J. ZIEMBA,
3880 Jefferson St., Gary, Ind. 46408

HELENA SZYMANOWICZ
3202 W. 26th St., Erie, Pa.

KATARZYNA DIENES,
12850 S. Green St., Chicago, Ill. 60643

MELANIA WINIECKA,
4040 W. 55th St., Chicago, Ill. 60632

DR. EDWARD C. RÓŻAŃSKI
2900 N. Kenneth Ave., Chicago, Ill. 60641

TADEUSZ RADOSZ,
5709 S. Neenah Ave., Chicago, Ill. 60638

FLORENTYNA WIATROWSKA,
3916 W. 67th Pl., Chicago, Ill. 60629

MIECZYSŁAW ODROBINA,
2700 Florian Ave., Hamtramck, Mich. 48212

HILARY CZAPLICKI,
7405 E. Roosevelt Blvd., Philadelphia, Pa. 19152

KOMISARZE I KOMISARKI OKRĘGÓW Z.N.P.

Okręg 1—JAN SIDERSKI,
ALICJA NAHORMEK

Okręg 2—JÓZEF A. ZDUNCZYK,
EWELINA L. GAVALIS

Okręg 3—LEOPOLD K. BABIRECKI,
HELENA B. PIOTROWSKA

Okręg 4—JAN F. NOWAK,
JOANNA KOWALSKA

Okręg 5—EUGENIUSZ ZEGAR,
JANINA KOZMOR

Okręg 6—AUGUST GORSKI,
LEOKADIA MISIORA

Okręg 7—LUDWIK ŚILWINSKI,
ZOFIA WÓJCIK

Okręg 8—FRANCISZEK ŁYSAKOWSKI,
ANNA JASIONOWSKA

Okręg 9—ALEKSANDER A. KOPCZYNSKI
MARIANNA GOŁEMBIEWSKA

Okręg 10—JAN J. KOZAREN,
BRONISŁAWA BARĆ

Okręg 11—DR. STANISŁAW J. SULKOWSKI,
PAULINA GÓRSKA

Okręg 12—TOMASZ PACZYNSKI,
HELENA ORAWIEC

Okręg 13—CZESŁAW F. MIKOŁAJCZYK,
ZOFIA BUCZKOWSKA

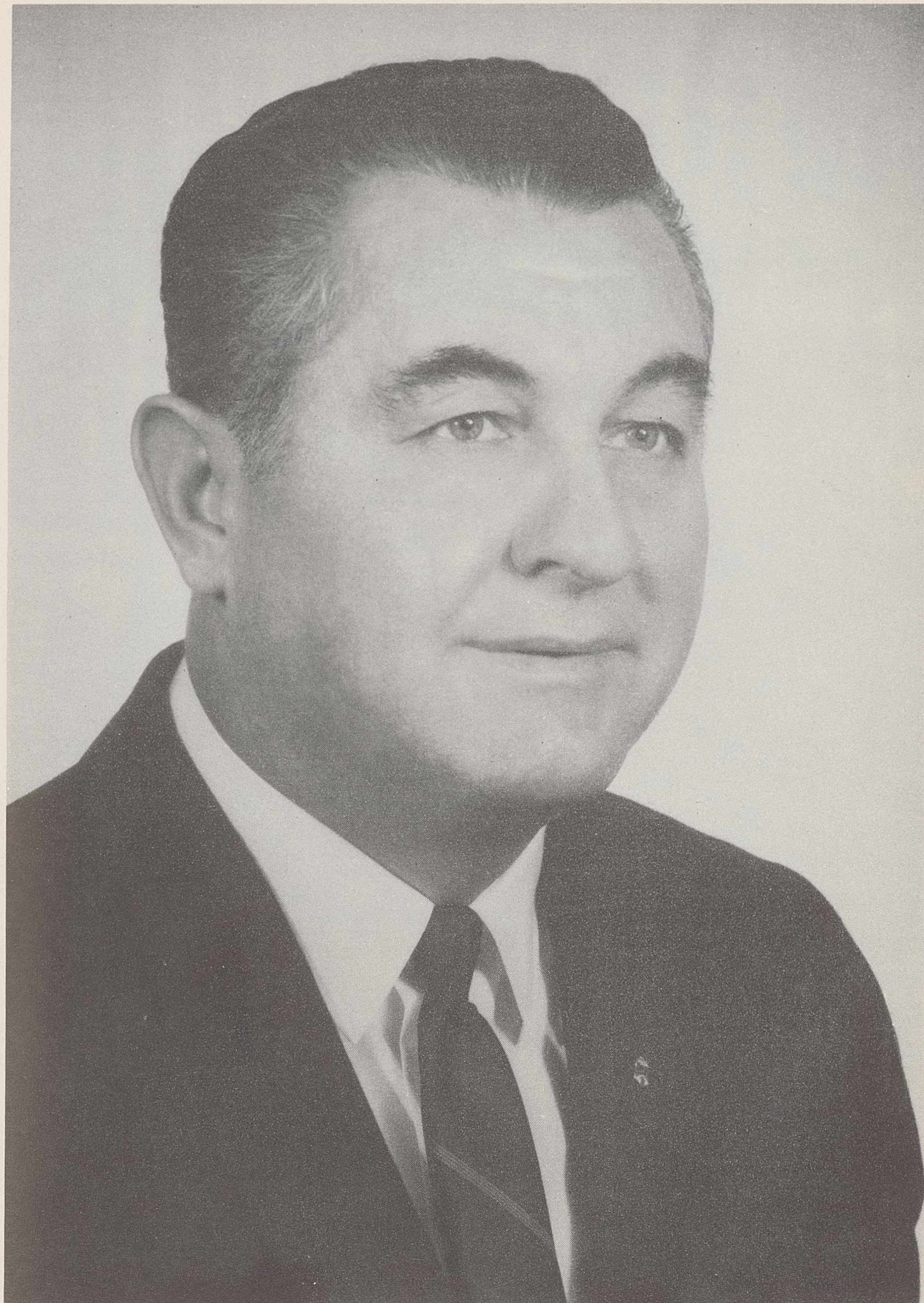
Okręg 14—KAROL E. MATRAS,
JADWIGA SOCHACZEK

Okręg 15—TADEUSZ WACHEL,
WŁADYSŁAWA KUBIAK

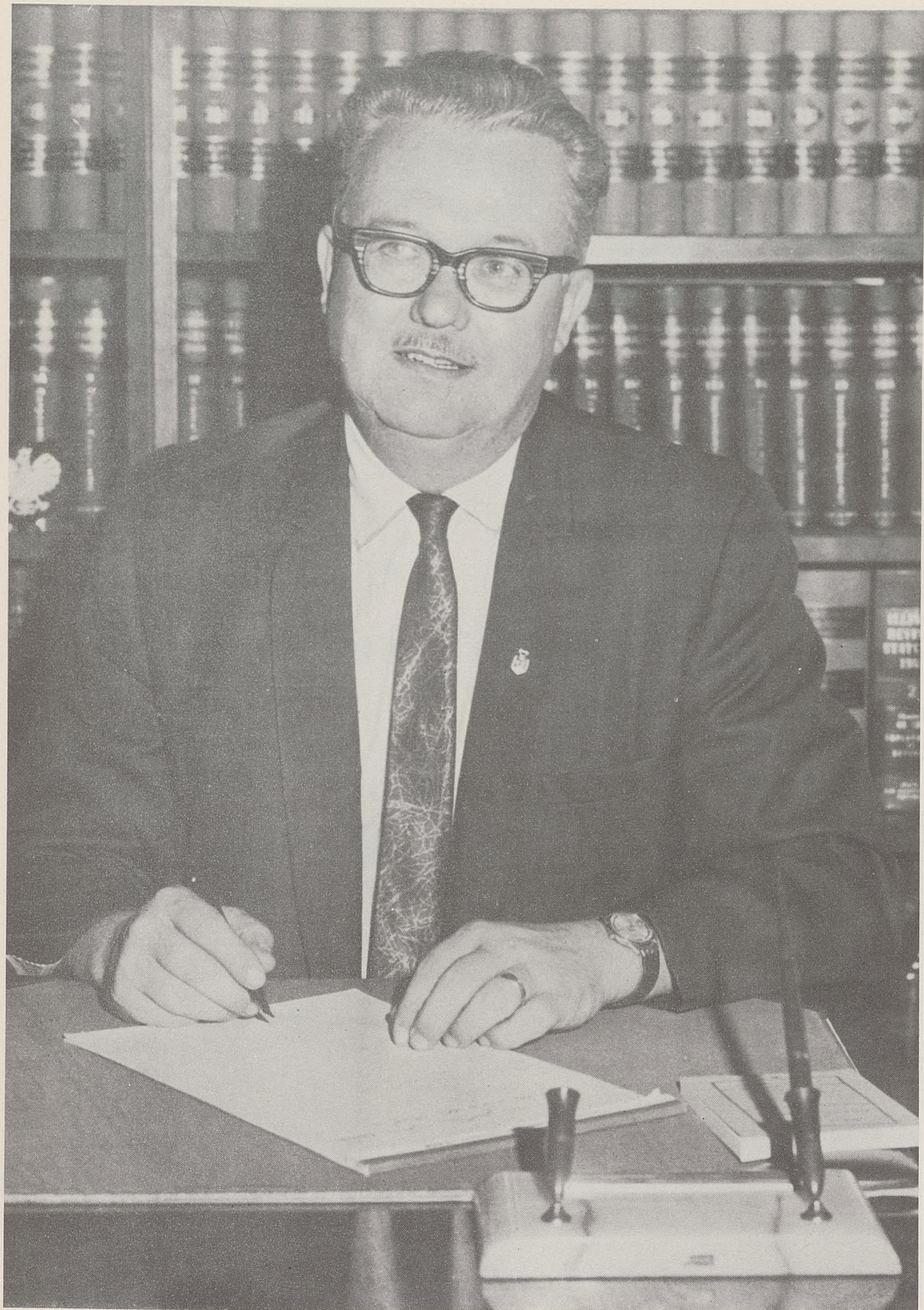
Okręg 16—ANTONI SLIWA,
STANISŁAW M. NIEDER



WŁADYSŁAW L. DWORAKOWSKI
Cenzor Z.N.P.



ANTONI CZELEŃ
Wicecenzor Z.N.P.



ALOJZY A. MAZEWSKI
Krajowy Prezes Z.N.P.



IRENA WALLACE
Krajowa Wiceprezeska Z.N.P.



FRANCISZEK PROCHOT
Krajowy Wiceprezes Z. N. P.



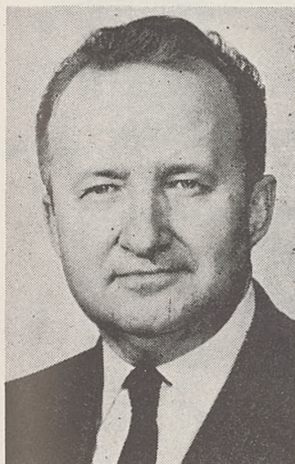
ADOLF K. PACHUCKI
Krajowy Sekretarz Z. N. P.



EDWARD J. MOSKAL
Krajowy Skarbnik Z.N.P.

DYREKTORZY I DYREKTORKI

Zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego



JÓZEF A. DANCEWICZ
Dyrektor



JAN J. ZIEMBA
Dyrektor



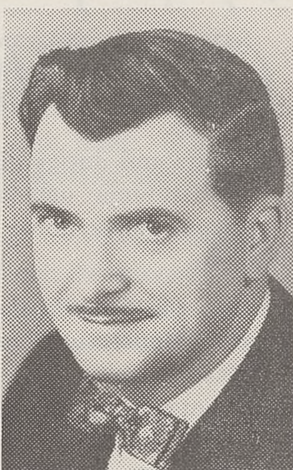
HELENA SZYMANOWICZ
Dyrektorka



KATARZYNA DIENES
Dyrektorka



MELANIA WINIECKA
Dyrektorka



DR. EDW. RÓŻAŃSKI
Dyrektor

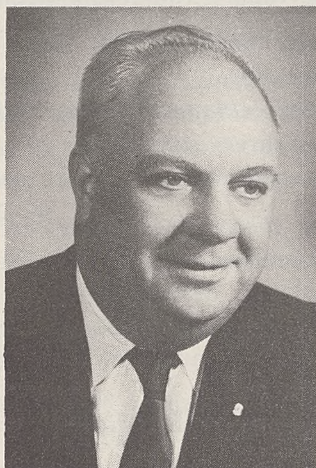


TADEUSZ RADOSZ
Dyrektor



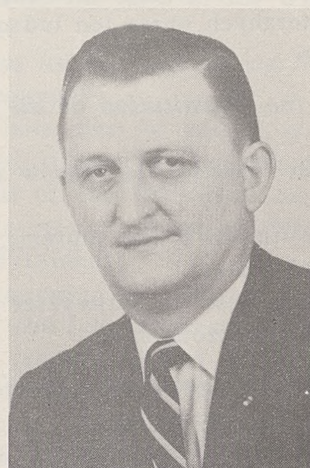
FLORENT. WIATROWSKA
Dyrektorka





MIECZYSŁAW ODROBINA
Dyrektor





HILARY CZAPLICKI
Dyrektor







Czy Starasz Się o Obywatelstwo?



Pytania i Odpowiedzi Najczęściej Zadawane Przy Egzaminie Obywatelskim

A. THE FORM OF OUR GOVERNMENT
A. FORMA NASZEGO RZĄDU

1. *What is the form of our government?*
Jaką jest forma naszego rządu?
The United States is a republic.
Stany Zjednoczone są republiką.

2. *What is a republic?*
Co to jest republika?
It is a government in which the people rule through officers whom they elect.
Jest to taki rząd, w którym rządzi lud przez obieranych przez ten lud urzędników.

3. *What is the Constitution of the United States?*
Co to jest Konstytucja Stanów Zjednoczonych.
The Constitution is the supreme law of the United States.
Konstytucja jest to najwyższe prawo Stanów Zjednoczonych.

4. *What does the Constitution provide for?*
Co ustanawia Konstytucja?
The Constitution provides for the organization of our government and the rights and duties of the people.
Konstytucja ustanawia organizację naszego rządu, oraz prawa i obowiązki ludu.

5. *Can the Constitution be changed?*
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes, by amending it. There are at present twenty-one amendments to the Constitution.
Tak jest, przez wprowadzenie do niej poprawek. Obecnie jest takich poprawek do Konstytucji dwadzieścia jedna.

6. *How many branches are there in our government?*
Z ilu gałęzi składa się nasz rząd?
There are three branches.
Rząd nasz składa się z trzech gałęzi.

7. *What are these three branches?*
Jakie są te trzy gałęzie rządu?
The legislative branch which makes the laws.
The executive branch which carries out the laws.
The judicial branch which enforces the laws.
G a ł ą ź prawodawcza, ustanawiająca

prawa; gałąź wykonawcza, wprowadzająca te prawa w wykonanie, i gałąź sądownicza, zmuszającą do posłuszeństwa dla prawa.

LEGISLATIVE BRANCH
GAŁĄŹ PRAWODAWCZA

8 ***Who makes the laws of the United States?***
Kto ustanawia prawa w Stanach Zjedn.?
Congress makes the laws.
Kongres ustanawia prawa.

9. ***How many parts has Congress?***
Z ilu części składa się Kongres?
There are two parts, the Senate or the Upper House, and the House of Representatives or the Lower House.
Z dwuch części: Senatu czyli Izby Wyższej, i Izby Reprezentantów, czyli Izby Niższej.

10. ***How many members has the Senate?***
Z ilu członków składa się Senat?
There are 100 Senators. Two are elected by the voters of each state. (Find out and memorize the names of the senators from your state).
Jest stu Senatorów. Wyborcy każdego stanu obierają dwuch senatorów. (Dowiedźcie się, jak się nazywają senatorowie z waszego stanu, i zapamiętajcie ich nazwiska.

11. ***Who presides over the Senate?***
Kto przewodniczy w Senacie?
The Senate is presided over by the Vice-President of the United States.
Przewodniczącym Senatu jest Wice-Prezydent Stanów Zjednoczonych.

12. ***For what term is a Senator elected?***
Na jaki termin jest obierany Senator?
His term of office is six years.
Termin urzędowania Senatora wynosi sześć lat.

13. ***The House of Representatives consists of how many members?***
Z ilu członków składa się Izba Reprezentantów?
There are 437 members of the House of Representatives.
Izba Reprezentantów składa się z 437 członków.

14. ***How many Representatives are there from each state?***
Ilu jest Reprezentantów czyli kongresmanów z każdego stanu?
In according to the number of people in each state. Not more than one for every 30,000 people in the state. (Find out the name of the Congressman from your district.)
Zależy to od liczby ludności w tym stanie. Nie więcej, niż jeden na każde 30,000 ludności w tym stanie. (Dowiedźcie się nazwisko kongresmana z waszego okręgu zapamiętajcie je.)

15. ***For what term is a Representative elected?***
Na jaki termin obierany jest Reprezentant?
His term of office is two years.
Termin urzędowania kongresmana wynosi dwa lata.

16. ***Who presides over the House of Representatives?***
Kto przewodniczy w Izbie Reprezentantów?
The House of Representatives is presided over by the Speaker, who is selected by all the members of the House of Representatives.
Przewodniczącym Izby Reprezentantów jest tak zwany Speaker, obierany przez wszystkich członków Izby Reprezentantów.

17. ***How are the laws of the United States made?***
Jak są ustanawiane prawa Stanów Zjednoczonych?
The laws must be passed by a majority of both Houses of Congress with the approval of the President, or by a two-thirds vote of Congress after a veto by the President.
Prawa muszą być uchwalone przez większość obu Izb Kongresu i otrzymać aprobatę (zatwierdzenie) Prezydenta, albo też, po veto Prezydenta, to jest odmowie aprobaty uchwalonego przez Kongres prawa, większością dwuch trzecich części głosów.

18. ***What is the capitol of the United States?***
Jakie miasto jest stolicą Stanów Zjednoczonych?
Washington, D. C. (District of Columbia). This is where Congress meets, where the President stays and where the Supreme Court functions.
Washington, D. C. (District of Columbia). Tam zasiada Kongres, mieszka Prezydent i urzęduje Sąd Najwyższy.

EXECUTIVE BRANCH
GAŁĄŹ WYKONAWCZA

19. ***Who is our Chief Executive?***
Kto jest naszym naczelnym urzędnikiem wykonawczym?
The President.

Prezydent.

20. ***Who takes office if the President dies?***
Kto obejmuje urząd Prezydenta w razie jego śmierci?
The Vice-President,

Wice-Prezydent.

21. ***Who elects the President and Vice-President?***
Kto obiera Prezydenta i Wice-Prezydenta?
They are elected by the people.
Są obierani przez lud.

22. ***Do the people vote directly for the President and Vice-President?***
Czy lud głosuje bezpośrednio na Prezydenta i Wice-Prezydenta?
No. They vote for their electors.
Nie. Lud głosuje na ich elektorów.

23. ***For what term are the President and Vice-President elected?***
Na jaki termin obierany jest Prezydent i Wice-Prezydent?
Their term of office is four years.
Termin ich urzędowania wynosi cztery lata.

24. ***Is anyone eligible to be the President or Vice-President?***
Czy każdy może być Prezydentem lub Wice-Prezydentem?
All native-born citizens who are at least 35 years of age are eligible.
Nie. Muszą oni być obywatelami z urodzenia, w wieku conajmniej 35 lat.

25. ***What are the President's duties?***
Jakie są obowiązki Prezydenta?
He sees that laws are carried out and approves them before they become laws. He also appoints certain officials and he is the Commander-in-Chief of the Army and Navy.
Dogląda on wykonywania praw oraz aprobuje je, zanim staną się prawem. Prócz tego mianuje on niektórych urzędników oraz jest Naczelnym Wodzem Armii i Floty.

26. ***How does he carry out the laws?***
W jaki sposób Prezydent wykonuje prawa?
By appointing a cabinet and judges with the consent of the Senate.
Przez mianowanie Gabinetu oraz sędziów, za zgodą Senatu.

27. ***What is the Cabinet?***
Co to jest Gabinet?
The cabinet consists of ten secretaries appointed by the President to be the heads of the Executive departments. They advise the President and administer the laws.
Członkami Gabinetu jest dziesięciu Sekretarzy Departamentów Wykonawczych, mianowani przez Prezydenta na naczelników departamentów wykonawczych. Są oni doradcami Prezydenta i administratorami praw.

JUDICIAL BRANCH
GAŁĄŹ SĄDOWA

28. ***What is the highest court in the United States?***
Jaki jest najwyższy sąd w Stanach Zjednoczonych?
It is the Supreme Court, which has nine justices, appointed by the President for life.
Jest to Sąd Najwyższy, który składa

się z dziewięciu sędziów, mianowanych przez Prezydenta dożywotnio, to jest na całe życie.

29. *What is the function of the Courts?*
Jakie są czynności sądów?
They enforce the laws and interpret them.
Przymuszanie do posłuszeństwa prawom oraz ich interpretowanie, czyli tłumaczenie znaczenia praw.

STATE GOVERNMENT
RZĄD STANOWY

30. *Who makes the laws in the 48 states?*
Kto ustanawia prawa w 48 stanach poszczególnych?
The state legislatures.
Stanowe legislatury.

31. *What does the state legislature consist of?*
Z czego się składa legislatura stanowa?
Generally an upper house called the Senate, and a lower house called the Assembly or House of Representatives.
Legislatura stanowa składa się zazwyczaj z Izby Wyższej, zwanej Senatem stanonowym, oraz z Izby Niższej, zwanej Zgromadzeniem lub Izbą Reprezentantów.

32. *Who is the chief executive of each state?*
Kto jest naczelnym urzędnikiem wykonawczym w każdym stanie?
The Governor. (Find out and memorize the name of your governor and for how long he is elected.)
Gubernator. (Dowiedzcie się, jak się nazywa gubernator waszego stanu oraz na jaki termin jest on obierany i zapamiętajcie to.)

33. *What is the highest state law?*
Co jest najwyższem prawem stanowem?
The State Constitution.
Konstytucja Stanowa.

MUNICIPAL GOVERNMENT
RZĄD MUNICYPALNY

34. *Outside of federal and state, what goverments have we?*
Prócz rządu federalnego i rządów stanowych jakie mamy jeszcze rządy?
Municipal government generally headed by a mayor. (Find out the name of your mayor and the term of his office.)
Rządy municypalne, na których czele stoi zazwyczaj major. (Dowiedzcie się, jak się nazywa wasz mayor i na jaki termin jest obierany i zapamiętajcie to.)

B. HISTORY OF THE UNITED STATES
B. HISTORIA STANÓW ZJEDN.

35. *Who discovered America?*
Kto odkrył Amerykę?
Christopher Columbus, an Italian explorer, discovered America in 1492.
Krzysztof Kolumb, żeglarz włoski, odkrył Amerykę w roku 1492.

36. *Who was George Washington?*
Kto był Jerzy Washington?
George Washington is known as the Father of Our Country. He was the first president of the United States. He was the leader of our army during the Revolutionary War, which was fought to free us from England.
Jerzy Washington znany jest, jako Ojciec Kraju Naszego. Był on pierwszym Prezydentem Stanów Zjednoczonych. On to był wodzem armii naszej podczas Wojny Rewolucyjnej, stoczonej dla uwolnienia nas od panowania Anglii.

37. *What is the Declaration of Independence?*
Co to jest Deklaracja Niepodległości?
It is a document, written by Thomas Jefferson who later became President of the United States, which declared our independence from England and laid down the principles of liberty, equality and justice for our democratic government.
Jest to dokument, napisany przez Tomasza Jeffersona, który później został Prezydentem Stanów Zjednoczonych, obwieszczający naszą niepodległość od Anglii i wykładający zasady wolności, równości i sprawiedliwości dla naszego rządu demokratycznego.

38. *When was the Declaration of Independence adopted?*
Kiedy została przyjęta Deklaracja Niepodległości?
The Declaration of Independence was adopted on July 4th, 1776 in Philadelphia. We therefore celebrate the Fourth of July as Independence Day.
Deklaracja Niepodległości została przyjęta 4 Lipca, 1776 roku w Filadelfii. Dlatego obchodzimy 4 Lipca jako Dzień Niepodległości.

39. *Who was Abraham Lincoln?*
Kto był Abraham Lincoln?
Abraham Lincoln was President during the Civil War, which was fought to preserve the United States from disruption and to free the slaves.
Abraham Lincoln był Prezydentem podczas Wojny Domowej, toczonej o zachowanie Stanów Zjednoczonych od rozbicia i o uwolnienie niewolników.

40. *Who was Woodrow Wilson?*
Kto był Woodrow Wilson?
Woodrow Wilson was President during the World War I.
Woodrow Wilson był Prezydentem podczas I-ej Wojny Światowej.

41. *The American flag has how many colors in it?*
Ile kolorów ma sztandar amerykański i jakie?
Three: Red, white and blue.
Trzy: czerwony, biały i niebieski.

42. *How many stars and stripes are there in the American flag?*
Ile gwiazd i pasów jest na sztandarze amerykańskim?
50 stars, one for each of the 50 states, and 13 stripes, one for each of the 13 original states.
50 gwiazd, po jednej dla każdego z 50 stanów, i 13 pasów po jednym dla każdego z 13 stanów pierwotnych.

43. *What are the names of the 13 original states?*
Które stany zaliczają się do 13 stanów pierwotnych?
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina and Georgia.
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina i Georgia.

C. RIGHTS AND DUTIES OF CITIZENS
C. PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

44. *What is the most important right of a citizen?*
Jakie jest najważniejsze prawo obywatela?
The right to vote.
Prawo głosowania.

45. *What does the citizen do by voting?*
Czego dokonuje obywatel, głosując?
He participates in the government of the the United States by electing Senators and Representatives to Congress who make the laws, and by electing the President who administers the laws and appoints judges to enforce them.
Bierze on udział w rządzie Stanów Zjednoczonych przez obiór Senatorów i Reprezentantów do Kongresu, którzy ustanawiają prawa w Kongresie, i przez obiór Prezydenta, który zawiaduje administracją praw oraz mianuje sędziów dla ich przestrzegania.

46. *Can the Constitution be changed?*
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes. It may be changed by the will of the people, in a lawful way, prescribed in the Constitution itself.
Tak jest. Może ona być zmieniona wolą ludu w drodze praworządnej, przepisanej w samej Konstytucji.

47. *What is the Bill of Rights?*
Co to jest Statut Praw?
The first ten amendments to the Constitution are called the Bill of Rights.
Pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji zwane jest Statutem Praw.

48. ***What rights are guaranteed by the Bill of Rights?***
Jakie prawa zagwarantowane są Statutem Praw?
Freedom of religion, freedom of speech, freedom of the press, trial by jury. Also, the right to peaceably assemble. Life, liberty and property can be taken only after a trial in accordance with the law.
Wolność religii, wolność słowa, wolność prasy, sąd przez Ławę przysięgłych, jakoteż prawo spokojnego zgromadzania się. Życie, wolność i własność mogą zostać odebrane tylko po osądzeniu na mocy prawa.

49. ***What do other amendments to the Constitution provide?***
Co ustanawiają inne poprawki do Konstytucji?
There shall be no slavery. That women shall have the right to vote. In other words, equal rights for all without regard to color, creed or sex.
Że nie może być niewolnictwa. Że kobiety posiadają prawo głosowania. Innemi słowy, równe prawa dla wszystkich bez różnicy koloru skóry, wyznania lub płci.

50. ***What are the duties of citizens?***
Jakie są obowiązki obywateli?
To uphold the Constitution and the laws of the United States and to defend the country against outside and inside enemies.
Podtrzymywać Konstytucję i prawa Stanów Zjednoczonych oraz bronić kraju od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.



ALFABETYCZNY WYKAZ IMION ŚWIĘTYCH

A

Abdona Męczennika 30 Lipca
Adama 24 Grudnia
Adelajdy 10 Grudnia
Adolfa Biskupa 17 Czerwca
Adryana Męczen. 9 Września
Agapita Męczen. 18 Sierpnia
Agatona Papieża 10 Sstycznia
Agnieszki P-ny Męcz. 21 Sty.
Agaty Panny Męcz. 5 Lutego
Agrypiny 23 Czerwca
Albina Biskupa 1 Marca
Albiny Panny 16 Grudnia
Alexandra M. w Rzymie 26 Lutego
Alexandra Męcz. 3 Maja
Alexandra M. w Alex 12 Grudnia
Alexego Wyznawcy 17 Lipca
Alfonsa 2 Sierp. i 22 Paźdz.
Alfreda 3 Lipca
Alodji P. M. 21 Października
Alojzego Gonzagi 21 Czerwca
Amelii księżnej 10 Lipca
Ambrożego Biskupa 7 Grud.
Amalii Panny 2 Marca
Anastazego M. 22 Stycznia
Anastazego Papieża 27 Lutego
Anastazego Wyznaw. 29 Mar.
Anastazji Panny 27 Lutego
Anastazji Rzymian. 26 Paźdz.
Anatoli Męczenniczki 9 Lipca
Anatoliusza Biskupa 3 Lipca
Andrzeja Apostoła 30 Listop.
Andrzeja Polaka Pust. 6 Maja
Andrzeja z Krety 7 Paźdz.
Angeli Mer. P. 31 Maja
Angeli 30 Marca
Anny Matki N.M.P. 26 Lipca
Aniołów Stróżów 2 Paźdz.
Ansgarego Biskupa 4 Lutego
Antoniego Opata 17 Stycznia
Antoniego Padew. 13 Czerw.
Antonina Arcybis. 10 Maja
Antoniny 16 Grudnia
Anzelma 23 Kwietnia
Apolinarego Biskupa 23 Lipca
Apolonii Pan. Męcz. 9 Lutego
Apoloniusza Męcz. 18 Kwiet.
Arkadyusza Męcz. 12 Stycz.
Arseniusza Biskupa 19 Lipca
Artura Biskupa 6 Paździer.
Atanazego Biskupa 2 Maja
Augusta Wyznawcy 3 Sierp.
Augustyna Biskupa 28 Sierp.
Aurelii Panny 25 Września
Awita Męczennika 12 Stycznia

B

Balbiny Panny 31 Marca
Barlaama 27 Listopada
Barbary Panny 4 Grudnia
Barnaby Apostoła 11 Czerw.
Bartłomieja Apost. 14 Sierp.
Bazylego Biskupa 14 Czerw.
Beaty Panny 8 Marca
Bedy Kapłana 27 Maja
Benedykta Opata 21 Marca
Benigny Panny 19 Sierpnia
Benona Biskupa 16 Czerwca
Bernarda Opata 20 Sierpnia
Barnarda Seneńskiego 30 Maja
Bibianny Panny 2 Grudnia
Błażeja Biskupa 7 Lutego
Bogumiła 10 Czerwca
Bonawentury Kard. 14 Lipca
Bonifacego Męczen. 14 Maja
Bonifacego Biskupa 5 Czerw.
Bonifacego B. Forent. 30 Maja
Bony Panny 24 Kwietnia
Bronisławy 18 Sierpnia
Brunona Wyznawcy 6 Paźdz.
Brygidy Panny 1 Lutego
Brygidy Wdowy 8 Paździer.

C

Cecylii Panny Męcz. 22 List.
Celestyna 6 Kwietnia
Celsa Męczennika 28 Lipca
Cezaryusza Biskupa 27 Sierp.
Cypriana Biskupa 16 Wrześ.
Cypriana Męcz. 26 Września
Cyrylla Biskupa 10 Marca
Cyrylla Biskupa 9 Lipca
Cyrylla Diakona 22 Marca
Cyriaka Kapłana 16 Marca
Cyriaka Męczennika 8 Sierp.
Czesława Wyznawcy 20 Lipca
Czterdziestu Męcz. 10 Marca
Czterech koronatów 8 Listop.

D

Damazego Papieża 11 Grudnia
Damiana Męcz. 27 Września
Daniela Męczennika 3 Stycz.
Daniela Proroka 21 Lipca
Dawida Króla 30 Grudnia
Dezyderiusza Biskup. 21 Maja
Domiceli Panny 7 Maja
Dominika Wyznaw. 4 Sierp.
Dominiki Panny 6 Lutego
Donata Pustelnika 17 Lutego
Doroteusza Męczen. 28 Marca
Doroty Panny 6 Lipca
Dydaka Wyzn. 12 Listopada
Dygny 11 Sierpnia
Dionizego Biskupa 8 Kwiet.
Dionizego Męczen. 9 paźdz.

E

Edmunda Biskupa 16 Listop.
Edyty Królewny 15 Grudnia
Edwarda Króla 13 Paździer.
Eleonory Panny 21 Lutego
Eliasza Proroka 20 Lipca
Eligiusza Biskupa 1 Grudnia
Elizeusza Proroka 2 Paźdz.
Elżbiety Wdowy 8 Lipca
Elżbiety Panny 5 Listopada
Elżbiety Królow. 19 Listop.
Emeryka Królew. 5 Listop.
Emiliana Biskupa 11 Wrześ.
Emilianny 5 Stycznia
Emilii 30 Czerwca
Engielberta 7 Listopada
Epifaniusza Bisk. 7 Kwietnia
Erazma Biskupa 2 Czerwca
Estery Królowej 18 Listop.
Euchariusza Bisk. 20 Lutego
Eudoxiusza M. 5 Września
Eufenii Panny 16 Września
Eufrozyny Męcz. 3 Września
Eufrozyny Panny 11 Lutego
Eugenii P. M. 24 Grudnia
Eugeniusza 18 Listopada
Eugeniusza Bisk. 30 Grudnia
Eulalii Panny 10 Grudnia
Eustachiusza Męcz. 20 Wrześ.
Euzebii P. M. 29 Października
Euzebiusza W. 14 Sierpnia
Euzebiusza Bisk. 16 Grudnia
Ewarysta Papieża 26 Paźdz.
Ewy 24 Grudnia
Ezechiasza Króla 30 Paźdz.
Ezechiela Proroka 20 Kwiet.

F

Fabiana 20 Stycznia
Faustyny Męczen. 15 Lutego
Faustyny Wdowy 19 Grudnia
Felicjana Biskupa 24 Stycznia
Felicjana Męczen. 9 Czerwca
Feliksa Kapucyna 18 Maja
Feliksa Papieża 30 Maja
Feliksa z Noli 18 Stycznia
Feliksa Męczen. 30 Sierpnia
Feliksa Walezy 20 Listopada
Ferdynanda Króla 30 Maja
Filipa Apostoła 1 Maja
Filipa Neriusza 26 Maja
Filipa Benicjusza 23 Sierpnia
Filomeny P-ny Męcz. 5 Lipca
Flawiana Męcz. 25 Lutego
Flawii Panny 5 Października
Floriana Męczennika 4 Maja
Floriana Męcz. 17 Paździer.
Florentyna Bisk. 16 Paździer.
Fortunata Męcz. 26 Lutego
Franciszka Borg. 10 Paźdz.
Franciszka Salezego 29 Kwiet.
Franciszka a Paulo 2 Kwiet.
Franciszka Seraf 4 Paździer.
Franciszka Ksaw. W. 3 Grud.
Franciszki Wdowy 9 Marca
Fryderyka Opata 5 Marca
Fulgentego Biskupa 1 Stycz.

G

Gabriela Archanioła 18 Marca
Gaudencji Panny 30 Sierpnia
Gaudentego Bisk. 12 Lutego
Gawła Opata 16 Października
Gedeona Sędziego 18 Czerw.
Genowefy Panny 3 Stycznia
Gerarda Biskupa 24 Września
Germana Biskupa 24 Wrześ.
Germana Biskupa 28 Maja
Gertrudy Panny 17 Marca
Gerwazego 19 Czerwca
Gotfreda (Bogumiła) 13 Sty.
Gotfreda Biskupa 8 Listop.
Graciana Biskupa 18 Grudnia

Grzegorza Biskupa 4 Stycznia
Grzegorza Papieża 12 Marca
Grzegorza Naziańskiego 9 Maja
Grzegorza Cudotwór. 18 List.
Gustawa 2 Sierpnia
Gwidona Wyznaw. 12 Wrześ.

H

Heleny Cesarzowej 2 Marca
Heleny Królowej 22 Maja
Heliodora 3 Lipca
Henryka Cesarza 15 Lipca
Henryka 19 Stycznia
Hermenegilda M. 13 Kwiet.
Hermogenesa 19 Kwietnia
Hiacynty Panny 30 Stycznia
Higina Papieża 11 Stycznia
Hilarego 14 Stycznia
Hieronima Dr. Kościoła 30 Września
Hipolita 13 Sierpnia
Honoraty Panny 12 Stycznia
Huberta Biskupa 3 Listopada
Hugonota 1 Kwietnia

I

Idy Panny 13 Kwietnia
Idziego Opata 1 Września
Ignacego Biskupa 1 Lutego
Ignacego Lojoli Wyznawcy 31 Lipca
Ildefonsa 23 Stycznia
Imienia Jezus 19 Stycznia
Imienia Marii 14 Września
Inocentego Papieża 28 Lipca
Ireneusza Smyrneńskiego 25 Marca
Ireneusza Męcz. 15 Grudnia
Ireny Panny 20 Października
Iwona Wyznawcy 19 Maja
Izabeli Panny 15 Marca
Izabeli Królowej 3 Września
Izajasza Proroka 6 Lipca
Izydora Biskupa 4 Kwietnia
Izydora Oracza 10 Maja

J

Jacka Wyznawcy 18 Sierpnia
Jadwigi Wdowy 16 Paździer.
Jakóba Apostoła 1 Maja
Jakóba Apostoła 25 Lipca
Jakóba Patriarchy 21 Kwiet.
Jakóba z Nizybu 15 Lipca
Jakóba Pustelnika 17 Lutego
Jana Jałmużnika 23 Stycznia
Jana Chryzostoma 27 Stycz.
Jana Franciszka 16 Czerwca
Jana z Matty Wyzn. 8 Lutego
Jana Bożego 8 Marca
Jana w Oleju 6 Maja
Jana Nepomucena 16 Maja
Jana Papieża 27 Maja
Jana Chrzciciela 24 Czerwca
Jana Męczennika 26 Czerwca
Jana Gwalberta 12 Lipca
Jana z Dukli 7 Lipca
Jana Kantego 27 Października
Jana Kapistrana W. 23 Paźdz.
Jana od Krzyża 24 Listop.
Jana Ewangelisty 27 Grud.
Januariusza Bisk. 19 Wrześ.
Jerzego Męczen. 24 Kwietnia
Joachima Ojca NMP. 1 Wrześ.
Joanny Wdowy 24 Maja
Joanny Fremiot 21 Sierpnia
Jordana Wyznawcy 13 Lutego
Jowity Męczen. 15 Lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 Marca
Józefa Kalasant. W. 4 Lipca
Józefa z Kopertynu 18 Wrześ.
Judy Tadeusza Ap. 28 Paźdz.
Judyty Wdowy 16 Listopada
Juliana Męczen. 27 Stycznia
Juliana Męczen. 13 Lutego
Julianny Panny 16 Lutego
Julii Panny Męcz. 22 Maja
Juliusza Papieża 12 Kwietnia
Julity P. M. 30 Lipca
Justa Biskupa 2 Września
Justyna Męczen. 17 Września
Justyniana Bisk. 5 Września
Justyny Panny Męcz. 7 Paźdz.
Juwencjusza Męcz. 1 Czerw.

K

Kaja Męczen. 22 Kwietnia
Kajetana Wyznaw. 7 Sierp.
Kalixta Papieża 14 Paźdz.
Kamilla Wyznawcy 18 Lipca
Kandyda Męcz. 9 Paździer.

Kanuta Króla 19 Stycznia
Karola W. Cesarza 28 Stycz.
Karola Boromeusza 4 Listop.
Karoliny 5 Lipca
Kassjana Męczen. 13 Sierpnia
Kasyldy 15 Kwietnia
Katarzyny Szwedzkiej 23 Mar.
Katarzyny Seneńskiej 30 Kw.
Katarzyny Panny M. 25 List.
Katedry św. Piotra w Rzymie 18 Stycznia
Kat. św. Pawła w Antiochii 22 Lutego
Kazimierza Królew. 4 Marca
Kiliana Biskupa 8 Lipca
Klary Panny 12 Sierpnia
Kleta Papieża 23 Listopada
Klemensa Bisk. Męcz. 13 Lut.
Klemensa Papieża 23 Listop.
Kleofona Męczen. 25 Wrześ.
Klotyldy Królowej 6 Czerw.
Kolety Panny 6 Marca
Konstancji Panny M. 18 Lut.
Konstantyna Wyzn. 11 Marca
Konstancji 12 Kwietnia
Konrada Wyznaw. 19 Lutego
Konrada Bisk. 26 Listopada
Korduli Panny 22 Paździer.
Korneli Męczen. 31 Marca
Kozmy Męczennika 27 Wrześ.
Kryspina i Kryspianina 27 Października
Krystyny Panny 24 Lipca
Krzysztofa Męcz. 25 Lipca
Kunegundy Cesarz. 3 Marca
Kunegundy Królow. 28 Lipca
Kwiryna Męczen. 20 Marca

L

Lamberta 16 Kwietnia
Larga Męczennika 8 Sierpnia
Leandra Bisk. W. 27 Lutego
Leokadii Panny 9 Grudnia
Leona I Papieża 11 Kwietnia
Leona XI Papieża 8 Czerw.
Leonarda Wyznaw. 5 Listop.
Leonilii Panny M. 18 Stycz.
Leontyny Panny 15 Marca
Leopolda Margr. 15 Listopad.
Longina Męczen. 15 Marca
Lusjana Męczen. 7 Stycznia
Lucyny Panny 30 Czerwca
Lucyny Męcz. 17 Paździer.
Ludgardy Panny M. 16 Czerw.
Lugdera Biskupa 26 Marca
Ludomira 3 Października
Ludwika Wyznaw. 12 Lutego
Ludwika Króla Syc. 19 Sierp.
Ludwika Króla 25 Sierpnia
Ludwiki Panny 15 Kwietnia

Ł

Ładysława z Gieln. 22 Wrześ.
Łazarza Biskupa 17 Grudnia
Łucji Panny 13 Grudnia
Łukasza Ewang. 18 Paźdz.

M

Macieja Apostoła 25 Lutego
Magdaleny 25 Maja i 22 Lipca
Makarego Opata 2 Stycznia
Makryny M. 21 Lipca
Małgorzaty Kr. Węgierskiej 13 Lipca
Małgorzaty Kr. Szw. 10 Czer.
Małgorzaty P. Męcz. 20 Lipca
Mamerta Biskupa 11 Maja
Mansweta Biskupa 28 Listop.
Marcella Papieża 16 Stycznia
Marcelli Wdowy 31 Stycznia
Marcellana Papieża 18 Czerw.
Marcellina Papieża 26 Kwiet.
Marcina Biskupa 11 Listop.
Marcina Papieża 12 List.
Marcjana Męcz. 17 Kwietnia
Marcjanny P. Męcz. 9 Stycz.
Marka Ewangelisty 25 Kwiet.
Marka Męczennika 24 Marca
Marka z Rzymu M. 18 Czerw.
Marty Panny 29 Lipca
Martyny Panny 30 Stycznia
Marty Męczen. 19 Stycznia
Marii Egipcjanki 10 Kwietnia
Marii z Engii 23 Czerwca
Marii Kleofy 9 Kwietnia
Marii Magdaleny we Fl. 31 Maja
Marii Magdaleny w Jeroz. 22 Lipca
Mariusza 19 Stycznia
Mateusza Apostoła 21 Wrześ.
Matyldy Królowej 14 Marca
Maurycjusza 22 Września

Maurycego 13 Września
Maksymiliana Bisk. 12 Paźdz.
Maxymina Bisk. 3 Czerwca
Medarda Bisk. 3 Czerwca
Melanii P. M. 18 Lutego
Metodego B. W. 10 Marca
Michała Arch. 29 Września
Mikołaja z Tolent. 10 Wrześ.
Mikołaja Biskupa 6 Grudnia
Mirona Męczen. 17 Sierpnia
Młodziankow 28 Grudnia
Modesty Panny 15 Czerwca
Moniki Wdowy 4 Maja

N

Narcyza Biskupa 20 Paźdz.
Narodzenie Chrystusa 25 Grudnia
Narodzenie N.P.M. 8 Wrześ.
Natalji Panny 27 Lipca
Nawróc. Św. Pawła 25 Stycz.
Nazarjusza M. 12 Czerwca i 28 Lipca
N. M. Anielskiej 2 Sierpnia
N. M. P. Bolesnej 4 Kwiet.
N. M. P. od wyzw. niew. 24 Września
N.M.P. Loretańskiej 10 Grud.
N. M. P. Łaskawej 11 Maja
N. M. P. Różańcowej 6 Paźdz.
N. M. P. Śnieżnej 5 Sierpnia
N. M. P. Szkaplerz. 16 Lipca
Nawiedzenie N. M. P. 2 Lipca
Nemezjusza Męcz. 19 Grud.
Nicefora Męczen. 29 Lutego
Nicefora Biskupa 13 Marca
Niepok. Pocz. N.M.P. 8 Grud.
Nikodema Męcz. 15 Września
Norberta Biskupa 6 Czerwca

O

Oczyszczenie N.M.P. 2 Lutego
Ofiarowanie N.M.P. 21 List.
Oktawiana Męcz. 22 Marca
Olimpji 26 Marca
Onufrego Pustel. 12 Czerw.
Opieka Św. Józefa 21 Kwiet.
Opieki N. M. P. 10 Listopada
Optata Biskupa 4 Czerwca
Ottona Biskupa 2 Lipca
Ottona Męczennika 16 Stycz.
Otylji Panny Męcz. 13 Grud.

P

Pafnucego Męcz. 19 Kwiet.
Pankracego 12 Maja
Pantaleona Męcz. 27 Lipca
Paschalisa 17 Maja
Paschazego Bisk. 22 Lutego
Patrycjusza Bisk. 17 Marca
Patrycji Męcz. 13 Marca
Paulina Biskupa 22 Czerwca
Pauliny Wdowy 26 Stycznia
Pawła Biskupa 22 Marca
Pawła Męcz. 26 Czerwca
Pawła I Pustel. 15 Stycznia
Pawła Apostoła 29 Czerwca
Pelagji Panny 11 Lipca
Pelagji Pokutnicy 12 Paźdz.
Petroneli 31 Maja
Pięciu ran. Św. Franciszka 17 Września
Piotra Chryzologa 4 Grudnia
Piotra Egzorcysty 2 Kwietnia
Piotra Nolaski 31 Stycznia
Piotra Męczen. 29 Kwietnia
Piotra Celestyna 19 Maja
Piotra z Werony Męczen. 20 Kwietnia
Piotra i Pawła 29 Czerwca
Piotra w Okowach 1 Sierpnia
Piotra z Alkantary 19 Paźdz.
Piusa Papieża 5 Maja
Placydy Męcz. 5 Października
Placydy P. 11 Października
Podwyższenie Św. Krzyża 14 Września
Polieukta Męczen. 21 Maja
Polikarpa Bisk. Męcz. 26 Sty.
Praxedy Panny 2 Lipca
Prokopa Męczennika 4 Lipca
Prokula Męczen. 1 Czerwca
Prospera Biskupa 25 Czerwca
Prota Męczen. 11 Września
Protazego 19 Czerwca
Pryma Męczen. 9 Czerwca
Pryski Panny 18 Stycznia
Przeniesienie Św. Kazimierza 27 Sierpnia
Przeniesienie Św. Wojciecha 20 Października
Pulcherji Męczennicy 7 Lipca
Pulcherji Panny 10 Września

R

Rafała Archanioła 24 Paźdz.
Rajmunda 23 Stycznia
Rajmunda Kard. 31 Sierp.
Reginy Panny 7 Września
Remigjusza Bisk. 1 Paźdz.
Roberta Opata 7 Czerwca
Rocha Wyznawcy 16 Sierpnia
Romana Opata 28 Lutego
Romana Męcz. 9 Sierpnia
Romany Panny 23 Lutego
Romualda Opata 7 Lutego
Rozalji Panny 4 Września
Rozesłanie Apost. 15 Lipca
Róży Panny 26 Sierpnia
Róży Limańskiej 30 Sierpnia
Rudolfa 17 Kwietnia
Rufy Męczenniczki 28 Listop.
Rufina Wyznawcy 19 Sierp.
Rufiny Panny 31 Sierpnia
Ruperta Biskupa 27 Marca
Ryszarda Biskupa 3 Kwietnia

S

Sabby Opata 5 Grudnia
Sabina Wyznawcy 11 Lipca
Sabiny Męcz. 27 Października
Salezego Męcz. 12 Sierpnia
Salomei Panny 17 Listopada
Salwiana 17 Marca
Saturnina Męcz. 29 Listopada
Saturniny Panny i Męczen. 4 Marca
Scholastyki Panny 10 Lutego
Ścięcie Św. Jana Chrzciciela 29 Sierpnia
Serapiona Wyz. Męcz. 14 List.
Serca Pana Jezusa 7 Czerw.
Sergiusza Męcz. 24 Lutego
Serwacego Biskupa 13 Maja
Serwiliana Męcz. 20 Kwietnia
Seweryna Opata 8 Stycznia
Siedmiu Braci Śpiących 10 Maja
Sebastjana 20 Stycznia
Sennena Męcz. 30 Lipca
Sotera Papieża 22 Kwietnia
Spirydona Biskupa 14 Grud.
Stanisława Biskupa 8 Maja
Stanisława Kostki 13 Listop.
Stefana Kr. Węg. 2 Września
Sulpicjusza Męcz. 20 Kwiet.
Sygfryda B. M. 25 Lutego
Sylwerjusza 20 Czerwca
Sylwestra Papieża 31 Grud.
Sylwiana Biskupa 17 Lutego
Symforjana Męcz. 22 Sierp.
Synezjusza Męcz. 12 Grudnia
Syxta Papieża 28 Marca
Szczepana 1 Męcz. 26 Grud.
Szczepana Papieża 2 Sierpnia
Szymona z Lipnicy 28 Lipca
Szymona Apostoła 28 Paźdz.
Szymona z Edesy 5 Lipca

T

Tadeusza Apostoła 28 Paźdz.
Tarsylji Panny 24 Grudnia
Tekli Panny 23 Września
Telesfora Pap. Męcz. 5 Stycz.
Teobalda Pustelnika 1 Lipca
Teodora Męcz. 9 Listopada
Teodora Zakonnika 7 Stycz.
Teodory Męczen. 1 Kwietnia
Teodory Pokutnicy 11 Wrześ.
Teodezji Panny Męcz. 29 Maja
Teodozjusza Wyzn. 11 Stycz.
Teodoryka 1 Lipca
Teofila Biskupa 27 Kwietnia
Teofila Męczen. 20 Grudnia
Teresy Panny 15 Paździer.
Tomasza z Akwinu 7 Marca
Tomasza z Wilan. 18 Wrześ.
Tomasza Apostoła 21 Grud.
Tomasza Kantuar. 29 Grud.
Trzech Króli 6 Stycznia
Tyburcjusza 14 Kwietnia
Tymoteusza B. M. 24 Stycz.
Tytusa Biskupa 4 Stycznia

U

Ubalda Biskupa 16 Maja
Urbana 25 Maja
Urszuli Panny 21 Paździer

W

Wacława Króla 28 Września
Walentego Kapł. Męcz. 14 Lut.
Walerego Bisk. 12 Grudnia
Walerego Męcz. 12 Września
Walerji Męcz. 5 Czerwca
Walerji Panny 9 Grudnia
Walerjana Męcz. 14 Marca
Wawrzyńca Męcz. 10 Sierp.
Wenantego Męcz. 18 Maja
Wenefrydy Panny 3 Listop.
Weroniki Panny 13 Stycznia
Weroniki z Julianu 17 Maja
Wiktora 1 Września
Wiktorji Panny 23 Grudnia
Wiktoryna Męcz. 6 Marca
Wiktoryna Biskupa 5 Wrześ.
Wiktora Biskupa Męcz. 2 List.
Wilhelma Arcyb. 10 Stycz.
Wilhelma Opata 6 Kwietnia
Wilhelma księcia 28 Maja
Wilibalda Biskupa 7 Lipca
Wilibrarda Biskupa 7 List.
Wincentego Biskupa 20 Marca
Wincentego Męcz. 22 Stycz.
Wincentego Fer. W. 5 Kwiet.
Wincentego a Paulo 19 Lipca
Wincentego Kadłubka 9 Paź.
Wita 15 Czerwca
Witalisa Męcz. 28 Kwietnia
Władysława Króla 27 Czerw.
Wniebowz. N. M. P. 15 Sierp.
Wojciecha Biskupa 23 Kwiet.
Wolfganga Biskupa 31 Paźdz.
Wszystkich Św. 1 Listopada

Z

Zacharjasza Proroka 6 Wrześ.
Zacharjasza Papieża 5 List.
Zaślubienie N. M. P. 23 Stycz.
Zefiryna Papieża 26 Sierp.
Zenobji Panny 30 Paździer.
Zenobiusza 30 Października
Zenona Żołnierza 22 Grudnia
Znalezienie Św. Krzyża 3 Maja
Zofji z 3-ma córkami 15 Maja
Zuzanny P. Męcz. 11 Sierp.
Zwiastowanie NMP. 25 Marca
Zygmunta Króla 2 Maja

KALENDARZYK ŚWIĄT LEGALNYCH W STANACH ZJEDN.

Arbor Day. — Zwykle wyznaczany przez Gubernatora.
Armistice Day (Dzień Rozbrojenia) — 11 listopada.
Christmas Day (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.
Columbus Day — 12 października.
Decoration Day, zobacz: Memorial Day.
Defense Day (Dzień Obrony) — 12 września.
Father's Day (Dzień Ojców) Druga Niedziela Czerwca
Flag Day — 14 lipca.
Independence Day (Dzień Niepodległości) — 4 lipca.
Indian Day. — Czwarty piątek we wrześniu.
Jeffersona urodziny — 13 kwietnia.
Labor Day (Dzień Pracy) — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Lincolna urodziny — 12 lutego.
Memorial Day (Dzień Wieńczenia) — 30 maja we wszystkich stanach; w Alabama, Georgia, Florida i Mississippi 26 kwietnia; w North i South Carolina 10 maja.
Mother's Day (Dzień Matek) Druga niedziela w maju.
Nowy Rok — 1 stycznia.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Ostatni czwartek w listopadzie.
Washingtona urodziny — 22 lutego.

NARODOWE ŚWIĘTA RÓŻNYCH KRAJÓW

Argentyna — 25 maja.
Armenja — 28 maja.
Bałtyckie Kraje — 18 listopada.
Boliwja — 6 sierpnia.
Brazylja — 7 września.
Bułgarja — 5 października.
Chiny — 10 października.
Columbia — 20 lipca.
Costa Rica — 15 września.
Czechosłowacja — 28 października.
Ecuador — 10 sierpnia.
Finlandja — 6 grudnia.
Francja — 14 lipca.
Grecja — 7 kwietnia.
Guatemala — 15 września.
Haiti — 1 stycznia.
Honduras — 15 września.
Liberja — 26 lipca.
Meksyk — 16 września.
Nikaragua — 15 wrzesnia.
Niemcy — 9 listopada.
Norwegja — 17 maja.
Panama — 28 listopada.
Paragwaj — 14 i 15 maja.
Peru — 28—30 lipca.
Polska —3 maja.
Portugalja — 1 grudnia.
Rosja Sowiecka — 7-go listopada.
Salvador — 10 września.
Uruguaj — 28 lutego.
Wenezuela — 4 lipca.

ŚWIĘTA LEGALNE W KANADZIE

Nowy Rok — 1 stycznia.
Popielec.
Wielki Piątek.
Niedziela Wielkanocna.
Empire Day — 24 maja.
Dominion Day — 1 lipca.
Labor Day — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Zwykle proklamowany na ostatni poniedziałek w październiku.
Christmas (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.

ALFABETYCZNY SPIS IMION SŁOWIAŃSKICH

B

Bogna św. 20 Czerwca
Bogodar 9 Listopada
Bogomił 10 Czerwca
Bogomir 13 Stycznia
Bogosław 29 Kwietnia
Bogowit 7 Marca
Boguchwał 18 Marca
Bogufał 27 Kwietnia
Bogumiła 20 Grudnia
Bogusław 1 Lipca
Bogusława 29 Maja
Bogusz 24 Lutego
Boguwola 8 Grudnia
Bohdan 19 Marca
Bohdana 6 Lutego
Bohdar bł. 27 Marca
Bojomir 6 Stycznia
Bolesław 19 Sierpnia
Bolesława 22 Lipca
Bolisław 1 Sierpnia
Borys i Chleb 9 Sierpnia
Borysława 25 Maja
Bożena 14 Marca
Bożesława 31 Maja
Bożesław 10 Marca
Bożydar bł. 9 Maja
Bożydar 21 Września
Borzysław 19 Czerwca
Borzywój bł. 5 Kwietnia
Błażej 8 Lutego
Branmiła 3 Czerwca
Bratumił 18 Października
Bratysław 4 Października
Bronimir 20 Maja
Bronisława 18 Sierpnia
Bronisław 6 Października
Broniwój 22 Czerwca
Budzimił 15 Września
Budzimir 16 Czerwca
Budzisław 1 Marca
Budzisława 20 Października
Budziwój 23 Maja

C

Chlebosław 6 Sierpnia
Chocisław 5 Maja
Chotymir 13 Czerwca
Chronisław 13 Września
Chwalibóg 24 Stycznia
Chwalibóg 28 Lutego
Chwalimir 8 Lipca
Chwalimira 25 Listopada
Chwalisław 3 Listopada
Chwalisława 30 Kwietnia
Cichomił 23 Sierpnia
Cichomir 6 Czerwca
Cichosław 13 Maja
Cichosław 30 Czerwca
Cierpimir 10 Maja
Cierpisława 29 Lipca
Cieszymir 24 Sierpnia
Czcibóg 29 Marca
Czcimisław 29 Marca
Czcisława bł. 19 Lutego
Czesław 20 Lipca
Czesław m. 20 Kwietnia
Czesława 12 Stycznia

D

Dadzibóg 29 Września
Damelit 29 Października
Damian 27 Września
Daromiła 21 Października
Długomir 15 Marca
Długosław 18 Czerwca
Długosława 15 Października
Dobiesław 14 Maja
Dobrogniew 30 Stycznia
Dobrogist 14 Lipca
Dobromiła 11 Października
Dobromir 4 Stycznia
Dobromir 5 Czerwca
Dobromira 31 Marca
Dobrosław 10 Stycznia
Dobrosława 9 Kwietnia
Dobrowit 18 Września
Dobrowój 14 Sierpnia
Dogomost 9 Października
Domorad 16 Sierpnia
Domosław 15 Stycznia
Domosława 7 Września
Domysław 21 Czerwca
Dorosław 24 Listopada
Drogomił 21 Kwietnia
Dobrochna 5 Lutego
Drogomir 22 Grudnia
Drogomira 9 Listopada
Drogomysł 17 Czewrca
Drogosław 17 Września
Drogowit 6 Września
Dzierżykraj 17 Lipca
Dzierżymir 14 Października
Dzierżysław 16 Lipca
Dzierżysław 1 Września

G

Gniewomir 8 Lutego
Godysław 22 Marca
Godysława 24 Grudnia
Godzimir 31 Października
Godzisław 28 Grudnia
Gorysław 9 Lutego
Gorysław 10 Kwietnia
Gościsław 18 Kwietnia
Gościsław 28 Listopada
Gościwit 6 Maja
Gosław 29 Grudnia
Grzmisław 12 Października
Grzmisława 25 Grudnia

H

Homir 24 Września

I

Imisław 30 Września
Iścisław 11 Września
Izasław 6 Lipca

J

Jacław św. 15 Sierpnia
Janisław 24 Czerwca
Jarogniew 6 Grudnia
Jaromir 11 Kwietnia
Jaromir 28 Maja
Jaropełk 18 Stycznia
Jarosława 21 Stycznia
Jarosław 25 Kwietnia
Jerzy św. 24 Kwietnia
Jordan św. 13 Lutego

K

Kazimierz 4 Marca
Kazimiera 21 Sierpnia
Krasisław 17 Kwietnia
Krasnoroda 7 Lipca
Krzepimir 19 Września
Krzesimir 11 Stycznia
Krzesław 28 Marca
Krzesomyśl 19 Maja

L

Lassota 31 Grudnia
Lechosław 26 Listopada
Letosław 3 Sierpnia
Litomił 4 Czerwca
Lubomir 1 Maja
Lubomira 21 Marca
Lubomiła 4 Grudnia
Lubomira 24 Marca
Lubomira 24 Lipca
Lubosław 12 Kwietnia
Ludomił 30 Grudnia
Ludwił 20 Lutego
Ludomiła 7 Maja
Ludomir 10 Listopada
Ludomyśl 7 Grudnia
Ludowił 11 Maja
Ludowir 31 Lipca
Ludosława 11 Marca
Ludosław 30 Listopada
Lutosław 26 Października

Ł

Ładysław bł. 26 Września

M

Mieczysław 1 Stycznia
Miłada bł. 16 Lutego
Miłogost 8 Marca
Miłosława 2 Lutego
Miłosław 3 Lipca
Miłosz 25 Stycznia
Miływój 23 Listopada
Miron św. 17 Sierpnia
Mirosław 26 Lutego
Mirosława 26 Lipca
Mnożysław 4 Kwietnia
Mścigniew 19 Grudnia
Mścisław 8 Stycznia
Mścisława 9 Marca
Mściwój 4 Listopada
Myślimir 14 Kwietnia
Myślisław 20 Września

N

Namysław 25 Sierpnia
Niecisław 13 Marca
Niemir 14 Lutego
Niezamyśl 8 Sierpnia
Nonisław 16 Kwietnia
Nowosław 12 Listopada

O

Ojcomił 2 Lipca
Ojcosław 16 Marca
Olek św. 7 Sierpnia
Olga św. 11 Lipca
Onosława 21 Lutego
Ostromir bł. 4 Sierpnia

P

Pakosław 5 Marca
Polemir 20 Marca
Prokop 5 Lipca
Przebysława 22 Października
Przedzimir 14 Czerwca
Przedzisław 23 Lutego
Przedzisław 27 Sierpnia
Przemysław 13 Kwietnia
Przemysław 30 Paździerika
Przemyśl 29 Listopada
Przesław 7 Kwietnia
Przesław św. 3 Września
Przesława 21 Maja
Przybysława 27 Stycznia
Przybysław 15 Listopada

R

Racibor bł. 29 Sierpnia
Radogost 14 Stycznia
Radomił 11 Czerwca
Radomiła 13 Lipca
Radomir 28 Stycznia
Radomir 16 Listopada
Radomyśl 27 Grudnia
Radosław 2 Marca
Radosław 8 Kwietnia
Radosław 15 Lipca
Radosława 8 Września
Radzimir 12 Września
Radzisław 16 Października
Radzisława 10 Grudnia
Radziwój 10 Lipca
Radzyn św. 12 Lutego
Ratymir 19 Stycznia
Ratysław 2 Czerwca
Rosław 13 Sierpnia
Rosława 7 Października
Rościsław 17 Stycznia
Rościsław 4 Września
Rozmysław 26 Czerwca
Rustaw 27 Maja

S

Samomysł 25 Października
Samosława 1 Grudnia
Sebastjan 20 Stycznia
Sędzimir 20 Listopada
Sędzisław 16 Września
Sędziwój 8 Listopada
Sieman 3 Października
Siemisław 24 Października
Skarbimir 26 Stycznia
Sław 21 Listopada
Sławá bł. 12 Sierpnia
Sławiflor 14 Grudnia
Sławimir 17 Maja
Sławobój 25 Lutego
Sławomiła 3 Marca
Sławomir bł. 5 Listopada
Sławomira 23 Grudnia
Sławosz 25 Lipca
Sławój 9 Czerwca
Sobiebór 9 Września
Sobiesław 20 Sierpnia
Spitogniew 31 Stycznia
Spitosław 11 Listopada
Spitosława 5 Grudnia
Spitymir 26 Kwietnia
Stanisław św. 8 Maja
Stanisław św. 5 Sierpnia
Stanisław R. 18 Listopada
Stanimir 2 Października
Stosław 2 Października
Stosław i D. 21 Lipca
Strachota 9 Lipca
Strzeżymir 22 Kwietnia
Strzeżysław 2 Stycznia
Strzeżysław 15 Maja
Sudomir 2 Kwietnia
Sulimir 30 Maja
Sulisław bł. 7 Lutego
Swatosz 12 Marca
Świętobój 26 Marca
Świętobór 6 Kwietnia
Świętochna 11 Lutego
Świętomir 28 Lipca
Świętopełk 1 Czerwca
Świętopełk 25 Września
Świętorad 17 Lutego
Świętosław 7 Stycznia
Świętosław 3 Maja
Świętosława 31 Sierpnia
Świętosława 2 Sierpnia
Szczęsław 15 Lutego
Szczęsny św. 30 Sierpnia
Szukosław 30 Marca
Szulisław 2 Grudnia

T

Tolimir bł. 12 Lipca
Tomila bł. 10 Lutego
Tomir 27 Listopada
Tomira 24 Maja
Tomisław bł. 21 Grudnia

U

Unisław 18 Lipca

W

Wacław bł. 15 Kwietnia
Wacław św. 28 Września
Wanda 23 Czerwca
Warcisław 1 Listopada
Wawrzyniec 10 Sierpnia
Welisław 4 Lipca
Wislimir 3 Grudnia
Wisław bł. 7 Czerwca
Wisława bł. 22 Maja
Wit św. 15 Czerwca
Witomił 27 Października
Witosław 22 Stycznia
Witosław 4 Lutego
Witymir 2 Maja
Witymir 2 Listopada
Wiarosława 27 Lutego
Więcymił 26 Maja
Więcysław 25 Marca
Wieńczysław 4 Maja
Wieńczysław 16 Maja
Wielosława 18 Lutego
Władybóg 28 Października
Władybój 10 Września
Władymira 9 Stycznia
Władysław 3 Kwietnia
Władysław 13 Grudnia
Włastybór 5 Stycznia
Włastymiła 3 Stycznia
Włastymiła 26 Sierpnia
Włastymił 25 Czerwca
Włastymir 23 Października
Włatysław św. 27 Czerwca
Włodzimierz 16 Stycznia
Włodzimierz 19 Kwietnia
Włodzimira 11 Sierpnia
Wodzimir 14 Listopada
Wodzisław 19 Lipca
Wodzisław 5 Września
Wojsław 6 Marca
Wojciech św. 23 Kwietnia
Wojmir 11 Grudnia
Wojsława 8 Października
Wolidar 12 Grudnia
Wolimir 15 Grudnia
Wrócisława 23 Stycznia
Wróciwój 26 Grudnia
Wrócisława 22 Lutego
Wrzesław 18 Maja
Wszebór 27 Lipca
Wszemił 12 Maja
Wszemil 18 Grudnia
Wszemila 22 Listopada
Wszerad 13 Listopada
Wszewład 6 Listopada
Wyszomir 12 Czerwca
Wyszomir 28 Sierpnia
Wyszosław 8 Czerwca

Z

Zasław 5 Października
Zatysława 17 Października
Zdzisław 17 Marca
Zbigniew 1 Kwietnia
Zbisław 23 Marca
Zbisław 17 Listopada
Zbroisław 28 Czerwca
Zdobysław 30 Lipca
Zdosława 16 Grudnia
Zdzisław 29 Stycznia
Zelimir 22 Września
Ziemisław 13 Października
Ziemomysł 14 Września
Ziemowit bł. 19 Października
Znatysław 1 Października

Ż

Żegota 1 Lutego
Żelisław 23 Lipca
Żyrosław 17 Grudnia
Żytomir 7 Listopada
Żywisław 28 Kwietn

ZNACZENIE IMION MĘSKICH I ŻEŃSKICH

ZNACZENIE IMION MĘSKICH

Abner: Ojciec światła
Abraham: Ojciec wielu
Achilles: Sympatyczny
Adam: Człowiek ziemi
Adalbert: zobacz Wojciech
Adolf: Szlachetny bohater
Adrian: Ciemny
Alan: Harmonia
Albert: Cały jasny
Aleksander: Pomagający ludziom
Aleksy: Obrońca
Alfons: Gotowy do walki
Alfred: Dobry doradca
Algernon: Wąsaty
Ambroży: Nieśmiertelny
Amos: Silny
Andrzej: Mężny
Antoni: Zasługujący na pochwałę
Archibald: Bardzo odważny
Arnold: Silny jak orzeł
Aron: Ten który oświeca
Artur: Szlachetny
Augustyn: Wspaniały
Baldwin: Odważny
Bartłomiej: Syn wojny
Bazyli: Królewski
Benedykt: Błogosławiony
Benjamin: Syn prawej ręki
Bernard: Silny niedźwiedź
Bertram: Roztropny
Borys: Obcy
Cecyl: Niedowidzający
Cyryl: Pański
Cyrus: Jak słońce
Czesław: Żołnierz
Daniel: Boski sędzia
Dawid: Ukochany
Donald: Dumny wódz
Edgar: Chętnie dający
Edmund: Obrońca
Edward: Stróż
Edwin: Uzyskujący szczęście
Elmer: Doskonały
Emanuel: Bóg z nami
Eryk: Dzielny
Ernest: Poważny
Erwin: Jak niedźwiedź
Eugeniusz: Dobrze urodzony
Eweret: Stały
Franciszek: Wolny
Ferdynand: Gwałtowny
Filip: Miłośnik koni
Fryderyk: Pokojowy władca
Gerald: Silny z włócznią
Gilbert: Słynny
Gordon: Szczodry
Grzegorz: Czujny
Gustaw: Wojownik
Harold: Szampion
Hektor: Obrońca
Henryk: Głowa domu
Herbert: Sława armii
Herman: Wojownik
Hiram: Najszlachetniejszy
Horacy: Dzielny przewódca
Hubert: Roztropny
Hugon: Dobroduszny
Irwin: Wojownik
Iwan: Dar boski
Jakub: Wierny
Jan: Dar boski
Jeremi: Święte imię
Jerzy: Posiadający ziemię
Jonatan: Dar Jehowy
Julian, Juliusz: O miękkich włosach
Justyn: Sprawiedliwy
Kalwin: Odważny
Karol: Mężny
Konrad: Zdolny doradca
Korneliusz: Zaszczytny
Krzysztof: Niosący Zbawiciela
Laurenty: Uwieńczony wawrzynem
Leon: Lew
Leonard: Silny jak lew
Leopold: Odważny dla ludu
Luter: Świetny wojownik
Łukasz: Światło
Marek: Młot
Marcin: Wojowniczy
Mateusz: Dar Jehowy
Maurycy: Ciemnej cery
Michał: Jak Bóg
Mikołaj: Zwycięstwo ludu
Milton: Czerwony
Mojżesz: Z wody
Napoleon: Leśny lew
Natan: Podarek
Noe: Wygoda
Norman: Człowiek północy
Oliwer: Zadowolony
Orwil: Spokojny
Oskar: Skaczący wojownik
Oswald: Siła boska
Otton: Olbrzym
Patryciusz: Szlachetny
Paweł: Mały
Piotr: Skała
Ralf: Słynny bohater
Rajmund: Roztropny obrońca
Reginald: Silny król
Robert: Słynny
Ronald: Słynny
Rudolf: Czynny
Rufus: Rudowłosy
Ryszard: Potężny władca
Samson: Wielka uciecha
Saul: Ten o którego proszono
Salomon: Pokojowy
Stanisław: Kamienista łąka
Stefan: Kwiecista korona
Sylwan: Mieszkaniec lasu
Szymon: Chętnie słuchający
Teodor: Dar boski
Tomasz: Bliźniak
Tymoteusz: Bogobojny
Ulekses: Nienawidzący
Walenty: Zdrowy
Walter: Mistrz wody
Wiktor: Zwycięsca
Wincenty: Zwycięski
Wilbur: Dzik
Wojciech: Szlachetny

ZNACZENIE IMION ŻEŃSKICH

Adela, Adelina: Księżniczka
Adrianna: Ciemna
Agata: Dobra
Agnieszka: Czysta
Alicja: Księżniczka
Alda: Bogata
Alma: Dobre serce
Amanda: Godna miłości
Amelia: Ukochana
Angelika: Miła
Anita: Pełna gracji
Anna: Pełna gracji
Antonina: Nieokreślona
Barbara: Dzika
Beatrycja: Szczęśliwa
Berta: Piękna
Brygida: Świetlana
Cecylia: Niedowidzająca
Cyntia: Z góry Cynt
Debora: Pszczoła
Diana: Boska
Dolores: Smutna
Dorota: Dar boski
Edyta: Drogi podarek
Edna: Przyjemność
Eleonora: Światło
Elżbieta: Uproszona u Boga
Emilia: Energiczna
Estera: Szczęśliwa
Eunice: Szczęśliwe zwycięstwo
Ewa: Życie
Ewangelina: Dobra nowina
Felicja: Szczęście
Flora: Kwiaty
Florencja: Kwitnąca
Genowefa: Spokojna
Gertruda: Wierna
Gloria: Sława
Helena: Światło
Hilda: Pomagająca
Honorata: Zaszczytna
Hortensia: Lubiąca ogród
Ida: Jak bogini
Irena: Pokój
Irma: Niewinna
Jadwiga: Głowa domu
Janina: Dziecię boskie
Judyta: Chwalona
Julia, Julianna: Z mięk. włosami
Laura: Wawrzyn
Leona: Odważna
Lilian: Lilijka
Loretta: Czysta
Ludwika: Odważna
Łucja: Urodzona przy zachodzie słońca
Magdalena: Wspaniała
Małgorzata: Perła
Maria: Gwiazda morza
Marta: Pani domu
Matylda: Bohaterka
Mildred: Mówiąca łagodnie
Milicent: Słodka śpiewaczka
Miranda: Podziwiana
Natalia: Podarek
Nina: Młoda
Norma: Z północy
Olga: Święta
Patrycja: Szlachetna
Pryscyla: Starodawna
Prudencja: Roztropna
Rachela: Jagnię
Ramona: Zabezpieczona
Rebeka: Czarująca piękność
Sara: Księżniczka
Shirley: Miła
Sybilja: Wróżka
Sylwia: Z lasu
Stella: Gwiazda
Teresa: Niosąca zboże
Weronika: Wierna
Wiktoria: Zwycięstwo
Wiola: Skromna
Wirginia: Czysta
Zofia: Mądrość
Zuzanna: Lilia

TABELKA PORÓWNAWCZA TERMOMETRÓW

Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur
212	100.	80.	122	50.	40.	32	0	0
210	98.9	79.1	120	48.9	39.1	30	— 1.1	— 0.9
208	97.8	78.2	118	47.8	38.2	28	— 2.2	— 1.8
206	96.7	77.3	116	46.7	37.3	26	— 3.3	— 2.7
204	95.6	76.4	114	45.6	36.4	24	— 4.4	— 3.6
202	94.4	75.6	112	44.4	35.6	22	— 5.6	— 4.4
200	93.3	74.7	110	43.3	34.7	20	— 6.7	— 5.3
198	92.2	73.8	108	42.2	33.8	18	— 7.8	— 6.2
196	91.1	72.9	106	41.1	32.9	16	— 8.9	— 7.1
194	90.	72.	104	40.	32.	14	—10.	— 8.
192	88.9	71.1	102	38.9	31.1	12	—11.1	— 8.9
190	87.8	70.2	100	37.8	30.2	10	—12.2	— 9.8
188	86.7	69.3	98	36.7	29.3	8	—13.3	—10.7
186	85.6	68.4	96	35.6	28.4	6	—14.4	—11.6
184	84.4	67.6	94	34.4	27.6	4	—15.6	—12.4
182	83.3	66.7	92	33.3	26.7	2	—16.7	—13.3
180	82.2	65.8	90	32.2	25.8	0	—17.8	—14.2
178	81.1	64.9	88	31.1	24.9	— 2	—18.9	—15.1
176	80.	64.	86	30.	24.	— 4	—20.	—16.
174	78.9	63.1	84	28.9	23.1	— 6	—21.1	—16.9
172	77.8	62.2	82	27.8	22.2	— 8	—22.2	—17.8
170	76.7	61.3	80	26.7	21.3	—10	—23.3	—18.7
168	75.6	60.4	78	25.6	20.4	—12	—24.4	—19.6
166	74.4	59.6	76	24.4	19.6	—14	—25.6	—20.4
164	73.3	58.7	74	23.3	18.7	—16	—26.7	—21.3
162	72.2	57.8	72	22.2	17.8	—18	—27.8	—22.2
160	71.1	56.9	70	21.1	16.9	—20	—28.9	—23.1
158	70.	56.	68	20.	15.	—22	—30.	—24.
156	68.9	55.1	66	18.9	15.1	—24	—31.1	—24.9
154	67.8	54.2	64	17.8	14.2	—26	—32.2	—25.8
152	66.7	53.3	62	16.7	13.3	—28	—33.3	—26.7
150	65.6	52.4	60	15.6	12.4	—30	—34.4	—27.6
148	64.4	51.6	58	14.4	11.6	—32	—35.6	—28.4
146	63.3	50.7	56	13.3	10.7	—34	—36.7	—29.3
144	62.2	49.8	54	12.2	9.8	—36	—37.8	—30.2
142	61.1	48.9	52	11.1	8.9	—38	—38.9	—31.1
140	60.	48.	50	10.	8.	—40	—40.	—32.
138	58.9	47.1	48	8.9	7.1	—42	—41.1	—32.9
136	57.8	46.2	46	7.8	6.2	—44	—42.2	—33.8
134	56.7	45.3	44	6.7	5.3	—46	—43.3	—34.7
132	55.6	44.4	42	5.6	4.4	—48	—44.4	—35.6
130	54.4	43.6	40	4.4	3.6	—50	—45.6	—36.4
128	53.3	42.7	38	3.3	2.7	—52	—46.7	—37.3
126	52.2	41.8	36	2.2	1.8	—54	—47.8	—38.2
124	51.1	40.	34	1.1	0.9	—56	—48.9	—39.1

PORÓWNANIE TERMOMETRÓW

Są trzy rodzaje termometrów czyli ciepłomierzy różniące się skalą stopni, a mianowicie: Najczęściej używany Fahrenheita, Reaumura i Celsiusa. Punkt marznięcia i punkt wrzenia wyrażone stopniami, w trzech wyż wspomnianych termometrach wykazują następującą różnicę:

Nazwa termometru	Punkt marznięcia wody	Punkt wrzenia wody
Fahrenheit	32	212
Reaumur	0	80
Celsius	0	100

Chcąc przemienić stopnie jednego na stopnie drugiego termometru postępuje się jak następuje:

Zamieniając Fahreinheita na Reaumura odciąga się od stopni Fahrenheita liczbę 32 a pozostałość mnoży przez 4/9 n.p. Termometr Fahrenheita wskazuje 68 stopni a chcemy się dowiedzieć ile jest stopni Reaumura więc od 68 odciągamy 32 pozostaje nam 36 te mnoży przez 4/9 i otrzymamy 16.

Przemieniając stopnie Fahrenheita na stopnie Celsiusa odciągamy od nich liczbę 32 a pozostałość mnożymy przez 5/9.

Przemieniając stopnie Reaumura w Fahrenheita mnożymy je przez 9/4 i dodajemy do iloczynu liczbę 32.

Stopnie Reaumura na Celsiusa zamieniamy mnożąc je przez pięć czwartych.

Celsiusa na Fahrenheita mnożąc przez 9/5 i dodając do iloczynu 32.

Celsiusa na Reaumura mnożąc przez 4/5.

STAŁY KALENDARZ.

Określanie dnia tygod. dla każdej daty w ciągu lat 1801 — 1980.

A.							B.												C. Nazwa dni						
1801 — — 1900				1901 — — 1980			Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień	Niedziela	Poniedz.	Wtorek	Środa	Czwartek	Piątek	Sobota
01	29	57	85		25	53	4	0	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2	1	2	3	4	5	6	7
02	30	58	86		26	54	5	1	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3	8	9	10	11	12	13	14
03	31	59	87		27	55	6	2	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4	15	16	17	18	19	20	21
04	32	60	88		28	56	0	3	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6	22	23	24	25	26	27	28
05	33	61	89	01	29	57	2	5	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0	29	30	31	32	33	34	35
06	34	62	90	02	30	58	3	6	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1	36	37					
07	35	63	91	03	31	59	4	0	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2							
08	36	64	92	04	32	60	5	1	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4							
09	37	65	93	05	33	61	0	3	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5							
10	38	66	94	06	34	62	1	4	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6							
11	39	67	95	07	35	63	2	5	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0							
12	40	68	96	08	36	64	3	6	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2							
13	41	69	97	09	37	65	5	1	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3							
14	42	70	98	10	38	66	6	2	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4							
15	43	71	99	11	39	67	0	3	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5							
16	44	72		12	40	68	1	4	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0							
17	45	73		13	41	69	3	6	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1							
18	46	74		14	42	70	4	0	0	3	5	1	3	6	2	4	0	2							
19	47	75		15	43	71	5	1	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3							
20	48	76		16	44	72	6	2	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5							
21	49	77	00	17	45	73	1	4	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6							
22	50	78		18	46	74	2	5	5	1	3	6	1	4	0	2	5	0							
23	51	79		19	47	75	3	6	5	2	4	0	2	5	1	3	6	1							
24	52	80		20	48	76	4	0	1	4	6	2	4	0	3	5	1	3							
25	53	81		21	49	77	6	2	2	5	0	3	5	1	4	6	2	4							
26	54	82		22	50	78	0	3	3	6	1	4	6	2	5	0	3	5							
27	55	83		23	51	79	1	4	4	0	2	5	0	3	6	1	4	6							
28	56	84		24	52	80	2	5	6	2	4	0	2	5	1	3	6	1							

OBJAŚNIENIE

Odnajdujemy w tablicy A rok, o który nam chodzi i odszukujemy w tablicy B liczbę w równej linji z nim leżącą pod odpowiednim miesiącem. Do liczby tej dodajemy datę miesiąca. Otrzymaną w ten sposób cyfrę odszukujemy w tablicy C. Znajdujący się nad nią dzień, będzie dniem, o który nam chodzi.



ALLIANCE COLLEGE

Cambridge Springs, Pennsylvania 16403

Office of the President

Drogi Bracie i Siostro Związkowi,

Jak Panu i Pani dobrze wiadomo, Kolegium Związkowe spełnia dzisiaj w Stanach Zjednoczonych podwójną rolę. Po pierwsze — Kolegium to jest normalną 4-letnią uczelnią, ofiarującą możliwość zdobycia tytułu bakałarza nauk ścisłych (BS) i nauk humanistycznych (BA); po drugie — uczelnia propaguje w Stanach Zjednoczonych kulturę polską przy pomocy szeroko pomyślanego programu nauczania języka polskiego, kultury, cywilizacji i literatury polskiej różnych okresów. Równocześnie Kolegium posiada zbiory książek w języku polskim, które — po bibliotece Kongresu — są drugie w USA pod względem ilości tomów i ich wartości naukowej w zakresie humanistyki.

W r. 1964, Uczelnia otrzymała pełną akredytację jako kolegium w Zrzeszeniu Kolegiów i Szkół Amerykańskich. Gmach Nauk Ścisłych im. Marii Curie-Skłodowskiej, wyposażony w najbardziej nowoczesne laboratoria i pracownie, zapewnia studentom jak najlepsze przygotowanie do zawodów technicznych. Skolei uczelnia ofiarowuje młodzieży amerykańskiej możliwość pogłębienia studiów — jak już powiedziano wyżej — w zakresie języka polskiego, zatrudniając w tym celu kilku pierwszorzędnych polonistów na poziomie akademickim.

Liczba studentów wzrosła z 337 osób do 650. Liczba wykładowców — z 21 do 47 osób. W chwili obecnej buduje się dwa nowe dormitoria; jedno z nich pomieści 103 studentki; drugie — 244 studentów. Budynki te zostaną wykończone we wrześniu 1968 r. Równocześnie są rozważane możliwości budowy nowego gmachu nauk humanistycznych i gmachu kultury fizycznej. Rozpatruje się również możliwość budowy domów mieszkalnych dla członków fakultetu ze względu na brak odpowiednich mieszkań w Cambridge Springs, niewielkim miasteczku.

Jak Panu i Pani niewątpliwie wiadomo, rozwój Kolegium Związkowego był możliwy, na skutek poważnego finansowego poparcia, udzielonego uczelni przez Związek Narodowy Polski, jego grupy organizacyjne i osoby prywatne. Pomoc taka jest nie tylko potrzebna, ale również niezbędna, a to na skutek stałego wzrostu liczby studentów i wykładowców, jak również rozbudowy gmachów i dostarczania najbardziej nowoczesnych pomocy naukowych.

Nie należy zapominać, że w okresie gdy ojczyzna przodków znajduje się pod naciskiem wrogiej Narodowi Polskiemu propagandy, Kolegium Związkowe dźwiga tradycje utrzymania wolności, kultury chrześcijańskiej i wiedzy połączonej z imieniem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej. W jej murach w r. 1966, Millenijnym Roku Polski, odbył się cały szereg obchodów i odczytów, poświęconych wkładowi Polski w zachodnią i amerykańską kulturę. Kolegium Związkowe jest dziś jedyną wolną polską uczelnią na świecie, gdzie słowo i myśl polska mogą brzmieć ku chwale Narodu Polskiego i jego olbrzymiego wkładu w budowę Federacji Amerykańskiej i całego wolnego świata.

Kolegium Związkowe stoi zawsze otworem dla wszystkich, odwiedzających. W każdej chwili, Panie Delegacie, i Pani Delegatko, państwo i wasza rodzina mogą zwiedzić naszę laboratoria i sale wykładowe; na miejscu przekonać się o polskości uczelni; porozmawiać z wykładowcami, którzy tutaj na wolnej ziemi Amerykańskiej kontynuują myśl Konstytucji 3-go Maja: że wszyscy obywatele są równi wobec prawa i że umiłowanie wolności jest jednym z najgłówniejszych praw wolnego człowieka.

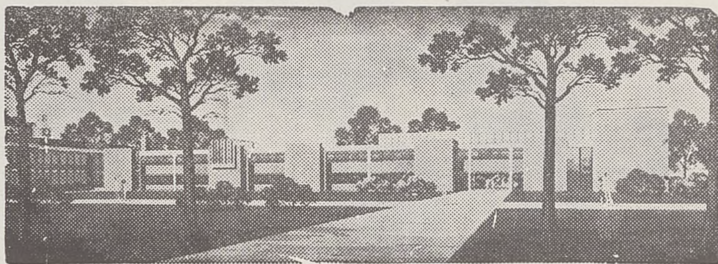
Dalszy rozwój Kolegium zależy od Waszej stałej, rosnącej i szczerej współpracy — uczelni, w której Wasi synowie i córki mogą otrzymać należyte Polskie i Amerykańskie pełnowartościowe wykształcenie, godne wkładu Polski w kulturę Wolnego Świata.

Apel nasz kierujemy do Waszego Serca, Bracie i Siostro! Popierajcie Kolegium Związkowe w jego zbożnej pracy dla dobra obu narodów, narodu polskiego i narodu amerykańskiego — dla zachowania polskości, języka polskiego i chrześcijańskiej kultury polskiej — w Stanach Zjednoczonych.

Z Braterskim Pozdrowieniem!

Henry J. Parcinski

Henryk J. Parcinski
Prezydent



Gmach Wiedzy im. Marii Skłodowskiej-Curie



ZESPÓŁ TANECZNY KOLEGIUM ZWIĄZKOWEGO "KUJAWIAKI"



ALLIANCE COLLEGE

Cambridge Springs, Pennsylvania 16403

Office of the President

As you know only too well, Alliance College has experienced phenominal growth since the last Sejm of the Polish National Alliance in 1963. It was fully reaccredited in 1964 by the Middle States Association of Colleges and Secondary Schools. Many improvements have been made to dormitories and classroom buildings. The Maria Sklodowska Curie Science Hall is now completed and in full use. The student enrollment has increased from 337 to 650 students. The size of the faculty has more than doubled, going from 21 to 47 full-time members. Two additional dormitories are now under construction. One will house 103 young women and the other will accommodate 244 young men. Also under construction is a combination student union-cafeteria. Now that these buildings are underway and scheduled for occupancy by September, 1968, consideration is being given to the planning for a new gymnasium and a humanities building. Thought is also being directed to some form of faculty housing which is currently not available in the immediate area.

The rapid growth of Alliance College was made possible by the extremely generous financial support which the College received from the Polish National Alliance, its various groups and individuals. For the College to continue to grow in quality, it is necessary that this support not only continue but that it be increased substantially in the future.

Because I know the sense of pride members of the Polish National Alliance have in their Alliance College, I am confident they will lend financial support which will make it possible for Alliance to truly become one of the fine prestige liberal arts colleges in America.

Henry J. Parcinski

Henry J. Parcinski
President





“Kujawiaki” Kolegium Związkowego “Kosynierzy” z krakowskiego.

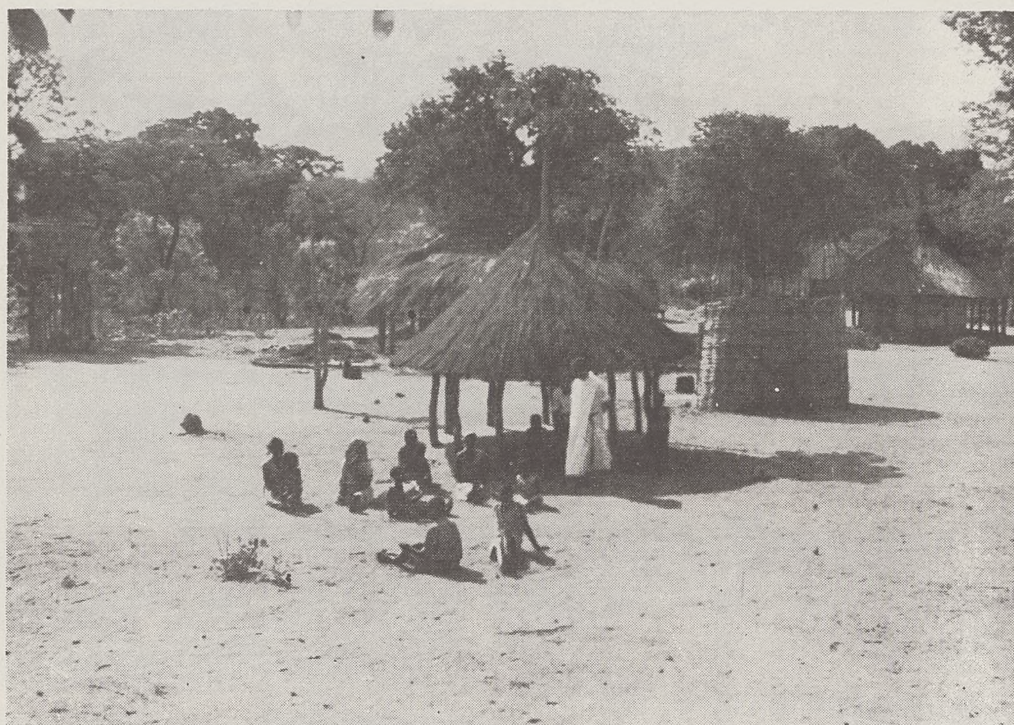
Bożę Narodzenie Na Misji Rodezyjskiej

Boże Narodzenie bez śniegu i przejmującego zimna traci dla Polaków swoisty urok. Tutaj w Rodezji jedynie wierzymy, że to radosne gody, o których sama myśl przyspiesza bicie serca. — W grudniu przyroda Rodezji tętni najbujniejszym życiem. Okoliczne góry przybierają najpiękniejsze odcienia zieleni, a tu i ówdzie ze szmaragdowych traw wychylają się lilie. Chyże jaskółki szybują w rozsłonecznionych przestworzach, wieczorem zaś całe roje rozświetlonych robaczków, niby drżące iskierki, migocą wśród drzew. Wówczas zdaje się nam, że wokół Misji istnieje jeden las charakterystycznie oświetlonych choinek . . .

Dziatwa tutejsza cieszy się na myśl o świętach. Z całym przekonaniem każdy mówi, że Boże Narodzenie to najpiękniejszy dzień w roku. Lubią żłóbek w kościele. Dziewczęta gorliwie pomagają przy dekorowaniu betlejemskiej szopki.

Dawniej w wigilę po południu nadciągały do stacji misyjnej całe grupy wiernych z odległych wiosek. Kobiety z dzieciakami na plecach, a mężczyźni z tobołkami, zawierającymi mąkę kukurydzianą, maty, garnki itp. Każda grupa miała swego katechetę czy nauczyciela. Wszyscy szukali schronienia przy misji na przeciąg dwóch lub trzech dni.

Około godziny 4-ej po południu zbierały się poszczególne



Pójdziemy na Pasterkę do Chingombe!



Buzie kasiskich sierotek roześmiane radością Bożego Narodzenia!

grupy i wchodziły do kościoła z pieśnią "Wśród nocnej ciszy." Murzyni nie zdają sobie może sprawy, jak miła ta melodia wzbudza uczucia w naszych sercach . . . Dorośli garnęli się wieczorem tłumnie do spowiedzi, po czym rozpalali ogniska, gotowali, gwarzyli i kolędowali aż do północy. Obecnie ojcowie misjonarze w miarę możności jadą do wiosek na pasterkę.

W naszym siostrzanym kółku misyjnym zachowywałyśmy wiernie polskie tradycje aż do roku 1954, kiedy to zaczęłyśmy przygotowywać czarne siostry do naszego Zgromadzenia. Już nie śpiewałyśmy kolęd po polsku. W pierwszym roku po wprowadzeniu zmiany na język tubylczy, łzy pojawiły się w oczach na moment . . . Dawniej wieczór wigilijny należał do nas. W rzewnym nastroju łamałyśmy się opłatkiem i odczuwałyśmy, że jesteśmy naprawdę daleko od swoich. Tęskna myśl ulatywała hen za morza. Tam pewnie zima, huczy muzyka wichrów, a śnieg skrzy się odbiciem migających gwiazd. Wyobraźnia z całą siłą nasuwała uzupełnione i wyidealizowane wspomnienia minionych wigilij w Polsce. Przypomniał się cichy las wokół rodzinnego domu, tradycyjne polowania w ów dzień, dźwięk trąbki myśliwskiej, krzyk naganiaczy, a wreszcie wozy z ubitą zwierzyną. Później wieczerza w ukochanym gronie, drzewko, radosne kolędy!

Kolejno nasuwały się inne wspomnienia: jadalnia w ukochanym klasztorze Starowiejskim, bielą nakryte długie stoły, a przy

nich dziesiątki Sióstr w białych welonach. Matka Generalna składa wszystkim serdeczne a natchnione życzenia, rozdaje opłatek, po czym z "grającym" żłóbkiem idzie do najmłodszych Siostrzyczek, które w domu Macierzystym po raz pierwszy świętują Wigilię.

Jak tam dzisiaj wygląda? Czy oczy wszystkich błyszczą jak dawniej szczęściem i weselem? — O Wilio w domu! O chwilo szczęścia! Zawsze w myślach i w sercu zostaniesz jako jasny obraz!

Na Misji również dekorujemy tradycyjne drzewko, tłumacząc młodym czarnym Siostrom i dziatwie szkolnej jego symboliczne znaczenie. Jodełkę zastępuje duży szparag lub gałąź cyprysu, a zamiast drogich świecidełek wieszamy tropikalne owoce i orzeszki ziemne owinięte w kolorowych papierkach. Raz miałyśmy nawet trzy maleńkie świeczki, ale te spłonęły w kilku minutach.—Czarne dziewczęta z podziwem patrzą na choinkę i cicho powtarzają: piękna! One też dostają na gwiazdkę małe podarki, jak korale, szpilki, owoce i orzeszki. Co za radość panuje w czasie rozwijania podarków! Najbardziej ucieszyłyby się dziewczęta sukienkami, ale jesteśmy bezsilni.

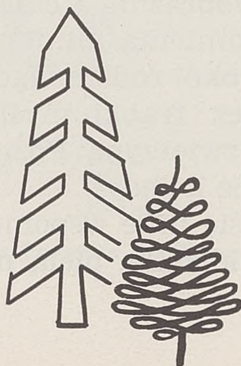
W sam dzień Bożego Narodzenia już od świtu czarny ludek wypełnia kościół. Lubi on głośno wyrażać swe uczucia, zwłaszcza w mocnym śpiewie. Dźwięczne melodie polskich kolęd rozbrzmiewają radośnie. Na chwilę można zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że jesteśmy w Ojczyźnie.

W czasie drugiej Mszy św. przystępujemy z Czarnymi do Komunii św. Dziecię Jezus gości w naszych sercach, a więc zjednoczeni jesteśmy w Chrystusie z naszymi chrześcijanami innej rasy. W przerwie po drugiej Mszy św. ludek posila się nieco, a o godzinie 10-ej zaczyna się suma ze śpiewem chóru. Czarni mają doskonały słuch i wrodzone poczucie taktu, więc chór wychodzi potężnie.

Uwieńczeniem uroczystości jest chrzest małych murzyniątek, przyniesionych z okolicznych wiosek.

Ta sama treść Bożego Narodzenia przeżyta na innym kontynencie, wśród czarnego ludu . . .

Siostra Petronela, Kasisi



Stanisław Zabrzeski

TRZECI MAJ

Ranek wschodził wspaniały. W różanych poblaskach
Malował się świat cały; w jasnych, lśniących kaskach
Patrzały w dół, w Warszawy ciepłe świątyń wieże,
I daleko ku krańcom Polski, jakby szczerze
Śniły już o tych wieściach, co je dzień przyniesie,
I każdemu z wstających już radość śmieje się
W duszy, jak kiedy w źródło wpadnie promień słońca
I prześwietli skrą iskier od końca do końca!
A iskry drgają w wodzie, świętlą się i płoną,
Brylantów tęczą krasną i złotą koroną.

Wyszły tłumy na miasto w przeczuciu bogate;
Rojnie ciągną pod Zamek jakby po zapłatę
Za tyle wieków męki, ucisków i doli,
Ciągną mieszczanie strojni i chłopi, powoli.
Wiją się mieszczki — wszystko radosne nadzieją,
A tam na Zamku sprawy niezwykłe się dzieją,
Tłumy zaległy schody, dziedziniec, krużganki!
Każdy przyszedł zaczerpnąć radości w serc dzbanki.

Sala sejmowa jedna. Marszałek koronny,
Małachowski uderza laską. W mowie dzwonnej
Wspomina klęski spadłe w te ostatnie lata,
Kiedy rwie się raz pierwszy polskiej ziemi szata.
"Wzywam — mówi — "usuńcie co złe jest i zgubne,
Wszystko, co trąci błędem i co jest próbne,
Nie masz takiej ofiary, choćby z życia, blizny,
Coby nie warto podjąć dla dobra Ojczyzny!"

I widać było w tłumie godzenie się na nie;
Przychwalił król przemowie i zlecił czytanie
Nowej ustawy wielkie, co Polsce dawała
Silny rząd i rozumne urządzenie miała.
"Prosimy czytać zaraz!" — z zapałem wołano,
Jedenaście więc punktów sekretarz odczytał,
"Zgoda! Zgoda!" — tak każdy z uczuciem je witał.
Że wreszcie Polska nowe rozpoczyna życie,
Że Maj jak wiosna, przełom przyniesie obficie;
Naród błędów się zrzeka, już bez krwi rozlewu,
Przybędą nowe soki w pół zeschłemu drzewu,
Nowe gałęzie wzrosną i znów szumieć będzie
Jagiellonów potęgą na Europy grzędzie,
Wolność, równość, braterstwo wszystkich głoszą prawa
Każdy synem Ojczyzny na równi się stawa.

I ideą płomienniejszą coraz płyną mowy
A każdy wiersz jest pełny miłości gotowej.
A już przy głosowaniu krzykną dalsi, bliscy:
"Z marszałkiem, tak! trzymamy, jak jesteśmy wszyscy!
Wiwat Król, wiwat Naród! Konstytucja! Stany!!!"

I okrzyki te doszły ludzkości zebranej
Na dziedzińcu, w krużgankach, gdzie przy głowie głowa
Znów krzyczą: "Niech król żyje! Konstytucja nowa!"
A król stanął na krześle i poprzysiągł Bogu
Wśród wzruszenia i ciszy głębokiej. Na progu
Nowym staje Ojczyzna; w kościół Święty Jana
Idą więc podziękować, a z nimi wezbrana
Fala ludu, co wita radośnie, z zapałem
Posłów gromkiemi krzyki, z uniesieniem całem:
"Wiwat król! Konstytucja! Wiwat wszystkie stany!
Wiwat równość, braterstwo! Wiwat król kochany!
Wiwat, co dla Ojczyzny pracują posłowie!
Lud tego nie zapomni! On co w piersiach chowie
Chrobrych, Batorych, Mieszków i Jagiełłów plemię,
Bo w piersiach jego Genjusz narodowy drzemie!"
I dech swobody leci i niepowstrzymany
Od mieszczańskiej kirejki i chłopskiej sukmany,
Aż u morskiej kędyś rozbije się ściany,
Bo w nagłym dusz miljona błysku pierzchła zmora

Ucisku—hen!—niewola—zapłonęła zorza
Ogniem życia, nadziei zwiastunka z nieb Boża,
I gdy wreszcie Europy potoki krwi płyną,
Spokojnie, cicho u nas, Konstytucja ino
przeszła.—

Błogosławiony owoc twego ducha,
Ojczyzno moja, trwał wciąż, choć niewola głucha....
Przetrwał w radości świtu wspólnej, przeogromnej,
Aż wstała Wolność z martwych w potędze niezłomnej!
I tak zostanie w wieki dzień ów wiekopomny!!!



HENRYK SIENKIEWICZ

Pieśń Litewskich Borów

Wyszedł raz srogi rozkaz do litewskich borów,
Aby nie śmiały szumieć, ni modlić się, ani
Mruczeć inaczej swoich wieczornych nieszporów,
Jak na suzdalską nutę: "Boże caria chrani!"
Trwoga padła na puszcze. Stoją ciche drzewa,
Jak wynurzon z wód łona bór zakamieniały,
Ani się zwierz nie ozwie, ni ptak nie zaśpiewa,
Dzięcioł boi się nawet pukać w pień spróchniały.
Diejatiele zaś krzyczą, potrząsając knuty:
"Bór się boi, więc zagra wedle carskiej nuty!"
Wtem wstaje wiatr — i leci od zachodniej strony,
Już padł na gonnych sosen wyniosłe korony,
Mruknęły dęby, trzęsie liśćmi brzezina,
Słuchajmy! pieśń się jakaś wśród puszczy poczyna.
I brzmi coraz potężniej między konarami:
"Święty Boże, a Mocny, zmiłuj się nad nami!"

Adam Mickiewicz

BURZA

(Sonety krymskie)

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z nim reszta nadziei.

Wicher triumfem zawył, a na mokre góry
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślał, szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

Bitwa Pod Grunwaldem

(15-go Lipca 1410 Roku)

. . . Już od Grunwaldu wojsko się zbliżało,
Kiedy przed królem mąż krzyżacki staje,
Trzyma dwa miecze, z postacią zuchwałą
"Mistrz mój — zawołał — tęć oręż daje
dla lepszej w walce, dzisiejszej usługi:
Ten miecz dla ciebie, dla Witolda drugi".

"Mam mieczów dosyć, lecz i te się zdadzą
Na karkach dumnych" — Jagiełło odpowie
Tu wzniósłszy oczy: "O najwyższa Władzo
Boże co dzierżysz w ręku ludów zdrowie,
Błogosław w słusznym boju bojownikom,
Daj nam zwycięstwo, zgubę najezdnikom".

A wnet na konia cisawego wsiada,
Dobywa miecza i zniża przyłbicę;
Wojsko, nim trąba walkę zapowiada,
Zaczęło śpiewać pieśń "Bogarodzicę".
Huknęły kotły, dźwięk zaszczękał broni,
I ziemia drżała pod tętnem koni.

Jak czarne chmury, pędzone wiatrami,
Gdy srogim grzmotem uderzą o siebie,
Tak hufce polskie z Krzyżaków rotami
Zwarły się z trzaskiem w tej ciężkiej potrzebie
Wre krwawa bitwa, a zawsze na przedzie
Król swych Polaków, Witold Litwę wiedzie . . .

. . . Złamani ze wszech stron nieprzyjaciele
Zwycięskim wojskiem, nie walczyli więcej.
Poległ mistrz wielki, na rycerstwa czele;
Uszłe przed mieczem szczątki rozproszone
W lasach i bagnach znalazły ochronę.

Po bitwie pierwsi z wodzów znakomitych
Przyszli, rzucając pod królewskie nogi
Pięćdziesiąt jedna chorągwi zdobytych;
Za nimi widok przybliżył się srogi;
Na czarnym wozie powoli wiedzione
Wielkiego Mistrza zwłoki krwią zbroczone.

Król patrząc na tak ciężką losów zmianę,
Zapłakał rzewnie: "Zgon — rzekł — tego męża
Zgładza pamięć na krzywdy zadane,
Winien czcić męstwo ten, który zwycięża!
Niech ten co walczył i mężnie i długo,
Ostatnią będzie uczczony przysięgą.

Te zaś chorągwie, te zbroje zwleczone
W triumfie nieście; niech w państwa stolicy
W świętym przybytku będą zawieszone . . .

Jan Kochanowski

PRZEDWIECZNY BOŻE!

Przedwieczny Boże, za Twoim wyrokiem,
Schodzi dzień po dniu, mija rok za rokiem.
Nawet tysiące lat giną w wieczności,
Jak kropla deszczu w morskiej głębokości.

Od dnia pierwszego, coś stworzył wszechmocą,
Czas zawsze w biegu uchodzi dniem, nocą,
Jak sen mijają chwile tego świata,
Dnie i tygodnie, miesiące i lata.

Za Twoją wolą potajemnie, skrycie,
Człowiek codziennie bliżej grobu kroczy,
Wraz z prądem czasu płynie ludzkie życie;
Aż raz na wieki mu zamknie oczy.

Mija rok stary, a nowy już wschodzi,
Ścisły rachunek uczynić się godzi.
Z wszystkich czynności ubiegłego lata,
Czy za nie czeka kara, czy zapłata?

Kto za swe grzechy zaciągnął był długi,
Niech w Nowym Roku gromadzi zasługi;
Aby, gdy stanie u wieczności bramy,
Mógł się wykazać dobrymi czynami.

Uważ, człowiecze, ile w zeszłym roku
Użyczył Bóg ci łask na każdym kroku:
Pozwolił dożyć w zdrowiu nowe lato,
Przyrzeknij Jemu wiernie służyć za to.

Potężny Boże, Stwórco ludzi, świata!
W Twoich są rękach nasze dni i lata.
Racz nam w tym Nowym Roku błogosławić
I pokój między narodami sprawić.

Błogosław kraj nasz, stary, pola, wioski, miasta.
Miejże w obronie stary gród Piasta!
Spraw,byśmy wszyscy wiernie Ci służyli,
Potem wraz w niebie na wieki chwalili.

Z POEZJI

Ziemia Polska

Ludu Polski! Kędyż masz swoją Ojczyznę,
gdy twymi nie są własne wszem otwarte wrota,
Skurczyła się dziś cała w twego serca bliznę,
lecz jest wielka, jak dusza twa i twa tęsknota.

O ziemio, pozbawiona siewców i oraczy,
wtrącona w nędzę ruin, sieroctwa, wdowieństwa,
Chociaż w. działaś załobę, lecz nie znasz rozpaczy,
jeno hasło cierpliwego i ufnego męstwa.

Ojczyzno, nawiedzona ogniem i żelazem,
pośród zgorzeli czarnych tego tu, ogrójca,
Jesteś cudem, młodej kobiety obrazem,
co w czas głodu swą piersią karmi starca-ojca!

O próg zwęglony wspierasz głowę obolałą
i na bój błogosławisz swoich synów plemię
Lecz choć ci wszystko wzięto—wszystko ci zostało,
gdy nad sobą masz Niebo, a pod sobą Ziemię!

O ludu Polski! Zbawi cię ta wielka Święta!
podniesie Cię z padołu tej głębokiej troski
ziemia twoja brązowa i mieczem pocięta,
jak oblicze Najświętszej Panny Częstochowskiej!

LEOPOLD STAFF

Dwie Drogi

Są w życiu jakby dwie drogi.
Jedna jest mała, druga wielka droga.
Jedna prowadzi do ludzi,
druga prowadzi do Boga.

Gdy mała droga jest błotem—
to nie widzisz słońca.
Skaczesz z błota w błoto,
z złoczynu w zły czyn.
I tak jest bez końca.
Jak przepaść jest mała droga.
Daleko od ludzi, daleko od Boga.

Gdy mała droga jest jasna i czysta—
gdyś dla przyjaciół bratem,
dla nieprzyjaciół człowiekiem,
gdy kochając siebie samego—
nie więcej jak drugich,
możesz otwarcie powiedzieć i okazac—
co czynisz i co kochasz.
Gdy nie chcesz dnia wczorajszego
dniem dzisiejszym zamazać—
To wielka jest mała droga.
Prowadząc cię do ludzi—zawiedzie cię do Boga.

OLGA PASTERNAK

MARIA KONOPNICKA

Na Warszawskim Rynku

Na Warszawskim rynku
Chorągwie się chwieją;
Zajaśniała wiosna
Majową nadzieją.

Zajaśniała wiosna
Nad ojczystym łanem
Dziś się w swej Ojczyźnie
Chłop porówna z panem.

Na Warszawskim rynku
Trąby, surmy grają;
Stanowi kmiecemu,
Bratu prawa dają;

Nadają mu prawa,
By bronił tej ziemi
Razem z rycerzami,
Jak z braćmi starszymi.

Na Warszawskim rynku
Biją wszystkie dzwony:
Wolnych synów Polsce
Przybyły miliony.

Idą do katedry,
Do świętego Jana,
Złoto przy kapocie
Przy delji — sukmana.

O ty dniu radosny,
O ty trzeci Maju!
Zapachniałeś kwieciem
Po całutkim kraju!

Zapachniałeś kwieciem
Najsłodszej wonności;
Miłością Ojczyzny
I bratniej jedności!

BEATA OBERTYNSKA

Twój Pacierz

Wierzę, że jest we dnie jedna, jedyna chwila,
na którą stary Pan Bóg z tęsknotą zawsze czeka . . .
Ma już dość słońc i gwiazd, próśb i przewinień człowieka,
od Swej odwiecznej wielkości samotna myśl ucieka . . .
—I wtedy to—z głębin nieb—Swą siwą głowę wychyla,
rozgarnia pszczoły gwiazd i mlecznych dróg powodzie,
komet szerszenie złote, gdy Mu ugrzęzną w brodzie,
odrzuca precz syczące—i spośród chmur przędziwa
do twych złożonych rąk—znużoną zbliża twarz . . .

—Masz długą, nocną koszulkę i rączki stulone masz
i mówisz słowa za wielkie, nie rozumiane a święte . . .
—Wszystko widzące oczy ma Bóg w tej chwili przymknięte
i poprzez brzęk i szum i wirowanie gwiazd,
kiedy się za Nim wieczność kotłuje przepastliwa,
słucha cię uśmiechnięty i odpoczywa . . .

DZIWNE MUZEA

MUZEUM HISTORII PODATKÓW powstało w 1958 r. w zachodnioniemieckim mieście Freudenstadt. Wśród eksponatów zwracają uwagę staroegipskie przepisy podatkowe wyryte na kamiennych tablicach, zbiór podatkowych dokumentów rzymskich, przedstawiające sceny ściągania podatków płótna mistrzów włoskich i holenderskich oraz liczne karykatury urzędników skarbowych. Bardzo duże zainteresowanie wzbudza kwestionariusz podatkowy z 1764 roku, zawierający tylko cztery rubryki: współcześni podatnicy — zmuszeni do odpowiadania na znacznie większą ilość pytań — oglądają go z zazdrością.

MUZEUM KAMIENI szlachetnych i półszlachetnych istnieje w mieście Idar-Oberstein. W muzeum odtworzona została historia wydobycia i obróbki tych kosztowności na przestrzeni ostatnich dwóch tysięcy lat. Znajdują się tu m. in. wachlarz ozdobiony rubinami, ametystami i szmaragdami; biurko z uralskiego malachitu; ogromny krzyż z topazu — pochodzący z Brazylii; skamieniałe drzewo pochodzące z Ameryki i liczące 50 milionów lat.

MUZEUM PARASOLI w Stuttgarcie przedstawia ewolucję tego popularnego dziś przedmiotu. Parasole znane są od przeszło 4000 lat. Początkowo miały one do spełniania funkcję reprezentacyjną, dopiero z biegiem czasu nabrały charakteru użytkowego. Ciekawe, że pierwotnie parasole służyły jako ochrona od słońca. Dopiero Anglicy, około 1710 roku, zaczęli posługiwać się parasolami podczas deszczu. Zabawnie wyglądają parasole z szyfonu i koronek — ozdoba średniowiecznych narzeczonych lub parasole, których rączki zawierały ukryte fajki lub tabakiery.

MUZEUM SZTUKI FRYZJERSKIEJ i kosmetycznej w Hamburgu obrazuje — jak głosi prospekt — rolę fantazji i techniki w służbie urody. Zgromadzono tu eksponaty, pochodzące z różnych stron świata i różnych epok, poczynając od etruskich brzytew i egipskich luster. Sensację wzbudzają wysokie fryzury z XVIII wieku, które można było ułożyć wyłącznie za pomocą długich drutów. Jest tu także makabryczna brzytwa-dziwoląg o napędzie konnym. Amatorzy tej metody golenia się, przykładali twarz do okienek w murze — i brzytwa, którą ciągnął koń, goliła jednocześnie 60 zarośniętych klientów.

MUZEUM WYROBÓW SKÓRZANYCH w Offenbachu zawiera przedmioty wykonane wyłącznie ze skóry. Znajdują się tu różne ozdoby i przedmioty użytkowe, jak na przykład eskimoski kajak, skórzane ubranie indyjskiego wodza, neseser egipskiego lekarza, pięknie malowane laleczki z kukiełkowego teatru z wyspy Bali itp. 5000 eksponatów reprezentuje tu wiele epok i krajów.

CIEKAWOSTKI MEDYCZNE



Pobudzacz serca, dający się umieścić pod skórą chorego, skonstruował mgr inż. Ryszard Paradowski ze szpitala miejskiego w Poznaniu. Do serca pacjenta przyszywa się dwie maleńkie elektrody, połączone przewodami z aparatem zasilającym, usytuowanym pod skórą na brzuchu. Impulsy prądu elektrycznego biegnące z aparatu powodują systematyczną pracę serca. Wymiana baterii następuje co 2,5 roku.

Nowy rodzaj karetki pogotowia RAF-977, która w nagłych wypadkach zamienia się w salę operacyjną, wyprodukowała Doświadczalna Fabryka Autobusów w Rydze. Sanitarka posiada w swoim wnętrzu aparaturę do sztucznego oddychania, narkozy i inhalacji oraz skrzynkę z lekarskimi narzędziami i lekami. Obok dwóch pacjentów, kierowcy i lekarza jest jeszcze miejsce dla 2 pasażerów. Szybkość karetki dochodzi do 110 km/godz.

Elektronowy fonokardiograf uruchomiono w klinice położniczej Uniwersytetu Lipskiego. Aparat pozwala zbadać poziom tlenu we krwi płodu oraz sprawdzić prawidłowość pracy jego mózgu i serca. Ten niezwykle czuły przyrząd wykrywa wadę serca u noworodka jeszcze przed jego urodzeniem. Fonokardiograf umożliwia także obserwację przebiegu porodu.

Po 16 latach milczenia odzyskał mowę chłopiec, któremu na skutek nieszczęśliwego wypadku musiano usunąć w dzieciństwie niektóre chrząstki z krtani i tchawicy oraz wyprowadzić na zewnątrz rurkę do oddychania. Niezwykle trudnej operacji, podczas której choremu przywrócono część ubytków w postaci „części zamiennych" ze sztucznego tworzywa, dokonał chirurg, prof. Iwan Kurylin z Kijowa.

Rewelacyjny termometr termistorowy jest dziełem inż. Franciszka Płużka z Zakładów Cegielskiego, współtwórcy polskiego „sztucznego serca". Aparat został skonstruowany w Poznaniu według wskazówek dr. Borysa Schnittera, ordynatora Szpitala Przyzakładowego „HCP". Termometr służy do pomiaru ciepłoty powierzchni skóry i oddaje duże usługi m. in. przy leczeniu schorzeń naczyń obwodowych kończyn dolnych. Konstrukcja jego jest jednak tak pomyślana, że przy zastosowaniu wymiennych końcówek i przedłużacza można w ciągu 5 minut zmierzyć także ciepłotę żołądka i innych organów wewnętrznych.

Nowy instrument dla ratowania życia noworodków zaprojektowali lekarze kliniki ginekologiczno - położniczej Uniwersytetu Segedskiego na Węgrzech. Oddaje on cenne usługi zważywszy, że 30 proc. wypadków śmiertelnych wśród niemowląt spowodowanych jest tym, że dziecko — mimo normalnej pracy serca — bardzo słabo, albo wcale nie oddycha. Za pomocą nowo wynalezionego przyrządu otwiera się krtań noworodka, po czym specjalną rurką, wprowadzoną do tchawicy, usuwa nagromadzone tam substancje, które spowodowały duszenie się dziecka.

DZIESIĘĆ PRZYKAZAŃ URLOPOWYCH

1 Przy podejmowaniu decyzji w sprawie wyjazdu na urlop pamiętaj, że oprócz urlopów leżąco-siedzących są jeszcze inne, ciekawsze — turystyczne: piesze, rowerowe, kajakowe i inne.

2 Nie zabieraj ze sobą zbyt dużo łachów i ciuchów. Przecież jedziesz się kąpać i opalać, a do tego doprawdy szatek trzeba niewiele. Pomyśl: przyjdzie się przesiadać, iść na dworzec i z dworca. Wtedy przeklniesz chwilę, gdy — usiłując „dopakować" — siedziałeś(aś) spocony(a) na pękatej, niedomkniętej walizce.

3 Jeżeli już nie możesz i w czasie urlopu rozstać się ze swoim „Kolibrem" czy „Szarotką", używaj tego dyskretnie i „kameralnie". Nigdy nie ma pewności czy Twoi sąsiedzi w DW są podobnymi do Ciebie entuzjastami „Jabłuszka pełnego snu" czy „Ali Baby".
A już nie bierz tego z sobą na plażę. Na pewno zrobi to za Ciebie kilkadziesiąt innych osób. I tak będziesz przeklinał radiofonię bezprzewodową.

4 Pamiętaj, że jesteś tylko jednym z 700 tysięcy letnich wczasowiczów. Nie licz na komfortowe warunki jazdy do swojego domu wypoczynkowego. Bądź przygotowany psychicznie na najgorsze. Łatwiej ci wtedy będzie godzinami stać na jednej nodze w korytarzu wagonu z łokciem sąsiada wepchniętym pomiędzy twoje czwarte i piąte żebro.

5 Przypuśćmy, że jakimś cudem udało ci się zdobyć miejsce siedzące. Jeżeli zobaczysz stojącego starego człowieka lub matkę z kwilącym dzieckiem na ręku, zdobądź się na ten czyn trochę bohaterski, a trochę zwyczajnie ludzki: ustąp miejsca. Pamiętaj, że i ty, stary koniu, także kiedyś byłeś dzieckiem na ręku swej mamy.

6 Naprawdę to nie jest takie ważne, czy z plaży na obiad zejdziesz pół godziny wcześniej, czy później. Na subtelnych odcieniach brązu znają się tylko malarze. Natomiast od twojego punktualnego przychodzenia na posiłki zależy, czy panienka z obsługi będzie miała godzinę „wolnego", choćby na randkę.

7 Wczasy przestały — jak wiadomo — być karykaturalnym uniwersytetem powszechnym nauk politycznych i społecznych. Ale nie oznacza to wcale, aby piękna książka nie miała być jednym z najlepszych rodzajów rozrywki umysłowej. Zajrzyj więc do biblioteki swojego DW. Obok „bubli" i „cegieł" zawsze można w niej znaleźć śliczną książkę, której przeczytanie stanie się jeszcze jednym wczasowym „przeżyciem".

8 Utrzymuj w pokoju, do którego przecież po tobie „przyjdą inni", jaki taki porządek. Pamiętaj, że kąpiel w morzu, rzece czy jeziorze, to jeszcze nie wszystko i że w pokoju trzeba od czasu do czasu sięgnąć po mydło.

9 Nie zaśmiecaj wczasowiska. Sosenki i świerki obwiesza się jeden raz w roku — na święta Bożego Narodzenia i to świecidełkami, a nie puszkami od konserw. Przekonasz się jak przyjemnie być kulturalnym. I może się rozsmakujesz.

10 To jest przykazanie najtrudniejsze, bo przeciwne narodowej tradycji: naród nasz zwykł łączyć nierozerwalnie wypoczynek i rozrywkę z „wódą". Jakże więc zrezygnować z niej na wczasach?
A to takie logiczne: po roku pracy wieziesz — w nie najlepszych warunkach naszego transportu — swoje umęczone ciało na odpoczynek. Niechże więc odpocznie i od wódki!
Będą Ci za to wdzięczne: żona, dziatki, wątroba, nerki, serce, dwunastnica i wszystkie inne organa wewnętrzne. Oraz — milicyjne.

*

Przykazania te spisał ob. Z., który nie jest ani świętym, ani abstynentem.

LEGENDA O PODHALU

WŁADYSŁAW ORKAN

W siedem dni Pan Bóg stworzył świat, a potem stworzał różne kraje ze wszystkim, co było potrzebne. Właśnie utworzył był kraj węgierski, dolinę żyzną, przeciętą rzekami; a gdy trafiły na zbocza, to chylił je ku południowi, by na nich wino róść mogło. Za czym zbliżył się ku stronie, gdzie miała być Polska. Postanowił ją jeszcze bogatszą uczynić przez to, że różne na jej obszarze umyślił założyć ziemie.

Właśnie, kiedy zaczął Podhale budować, przechodzący mimo anioł zawołał: „Szczęść Boże!" Pan Bóg uśmiechnął się: miał bowiem w myśli obraz przebogatego Podhala. Ośmielony stróż niebios zbliżył się ku Panu Bogu i przyzierał się chwilę Jego pracy. A widząc, że to wcale nie tak trudna sztuka, zapragnął sam poprόbować.

— Odpocznij — rzecze — Panie mój, a ja przez ten czas za Ciebie się potrudzę.

— Żebyś to mógł dać radę!

— Nie dam rady? — uniósł się anioł w honorze. — Zezwól, Panie, a ujrzysz, że nie gorsze potrafię zbudować kraje niż te, co spod Twej wykwitły ręki.

Stwórca świata uśmiechnął się na to pobłażliwie.

— Jeżeli chcesz koniecznie (umiłowanemu aniołowi czegoż by w dobroci ojcowskiego serca nie ustąpił?), jeżeli chcesz koniecznie spróbować, to możesz kończyć tę ziemię tu oto, którą zacząłem budować. (Sądził Pan, że co dobrze zaczęte, to nie tak łatwo zepsuć). A ja tymczasem przejdę dalej.

I przeszedł Pan Bóg w stronę ku północy, aby nowe tam ziemie ukształtować. Miało to być Proszowskie i Sandomierskie. Niedługo to wcale trwało (bo cóż dla Boga trudnego?), jak był z ziemiami tymi dwiema gotów. Zawołał tedy do anioła.

— Jużeś skończył swą pracę?

— Już! — odkrzyknął anioł.

— To chodź, przypatrz się moim ziemiom.

Anioł przyleciał na skrzydłach i już z góry wykrzyknął: „Ach!" — bo też było się czemu dziwić.

Ziemia Proszowska jak dywan wzorzysty, rozkoszna, barwna równina, przetykana kępami sadów, ruczajami. Sandomierska, wyższa nieco, pofalowana w doliny i wzgórza, chyliła się łagodnie ku słońcu południa i zdawała się grzać w jego promieniach. Wstęga Wisły szeroko zataczała błękitne półkola pomiędzy złotymi wzniesieniami. Bo gdzie okiem rzucić, tak w Proszowskie, jak i Sandomierskie, wszędy widne były, na wzgórzach i w dolinach, złote łany pszenicy. Mogło wydawać się patrzącemu, że pozłota prawdziwa ze słońca na dwie te ziemie spada. Widać Pan Bóg chciał je szczególnie szczodrze obdarzyć.

Kiedy anioł dość się już temu nadziwował, rzecze Pan Bóg:



— A teraz zobaczymy twoje Podhale.

Anioł, dumny ze swojego dzieła, cieszył się już naprzód pochwałą Boską i wyprzedzał Pana krokiem niecierpliwym. Skoro stanęli na miejscu, Pan Bóg aż oczy przetarł, przestraszony, nie mogąc uwierzyć temu, co ujrzał.

— Cóż ty tu porobił?—zakrzyknął.

Anioł sam się też zdumiał i strwożył wielce. Co innego bowiem zastał, niż pozostawił.

Przystępując do pracy wyobraził był sobie, że nic lepszego ziemi dać nie może jak dużo, dużo ciepła. Przeto zebrał niesłychaną ilość kamieni, głazów i skał, spiętrzył je w wysokie góry aż ku niebu, ziemią z lekka jeno przyprószywszy, w tym przekonaniu, że gdy je tak ku słońcu wysoko wydźwignie, to gorąco samo wszystko sprawi i kraj żyznością zakwitnie.

Aliści pod ten czas, kiedy w Sandomierskiem bawił, przyszła ulewa okrutna, strugi wody spłukały ziemię ze skał, zniosły ją na dół wyrwami potoków. Oczom teraz ukazały się groźne, spiętrzone ściany skalne, o nagich, w niebo wystających szczytach, o żlebach* czarnych i przepaściach, wyżej kosodrzewiną zmarniałą, a dołem ciemnią smerkową odziane, dzikością surową tchnące, no jednym słowem: Tatry. A zaś na niższych stokach i pogórzach. gdzie woda nie zdołała ziemi spłókać, ścieliły się tylko mchem zarosłe, pustynne hale lub zieleniły się tu i ówdzie płaty lichego owsa.

— Cóż ty za myśl miał — zobaczywszy to wszystko rzekł do anioła Pan Bóg—żeś tak tę ziemię ukształcił?

— Chciałem ją, Panie, podnieść tak wysoko — tłumaczył się strapiony anioł — żeby więcej ciepła słonecznego dla niej uzyskać.

— A przez to właśnie chłód jej sprowadziłeś. Ten nawet lichy owiesek, co na niej rodzić się może, zanim podoła dojrzeć, mróz zetnie. Tak, tak — zadumał się nad Podhalem Pan Bóg — będzie to przez twój nierozum kraj chłodu i głodu. Już się to nie da odrobić.

— Nie trap się, Panie — przystąpił z otuchą anioł. — Ja temu jeszcze zaradzę. Pozwól mi tylko, żebym tu ludzi utworzył, zobaczysz, jak sprawią te łąki marne, jak pokryją zbocza skalne uprawną rolą.

— Co to, to już nie! — rozgniewał

* Żleb—skalisty parów między dwiema ścianami górskimi.

się Pan Bóg. — Chcesz się bawić, to możesz iść Sandomierzan albo też Proszowian stwarzać, którym przygotowałem kraj żyzny, bogaty. Ale górala pozostaw już mnie.

I sam Pan Bóg wydumał tedy górala: o rosłej, śmigłej postawie, o nogach jak ze stali, o oczach bystrych, orłowych, o umyśle lotnym, przedsiębiorczym, o zaciętości niezwykłej, energii i sprycie — aby mógł na tej biednej aniołowej ziemi dać sobie radę.

◄ PODHALE. Stary baca z nieodłączną fajką w tradycyjnym stroju. Filcowy, czarny kapelusz z muszelkami, barani kożuch zdobnie wyszywany i kunsztownie rzeźbiona w srebrze spinka u koszuli.



WŁADYSŁAW REYMONT

ZA FRONTEM

MICHAŁ KOZIOŁ porwał się gwałtownie z barłogu, jakby na mocny głos, krzeszczący mu do ucha, by wstawał czem prędzej. Nie dojrzał jednak nikogo, w ciemnościach rozlegały się jeno chrapania śpiących. To znowu wyraźnie usłyszał, jako ktoś chodzi nad nim po rumowiskach chałupy. Wylazł spiesznie z głębokiego dołu na świat, przytaił dech i napróżno brodził oczami w ciemnościach i nasłuchiwał. Noc jeszcze była zupełna. Na wsi piały pierwsze kury, od pól niedojrzałych zawiewał ciepły, wilgotny wiatr, zapach gorzkawy pogorzeli zawiercił w nozdrzach. Na szarem niebie przewalały się bure kołtuny chmur, podobne topniejącym śniegom, ni jedna gwiazda nie zamigotała na wysokościach; zasię nad pobliskiemi borami, majaczącemi czarną, falistą ścianą strzelały nieustanne, ciche, ogniste świece, całe płonące zielonawem światłem. Biły wysoko nad lasy, zawisały długą chwilę w powietrzu i rozsypywały się zwolna w skrzący obłok pyłów. Zwyczajny był tych niemieckich sposobów, więc dziwną mu była tylko cichość dzisiejszej nocy. Jakże, ni huku armat, ni trzasku karabinów, nic...

— To nie darmo rychtują ścierwa jakąś sztuczkę — pomyślał, wracając do dołu pod rumowiska chałupy. Przyległ na barłogu, obtulił się kożuchem, ale już nie zasnął, bowiem ustawicznie coś mu gadało do ucha.

— Co to może być? — medytował, próbując cośkolwiek pomiarkować. Głosy były nie do rozeznania i napływały jakby z głębin ziemi, brzmiały niekiedy jak ściszony szloch, to jękiem się wydawały, to wołaniem długiem, żałosnem, dalekiem. Strach nim zatargał gwałtownie.

— Nic, jeno dusze pobitych lamentują o ratunek. Lutry to przeklęte, Niemce, ale... — Wzdrygnął się, odmówił pacierz i rozbudził żonę.

— Matka, możeby dać na mszę za tych pochowanych na ogrodzie.

— Co ci się roi! Ale, za takich psubratów dawałabym na mszę! — podjęła zapalczywie. — A kto nas przywiódł do takiej marnacji, że ino kij wziąć, a torby i na świat iść po proszonem. Może nie te piekielniki, co?

— Prawda, Jezu Miłościwy! — westchnął i przypomnienie strat poniesionych zwaliło się na niego strasznym ciężarem, że już ledwie dychał z udręki, że już ledwie mógł wstrzymać krzyk rozpaczy.

— Cóż człowiek mocen przeciw złej doli, co? — żalił się, przygnieciony ogromem własnego nieszczęścia. — Nieprzeliczone tysiące ciągnęło tych zbójów, a każdy łakomy na cudze a każdy rwał, co mu się żywnie podobało, a każdy się pasł chłopską krwawicą. Ziemia ino ostała i zgliszcza, goła ziemia i krzywda! Słuchasz to, matko?

Dosłyszawszy chrapanie w odpowiedzi, zwlókł się pocichu i wyszedł znów na świat. Wstawał już ciepły, kwietniowy dzień, świtało, ciemności rzedły z minuty na minutę, w brzaskach zórz zapalały się wody porozlewane. Miało się na pogodę. Przysiadł na rumowisku chałupy i wpił się żałosnemi oczami w swoje zagony, wyłaniające się na jaśnię poranka; leżały martwe, poszarpane dołami, poryte, wytratowane i rozjeżdżone, że jeno tu i owdzie dawała się widzieć płachta nietkniętej oziminy.

— Cóż ja wama poradzę, sieroty, co? — jęknął w bezsilnej żałości. Zawrócił spiesznie w obejście. Pożal się Boże, jak wyglądała jego gospodarka: ze stodoły pozostały jeno murowane słupy; na miejscu obór i stajni widniała kupa gruzów, dom piętrzył się stosem cegły i opalonego drzewa, z którego wystawał potrącony kulami osztych komina. Spory sad był również poszarpany na strzępy, ruina pokazywała swój doskonały obraz. Ocalała tylko murowana piwnica w podwórzu, nakryta grubą warstwą ziemi, w niej też chroniła się resztka dobytku: stał wychudzony koń, leżała jedyna krowina i w grudce pochrząkiwała maciora z prosiętami. W kącie, na wiązce słomy chrapał jego najmłodszy Jasiek. Nie budził go, bo i po co? Była to jaka robota? Przecież w polu ani sposób się pokazać, strzelali do każdego! Mój Jezu, wiosna w pełni, ciepło, ziemia prawie kipi od rostu, a ty, człowieku, patrz jeno i czekaj zmiłowania boskiego! Gniew nim zatargał. Podrzucił koniowi siana, gdy naraz zadygotała ziemia i straszliwy huk rozdarł powietrze.

— Niemieckie skowronki! — szepnął nienawistnie, wybiegając zobaczyć, gdzie upadł po-

cisk. Właśnie był słup ziemi wychlustywał pod lasem.

— Na mojej pszenicy! Ażeby wam kulasy podejmowało! — zaklął.

Dzień się już był zrobił niemały i jak zwyczajnie przed samym wschodem słońca, skowronkowe pieśni jęły dzwonić po polach, lecz rychło umilkły, bowiem armaty zaczynały swoje codzienne pacierze. Las oddawał huki bełkotliwemi echami, a przywtarzały im trzaski karabinów. Kozioł wzruszył niecierpliwie ramionami i poszedł na wieś. Leżała również w ruinie, spalona i rozbita prawie do fundamentów, robiła wrażenie żałobnego cmentarzyska. Ze stu zgórą chałup, utrzymało się jakimś cudem kilkanaście, a i to podziurawionych, niby rzeszoto i z poutrącanemi kominami. Z ogromnych, odwiecznych topoli przy drodze pozostały jeno kikuty, żałośnie sterczące ku niebu. Kościół stojący na górce w pośrodku wsi, był jedną kupą gruzów i ścian poszarpanych. Nabożeństwo odprawiało się pod nim, w głębokich sklepach, gdzie chowano niegdyś dziedziców. Plebanja była również zbombardowana i ksiądz mieszkał w piwnicy. Nie ominęła tej wsi nieszczęsnej ani jedna z okropności wojny, nie oszczędziły jej kule, nie oszczędziły pożary i nie oszczędziły rabunki. Większość mieszkańców rozbiegła się po świecie, a co pozostało kobiet, dzieci i starców tuliło się po dołach... i ruinach, przymierając głodem i wyczekując na cud zmiłowania. Przywarli tak mocno do ziemi rodzonej, do kątów odwiecznych, do ruin i grobów, że nie potrafiły ich wygnać żołnierskie swywole, ni nawet kule niemieckie, zalatujące codziennie i o każdej porze. Ni te grzmoty ustawiczne dział, ni bitwy, ni pożary i rabunki, i nieustanna groza śmierci czyhającej na każdem miejscu i o każdej porze. Jednym cmentarzem stała się wieś, że strach było patrzeć na ruiny i zniszczenie. Drogi leżały puste, nawet psa nigdzie nie napotkał, ludzie tygodniami nie wyłazili z nor swoich. Tyle ich zobaczył, jak kogoś wyprowadzili na cmentarz, marli bowiem gęsto, zwłaszcza dzieci snęły, jak ptaki, od głodu, od zimna, od chorób wszelakich. Jakby jeszcze mało było mogił i krzyżów na polach, zrytych okopami.

— Snać na zatracenie wydał nas Pan Jezus! — medytował Michał, obrzucając z górki przed kościołem całą wieś, widną jak na dłoni. Stara Marcinowa zjawiła się skądsiś z nowinami i zatrajkotała:

— Wiecie, mój Franek powrócił, przynosi sporo grosza i korzec grochu.

— Niech posieje, Niemce mu niezgorzej zabronują — mruknął urągliwie: zadarł głowę na parę bocianów, kołujących nad kościołem.

— W samą porę przyleciały — zagadała z uśmiechem. — Czeka je robota, tylu dziewkom pomogła wojna... Bieda jeno, że niewiadomo, kaj Niemiec wyjrzy na świat, a gdzie kozak...

Poleciała dalej roznosić nowiny, a Michał patrzał za bocianami, które przysiadły na złomie ściany kościelnej, zaklekotały rozgłośnie i poniosły się na wieś, napróżno wyszukując zwalonego gniazda.

— Nawet ptakom przyniosły krzywdę! Nikomu nie przepuszczają!

— Kazałem na lipę wciągnąć bronę, może się zagnieżdżą, — rzekł ksiądz, stając przy nim. — Od wczoraj latają i skarżą się, aż serce się ściska. Zestrzelili gniazdo biedotom! — szeptał. Stary był, chudy, przygarbiony i prawie w łachmanach, z twarzy bladej patrzyła mu niezgłębiona dobroć i niebieskie, dziecięce, ufne oczy. — Jakże się masz? Zdrowi twoi?

— Bógł zapłać. Spycha się dzień nocą i tak wkółko, — pocałował go w rękę.

— Słyszałeś, w nocy wrócił Franek Koziara. Bóg da, wrócą i drudzy.

— A co tam komu za niewola powracać na nieszczęścia...

—Czemś to nie uciekł, tylko siedzisz, jak kamień?

—Ja?... Gdzież to pójdę i po co?! Mało to swoich dałem wojnie, może ziemię już gryzą. Na tułaczkę nie pójdę... Moja to ziemia od dziada pradziada, jakże mi ją odbieżyć i we świat iść obcy!

— Wiosna ich przygna i rodzona ziemia woła do roboty. Tylko patrzeć jak się wszyscy zbiorą z nawrotem. Nie bój się, na Niemce przyjdzie godzina kary. Mówię ci, człowieku, że Bóg ma więcej, niźli rozdał i nie da ukrzywdzić sprawiedliwego, — wyrzekł z namaszczeniem i podreptał na wieś. Pilno mu było do biedoty, do tych jam i nor, zionących wilgocią, chorobami i nieszczęściem. Opatrznością bowiem stał się dla wszystkich, chociaż sam często - gęsto głodem przymierał i mieszkał w nieopalonej piwnicy.

Zastanowiły Michała księże słowa, obracał je w głowie i rozważał.

— Ziemia woła do roboty! Juści! — Rozejrzał się, jakby oprzytomnionemi oczami. Słońce już wypływało z nad borów, niby złotem jaśniejąca monstrancja, wynosząca się coraz wyżej nad światem. W bladawem jeszcze świetle ożyły czarne, stratowane zagony, zazieleniły się skrawki ozimin i wody szeroko porozlewane zagrały blaskami. Wiosna szła całym światem, i, jakby na przekór szalejącej śmierci i mogiłom gęsto usypanym, posiewała królewską dłonią nowe, bujne i rodosne życie. Armaty huczały ponurym basem, tu i owdzie z pól wytryskiwały słupy ognia, dymów i ziemi, na widnokręgu przesuwały się szare łańcuchy żołnierzy, jadowicie błyszczały stalowe płoty bagnetów, wskroś pól przeciągały nieskończone obozy, czasem naprzełaj po oziminach, leciała kawalerja, czasem rwał się okropny wstrząsający krzyk mordujących się nawzajem i groza twarz przerażała.

Ale wśród tych huraganów człowieczej złości

i zbrodni rodziły się dnie coraz bardziej nagrzane i pod tkliwemi całunkami słońca ziemia zdała się dygotać i prężyć warem wzbierającej mocy; tryskały liście z drzew okaleczałych, zieleniły się pola, zakwitały łąki, a tu i owdzie dzikie wiśnie okrywały się w śnieżne przyodziewy, kaczeńce tkały złotolite kobierce i całym światem przepływał wzmagający się z minuty na minutę nieśmiertelny hymn życia.

Z jam i rumowisk wypełzali ludzie; wylękłe spalone łzami niedoli oczy ze zdumieniem witały słońce i wiosnę; wargi się uśmiechały i nadzieje wstępowały w udręczone serca. Zaroiły się sady, wietrzono pościele, gdzieniegdzie już zadzwoniły dziecinne głosy, nikt już nie potrafił wysiedzieć pod ziemią, raz po raz ktoś przebierał się chyłkiem w pola ku swoim zagonom. Na ogrodach, po miejscach zasłoniętych rumowiskami kopano ziemię i posiewano rozsady. A kiedy któraś z gospodyń wypuściła do sadu parę gąsek, jakimś cudem osalonych, półwsi zbiegło się patrzeć i lubować gęsiorowym gęgotem.

Zasię Michał Kozioł chodził jakby pijany. Po wiele razy w dzień i w nocy wyłaził w pole na zwiady, trawiąc długie godziny na medytacjach. Coś się z nim wyrabiało niewypowiedzianego. Nie mógł całkiem sypiać, wychódł na szczapę, ledwie nogami powłóczył, a nie potrafił usiedzieć na miejscu, takie go żarły ognie niczem nieugaszone. Jakże, trzydzieści morgów jego ziemi czekało — trzydzieści morgów wołało do niego słodkim nakazującym głosem. A on słyszał, czuł, rozumiał i chodzi, szarpiąc się w bezradnej męce. Bowiem z dnia na dzień wyczekiwał aż to przeklęte ptactwo kul przestanie krążyć nad jego polami. Ale wciąż słyszał ich piekielne chichoty, wciąż żelazne szpony rozdzierały mu ziemię i wybijały doły. Pewna śmierć czyhała tam na każdego śmiałka. Dobrze wiedział, ile co dnia wynoszą rannych, ile pod lasem przybywa mogił i krzyżów. A pomimo tego nie wytrzymał wkońcu. Któregoś ranka o świtaniu przykazał Jaśkowi zakładać konia do pługa.

Zastąpiła mu żona drogę z niemałym lamentem.

— Naści głupi! Kaj to jedziesz? Na czystą zgubę!

— Nie twoja sprawa. Wynieś jęczmień na słońce i przeszusz.

— Twoja wola, jeno Jaśka ci nie dam. Ostatni mi został, a ty go na pewną śmierć wystawisz. La Boga, ludzie ratujcie! — zapłakała żałośnie.

Nie dał się i, nie zważając na jej płacze i prośby, ruszył z chłopakiem w pole. Prawie pod samym lasem leżało kartoflisko, które chciał zaorać pod jęczmień, tam właśnie, gdzie najczęściej padały pociski. Stanął nieustraszenie na zagonie, przeżegnał się, lejce zarzucił na szyję. Jaśkowi kazał prowadzić konia przy pysku, by się nie strachał strzałami, ujął pług mocną dłonią i zaczął oraz. Dojechał końca zagonów, zawrócił i kładł skibę za skibą równo i spokojnie, nie bacząc na strzały, na niedalekie wybuchy. Orał zawzięcie z lubością wpierając bose nogi w wilgotną, chłodną ziemię, radośnie patrzył na lśniące tłuste skiby. Rzeźwy a ostry zapach ziemi upajał go niby kadzielne dymy w czas podniesienia. Hej, co mu tam wojna i kule! Swój własny zagon orze, pod chleb uprawia rolę, jak jego ojce i dziady robiły, jak wnuki robić będą. Szczęsny spokój przepełnił mu duszę. Pan ci on jest nad pany, gospodarz prawy i wierny, posłuszny swej świętej ziemi.

Cichość się w nim rozrosła ogromna — cichość pełna tajemniczych wiośnianych poczynań i marzeń, jako w tej ziemi rodzącej.

— Tatulu, strzylają! — wołał niekiedy Jasiek, trwożnie zezując na strony.

— Nowineś rzekł, niech se strzylają! Co nam do tego. Weź no krócej kobyłę, bo się jeszcze stracha. Wio! maluśka. Karemi toby się było zaorało do wieczora. Mój Boże, co się to z nimi stało?!

Już piąty zagon doorywał kiedy przyleciał z krzykiem jakiś oficer.

— Człowieku, czyś ty rozum stracił? Uciekaj, bo cię zabiją...

— I... przecież nie do mnie strzylają. Komu straszno, niechże se ucieka, mnie pilna orka wypadła. Ja ta na swojem siedzę! — dodał z naciskiem.

I orał dalej, nie bacząc na coraz gęstsze strzały i dzikie bitewne wrzaski, wybuchające z poza lasu; nie zeszedł z roboty aż o właściwej porze.

Nazajutrz już parę pługów ukazało się na polach, a Józefowa, której chłopa wzięto do wojska, woziła krową nawóz pod kartofle.

— Jaka to gospodyni — chwalił ją Kozioł — i kupy akuratnie usadza. Drugie to jeno umieją się żalić a lamentować.

Kończył już orać, gdy przyleciała z wrzaskiem Tereska.

— Gospodarzu, a to Sikorę rozerwało z pługiem i koniem!

— Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie — wyszeptał, obcierając uznojone czoło. — Co Pan Jezus komu przeznaczy, to go juści nie minie. Wio, popędzaj, Jasiek, musim doorać.

A nazajutrz o świtaniu również stanął do roboty, stanęli i drudzy zachęceni jego przykładem, że na polach w kurzawie płomienistych wybuchów, pod gradami kul nieustannie świszczących zaroiło się od ludzi. Niejeden kurczył się w sobie, żegnał, pacierze odmawiał, czasem trwożnie umykał z głową, gdy pocisk niżej zawarczał, ale z palcu nikt nie uciekał.

Nicto, iż drugiego dnia przywlekli z pola starą Marcinową ciężko poranioną, że tegoż jeszcze dnia Nawrockiemu oberwało nogę, a chłopaka Koziarów poszarpało na strzępy.

Nie powstrzymało to pozostałych.

Jeno wzmogły się ciche płacze głuchą nocą, jeno żałosne lamenty rodzin pokrzywdzonych

zakwiliły rzęsiściej pod rozwalonym kościołem — zasię reszta zarówno chłopi, kobiety, dziewki jak i wyrostki wychodzili nieustraszenie na robotę.

Kto padł, po tym mówiono pacierze, a pozostali niby żołnierze świętej sprawy stawali w karnym ordynku posłuszni nakazowi ziemi.

Robili, co robić byli powinni.

Wypadło oddać tej ziemi ostatek krwi i dech ostatni, oddawali ze spokojną rezygnacją.

Próżno sam proboszcz z dobroci serca ostrzegał i powstrzymywał.

— Niedość, że zabiją, ale i z roboty nic nie pozostanie, stratują i zniszczą.

— Śmierć robi swoje, a ty chłopie rób swoje! — odparł na to Michał Kozioł i wyjechał z pługiem na rolę; drudzy też nie posłuchali jegomości.

Na nieszczęście, bitwy wzmagały się z dnia na dzień i takie huragany pocisków rwały się po polach, że roboty w dzień przy słońcu musiano wreszcie zaprzestać. Niepodobna się było pokazać na świecie.

Wieś zaległa w jamach i dołach, ponuro nasłuchując piekielnego warkotu armat, lecz skoro jeno zmroczało na świecie, wszyscy stawali do przerwanych robót. Kto jeno żył, ruszał w pola. Od zmierzchów do pierwszych świtań, wrzała wytężona, gorączkowa praca.

Przyświecały im krwawe łuny pożarów, wybuchy granatów i przemglone gwiazdy.

Michał Kozioł zaraz z wieczora zniósł worki z jęczmieniem na swoje zagony i zabrał się do siewu. Przepasany białą płachtą, kolebiąc się z boku na bok, rozsiewał zboże półkolistym, błogosławiącym ruchem.

Jasiek bronował.

Noc była szara, mętna i często rozdzierana błyskawicami wybuchów. Niekiedy brzęczały kule, niekiedy ogromny grzmot wstrząsał powietrzem i słupy ognia buchały w niebo, a czasem blade, straszliwie wytrzeszczone oczy reflektorów spadały na pola i, mknąc cicho po zagonach, szukały uporczywie i długo. Wtedy, w owem widmowem świetle jawiły się przygarbione sylwetki ludzi, zwarte wody i czarne fałdy ziemi. Zasię potem, w miejsca, tknięte tem piekielnem spojrzeniem, biły długo i z nienawiścią bomby i szrapnele.

Michał Kozioł nie zważał na nic, co się wyrabiało dokoła, spieszył się jeno i już dosiewał trzeciego zagona, gdy naraz zakręcił się w miejscu i przysiadł w bróździe. Straszliwie zabolały go piersi, ledwie dech poradził złapać, ból rozrywał mu żebra, nie jęknął jednak i, przywoławszy Jaśka, oddał mu płachtę ze zbożem i rzekł cicho:

— Dosiej, synu... jakoś me zamroczyło... wytchnę zdziebko.

Jasiek posłusznie zastąpił rodzica i siał tym samym ruchem siewców całego świata, tak samo, jak ojciec, kolebiąc się ze strony na stronę, siał równo, akuratnie, cierpliwie i spokojnie.

Michał Kozioł spoglądał za nim uważnie i długo, ale nagle, jakby go ogarnęła senność... chciał się zerwać... chciał coś wołać... wytężał oczy... noc mu przysłaniała wszystko... noc gasiła światłości...

Chłopak był coraz dalej... już cieniem się wydawał... nikłym, dalekim cieniem, a każdy grzmot armatni uderzał go prosto w serce, rozrywał na ćwierci, zabijał...

Naraz Kozioł sprostował się, coś zabełkotał, rozkrzyżował ręce i padł twarzą w czarną, spulchnioną ziemię, jakby w matczyne miłujące objęcia.

A Jasiek siał niestrudzenie.

ALEKSANDER PINIŃSKI

DO ZIEMI OJCZYSTEJ

Ziemio ty nasza, biedna ziemio szara,
Dla innych brzydka, a dla nas tak droga!
Wróg nam cię wyrwać od wieków się stara,
Choć tyś od wieków nam dana od Boga!

Ziemio ty nasza! w tobie ojców kości,
Krew w tobie żyje, co za cię spłynęła,
Z ciebie niech bije wciąż źródło miłości
I chęć się rodzi do Bożego dzieła!

O, ziemio nasza, niechaj twoje syny
W tej krwi i kościach mają posiew błogi,
Na pracę twardą i na wzniosłe czyny!
Niech z obowiązku już nie zbłądzą drogi...

W pomyślnej doli, czy w trudnej potrzebie
Niech będą wierni, póki ciebie starczy!
Bo biada temu, co na twym wzrósł chlebie,
A gardzi tobą, lub tobą frymarczy!

O ziemio, ziemio, wspólny ty nasz grobie,
Wspólna mogiło! żywe pokolenia
Niech mają twierdzę niepożytą w tobie,
I w tobie siłę swojego ramienia.

Siłę miłości, nadziei i wiary
Wzmagaj ty, ziemio, rodzicielskiem tchnieniem,
By w czyny rosły szlachetne zamiary!
Tak bądź narodu ciągłem odrodzeniem!

Wstęp

W setną rocznicę narodzin pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego, prezentujemy naszym Czytelnikom oryginalne materiały z tygodnika ilustrowanego dla młodzieży „Iskry" z dnia 25 maja 1935.

Uważając, że tak teksty jak i zdjęcia posiadają już dzisiaj wartość historyczną, podajemy je w takim układzie i kolejności, jak zamieścił je wówczas ten tygodnik. Nie zmienialiśmy również pisowni z przed reformy gramatyki, uważając, że ma ona dzisiaj również już swój urok.

Redakcja
Kalendarza Związkowego

ISKRY



Ś. P. MARSZAŁEK POLSKI JÓZEF PIŁSUDSKI
† 12 maja 1935 r.

ORĘDZIE PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Do Obywateli Rzeczypospolitej.

Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył!

Wielkim trudem swego życia budował siłę w narodzie, genjuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli Państwo wskrzesił. Prowadził je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą. Za ogrom Jego pracy danem Mu było oglądać Państwo nasze jako twór żywy, do życia zdolny, do życia przygotowany, a armję naszą — sławą zwycięskich sztandarów okrytą.

Ten największy na przestrzeni całej naszej historji Człowiek, z głębi dziejów minionych moc swego ducha czerpał, a nadludzkiem wytężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał.

Nie Siebie tam już widział, bo dawno odczuwał, że siły Jego fizyczne ostatnie posunięcia znaczą. Szukał i do samodzielnej pracy zaprawiał ludzi, na których ciężar odpowiedzialności z kolei miałby spocząć.

Przekazał narodowi dziedzictwo myśli o honor i potęgę Państwa dbałej.

Ten Jego testament, nam żyjącym przekazany, przyjąć i udźwignąć mamy.

Niech żałoba i ból pogłębią w nas zrozumienie naszej — całego Narodu — odpowiedzialności przed Jego Duchem i przed przyszłemi pokoleniami.

Prezydent Rzeczypospolitej

Warszawa — Zamek, dnia 12 maja 1935 roku.

I. MOŚCICKI.

ODEZWA MINISTRA W. R. i O. P.

Młodzieży!

Marszałek Polski, Józef Piłsudski, nie żyje!

Brak słów dla wyrażenia ogromu bólu w którym pogrążyła się cała Polska.

Okryci kirem żałoby, winniście dowieść, młodzi obywatele, że olbrzymia praca dziejowa ukochanego Wodza i Nauczyciela Narodu, że nadludzki wysiłek Jego ofiarnego bez granic życia utrwalił się także w waszych duszach mocną i zdecydowaną wolą dźwigania nadal dzieła budowy siły i znaczenia Polski.

Znaliście i kochaliście Marszałka Piłsudskiego nietylko jako swego Wychowawcę, lecz jako najlepszego Przyjaciela Młodzieży.

Postać Jego pozostanie dla was i przyszłych pokoleń symbolem honoru i wielkości Polski.

Polecam we wszystkich szkołach odczytać orędzie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, na budynkach szkolnych wywiesić chorągwie państwowe, opuszczone do połowy masztu, a młodzież szkolną wzywam do okrycia kirem odznak szkolnych na czapkach, beretach i rękawach.

(—) Wacław Jędrzejewicz.



Ś. P. MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI
5.XII 1867 — 12.V 1935.

JÓZEF PIŁSUDSKI

1867 — 5 grudnia urodził się w Zułowie w powiecie święciańskim.

1884 — utracił Matkę, którą kochał bezgranicznie.

1887 — skazany został na pięcioletnie zesłanie na Sybir za prace konspiracyjne.

1892 — powrócił z Sybiru do kraju.

1893 — wstąpił do Polskiej Partji Socjalistycznej jako „Towarzysz Wiktor".

1894 — 12 lipca wydał pierwszy numer „Robotnika", nowozałożonego organu partyjnego.

1900 — 22 lutego został aresztowany podczas przygotowywania w Łodzi wydania Nr. 36-go „Robotnika".

1901 — 13 maja wykradziony został przez dr. Mazurkiewicza ze szpitala w Petersburgu i pojechał na Polesie, a stamtąd do Krakowa.

1902 — na wiosnę, po pobycie w Londynie, osiedlił się w Krakowie na stałe.

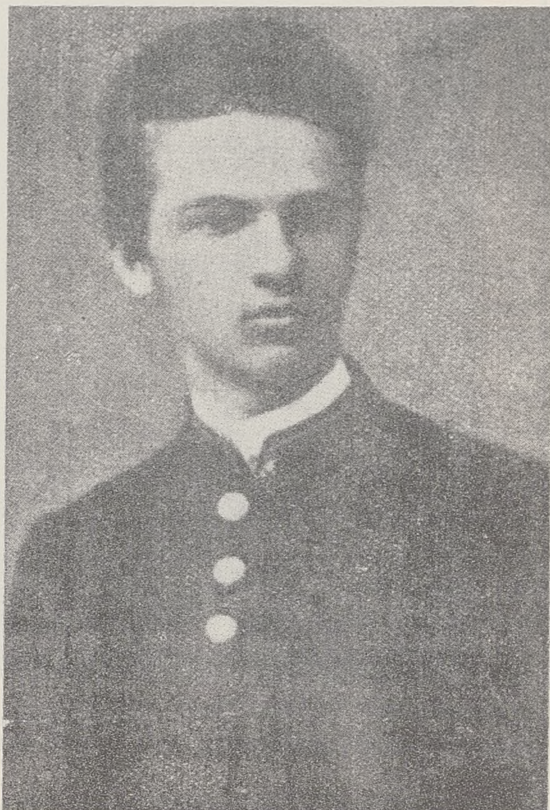
1904 — udał się w maju do Japonji podczas wojny rosyjsko-japońskiej, by otrzymać pomoc do walki z Rosją.

1904 — przygotował zbrojną manifestację 10 listopada na placu Grzybowskim w Warszawie.

Józef Piłsudski jako „Ziuk" z bratem Bronkiem.



Józef Piłsudski jako uczeń gimnazjum w Wilnie.



1908 — w czerwcu doprowadził do utworzenia we Lwowie „Związku Walki Czynnej”.

1908 — 26 września zorganizował napad na pociąg pocztowy na st. Bezdany pod Wilnem celem zdobycia pieniędzy na cele akcji rewolucyjnej.



Józef Piłsudski w Londynie (pośrodku). Pierwszy z lewej strony—dzisiejszy Prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki.

1910 — jako Komendant Główny ruchu strzeleckiego rozbudowywał jawnie polską organizację wojskową.

1914 — 6 sierpnia wysłał z Krakowa pierwsze oddziały polskie do boju o przyszłą Polskę Niepodległą.

1915 — rozpoczął tworzenie w Królestwie Polskiem tajnej organizacji wojskowej, P. O. W.

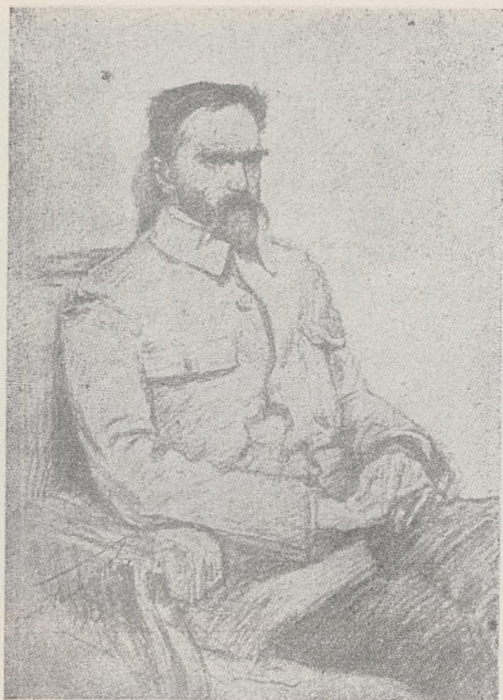
1916 — 26 września otrzymał na własną prośbę dymisję ze stanowiska Komendanta I Brygady.

1917 — 22 lipca został aresztowany przez Niemców za nakazanie Legjonom nieskładania przysięgi zaborcom i został wywieziony do Niemiec.

1918 — 11 listopada przybył do Warszawy z Magdeburga, uwolniony przez rewolucję niemiecką, i po kilku dniach objął tu naczelną władzę.

Józef Piłsudski na czele oddziału strzelców w Zakopanem.





Józef Piłsudski w 1914 roku.

1919 — 20 lutego obrany został przez Sejm Naczelnikiem Państwa.

1920 — 19 marca został obwołany przez wojsko Marszałkiem Polski.

1920 — 16 sierpnia odniósł znakomite zwycięstwo nad Wisłą nad bolszewikami.

1922 — 14 grudnia przekazał naczelną władzę w Państwie obranemu pierwszemu Prezydentowi Rzeczypospolitej, Gabrjelowi Narutowiczowi.

1923 — 13 czerwca wycofał się z życia politycznego i przeniósł się do Sulejówka.

1923 — 28 czerwca został przez Sejm uczczony uchwałą: „Józef Piłsudski jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz zasłużył się Narodowi".

1926 — 12 — 14 maja dokonał zamachu stanu, obalił rząd Witosa i objął władzę w Rzeczypospolitej.

1926 — 31 maja obrany został przez Zgromadzenie Narodowe Prezydentem Rzeczypospolitej, ale wyboru nie przyjął, zadowalając się później stanowiskiem ministra spraw wojskowych i generalnego inspektora armji.

1935 — 12 maja po ciężkiej chorobie, do ostatnich chwil pełniąc trudne obowiązki Wodza Narodu, zmarł.

Józef Piłsudski na czele sztabu I brygady Legjonów w Kielcach w 1914 r.



Z MŁODYCH LAT WALKI

(Fragment powieści „Brat Cierpiący")

ZOFJA REUTT-WITKOWSKA



Józef Piłsudski w 1915 r.

NAZAJUTRZ para maturzystów zawarła cichą sztamę. Zjawili się oboje na śniadanie bardzo wcześnie, wzięli z sobą dużo chleba z masłem i zwiali na cały dzień. Wagarowali, po staremu, po lesie. Z chrzęstem szarego mchu pod stopami, z dostatkiem łochini, czarnych, dużych, mączystych jagód, których bała się stryjna, jak najgorszej trucizny. Jadali też chętnie na surowo piekące żółte kurki, białe chrząszcze, pełne mleka.

— Ty, Leonia, chciałem ci coś powiedzieć. Ty już teraz nie jesteś w szkole i masz czas.

— No?

— Bo widzisz, ciebie Karolina już w zeszłym roku chciała werbować.

— Karolina? kto to jest Karolina?

— Aha, nie wiesz. To ta pani Szarska.

— Jej na imię Karolina?

— Nie, nie, Gabryśka—uśmiechnął się i rozpromienił. — Tylko ona jest obywatelka, zrozum, Karolina. Ona ciebie chce, uważasz, do P.O.W.

— A ty też należysz do jakiejś ligi, czy jak?

— Ano owszem. Też do P. O. W.

— To ty wierzysz w Piłsudskiego?

To więc ta maluśka pani Szarska sprawiła cud, że Witeczek nagle opamiętał się, zajął się nauką i polityką.

— No dobrze, ale co ja tam będę robić w tem waszem P. O. W., czy jak?

— A, to już będziesz widzieć. To grunt, żeby każdy zrozumiał, że Polska ma być przez siebie i dla siebie, uważasz. Tak, jak mówił Garibaldi do Włochów, rozumiesz. Każdy, uważasz, obywatel... — tu zbrakło Witkowi tchu i rozmachu do dalszej oracji.

Łazili pracowicie do wieczora i zgadzali się coraz lepiej na tę jakąś Polskę przez siebie i dla siebie. Zaczęli ją osiągać rytmem włas-

Józef Piłsudski jako Komendant w okopach w 1916 r.





Józef Piłsudski i Komenda Naczelna P. O. W. w 1917 r.

nych kroków, dzwonem własnej krwi. A las pożerał wokół nich polską ziemię, i rósł nią— i oddawał się jej wzamian, cały.

— Wiesz ty, Leoniu. Ty jesteś morus. Z tobą się jest jak z mężczyzną. Bo ty nic za dużo nie gadasz — kończył triumfalnie Witeczek, już zupełnie przekonany, że skaptował Leonię dla swojej ob. Karoliny.

Wagarowanie trwało z dziesiątek dni. Chodziła z nimi nieraz do lasu dobra panna Róża albo jej siostrzeńczyk Wacek. Też grał pięknie na ustnej harmonijce jak Piekut. Miał śliczną harmonijkę z dzwonkami janczarskiemi na wierzchu.

— Ty, skąd masz taką harmonję, co?—spytał Witeczek z miną znawcy.

— A widzi panicz. To jest jeden, co niby handluje takiemi rzeczami, taki niby-moskal. Ja nie wiem, jak to z paniczem mówić: on się nazywa... nazywa się obywatel Bosy.

— Aha, ty jesteś peowiak?—zrozumieli się wlot.

Urosło w lesie nowe kawalątko przyszłej Polski: ten chłopak, za mały jeszcze do szabli, ale śniący ją sobie tak, że zafrasowałby się niemało pan Kościuszko, co osadził kosy chłopskie na sztorc, dziwną sztuką nie przeciw piersi brata, siedzącego na szmacie roli tyle i tyle większym, niż chłopski zagon.

— Paniczu, jak przyjdzie Polska, to będzie, mówią, każdemu równo ziemi, prawda?—martwił się zawczasu Wacek. (Jego matka miała tej ziemi całe dwie morgi po nieboszczyku, a pod młynem też jeszcze parę zagonów po ojcach.

— Tego ja nie wiem. Trzebaby spytać Komendanta, jak to, właściwie, będzie — obracał Witeczek w głowie pytanie, przechodzące siły jego myśli społecznej.

Potem dzielili się z Wackiem chlebem dworskim. I razem przegryzali chętnie psim grzybem.

Któregoś dnia byli z panną Różą w lesie. Wacek pojechał z dziedziczką w stronę tartaków.

— Psiakrew, Niemcy rujnują las! patrzaj!— pokazywał Leoni drzewa, gęsto nacinane i którym upuszczono żywicy.—Taki budulec potem nic wart, powiadam ci!—gniewał się Witeczek, jakby to było jego własne. Jaśnie dziedzic na księżycowych odłogach.

Po powrocie z feryj Leonia zastała z frontu list od Kazimierza. Zwracał się jak w rzadkich, bardzo rzadkich jego chwilach uroczystych, w formie Ty, i która brzmiała odświętnie. Pisał więc:

„..Najdroższy mi dziś fragment dramatu nazywa się walką o Polskę. I ja walczę. I wierzę w Nią. I chcę Jej. Choć są tacy pośród nas, którzy nie chcą. Nie o tych mówię, którzy nie chcą z niedomiaru miłości. Mówię o tych, co nie chcą Jej z nadmiaru kochania i czci dla tej Idei, którą nazwali Polską. Szlachetną i boską. Którzy przywykli żyć Pięknem Dalekiem tak długo, że brak im mocy do życia w pięknie bliskiem. Wszystko bliskie nosi w sobie nieodzowną klątwę walki światła i cienia, jak wszystkie rzeczy, które są. Rzeczy, aktorowie dramatu. Zbliska jedyny Bóg piękny. Pomyśl nad tem, co Ci piszę, Kochana. Jestem szczęśliwy. Współtworzę Polskę z wyższemi siłami, które nieraz wydają się sprzeczne z sobą. Kocham je. I Polskę. I Ciebie. I wszystko, co piękne i dostojne. Pozdrów swoich stryjostwa, ucałuj serdecznie Witka i powiedz mu,

że często o nim myślę, co on kocha? o co walczy?“

Taki to był ten list.

— Jak Boga kocham! ani jednego słowa nie rozumiem. Walczy, panie! kocha, uważasz. Gdzie? co? jak?... Pozdrów swoich stryjostwa, uważasz. Rodzony twój brat, Adelajdo, pisze mi takie coś do smarkatej. Filozof, panie! — irytował się stryj.

Stryjna Ada westchnęła grobowo.

Długie były debaty domowe na temat listu. Lecz najmniej czasu na medytacje miała Leonia. Zapisała się na uniwersytet. I dławił ją problem, jak pogodzić statystowanie w firmie Redlich i S-ka z systematycznem studjum? Prócz tego robiła, co mogła, „dla Szarskiej“, żeby tuszować dyskretnym tym nagłówkiem swoją wielką radość, że robi dla Polski. Chodziło głównie o kolportaż. Skończyło się właśnie z pocztą listów prywatnych, z tamtej okupacji. Została poczta organizacyjna a nadewszystko prasa konspiracyjna: Biuletyn, cenny hektograf o tem, co dzieje się naprawdę, o tem, czego nie uda się nikomu, w żadnej mowie przekrzyczeć formułą *streng verboten*! Pliki bibuły, której tytuł pozostawać się zdawał w tragicznym rozdźwięku z rzeczywistością, lecz zwarł w sobie mocno dynamikę tego, co absolutnie musi się stać: „Rząd i Wojsko!“ Rząd i Wojsko!

Szpakowaty skulony właściciel wytartego płaszcza z pelerynką dygował część tej bibuły do mieszkania Szarskiej.

— Cóż to, obywatelu Bosy, aż cały walec tego i nieporozcinane, co? — zakłopotała się Szarska.

— Czasu nie było w naszym *magasin de modes*. Kapelusze się tam dziś szyje cywilnym paniom, to my sami tu bibułę porozcinamy, Karolino, królowo polska — zahuczał piękny bas obywatela stłumioną falą.

Szarska wynajęła takie mieszkanie na Ś-to Krzyskiej, w drugiem podwórzu, z którego można było kuchnią wydostać się na trzecie podwórze. Tam zaś stała paka na śmiecie, przyparta do muru, skąd można się było w potrzebie dostać na dziedzińczyk realności z frontem od ulicy Wareckiej, gdzie prosperował niejeden lamus pojawów nielegalnych.

Nadeszło kilka młodych peowiaczek. Jedna z kurjerek sprawnie rozsegregowała paczki



Powrót Józefa Piłsudskiego z Magdeburga w 1918 r.

odezw i rozkazów, przeznaczonych dla prowincjonalnych okręgów.

— Ale teraz trzeba, żeby jeszcze i to wszystko razem wsiąkło — zauważyła zwięźle Szarska, pokazując niewiastom świeżo porozcinane pliki „Rządu i Wojska“.

— Połowie to, chyba, już poradzimy. A po drugą się przyśle chłopców.

— Tylko proszę tak z tem kupą nie trzymać się w bramie, bo jak i mnie zasypiecie mieszkanie, to dopiero będzie!

— Ale!

— No, no. Proszę luzem.

Dziewczyny, jedna za drugą, parowały z mieszkania, raz frontem, raz kuchnią.

— Psiamać! już stoi ten gruby!... — syknął mały skaut, wpadając do sieni, zanim ostatnia wyszła.

— Oh! — Bosy zarzucił na chłopca swój płaszcz i poddał resztę bibuły pod ramię, wypychając go w stronę kuchni.

Gruby mały pan w gumowem palcie przyglądał się ciekawie trzeciemu podwórzu, jak turysta w Alpach pięknemu krajobrazowi.

Gruby pan nasycił się widokiem podwóreczka, zawrócił, i po chwili dzwonek rozległ się w przedpokoju. Gdy szpicel rzucał uprzejme *Gutenabend*, drzwi kuchni zamykały się już za chłopcem. Uwięziona zaś kurjerka czytała nagłos z gramatyki niemieckiej: *Der Löwe, des Löwen, dem Löwen...*

— Ja, das ist nun die schwache Deklination— ciągnął stentorowym, pełnym barytonem ob. Bosy w progu kuchni, gdzie Leonia obierała kartofle.

Okrągła rumiana twarz szpicla zajrzała do pokoju.

— Ach, Verzeihung... ich hätte gemeint... — Oczy grubego pana ślizgały się uważnie po ubikacji, drzwiach, oknach. — Nein, ich habe mich geirrt: es wohnt hier doch kein gewisser Herr Kohler... nein, nichtwahr? Ach, du mein lieber Himmel, die Änlichkeit des Eingangs hat mich sicher getauscht! Gutenabend. Verzeihung — przedłużał swój monolog, wycofując się zwolna przedpokoikiem, słabo oświetlonym.

Szarska odprowadzała gościa w milczeniu ku drzwiom. Z pokoju zaś grzmiał za nim rycerski baryton: *„Jetzt aber dekliniren Sie mir, bitte: der junge Löwe, ja!"*

— Hę? — zagabnęła Szarska, stając po chwili przed gorliwym korepetytorem.

— A, zauważyli ruch.

— Jutro ma tu być ON, wiecie?

— Rano?

— Rano.

— To nic: Im, ślamazarom, do głowy nie przyjdzie, że macie odwagę robić zebranie tuż po takiej wizycie. Niemcy to tchórzliwe insekta, obywatelko Gabrjelo.

— Lecz i mnie czas wślad za moim przyjacielem-skautem. Ale ja pójdę naokoło. Bonsoir, mesdames. — I drzwi zamknęły się za ob. Bosym.

— Słuchaj ty, Szarska. Jabym się jednak bała takiego typu. Czy on sam nie szpicel jaki, co?

— A, bójże się Boga, co ty gadasz. Dynamit szwarcował jeszcze het, za carskich czasów. A jaki to łącznik! Wszędzie go poślij z językiem. Wszędzie się dogada.

— Ba, że wygadany, to tak. Dziwny, dziwny ktoś — zamyśliła się Leonia.

Nazajutrz więc rano, przy niedzieli, tkwiła w kuchence Szarskiej. W prowizorycznej małej pralni paszportów. Trzeba było przyswoić sobie technikę tej chemicznej roboty: w sam raz dla „przyszłej Curie-Skłodowskiej", żartowała z siebie słówkiem stryja. Oto macza się w nadmanganianie, a potem roztworze soli szczawikowej—do czysta. Następuje roztropne stosowanie części zużytych: stempli, fotografij.

Rozległ się dzwonek i przyszło frontem dwu mężczyzn. A potem rozległo się pukanie do drzwi kuchenki i przyszło jeszcze dwu mężczyzn. Otwierała tu i tam Szarska.

A potem rozległ się znów dzwonek. Leoni serce zabiło na dźwięk tego dzwonka, jakby to było larum, na które wgłos odpowiada wszystko najcenniejsze w człowieku: „Żyć!"

Rozmowa przelewała się za ścianą arytmją fal krótkich, spienionych pośpiechem. Słońce rozjaśniało wielką połać tej bielonej ściany. Oparło się o ciemne drzwi, co dzieliły kuchenkę od pokoju. Urosło na nim wibrującym wykrzyknikiem blasku, odbitego od jakichś szyb na podwórzu. Serce Leoni wybiegało wciąż poprzez te drzwi, poprzez tę ścianę, jakby koniecznie miało nastąpić coś, co nie jest w programie i porządku rzeczy: w fizycznym porządku rzeczy nazywał ten ład ob. Bosy w przeciwieństwie do duchowego ładu.

Bogumił Kowalczyk opiewa papier na stoliku przed Leonią. Z tego będzie *Bogumiła Kowalczykówna* z twarzą Marji Stawiskiej. Bosy ma rację, ich *Feldpolizei* to same kapcany, to nie to, co żandarmi carscy!... A wtem drzwi pokoju otworzyły się. Leonia porwała się na równe nogi.

W drżącym refleksie nieznajomych szyb stał ON i patrzył. Leonia patrzyła też. Wmocowała się w niego oczyma. Łamało się w niej zdumienie z urokiem oczu, które nie uśmiechały się, pozostały groźne naporem myśli, wytężonej ku temu, co trzeba stworzyć. Zato usta rozjaśnił filuterny uśmieszek. Leonia poczuła się wtem, jak dziecko, które dostało po łapach za wścibstwo. Zaczerwieniła się, gdy spytał najzwyczajniej pod słońcem:

— Dobrodzika ma tu jakiś kubek? szklankę?

Leonia rzuciła się ze szklanką do wodociągu.

— Ale, zaraz! — Rozkręcił kurek i czekał chwilę, aż przypłynie zimniejsza. — Teraz będzie dobra. — Uśmiechnął się znów: do tej

swojej dobrej wody w źle przetartej szklance, do stropionej, biednej, małej Leoni.

— Cześć! — Nałożył czapkę w sionce kuchennej.

— Cześć! — odkrzyknęła Leonia.

I raz jeszcze łowiła Jego oczy przez szybę kuchni, gdy przechodził mimo. Zatrzymał się pod oknem parę sekund. Zasalutował. I rzucił pobłażliwy, łagodny uśmiech.

— Czy obywatelka jest jutro na Ś-to Krzyskiej? — pytał w tygodniu ob. Mroczek.

— Rozumie się.

— Mnie nie będzie. Ja mam zbiórkę. ON będzie do wszystkich gadał sam, wiecie!

A wtem uciął swą radość i spojrzał na Leonię zukosa. Przypomniała mu się niedziela, gdy ona widziała Go w kuchni, kiedy pił wodę. A popołudniu opowiadała mu o tem burzliwie:

— A... Jezus Marja! A! Marcelek... żebyście oglądali tak, oko w oko... Całą Polskę!

Pierwszy raz widział ją taką. I wszystko mu się nie podobało.

— Gadajcie. Takiego spojrzenia mieć nie może nikt inny, tylko posłannik od Boga do narodu. Rozumiecie to, Mroczek? Mój stryj tego nie rozumie. Ale to już trudno.

Potem nadszedł czas klęski. Lecz że i klęska nie jest rzeczywistością nieodwołalną pod słońcem, na horyzoncie domu zabłysła niebawem kometa dobrej nowiny: zjawił się Kazimierz, uciekinier z Benjaminowa. Do skóry osmyczony, wygolony, z paszportem na imię Władysława Lenczewskiego. Dzień powitania trwał niedługo, bo Lenczewski został wkrótce tajnie odkomenderowany do Małopolski. Najciekawsze z jego powieści o przeżytem było, co następuje:

— Nie umiem wam oddać słowem, jak piorunujące wrażenie zrobiło na mnie odmówienie przysięgi. Zbiorowy gest świadomości polskiej w naszym żołnierzu. Te próby, niczem w bajce: kto przysięga, przechodzi na drugą stronę dziedzińca! Na lewo zwrot. Stoją chłopcy kamieniem. Ci więc znów kuszą do złego,

Józef Piłsudski jako Naczelnik Państwa w 1920 r.
Siedzi nuncjusz Ratti (obecny Papież Pius XI), Herbert Hoover (późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych), stoi Ignacy Paderewski, za nim Stanisław Wojciechowski, późniejszy Prezydent Rzeczypospolitej.





Marszałek Józef Piłsudski z Rodziną w Druskienikach w 1924 r.

nałamują serce, aż im samym tchu brak. I znów, dla odmiany: kto przysięga, zostaje po tej stronie dziedzińca! Trzask, ruszyli ławą. Echo tego marszu zbiorowego człowieka do Polski...

Kazimierz bladł i ocierał zroszone czoło.

— Trudno mi to dokładnie odtworzyć, jak było. Dość, że siedzimy w sześciu chłopa, każdy na swojej pryczy. Wkuliłem się w jakiś kąt, między ścianę a piec, niegdyś bielony. Wparłem głowę w ten kąt. Szło przez nią jeszcze, widać, echo marszu... Miałem chwilę wrażenia, że lecę w ciemność... że niema, niema dna. Potem odbiłem się, jakby od jakiejś zapory i wracam, przez tę ciemność znowu, niby mała, bardzo świecąca iskra żywego blasku. Gdy ocknąłem się po raz drugi, w uszach miałem jeszcze szum, echo marszn. W ustach gorycz. W oczach majową, jasną świeżą zieleń, rodzaj blasku, refleksu pięknej pogody w czwartym wymiarze. Znam to zresztą skądinąd — szepnął. — Kiedy ocknąłem się po raz drugi, ujrzałem wkoło siebie towarzyszów więzienia, z zaciekawieniem spoglądających na mnie, to na bielony piec. Na piecu, patrzę, rysunek: idzie legun, zwyczajny piechur, wielkim krokiem rżnie przez kamieniste pole. A tam, z obłoków kosmicznych, spływa już Polska. To było ciekawie zrobione, ta Polska z orłowemi skrzydłami, w bajecznym kasku walkirji, powtarzającym ten motyw orlich skrzydeł. Przecież ja, powiadam do chłopców, nie umiem tak rysować. A takeś rył po tym piecu opałkiem drzewa, powiadają mi, żeśmy się wszyscy zlecieli patrzeć, co z ciebie za taki majster!"

— No i co z tym rysunkiem?

— Ano nic. Został na piecu.

— Nie umiałeś go skopjować?

— Ale gdzietam!

— Szkoda — pożałowała Leonia owej Polski w kasku walkirji.

Nie zauważyła nawet, że ją mało zadziwia sam fakt wybuchu zatajonych możliwości artystycznych u Kazimierza. Kazimierz wydawał jej się od dziecka chodzącą możliwością wszelkich niepodobieństw.

— Od tej pory nic tak nie rysowałeś?

— Nie.

— Mam wrażenie, że jeszcze narysujesz.

— O tak. Wiem.

Ale narazie wyjechał i nic nie narysował.

Wrócił, nagle i niespodziewanie, po długich miesiącach. Wrócił z wieścią, że wraca też ON.

— Jestem u was, jako ten Jan Chrzciciel. Prostujcie się na baczność, gotujcie się! A tymczasem gotuj nam, Bosy, herbatę!"

— Da. Mówił to wasz dobry pisarz, Sieroszewski, że będzie tak, jak w r. 1848: rewolucja w Niemczech otworzy więzienie polskiemu leaderowi. Da zdrawstwujet swiatiejszaja Rewolucja! Rosja... Rosja moja, święta Ruś, ona przyjęła na siebie męczeństwo rewolucji za grzechy starego świata. Jak dawniej Francja.

Nalewał herbatę, dudniąc ciężkim basem żałobnego marsza rewolucjonistów:

Wy żertwami pali w borbie rokowoj...

— Tak, pewne organizmy społeczne padają ofiarą Pojutrza, tak samo jak pewni ludzie,

ZE WSPOMNIEŃ O MARSZAŁKU

IRENA LASKOWSKA

ŚMIERĆ wraz z uczuciem bólu budzi w pamięci ludzkiej wspomnienia, z osobą zmarłego związane. Są one cenną spuścizną, dobrem, którem dzielić się z innymi trzeba zarówno z pobudek altruistycznych, jak i osobistych. Któż z nas bowiem potrafi oprzeć się pokusie wywoływania chwil jasnych z przeszłości, rzucania na ekran pamięci scen mniej lub więcej wzruszających... A gdy łączą się one z wielkiem Imieniem — na utrwalenie zasługują.

* * *

Ogólnie wiadomo, że zdrojowisko Druskieniki było ulubionem letniskiem, w którem Marszałek spędzał przez lat szereg po kilka tygodni, zażywając kąpieli i wypoczynku. Na tle pięknej, bujnej przyrody, przypominającej Mu dzieciństwo, odżywały zapewne najdroższe sercu Jego wspomnienia i sprowadzały na marsowe oblicze wyraz pogody i beztroski. Ta właśnie beztroska, znajdując ujście w gronie ludzi, szczerze Marszałkowi oddanych, a nieurzędowych, pozwalała Mu wraz z odrzuceniem szaty oficjalnej, przedzierzgnąć się w człowieka tak prostego i skromnego, jakim tylko ktoś wielki być potrafi.

W kronice druskienickiej specjalnie upamiętnił się rok 1924 jako pierwszy z kolei i zarazem najintensywniej z osobą Marszałka związany. Zgotowane wówczas przez zdrojowisko przyjęcie miało charakter całkiem spontaniczny, daleki od szablonu, a tem samem najwięcej odpowiadający Jego usposobieniu. To też dobrze się czuł Marszałek w skromnym domku, zielenią spowitym, a gęstym żywopło-

---

gdy bije godzina uroczystych bojów na zegarze świata stworzonego. Wam zato lżej będzie przeżyć te konieczne boje. Bóg z wami.

11 listopada znaleźli się wszyscy przed dworcem głównym. W szary dżdżysty świt. Witek zaaferowany był mocno tem, kto zajeżdża i wcale nie chciał stać pod wielkim parasolem śp. Szarskiego.

— Ale dlaczego tak mało ludzi?! Nas z pewnością nie puszczą na peron!

— Mało ludzi? Od tygodnia biegają tłumy to na dworzec, to na rogatkę. Zawsze tak: najmniej asysty, kiedy słowo się ciałem staje. I słusznie tak, panowie — prostował się Bosy w wyświechtanych majestatach swego płaszcza.

— Ależ jaki ten Bosy wielki, jaki strzelisty! — zadziwiła się Leonia. — Jak to on potrafił się tyle czasu kulić i robić z siebie niedźwiedzia.

— Niech żyje! — zakrzyknął maleńki oberwus, właśnie taki, co pilnie sprzedawał Dwugroszówkę.

— Czego się ty, Antek, rozdzierasz?

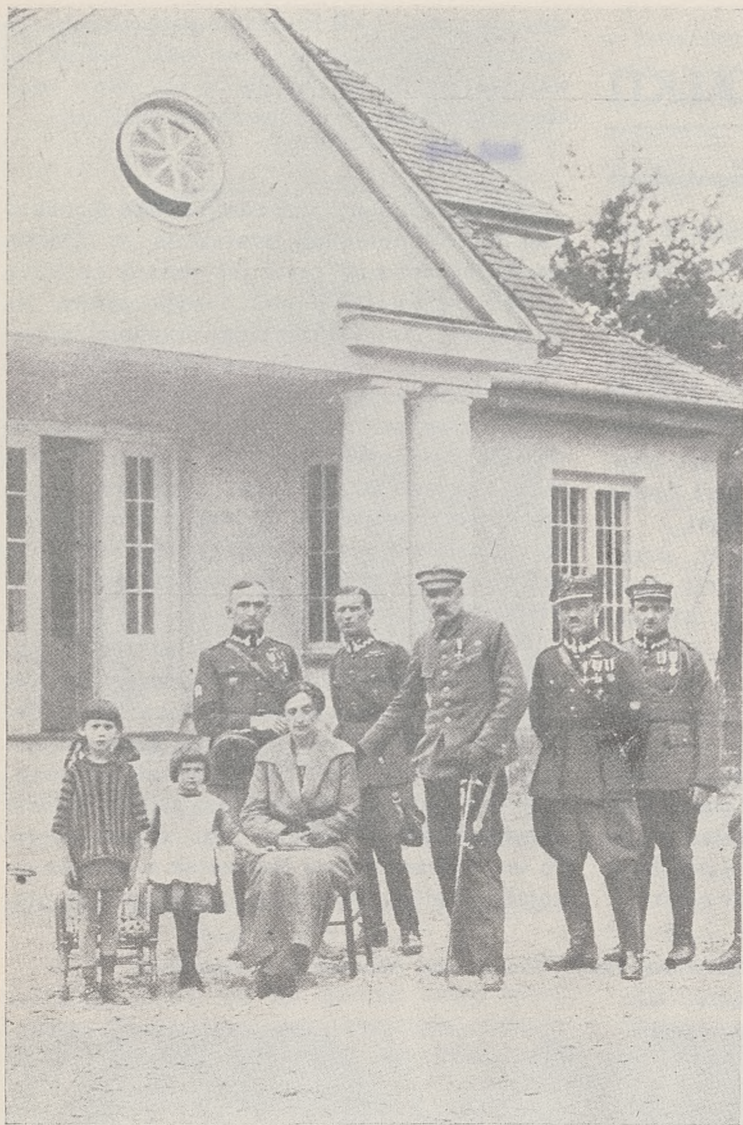
Ale na schodkach dworcowych stał już On. I rozglądał się po garstce swoich: żywi, przyszli.

— Jakże okropnie mizerny! — tłukło serce Leoni bólem i radością tych, którzy przyszli.

KONIEC.

Marszałek Józef Piłsudski nad Niemnem w Druskienikach.





Marszałek Józef Piłsudski z Rodziną w Sulejówku w 1925 r.

uroczysta, coś w rodzaju inauguracji, z przemówieniem, wygłoszonem drżącym głosem przez zarządzającą kasynem, i z muzyką fortepianową, przygodnie zaimprowizowaną. Przemówienie, nacechowane nielitościwą tremą, spowodowało litościwy uśmiech na twarzy Marszałka — muzyka zaś skłoniła Go do wyznania pianistce swej małej w tej dziedzinie kompetencji. O ileż milszy taki dowód szczerości od zdawkowego komplementu!

W odpowiedniej chwili dyrektor zdrojowiska zaprosił Marszałka i panią Piłsudską do osobnego gabinetu na lody. Dało to asumpt Marszałkowi do żartobliwego wynurzenia: „Może być deser bez obiadu, ale obiad bez deseru — nigdy". Nadzwyczajna była ta uczta, spożywana w szczupłem gronie kilku zaledwie osób, w bezpośredniem sąsiedztwie Wielkiego Człowieka.

Parę godzin minęło na słuchaniu opowiadań o przeżyciach, luźno z wojną związanych. A więc: jak to ulubiona kasztanka manifestowała swój wstręt do huku armat, jak wiele okazywała zrozumienia dla nastrojów swego Pana, a ile wdzięku w defiladach... Jak w pewnej wiosce na linji frontu mały kotek — widać intuicyjną ufnością do Komendanta wiedziony — szukał schronienia w Jego polowej kwaterze... Błahe pozornie szczegóły nabierały dziwnego powabu pod wpływem niezwykłego daru słowa. Personifikcja zwierząt przypominała Kiplinga. Kasztanka nabierała cech kobiety i to z najlepszego towarzystwa. Kotek stawał się podobnym do małego, bezbronnego, przerażonego dziecka.

Na zakończenie usłyszeliśmy zabawne zdarzenie, zakrawające na anegdotkę. W miejscowości, opuszczonej przez całą ludność, pozo-

tem akacjowym odgrodzonym od chodnika i ciekawych spojrzeń przechodniów. Tych ostatnich zresztą było, na szczęście, niewielu, gdyż Druskieniki, mocno przez wojnę zniszczone, ledwie się zaczęły odbudowywać.

Otwarcie kasyna w „Katrywilli", ocalałej z pożogi wojennej, było jakgdyby aktem zbliżenia na gruncie towarzyskim Dostojnego Gościa z gronem osób, okolicznościowo wybranych.

Pamiętny wieczór lipcowy rozpadł się jakgdyby na dwie części. Pierwsza była nieco

DWA SPOTKANIA
1920—1935.

JERZY KARBOWSKI

TOCZYŁY się krwawe boje. Przełomowe dni sierpniowe. Murami stolicy wstrząsał ustawiczny huk armat. Ulice, jakby wyludnione. Czasami zawarczy samochód i w tumanie pyłu skwarnego dnia popędzi dalej—na front.

Częściej przeciągają sznury wozów i zabłoconych samochodów: niektóre z nich pokryte są płótnem, na których zdala już widoczny czerwieni się krzyż.

To ranni.

Jest ich dużo. Wozy i samochody zatrzymują się co chwila przed jakimś domem, gdzie naprędce urządzono punkt opatrunkowy.

W szpitalach niema już miejsca.

Co parę kroków spotkać można biwakujących żołnierzy. Potworne zmęczenie wyziera im z twarzy. Mundury w strzępach.

Odpoczywają, aby za chwilę zerwać się i iść — walczyć.

Jedyni „półcywile" — to straż obywatelska, która objęła posterunki policyjne i pilnuje porządku. Przeważnie są to ludzie, którzy w trzęsących się, starczych, albo dziecięcych jeszcze rękach zdołają zaledwie utrzymać ciężar dwunastofuntowego karabinu. Wszyscy na front.

Hasło to szczególnie wryło mi się w pamięć, gdyż należałem do tych, którzy je rozpowszechniali.

Za młody, aby nosić karabin, a za dumny, aby pozostać w domu, gdy tam w ogniu bi-

---

stała jedna tylko baba, która z podziwu godną obojętnością prała bieliznę, nie zważając na padające wokoło pociski. Na zapytanie Marszałka, czy się nie boi, odpowiedziała: „Przecież to do was strzelają, nie do mnie".

Osobisty urok Marszałka, niezrównanego narratora, kojarzącego w sposobie mówienia staropolski dowcip ze swadą żołnierską — narzuca się myślom naszym z nieodpartą mocą w chwili Jego zgonu i nakształt jasnego promyka rozświetla mroki żałobnego kiru.

KONIEC.

Marszałek Józef Piłsudski na defiladzie w 1927 r.





Marszałek Józef Piłsudski z Rodziną w 1930 r.

twy „otrzymują chrzest“ na obywatela starsi zaledwie o lat parę moi współtowarzysze — zaciągnąłem się do t. zw. służby pomocniczej.

Było nas „odrzuconych“ w braku kwalifikacyj „metrykowych“ — kilkunastu.

Cała nasza praca polegała na tem, że zastępowaliśmy w sztabie kancelistów żołnierzy, których powołano na front.

Był to trud nielada dla nowicjuszów w zawodzie biuralisty, aby pod odpowiednią rubryką w dzienniku „przychodzącym“ i „odchodzącym“ wciągnąć, zapisać jakiś akt. Ciągłe z tego powodu mieliśmy zatargi z naszym szefem, prawdziwym żołnierzem, który z racji swych ran, niewygojonych jeszcze zupełnie, pozostać musiał w sztabowej kancelarji.

Klął więc siarczyście na taki los, a jego zły humor odbijał się przeważnie na nas.

— Smyki, piecuchy, koszulę w zębach nosić — oto była zwykła, codzienna muzyka, do której wkońcu przywykliśmy.

Wszakże w duchu przyznawaliśmy mu rację.

Bo jakże. Tam się biją za Polskę, tam przeżywają cudne chwile nasi koledzy, — a ty, człowieku, ślęcz nad aktami.

Więc też pewnego razu kilku z nas, nogi „za pas" wziąwszy, drapnęło z kancelarji, postanawiając usługi swe oddać innej, bardziej nam odpowiadającej pracy.

Los skierował nas do t. zw. propagandy wojennej. Podzielono nas na grupy, z których każda otrzymała po kilkaset odezw i broszur, aby rozrzucać je i nalepiać, gdzie się dało, i zachęcać innych do wstępowania w szeregi. Odezwy nalepiało się na murach przeważnie wczesnym rankiem. Wyjeżdżaliśmy też często na prowincję. Mimo, że ładowano na nas, jak na dromaderów, każdy był dumny, że choć w ten znikomy sposób przyczynia się do odparcia najazdu wroga, przysparzając Ojczyźnie obrońców.

Jedna zwłaszcza odezwa, nawołująca do szeregów, wbiła mi się w pamięć. Wśród pękających granatów, na czerwonem tle łun, stoi jasna postać Wodza - Komendanta, za nią zaś, zwartym szeregiem, z bronią do ataku, idą: legjonista, student, chłop w świtce, robotnik i kobieta z rozwianym włosem. Był to symbol całej Polski, której bronią pod wodzą ukochanego Komendanta wszyscy jej synowie.

O Józefie Piłsudskim słyszałem i czytałem wówczas dużo.

Kiedy wkraczał do Warszawy na czele Legjonów, witany radośnie przez tłumy, byłem jednym z pierwszych, który porzucił szkołę, aby wraz z innymi widzieć ten wjazd poprzez bramę triumfalną, jaką uczcić pragnęła Warszawa Twórcę Legjonów.

Gdy przyjechał do stolicy w kilka lat potem, już jako Więzień z Magdeburga, byłem świadkiem entuzjazmu olbrzymich tłumów, cieszących się z powrotu Komendanta. Stanął wtedy na balkonie w domu przy ul. Moniuszki i przemawiał. I chociaż mówił cicho, gdyż zmęczony był kilkunastomiesięcznem więzieniem niemieckiem, słychać było dokładnie jego słowa, bo takie uczyniło się skupienie, jak w kościele podczas Podniesienia.

Jeszcze zachowały się w pamięci jakieś strzępy tylko tych słów.

— Polska... Ojczyzna... Wszyscy musimy budować... Pracy ogrom...

I dziwna rzecz. Choć byłem świadkiem niejednych takich wydarzeń, kiedy wzruszonym, czy rozentuzjazmowanym tłumom ukazywała się Postać w strzeleckim mundurze, choć widziałem wiele uroczystości, podczas których Józef Piłsudski odbierał honory, a okrzyk — „Niech żyje!" — zgłuszał szczęk prezentowanej broni, jednak postać Jego nigdy nie stanęła przy mnie. Zawsze Go widziałem poprzez morze głów.

Więc teraz, mając tuż przed sobą odezwę, a na niej portret Wodza, wyobraziłem sobie, że stoję przed żywym człowiekiem.

Prężyłem się też mimowoli i salutowałem przed Komendantem, który za chwilę przemówi, za chwilę wyrzeknie słowo, rzuci rozkaz, a ja, wichrem zapału niesiony, runę w pierwszych szeregach na wroga.

Niestety, co chwila budził z tych cudnych marzeń inny rozkaz. Należało iść i rozlepiać odezwy.

„Wszyscy na front".

* * *

A wkrótce potem powszechny zapał, burza, huragan radości, upojenia.

16 sierpnia o świcie Józef Piłsudski zdruzgotał potęgę wroga tak, że w dwa tygodnie później armja bolszewicka była całkowicie rozbita.

Klęska zupełna i bezprzykładna.

66 tysięcy jeńców, 231 dział i 1023 karabinów maszynowych zdobytych, ponadto 10 tysięcy wozów z amunicją i materjałem technicznym, wiele samochodów pancernych, ciężarowych, lokomotyw, wagonów...

Droga na wschód i na północ stanęła wojsku polskiemu otworem.

Nie wiem, czy historja notuje podobny moment przełomu, podobny zryw z nizin upadku i zwątpienia na wyżyny największego heroizmu i chwały najwyższej. I to wszystko sprawił On — Józef Piłsudski.

Więc też oszalała Warszawa z radości. Muzyka gra, z balkonów powiewają chorągwie, na hełmy zwycięzców sypie się deszcz kwiecia. Olbrzymie tłumy, wyległe na ulice, z tęsknotą wpatrują się w przestrzeń, oczekując

na Tego, który za chwilę przybędzie jako triumfator.

Gwar i szum, jak w wielkim ulu.

Wreszcie po tłumach przelatuje okrzyk:

— Już jedzie.

Prężą się szeregi, odkrywają się głowy, szczęknęły karabiny, schyliły strzępy pułkowych sztandarów. Muzyka zagrała hymn, a z piersi setek tysięcy wyrwał się potężny okrzyk:

— Niech żyje!

I znów widziałem mundur Komendanta, lecz poprzez morze głów. Znikał mi z oczu co chwila, a o przeciśnięciu się bliżej przez zbity tłum, nie było mowy. Zrezygnowany i zrozpaczony, mówiłem sobie pocichu:

— Ach, gdybym mógł Cię zbliska zobaczyć, Komendancie.

* * *

I oto los pozwolił mi zobaczyć Go zupełnie zbliska, ale dopiero po latach kilkunastu. W okolicznościach tragicznych.

Rozdzwoniły się dzwony, pochyliły żałobne chorągwie, na ulice wyległy tysiące, ale nie podniósł się żaden okrzyk.

Marszałek Piłsudski zakończył życie.

Dostąpiłem szczęścia ujrzenia Go. Leżał cichy i spokojny w majestacie śmierci, w chwale narodowej, okryty sztandarem Rzeczypospolitej.

Przed Nim defilowały w skupieniu olbrzymie tłumy, przy trumnie trzymali straż oficerowie i żołnierze.

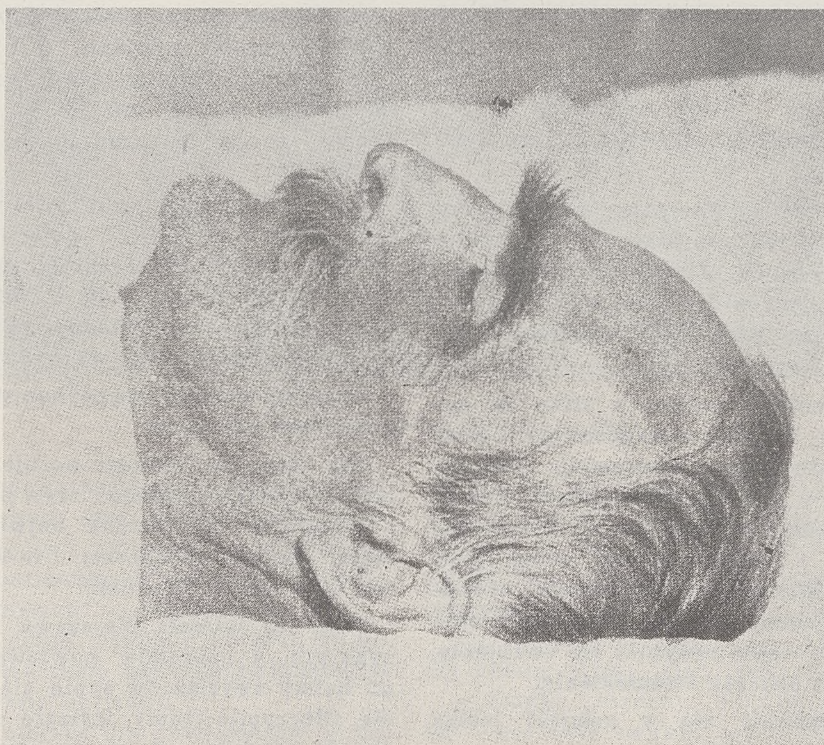
Stanąłem opodal. Nie dzieliły mnie od Niego tłumy, posuwające się w milczeniu z drugiej strony katafalku. Mogłem przez chwilę spokojnie pomodlić się za Jego duszę. I, nie wiem dlaczego, wspomnienia przyniosły mi z oddali lat ten właśnie szczegół mego życia, jak się prężyłem na baczność i salutowałem przed Postacią Marszałka — z odezwy.

Dziwne, doprawdy, są ludzkie przeżycia.

KONIEC.

Być zwyciężonym i nie ulec — to zwycięstwo, zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska. *Józef Piłsudski.*

Marszałek Józef Piłsudski na łożu śmierci.





Ostatni hołd przed Belwederem.



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

1868—1925

100 Rocznica Narodzin

Władysław Stanisław Reymont przyszedł na świat w dniu 7 maja 1868 roku we wsi Kobiele Wielkie, położonej w powiecie noworadomskim, na terenie ówczesnej gubernji Piotrkowskiej.

Ojciec jego, Józef, noszący nazwisko Reyment, ([71]) dzierżawił wówczas we wspomnianej wsi niewielki folwarczek, t. zw. poduchowny.

Matka Reymonta Antonina pochodziła z domu Kupczyńskich.

Lata dzieciństwa przyszłego twórcy nieśmiertelnych „Chłopów" upłynęły w osadzie Tuszyn, oddalonej o dwie mile od Łodzi, dokąd w rok po urodzeniu się Wł. St. Reymonta przenieśli się jego rodzice, podówczas zupełnie biedni, zeszli bowiem w końcu na jednowłókowe gospodarstwo. Smutne były lata dziecięce Reymonta; chował się w gronie sióstr, których było siedem (starszy brat autora „Chłopów" był już w tym czasie w gimnazjum), w zupełnem odosobnieniu od świata i ludzi, bowiem dom Reymontów położony był poza granicami osady, a zarówno Reymontowi jak i jego rodzeństwu nie wolno było, pod najsurowszemi karami, utrzymywać żadnych absolutnie stosunków z dziećmi mieszczan, nawet najbliższych.

Rodzina Reymontów, w myśl odwiecznych tradycyj polskich, słynęła z pobożności i dobrych obyczajów, a przytem ojciec był niezwykle surowy dla dzieci, karząc je za najdrobniejsze nawet przewinienia. To też w domu Reymontów panowała przygnębiająca atmosfera ciągłej obawy przed karami, które młodego Reymonta napawały panicznym wprost strachem.

Mały Reymont był chorowity, matka, więc, starodawnym zwyczajem, ofiarowała go Bogu. Z tego też powodu wpisany był w tak zwany pasek dominikański, w pierwszych więc latach swego dzieciństwa, aż do lat sześciu, chodził w sukienkach, przypominających habit zakonny. Pod wpływem tego stroju oraz głęboko religijnej, otaczającej go, atmosfery, młody Reymont był sam szczerze pobożny, a jednocześnie tkwiło w nim przekonanie, że zostanie księdzem, czego gorąco pragnęła matka jego. W tym też okresie czasu z zamiłowaniem czytywał żywoty świętych Skargi, które umiał prawie na pamięć.

Ojciec Reymonta lubił muzykę, a i sam był bardzo muzykalny. Każde więc z dzieci musiało przedewszystkiem umieć grać na fortepianie, przyczem ojciec sam dawał im lekcje. Lekcje te były prawdziwemi katuszami dla młodego Reymonta, bo ojciec karał surowo za każdą fałszywą nutę. Nigdy też Reymont nie nauczył się grać.

Życie w takich warunkach pozbawione było wszelkiego uroku. Jedyną więc ucieczką przed codzienną szarzyzną były dla młodego chłopca książki, których wuj Reymonta pozostawił w spadku po sobie spory zasób. Książki te mały Reymont skwapliwie czytał, chociaż ojciec bezwzględnie mu tego zabraniał; czytał więc ukradkiem głównie historyczne, bo tych było najwięcej.

Starszy brat Reymonta, przyjechawszy na wakacje z gimnazjum przywiózł ze sobą „Lillę Wenedę" Juljusza Słowackiego. Reymont, który miał wówczas najwyżej sześć lat, zajrzał do tej książki i trafił na scenę Derwida, która tak mocno go zainteresowała, że potajemnie książkę tę zabrał i w nocy, gdy wszyscy spali, przeczytał ją przy świetle księżyca. Ukazała mu ona w całej pełni świat tajemniczy, o którym marzył, którego potem szukał, i który, aczkolwiek częściowo, znalazł jednakże w pobliskim starym parku, należącym do starostwa tuszyńskiego, pełnym odwiecznych alei grabowych, nieprzejrzanych gąszczów i dzikich ustroni.

W siódmym mniej więcej roku życia dostał się do rąk Reymonta Robinson i Walter Scott, po przeczytaniu których pociągnęło go życie fantastyczno-awanturnicze. Uciekł wtedy z domu do swego wuja, który był nadleśnym w olbrzymich lasach starostwa tuszyńskiego i tam z nieco od siebie starszymi chłopcami wuja, całe dni spędzał w lesie na tajemniczych wyprawach, bitwach i łowach. Sprowadzono go do domu przemocą i ukarano z całą surowością, nie mniej jednak Reymont jeszcze z niewygojonemi razami ponownie z domu uciekł, tak go pociągał las i ów swobodny żywot leśny...

W ósmym roku życia Reymont oddany został do szkoły początkowej w Tuszynie, a w następnym roku zdawał egzamin do wstępnej klasy szkoły w Łodzi, lecz nie zdał. W tym samym czasie, mając zaledwie lat dziewięć Reymont zakochał się w 26-letniej pannie. Była to miłość na wiek jego nienormalna, bo ze wszystkiemi cechami dojrzałego mężczyzny. Wówczas to napisał swój pierwszy wiersz na cześć ukochanej, a w ślad za nim opisywać począł różne przeczytane historje wojenne i wyprawy na wzór Cezarowych komentarzy, które posiadał w tłomaczeniu.

Upłynęło sześć lat... Sześć lat wędrówki od szkoły do szkoły, to znów do rzemiosła, a potem do handlu i zpowrotem do szkoły: nigdzie nie mógł dłużej wytrwać, aż wreszcie w 18 roku życia policja rosyjska wydaliła go z Warszawy, skazując administracyjnie na rok pobytu na wsi u rodziców, którzy wówczas mieli się już znacznie lepiej, jako właściciele młyna i kilku włók ziemi przy samej drodze Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej pomiędzy stacjami: Baby a Rokiciny.

Podczas pobytu w domu Reymont nadal pisywał wiersze, spędzając pozostały czas na włóczędze po lasach i polach. Nie wiedział co ma począć z sobą, a okrutna i bezwzględna kontrola ojca, który uważał go za zupełnie straconego, męczyła go niewymownie. Wkrótce też uciekł z domu do Warszawy, lecz został przez policję schwytany i zpowrotem odwieziony do rodziców. Postanowił wówczas wstąpić do seminarjum, ale ojciec sprzeciwił się temu, uniemożliwiając jego plany.

Po krótkim pobycie w domu, kiedy stosunki pomiędzy nim a ojcem jeszcze bardziej zaostrzyły się, Reymont ponownie uciekł od rodziców, lecz tym razem już nie do Warszawy, a do jednego z teatrów prowincjonalnych, gdzie był jego szkolny kolega. Został zaangażowany i przez zgórą rok włóczył się z tym teatrem po różnych miastach i miasteczkach, aż wreszcie i to mu się sprzykrzyło, powrócił więc do ojcowskiego domu.

Dzięki pomocy ojca otrzymał w owym czasie posadę na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, lecz po roku tak mu zbrzydło urzędnicze życie, że porzucił posadę i wyjechał z niejakim Puszowem, spirvtystą, do Wrocławia, gdzie znajdował się wówczas główny kościół spirytystów, aby tam całkowicie poświęcić się pracy w tej sekcie. Wkrótce jednak przekonał się o nicości głoszonych przez tę sektę nauk i wrócił do kraju.

W Częstochowie, gdzie zatrzymał się po powrocie z Wrocławia, natknął się na jakąś trupę teatralną, z którą znów powlókł się na tułaczkę, aby po kilku miesiącach powrócić na posadę kolejową.

Od tego czasu Reymont niejednokrotnie jeszcze zmieniał posady i zawody, a nawet odbywał nowicjat w klasztorze o.o. Paulinów na Jasnej Górze, aż w końcu po raz trzeci powrócił na posadę praktykanta kolejowego na jakiejś stacyjce wiejskiej pod Skierniewicami. Przestał już w tym czasie pisywać wiersze, a natomiast zabrał się do prozy i oto powstał szereg nowel z życia ludu wiejskiego, które dopiero w 1897 roku przyoblekły kształty książki p. t.: „Spotkanie".

Pierwsze swoje utwory, jeszcze przed ukazaniem się ich w formie książkowej, Reymont zamieszczał w różnych czasopismach, a więc w 1893 roku ukazała się w „Myśli" krakowskiej jego „Wigilja Bożego Narodzenia", a w ślad za tem „Prawda" Aleksandra Świętochowskiego zamieściła „Sukę", zaś „Głos" warszawski pod redakcją J. K. Potockiego wydrukował nowelę p. t.: „Śmierć".

Stosunki na posadzie kolejowej kształtowały się dla Reymonta coraz mniej pomyślnie. Naczelnik stacji uważał go za zupełnie niezdolnego do pracy, radził mu więc, aby sobie innej posady poszukał. W niedługim też czasie Reymont, czując nieprzepartą żądzę tworzenia, porzucił posadę kolejową i w listopadzie 1893 roku, przyjechał z kilku rublami kapitału do Warszawy, aby tu już całkowicie poświęcić się działalności literackiej.

Nastąpił najcięższy okres w jego życiu: borykania się z nędzą początkującego literata, lecz nie złamało to Reymonta. Za poradą redaktora „Prawdy" Aleksandra Świętochowskiego, podążył pieszo z kompanją do Częstochowy, opisując następnie swoje wrażenia w „Pielgrzymce do Jasnej Góry", która była pierwszym jego większym utworem, wydanym w formie książkowej w 1895 roku.

Od tej chwili Reymont wkroczył już w szeregi literatury, wydając w 1896 roku pierwszą swoją powieść p. t. „Komedjantka", osnutą na tle przeżyć jego z czasów włóczęgi aktorskiej, a drukowaną początkowo w feljetonach „Kurjera Codziennego". W rok potem (1897) ukazały się jego „Fermenty", dwutomowa powieść, stanowiąca niejako dalszy ciąg „Komedjantki". Powieści te wyrobiły Reymontowi poważne już nazwisko w świecie literackim i dużą poczytność w społeczeństwie.

Po przeprowadzeniu szczegółowych studjów i obserwacyj w Łodzi, Reymont napisał dwutomową powieść p. t. „Ziemia Obiecana", dla której zaczerpnął tematu z życia przemysłu łódzkiego. Powieść ta, pisana z feljetonu na feljeton, ukazała się

w odcinku „Kurjera Codziennego", a następnie, znacznie okrojona przez cenzurę, przekupioną przez fabrykantów niemieckich, wyszła jako książka w 1899 roku. W tym samym jeszcze roku ukazały się ponadto dwa inne utwory Reymonta: szkic powieściowy „Sprawiedliwie" oraz „Lili".

Wskutek nakazu policji rosyjskiej Reymont zmuszony był w tym czasie wyjechać zagranicę. Udał się więc do Francji i tam zamieszkał w Quarville w pobliżu Romilly-en-Beauce w domu emigranta d-ra Gierszyńskiego, powstańca z 1863 roku. Z Francji wyjechał do Włoch, a następnie — do Anglji, gdzie mieszkał w jednym pokoju z późniejszym Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej prof. Stanisławem Wojciechowskim.

Powróciwszy do kraju Reymont ze zdwojoną energją zabrał się do pracy literackiej, wynikiem czego były nowe jego utwory: „W jesienną noc" (1900 r.), „Przed świtem" (nowele — 1902 r.), „Komurasaki" (1903 r.) i „Z pamiętnika" (nowele — 1903 r.).

Cała dotychczasowa twórczość literacka Reymonta była tylko wstępem do dzieła o potężnej skali uczuć, dzieła, które stanowić miało szczyt jego pisarskiej działalności, dzieła, które przynieść mu miało najwyższą nagrodę: odznaczenie z fundacji Nobla. Oto już w 1902 roku ukazała się, specjalnie dla prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego" I-sza część (Jesień) nieśmiertelnych „Chłopów".

Wyczerpująca, gorączkowa praca poderwała zdrowie Reymonta, a wypadek kolejowy stał się przyczyną jego długotrwałej choroby, jaka w następstwie się wywiązała, odrywając go na długi okres czasu od działalności pisarskiej.

Początkowo „Chłopi" miały być zwykłym jednotomowym chłopskim romansem, całkowicie już napisanym przez Reymonta, lecz w chwili ostatecznego odczytywania przezeń rękopisu, zarysowała się w umyśle jego nowa koncepcja, znacznie szerzej zakrojona od pierwotnego pomysłu, a obejmująca całe życie chłopa w łączności z porami roku. Zaniechał więc wówczas wydania pierwszego rękopisu, który też zniszczył, a przystąpił do realizowania nowego pomysłu, z którego wyłaniać się poczęło wspaniałe dzieło, odźwierciadlające duszę, obyczaje i życie polskiego ludu.

Po ukazaniu się na łamach „Tygodnika Ilustrowanego" I-ej części (Jesień) „Chłopów" wyszły w 1904 roku w książkowem wydaniu dwa tomy tego dzieła: I-szy — Jesień i II-gi — Zima, pisane częściowo we Francji, a częściowo we Włoszech, gdzie podówczas przebywał.

Była to zaledwie połowa zamierzonego dzieła. Mimo wyczerpania Reymont pracował nadal z takim zapałem, że już w roku 1906 ukazała się III-cia część (Wiosna) „Chłopów", a w 1909 roku — IV-ta (Lato).

„Chłopi" doczekały się licznych przekładów na wszystkie niemal języki europejskie, a więc: szwedzki, angielski, francuski, niemiecki, rosyjski, czeski, hiszpański, ruski i żydowski. Ponadto tłomaczone były i inne utwory Reymonta.

Oprócz monumentalnych „Chłopów", które zajęły mu lwią część czasu, Reymont w tym samym okresie napisał szereg drobniejszych utworów, które następnie opuściły prasę, jako wydania książkowe p. t. „Burza" (nowele — 1907 r.) i „Na krawędzi" (opowiadania — 1907 r).

Wydanie wrażeń „Z ziemi chełmskiej" (1910 r.), w których Reymont poruszył sprawy narodowe, naraziły go na proces, który jednakże, dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności, zakończył się jego uniewinnieniem. Oto cyganka wywróżyła

przewodniczącemu sądu, który prowadził sprawę Reymonta, że skoro go skaże, to tego samego dnia umrze. Przewodniczący przez trzy lata zwlekał z wydaniem wyroku, a wreszcie uniewinnił Reymonta, lecz w tym samym dniu istotnie umarł.

Przeżycia z czasów służby kolejowej posłużyły Reymontowi za temat do napisania szkicu powieściowego p. t. „Marzyciel" (1910).

Podczas pobytu swego w Anglji Reymont zapoznał słynną medjumistkę i spirytystkę p. Bławatską, co natchnęło go do napisania powieści p. t. „Wampir" (1911 r.).

Niezwykle bogata w tematy skala twórczości Reymonta, zwróciła się w kierunku naszej narodowej przeszłości. Po żmudnych poszukiwaniach napisał i wydał w okresie lat 1913—1918 wspaniałe trzytomowe dzieło p. t. „Rok 1794" ([72]).

Przeżycia z wojny światowej również znalazły swe odbicie w twórczości literackiej Reymonta w szeregu jego nowel i obrazków, wydanych w 1919 roku pod ogólnym tytułem „Za frontem".

W 1920 roku Reymont wyjechał do Ameryki, gdzie odwiedził kolonje polskie, bacznie obserwując życie chłopa polskiego na obczyźnie. Jako rezultat tych obserwacyj, napisana została przez niego opowieść p. t. „Księżniczka", wydana następnie w tomie „Osądzona" (1923 r.).

Po wojnie światowej Reymont zamieszkał w Kołaczkowie, majątku nabytym przez siebie w ziemi Poznańskiej. Tam napisał jeden z ostatnich swoich utworów: baśń alegoryczną p. t. „Bunt" (1924 r.), w ślad za którym ukazały się: „Legenda" (1924 r.) i „Przysięga" (1924 r.).

W listopadzie 1924 roku spotkał Reymonta najwyższy dowód uznania. Oto Szwedzka Akademja przyznała mu, jako autorowi „Chłopów", nagrodę Nobla, w związku z czem lud polski złożył mu wyrazy hołdu w Wierzchosławicach.

Ostatnie te przeżycia mocno poderwały zdrowie Reymonta, dla poratowania którego wyjechał na Rivierę.

Po pewnym czasie powrócił do kraju i znowu zabrał się do pracy, rezultatem której było misterjum sceniczne, osnute na tle upadku uczucia religijnego po wojnie i współczesnego nihilizmu. To samo zagadnienie posłużyło mu za temat do napisania powieści „Ostatni chrześcijanin", która pozostała w jego spuściźnie.

W ostatnich miesiącach swego życia Reymont napisał scenarjusz filmowy, a ponadto rozpoczął opracowywanie czterotomowego cyklu, poświęconego życiu chłopa polskiego na różnych terenach, w różnych środowiskach, a nawet w różnych częściach świata, pod ogólnym tytułem: „Z chłopskiego gniazda".

Zakrojonego na szeroką skalę dzieła tego nie mógł jednakże wykończyć, bo oto znów ciężko zachorował, kończąc swe życie w nocy 5 grudnia 1925 roku w Warszawie.

Śmierć wielkiego pisarza okryła żałobą Polskę całą, to też uroczystości pogrzebowe (9 grudnia 1925 r.) były wielkim hołdem społeczeństwa polskiego dla nieśmiertelnego ducha autora „Chłopów".

Prochy jego spoczęły na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Za swoją pracę literacką Władysław Stanisław Reymont nagrodzony był: Krzyżem Oficerskim (4-ta klasa), Krzyżem Komandorskim (3-cia klasa) i Wielką Wstęgą (I-sza klasa) Orderu „Odrodzenia Polski".



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

W Setną Rocznicę Narodzin Wielkiego Polskiego Pisarza

Małą stacyjkę pomiędzy Skierniewicami a Koluszkami pośpieszne pociągi mijają tak szybko, że niewielu pasażerom udaje się zauważyć tablicę z jej nazwą. Pociąg osobowy przystaje tutaj na króciutko, wyrzuca nielicznych przybyszów i wnet gna dalej. Jeśli przyjezdny, stanąwszy na peronie, rozgląda się wokół ciekawie, ludzie tutejsi, powracający do domu z pracy ze Skierniewic lub z „miasta Łodzi", patrzą nań ze zdziwieniem. Cóż tu nadzwyczajnego? Ot, zwykła wieś, jakich w Polsce wiele. Zazielenione pola, kępy drzew, które zaczyna przysłaniać mgiełka pierwszych, drobniutkich liści, szlaban kolejowy przegradza szeroką wstęgę szosy, z dala błyskają bielą kamienne płyty cmentarne. Obok stacji kilka niepozornych domków, rozrzuconych z obu stron plantu kolejowego.

Cofnijmy się w przeszłość. Kilkadziesiąt lat temu, w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia pracowali tutaj, na plantach kolejowych, sezonowi robotnicy, przeważnie ludzie wiejscy, tutejsi. Doglądał ich na polecenie władz kolejowych pomocnik dróżnika, młody człowiek, ubrany z miejska, ale skromnie. Nadzorowanie robotników nie było ciężką pracą. Przesiadując całymi godzinami na torach kolejowych, młodzieniec często sięgał po notes, w którym wypełniał szybko stronicę za stronicą. Chłopi przywykli do młodego człowieka i do jego częstych wędrówek po wsi.

Wokół Lipiec wówczas „jak jeno dojrzeć, stały sinym wiankiem lasy i rozlewały się pola nieprzejrzane, leżały wsie dalekie, wsie kieby te szare liszki, przywarte do ziemi, a w sady pochowane; drogi kręto powyciągane, kamionki, rzędy drzew przechylonych, piaszczyste wydmy z rzadka porosłe jałowcami i wąska przędza rzeczki, ciekącej połyskliwie i wlewającej się do stawu,

między chałupami. Bliżej zaś, dokoła wsi, wielgachnym kręgiem leżały lipeckie ziemie, pokrajane w pasy, kieby te postawy zgrzebnego płótna, rozciągnięte pod wzgórza i poćwiartowane na działki. Pola wiły się i wydłużały przy polach, porozdzielane krętymi miedzami, na których gęsto rozrastały się grusze rozłożyste".

Ówczesne Lipce zajmowały obszar znacznie mniejszy i szczuplejszy niż ten, który zajmują dziś. Sadzawka, gdzie pławią się w wodzie i nurkują zielonogłowe kaczki, była wtedy pokaźnej wielkości stawem. Domy z obu stron drogi skupiały się ciasno, jeden tuż obok drugiego, nieledwie sprzęgnięte dachami. Dopiero znacznie później, po roku 1910, wieś zaczęła rozbudowywać się szerzej i dalej od szosy.

Pod ciasno skupionymi dachami niskich, mocno wrośniętych w ziemię domów płynęły ludzkie losy, toczyły się wydarzenia, wrzały — jakże często — swary, nienawiści, urazy i pretensje, których przedmiotem była najczęściej z i e m i a. Ziemia, grunt, morgi — oto, co nawracało w rozmowach, wyznaczało plany na przyszłość, dyktowało koleje życia; oto, co kojarzyło stadła małżeńskie według woli rodziców i nasycało goryczą starość ludzi, którzy uległszy namowom chciwych dzieci, „odpisywali" na nie swą własność, idąc na „wycug", czyli dożywocie. Ówczesnym klubem i świetlicą, miejscem spotkań oraz wymiany zdań i plotek sąsiedzkich była karczma.

Młody człowiek o miastowym wyglądzie, pracujący jako pomocnik dróżnika, odnajmował pokój w Krosnowie, w porządnym domu, położonym tuż przy torze kolejowym. Przychodził jednak często do wsi. Zaznajamiał się chętnie z jej mieszkańcami, nie tylko z zamożnymi gospodarzami, ale także z biedotą, z robotnikami rolnymi, z parobkami zatrudnionymi u bogaczy. Szczególnie interesowały go te chwile wiejskiego życia, w których spod szarej, zgrzebnej skorupy codzienności wydobywał się barwny, ruchliwy nurt pieśni, tańca, prastarych obyczajów i obrzędów. Oczywiście, do takich wydarzeń należały przede wszystkim wesela wiejskie. Młodzieniec lubił patrzeć, jak drogami z Woli, Chlebowa, Retniowca w kierunku lipeckiego kościoła pędziły z trzaskiem biczów wozy umajone zielenią, huczące śpiewem, pełne odświętnie wystrojonych weselników w pięknych strojach księżac-

kich. A potem znowu nawracał dzień powszedni, zwykły, roboczy dzień wsi, którego biegiem kierował rytm czterech pór roku i tryb żmudnej pracy.

Młodzieńca zainteresowanego życiem Lipiec bardzo lubiły wiejskie dzieci. Po wielu latach, kiedy już te dzieci dorosną, zapytane o dawnego „pomocnika dróżniczego", odpowiedzą, że zawsze miał w kieszeni pełno karmelków, które szczodrze rozdawał, i że w wynajętej przez niego izbie „tyle było książek, książek, książek!"

Pomocnik dróżnika niedługo popasał w Lipcach. Pewnego dnia znikł i odtąd słuch o nim zaginął na długo.

Uprzykrzył sobie zajęcie? Poróżnił się ze swoimi zwierzchnikami? Znalazł inną robotę? Któż to mógł wiedzieć?!

II

Niemało kłopotu i zgryzot miał ze swoim średnim synem, jednym z licznej gromadki potomstwa, pan Józef Rejment, organista tuszyński. Chłopiec był wprawdzie żywy, zdolny, bystry. Garnął się do książek; ledwie podrósł, już chciwie i zachłannie pożerał wszelkie słowo drukowane, jakie wpadło mu w ręce. Ale z nauką szkolną było źle. Organista trapił się wielce, łamiąc sobie głowę pytaniem, co począć z niesfornym dzieciakiem, z którym ani surowością, ani dobrocią nie można było dojść do ładu.

Po upływie lat wielu ów niesforny dzieciak, już jako pisarz znany i sławny, wspomni następującymi słowami własne dzieciństwo:

„Rodzice moi byli biedni, bo zeszli w końcu na włókowe gospodarstwo. Dzieciństwo miałem dość smutne. Było nas dzieci dziewięcioro (siedem sióstr), starszy brat poszedł do gimnazjum, nim mogłem mieć świadomość. Chowałem się więc wśród dziewczyn, z dala od ludzi, bo mieszkaliśmy pod miastem i nie wolno było pod najsurowszą karą znać się i zadawać z dziećmi mieszczan, nawet najbliższych. Ojciec żelazną ręką trzymał wszystkich; był nieubłagany dla naszych dziecięcych przewinień, więc też całe dzieciństwo miałem pełne obaw, strachów i dręczenia się, i niepowstrzymanej ciekawości świata, a że nie można go

było oglądać, stwarzało go się wyobraźnią, tym potężniej, że rzeczywistość, ówczesne moje otoczenie, całe życie, pełne biedy, surowości, pracy, było mi strasznie gorzkie. Ucieczka z niego była jedynie w zaczarowany świat książek. A miałem ich dosyć; odziedziczyliśmy małą biblioteczkę po wuju; w niej utonąłem zupełnie. Juścić czytywać mogłem tylko ukradkiem, pod grozą kary, gdyż ojciec wzbraniał surowo. Pamiętam, jak niezapomniane wrażenie wywarły na mnie pierwsze książki. Mogłem mieć lat sześć najwięcej: starszy brat przyjechał na wakacje i przywiózł „Lillę Wenedę". Zajrzałem do niej wieczorem i trafiłem na scenę Derwida (dwa wyrazy nieczytelne). To mnie tak olśniło, że książkę zabrałem tajnie i poszedłem z nią spać; a w nocy wstałem po cichu. Noc była widna, księżycowa, wysunąłem się przez okno do ogrodu i tam, przy świetle księżycowym, przeczytałem ją jednym tchem. Przeczytałem i wprost oszalałem. To był świat taki, o jakim marzyłem, jakiego pragnąłem, o jaki się modliłem, za jakim płakałem po nocach. Żyłem z nim potem na jawie, szukałem i prawie znajdowałem. Później czytałem historyczne, których u nas było dosyć, więcej znacznie niźli beletrystycznych. Samotnie żyłem, nie miałem przyjaciół. Dom nasz stał za miastem, przy opuszczonym cmentarzu i starym kościele, tuż pod olbrzymim parkiem odwiecznym, należącym do starostwa tuszyńskiego; park czarodziejski, co był dla mnie jedyną żywą miejscowością wpośród szarzyzny życia, park pełen odwiecznych alei grabowych, stawów umarłych, gąszczów, przepaści zielonych. Nic więc dziwnego, że całe otoczenie podnosiło jeszcze mój nastrój".

Organista Rejment na swój sposób usiłował zaszczepić dzieciom umiłowanie muzyki, co jednak przy jego metodach odnosiło skutek wręcz przeciwny:

„Ojciec mój był bardzo muzykalny i wszystkie dzieci musiały się uczyć na fortepianie, sam dawał lekcje. Nie nauczyłem się nigdy grać, bo ojciec bijał mocno za każdy fałsz. Ze strachem zawsze siadałem do fortepianu i z książką na nutach. Grałem nieskończenie, godzinami gamy, czytając jednocześnie. Dzień się zaczynał modlitwą. Pamiętam dziś jeszcze (pisał te słowa w Paryżu w roku 1903) te szare, głuche ranki zimowe. Budził nas w zimie śpiew matki. Śpiewała w kuchni ze służącymi pobożne

pieśni. Ze śpiewami też zasypiałem. Byłem wtedy sam wielce i szczerze pobożny, miewałem widzenia. Rozczytywałem się w „Żywotach świętych" Skargi, które umiałem prawie na pamięć. A że wpisano mnie w tak zwany „pasek" bernardyński czy dominikański (chorowałem bardzo i matka ofiarowała mnie Bogu) pierwsze lata do sześciu chodziłem w sukienkach takowych. Od dzieciństwa byłem przekonany, że zostanę księdzem. Matka moja bardzo tego pragnęła. Tak przeżyłem, czytając zawsze i fantazjując, do jakiego siódmego roku, kiedy nastąpił przełom. Pamiętam dobrze, dostałem „Robinsona", dostałem Walter Scotta i znowu zwariowałem, ale na inny już sposób. W bliskości nas rozciągały się owe wielkie lasy starostwa tuszyńskiego, w którym nadleśniczym był mój wuj. Zacząłem uciekać do niego z domu, sprowadzono mnie znowu przemocą, bito, ale nie mogłem się powstrzymać, bo jakżeż! Dzień cały mogłem siedzieć w lesie. Wuj miał chłopców trochę starszych ode mnie; co za wyprawy, co za bitwy, co za życie fantastyczne! Zrosłem się też z lasem na wieki, poznałem go i pokochałem całą duszą. A poznałem, jak tylko dziko chowani chłopcy mogą znać i ptaki, i zwierzęta, i kwiaty, i wszystkie tajemnice lasu. W ósmym roku oddano mnie do szkoły; chciałem tego, aby się tylko wyrwać z domu, w ten świat, zamknięty dla mnie na wszystkie ojcowe zakazy... w szeroki świat! Pragnienie moje rosło codziennie niepowstrzymanie: podsycało je wszystko — gazety, które potajemnie czytywałem (ojciec zamykał je przede mną), opowiadania brata-gimnazisty, starszej siostry, która wyszła za mąż i zamieszkała w Warszawie, i takie cuda mówiła o życiu tamtejszym, o świecie, iż wypłakiwałem się nocami z żałości i rozpaczy, że muszę żyć tak szaro, źle, nudnie!"

Szkoła nie przynosi jednak chłopcu tak bardzo upragnionej odmiany:

„Zdawałem w następnym roku do wstępnej klasy, do łódzkiej szkoły — nie zdałem. Cała tragedia wstydu i żalu!"

Przychodzą także inne zmartwienia:

„Zakochałem się po raz pierwszy mając coś 9 lat. Zakochałem się w 26-letniej pannie, a ukochałem z całą pasją... Zacząłem pisać pierwsze wiersze na cześć ukochanej, a że w tym czasie czytywałem różne wojenne historie... zacząłem je opisywać na

wzór Cezarowych komentarzy, które miałem w tłumaczeniu, w których się zaczytywałem. A potem? Potem przyszły lata włóczęgi, przeganiania ze szkoły do szkoły, bo nigdzie nie mogłem wytrwać. Oddawano mnie do rzemiosła — nie wytrwałem, i do handlu — uciekłem, i znowu do szkoły — nie wytrzymałem".

III

Przed osiemdziesięciu prawie laty, w pewien słotny dzień jesienny, stanął na bruku warszawskim chłopak przybyły z Tuszyna. W Warszawie przy ulicy Miodowej 14 mieszkała najstarsza córka pana Rejmenta, mąż jej, Konstanty Jakimowicz, prowadził warsztat krawiecki. Wisus, wałęga, nicpotem — Staś Rejment, który nie słuchał dotąd ojcowskiej woli, ojcowskich nakazów i... twardych argumentów ciężkiej ręki rodzicielskiej, całymi dniami jął ślęczeć nad robotą pod czujnym okiem szwagra, razem z kilkoma rówieśnikami dzieląc losy terminatora.

Półka nad wezgłowiem terminatorskiego tapczanu z wolna zapełnia się książkami. Są to najtańsze, groszowe wydawnictwa. Przeważa wśród nich poezja, zwłaszcza Syrokomla i Lenartowicz.

Pan majster Jakimowicz był człowiekiem surowym, wymagającym, lecz i sprawiedliwym. Na swój sposób dbał o czeladź, pozwalając chłopcom na odpoczynek niedzielny, pod warunkiem, by ich rozrywki były skromne i godziwe, jak przystoi młodzikom. W sobotnie popołudnie każdy terminator otrzymywał garsteczkę kopiejek i wszyscy razem z majstrem i jego żoną wyruszali do teatru. Oczywiście pryncypał zajmował lepsze i droższe miejsce w krzesłach na parterze; terminatorom musiała wystarczyć „jaskółka", czyli „paradyz". Ale i z tych najwyższych, a zarazem najtańszych rzędów pod sufitem można było oglądać cuda, których dotąd nigdy nie widział chłopak z Tuszyna.

Były to czasy pięknych i pamiętnych dla Warszawy kreacji aktorskich Żółkowskiego, Królikowskiej, Leszczyńskiego, Wisnowskiej. Mały prowincjusz podziwiał farsy i komedie, dramaty i operetki. Był oczarowany teatrem, po uszy zakochany w scenie. Czasami, gdy udało mu się umknąć spod argusowego oka majstra Jakimowicza, uganiał po mieście, chłonąc widok ulic, parków,

wybrzeża wiślanego oraz ruch, zgiełk i gwar, jakże różny od spokoju i ciszy wieczorów w Tuszynie i okolicznych wsiach! Porywał, fascynował chłopca z prowincji urok wielkiego miasta, jego piękno i brzydota.

Ale po sobocie i niedzieli wracał znowu dzień powszedni, pełen majstrowego zrzędzenia. Wracała codzienna szarzyzna, okraszona jedynie marzeniami o następnym wypadzie do teatru, na Bielany, na Saską Kępę. Ślęcząc nad igłą, chłopak przyswajał sobie z wolna krawieckie umiejętności, chociaż zawodu, który go czekał, z całego serca nie cierpiał. Musiał jednak osiągnąć pewną sumę fachowych wiadomości z dziedziny krawieczyzny, jeśli z początkiem roku 1884 wyzwolony został na czeladnika, co potwierdzono odpowiednim zapisem na kartach ksiąg warszawskiego Cechu Mistrzów i Mistrzyń Krawieckich. W rubryce z zapytaniem: „Jaką na dowód uzdolnienia zrobił sztukę", czyli „jaką okazał kwalifikację do stopnia czeladniczego", majster wyzwalający, Konstanty Jakimowicz, kazał zamieścić własnoręcznie podpisane oświadczenie: „O k a z a ł f r a k b. d o b r z e u s z y t y". Podobno przyszły pisarz oświadczył wtedy, że jest to pierwszy i ostatni dyplom, jaki kiedykolwiek będzie miał w życiu... Widocznie jednak szwagier lepiej niż ojciec umiał zapędzić krnąbrnego wyrostka do nauki, jeśli przy akcie wyzwolin złożone zostało świadectwo w języku rosyjskim ze stwierdzeniem, iż „świeżo upieczony" czeladnik uczęszczał do Warszawskiej Szkoły Niedzielno-Rzemieślniczej. Przerwawszy naukę szkolną w trzeciej klasie, uzyskał stopnie dobre, a z języka polskiego nawet celujące. Na zasadzie tej cenzury inspektor szkół miasta Warszawy oświadczył pisemnie, iż z jego strony nie ma przeszkód do promowania wymienionego terminatora na czeladnika. Co więcej, na świadectwie szkolnym urzędnik cechu dopisał: „Okazał nagrody z roku 1881 i 1882".

Kiedy Adam Grzymała-Siedlecki, zbierając materiały do biografii Reymonta, odwiedził w roku 1930 jego sędziwego szwagra i eks-szefa, osiemdziesięcioletni starzec na pytanie, jak ów reymontowski frak był uszyty, „uśmiechnął się pod wąsem i odpowiedział: «Jak na literata, to robota krawiecka była dobra». Kiedy indziej Konstanty Jakimowicz stwierdził o Reymoncie, że „za krawiectwo to on by tam Nagrody Nobla nigdy nie zdobył..."

Młody Rejment wpisany został do „Ksiąg Zgromadzenia Czeladzi Krawieckiej", co świadczyłoby o jego chęci praktyki w wyuczonym zawodzie. Ta chęć musiała być krótkotrwała, jeśli po upływie dwóch lat, nie dobiegłszy jeszcze dwudziestki, zrywa z krawieczyzną nieodwołalnie.

Sięgnijmy znów do jego autobiografii:

„Sześć lat jakieś przeszły; skończyło się na tym, że policją warszawską wyrzucili mnie z Warszawy i drogą administracyjną skierowali na rok siedzenia do rodziców. Miałem wtedy lat osiemnaście. Rodzice już mieszkali gdzie indziej. Kupili młyn z paru włókami ziemi przy samej drodze kolei W(arszawsko)-W(iedeńskiej) między stacjami Baby a Rokiciny. Mieli się już znacznie lepiej. Kilka sióstr było zamężnych. Brat starszy, że go wygnali z kijowskiego uniwersytetu, z 3-go kursu medycyny, został aptekarzem. A ja byłem żywą raną rodziny, płakano, że jestem zmarnowany i zgubiony. Istotnie, sam nie wiedziałem, co robić ze sobą. Pisywałem wciąż wiersze, nie posyłałem ich nigdzie; wstydziłem się, bałem, aby nie odpowiedzieli: do kosza! Czułem, że zabiłbym się, gdyby mi tak odpisano. Miałem w tym czasie wszystko i nie miałem nic: rwałem się do wszystkiego i brzydło mi wszystko. A to przymusowe siedzenie na wsi, pod czujną, srogą i okrutną kontrolą ojca zabijało mnie. Włóczyłem się tygodnie całe po polach, lasach i wodach! Wciąż pisałem wiersze."

Gdy kuratela ojcowska stała się nie do zniesienia, przyszły pisarz powziął desperacką decyzję. „Uciekłem z domu do Warszawy. Złapano mnie i odstawiono z powrotem. Byłem wprost nieszczęśliwy. Chciałem wtedy wstąpić do seminarium. Ojciec nie chciał, nie dał pieniędzy, zaganiał do roboty, tyranizował. Co miałem robić? Miałem kolegę szkolnego w teatrze prowincjonalnym. Uciekłem z domu bez pieniędzy i przeszło dziesięć mil poleciałem do niego. Zaangażowali mnie do trupy! Nie byłem zbytnio olśniony ni towarzyszami, ni samą sztuką, ale mogłem żyć przynajmniej swobodnie. Zmieniłem nazwisko i powlokłem się z tym teatrem po kraju, po miasteczkach, po kątach zapadłych. Bieda żarła, ale ta swoboda, życie pełne niespodzianek, wzruszeń, fantastyczność zaczęła mi się podobać. Talentu scenicznego nie miałem, grywałem wszystko. Coś przeszło rok

włóczenia z bandą. Znudziło to mnie w końcu i wróciłem do domu. Nie zważano już nadal na mnie, bo stracono wszelką nadzieję, aby kiedy stał się ze mnie porządny człowiek. Tyle mi tylko ojciec pomógł, że wyrobił mi miejsce na kolei wiedeńskiej. Byłem przeszło rok, ale w końcu znudziło mnie to wołowe życie, otoczenie, koledzy i cała ta maszynowość egzystencji."

Uparty młodzieniec nie rezygnuje z prób literackich. Niedołężnie usiłuje formować w obrazy i zdania własne wspomnienia, przeżycia — wszystko to, co go nurtowało, na co patrzył, co zapadało mu w serce i w pamięć. W tych też latach ogarnia go zainteresowanie... spirytyzmem:

„Poznałem się był z niejakim Puszow, spirytystą zawołanym, i wyjechałem z nim do Niemiec poświęcić się temu w zupełności. Stąd przeniosłem się do Wrocławia, tam bowiem był główny kościół spirytystów. Nie wytrzymałem jednak długo. Zbyt prędko spostrzegłem naiwność tej niby doktryny i jej wyznawców. Puszow chciał mnie gwałtem zatrzymać i gonił za mną, aby zawrócić. Więc układamy między sobą, że wyjadę do Ameryki i tam wpośród Polonii rozszerzać będę doktrynę. Musiałem znowu zmykać pod wiatr. W Częstochowie natrafiłem na jakąś trupę teatralną, przystałem do niej, jak się mówi. Zmieniłem znowu nazwisko i powlokłem się w świat. I znowu także porzuciłem wszystko po niejakim czasie i powróciłem na kolej."

Te trudne i gorzkie lata były — jak się okazało później — szkołą pisarską, lekcją obserwacji życia.

„Wiele jeszcze zmieniłem miejsc i zawodów, aż w końcu po raz trzeci powróciłem do służby kolejowej ostatniej. Ponieważ wciąż opuszczałem miejsce, dali mi posadę praktykanta kolejowego z płacą najniższą."

„Niespokojny duch" zamieszkał we wsi Lipce niedaleko Skierniewic.

„Tam przesiedziałem dwa lata przeszło. Nie będę opisywał, com przeżył. Szkicuję tylko kontury zaledwie. Dość, że poczułem, że pomimo szamotań i usiłowań znalazłem się na samym dnie życia."

Młody człowiek, który w swoim dotychczasowym, nie ustabilizowanym, cygańskim życiu zmienił właściwe nazwisko R e j m e n t na R e j m o n t, te zaś z kolei wkrótce przekształcić

miał na Reymont, zamiast pierwszego metrykalnego imienia: Stanisław, podpisując się: Władysław — nie rezygnował nadal z upartych prób literackich. Tyle tylko, że — jak sam wyznaje — przestał pisać wiersze, zrozumiawszy, że nigdy nie prześcignie... Słowackiego.

„Wziąłem się do prozy i rezultatem był tom «Spotkania». Tam są moje pierwsze rzeczy, pisane na wsi, gdziem mieszkał tak długo razem z chłopami w jednym domku. Miałem się tam ożenić z córką mojego gospodarza i stale pozostać. Zresztą nie wiedziałem wcale, czy mam jaki talent. Pisywałem literalnie dla siebie. Przyjaciół nie miałem żadnych, ani życzliwych. Nie byłem dobrym urzędnikiem. Wyśmiewano się z mojej literatury. Władze radziły, abym sobie inne miejsce poszukał, odpowiedniejsze. Więc w rozpaczy, że będę musiał znowu iść na włóczęgę, zabrałem wszystkie utwory i posłałem za pośrednictwem znajomego Z. Matuszewskiego do oceny. Pół roku czekałem wprawdzie na odpowiedź, ale przyszła przychylna. Poczułem wtedy siłę i zobaczyłem cel. «Głos» ówczesny pod redakcją J. K. Potockiego wydrukował moją «Śmierć». Zacząłem w nim umieszczać korespondencje z prowincji i to pogorszyło jeszcze moją sytuację na kolei. Tym bardziej chciano się mnie pozbyć, a ja miałem już dosyć tej służby, tej nędzy, tych strasznych ludzi. Nie wypowiem wprost, ile przecierpiałem. Dość, że w roku 1893 na jesieni podziękowałem za miejsce i z kapitałem rubli 3, kopiejek 50 pojechałem do Warszawy, zdobywać świat. Jużci, że po definitywnym opuszczeniu posady rodzina zerwała ze mną zupełnie. Byłem w jej rozumieniu zupełnie straconym człowiekiem, a dosięgnąłem dwudziestego szóstego roku życia."

Z głębokim szacunkiem, nieledwie z nabożeństwem przygląda się — oczywiście z daleka — widywanym w teatrze znakomitościom ówczesnego świata literackiego i dziennikarskiego Warszawy. Widzi ludzi takich, jak Sygietyński, Gawalewicz, Krzemiński, jak redaktorzy Leo, Fryze, Czapelski. Ludzi, którzy rozporządzają drukarniami, szpaltami dzienników. Ludzi zamożnych, wpływowych. A on wciąż jest samotny ubogi, nieznany nikomu!

Ale upór i... talent nowego aspiranta literatury zaczyna wreszcie przełamywać mur obojętności krytyków. Popławski, Potocki, Gawalewicz i inne redakcyjne „wyrocznie" — przeważnie wy-

wodzące się z obozu zachowawczej myśli politycznej — chcą urobić po swojemu pisarza i wprząc jego młody talent, którego rzetelnych wartości trudno nie dostrzec, w służbę lansowanego przez nich światopoglądu. Reymont wie o tym. Na kartach pamiętnika, jaki wtedy prowadzi, powierzając mu troski i gorycze swoich dni powszednich, dni „chudego literata", przewijają się pełne pesymizmu refleksje, dotyczące spotkań z wpływowymi ludźmi:

„...żeby choć zapomnieć o podłej wegetacji swojej, żeby się tak rzucić na łono przyrody i zapomnieć, zasnąć." (19.III.1892).

„Nie mam ani jednego punktu, na którym mógłbym zawisnąć w tej próżni życia, ani jednej rzeczy, która by mnie trzymała i nie mam po co żyć." (13.VI.1892).

„Bieda, bieda, bieda. No, jeśli komu się zdaje, że to tak łatwo zdobyć sobie miejsce w prasie... ten nie ma pojęcia o niczym." (23.XII.1892).

„W święta u Potockiego zrobili rodzaj sesji na mnie. Grot (A. Potocki) radził mi szczerze czytywać klasyków. Powiada, że u mnie jest zbyt wiele zewnętrzności, obserwacji, a zbyt mało astralnego ciała. Jest to chłop przede wszystkim grubo zarozumiały, talent ma, wiedzy dosyć i chciałby swoje widzimisię narzucać wszystkim. Nastrojowość jest jego ideałem w literackich utworach. Zresztą i on widzi zewnętrzną stronę moich prac i szkielet anegdotyczny — powiada, że to jest szereg wypadków wyrżniętych z życia z niezmierną dokładnością, ale nie widzi kąta, pod jakim ja je oświetlam i ustawiam do oglądania... Dzisiaj wstąpiłem do «Tygodnika Illustrowanego». Zastałem Wolffa i Korotyńskiego. Poszedłem dowiedzieć się o «Zawierusze» — powiada mi, że ją tylko przerzucił, ale jest za bardzo w gwarze ludowej pisaną, że wziął ją Gawalewicz jeszcze do czytania... oni mi zaczęli usprawiedliwiać się, dlaczego ani «Idylli», ani «Suki» pomieścić nie mogli" (4.I.1894).

„Pan był w tamtych czasach strasznie realistycznym i takim jakimś ateistycznym nawet" — oto zarzut, jaki usłyszał Reymont. Zdaje on sobie sprawę z właściwego celu tych usiłowań i zabiegów, jakie konserwatywni krytycy przedsiębiorą wokół jego osoby:

„Talent widzą we mnie i chcą go wyeksploatować, nagiąwszy odpowiednio do potrzeb swoich... Kastrują mi duszę, żeby was psy pogryzły, psiakrew!" (4.I.1894).

Pisał o wydarzeniach, na które patrzył, które przeżywał, o ludziach, których znał. Pisał tak, jak mu dyktowało uczucie, sumienie i rozbudzony instynkt twórczy. Pisał przede wszystkim o wsi. „Śmierć" — opowieść o córce, która w srogi, trzaskający mróz zamyka starego, schorowanego ojca w chlewiku; „Suka" — ostrymi barwami malowany epizod z życia dzieci i zwierząt na wsi; „Tomek Baran" — nowela, której bohaterem jest chłop, jeden z wielu spotykanych przez autora przy pracy na torach kolejowych. To postacie i tematy czerpane wprost z życia. Ale dla krytyków i recenzentów warszawskich, takich, jak Potocki lub Gawalewicz, talent Reymonta, rzucający się w oczy, był zbyt gwałtowny, zbyt drapieżny w odtwarzaniu prawdy, której woleli nie dostrzegać, bo kłuła ich w oczy. Chcieli widzieć w literaturze wieś kolorową i sielankową, a nie wieś twardej chłopskiej doli i chłopskiej nędzy. „Dobre rady" opiekunów i mentorów nie zdołały skutecznie przytłumić żywiołowego talentu Reymonta. Ale pisarz, chociaż świadom intencji redaktorów, którzy — jak sam twierdził — „kastrują mu duszę", idzie powoli na pewne ustępstwa, łagodzi ostrość spojrzenia, z wolna zaczyna patrzeć na wieś przez różowe okulary. „Ciało astralne", o które tak upominali się konserwatywni krytycy, łatwo będzie znaleźć w nowym utworze Reymonta. Były to wrażenia z pielgrzymki do Częstochowy, dokąd udał się na polecenie redakcji „Tygodnika Illustrowanego". Autor „Śmierci" sugestywnie opisał religijne uniesienie pielgrzymów, wielbił chłopską wiarę, upatrując w niej lekarstwo na wszelkie biedy i niedole: na krzywdę i wyzysk, nędzę i głód. Opiekunowie i doradcy z „Kurjera Warszawskiego" i „Tygodnika Illustrowanego" mogli być zadowoleni!

W tym czasie Reymont wyjeżdża na pierwsze, nieomal o głodzie odbywane wojaże zagraniczne do Berlina, Paryża i Londynu. Podróż tę umożliwił mu dawny znajomy, lekarz-homeopata i zapalony teozof w jednej osobie, doktor Józef Drzewiecki. Natłok i gwałtowne tempo nowych doznań oszałamia pisarza. „Za wielkie miasto, za wiele ludzi i rzeczy oryginalnych" — stwierdza młody literat w swoim podróżnym raptularzu. „Za dużo od-

biera się wrażeń, za prędko i wyczerpująco się tutaj żyje. Jest się wśród burzliwej fali morza, która porywa i niesie ze zgiełkiem." Kiedy indziej notuje: „Po Częstochowie Londyn. Po przydrożnych polskich wsiach Berlin, Magdeburg, Kolonia, Bruksela, Ostenda, Anglia — ogromny przeskok. Może i nie będę tutaj notował, bo doświadczam tyle wrażeń, pisać nie mogę prawie, wolę chodzić, patrzeć i rozmyślać." Zaskakuje go kontrast dawnych i nowych przeżyć. „Dziwnie mi się plecie, bardzo dziwnie. Przed rokiem niespełna siedziałem na wsi, w kącie zabitym deskami, i myślałem, że nigdy z niego wyjść nie potrafię, że nigdy nie potrafię wydrzeć się z tego wstrętnego życia, małych ludzi, miernych horyzontów i jeszcze nędzniejszej wegetacji. A dziś? Juścić, że jestem niczym jeszcze, ale poznaję, iż mam ten rodzaj szczęścia, jaki ma niewielu. Jakieś przysłowie mówi, że nic nie robi powodzenia, jak powodzenie. Wysłali mnie na pielgrzymkę do Częstochowy, no i poszedłem, nie wierząc, że mogę zrobić co z tego. Zrobiłem jednak, bo nie tylko wzięli, ale i zapłacili i podobno jest to rzecz dobra. Mają mnie za talent, a ja sam, Boże, ty widzisz moją nędzę, wiesz, czym jestem, a ja nie wierzę po prostu w siebie. Czasami jakiś strach mnie ogarnia, że nic, ale to nic nie potrafię zrobić, widzę i czuję własną nieudolność, bo znam swoje nieuctwo. Teraz znowu jadę ni stąd, ni zowąd do Anglii, te moje dawne marzenia spełniają się wprost cudownie, bo nie znając języka, bez pieniędzy, trafia się jednak, ktoś coś pożyczy i bierze mnie z sobą — i otwiera mi całe okno w duszy, wlewa do mojego j a nowy i duży prąd rzeczy świeżych i ożywczych" (14.VII.1894).

W pozbawionych daty notatkach z Paryża Reymont utrwala pierwsze wrażenia: „Chodzę i wsączam w siebie: słońce, które tutaj świeci jaskrawo i ciepło, ruch ulic, błękity nieba, to dziwne życie bulwarów i kawiarń".

Z trudem i opornie uczy się młody pisarz miłości dla Paryża. Raz jednak rozsmakowawszy się na dobre w atmosferze tego miasta, pokocha je na zawsze. Będzie tu przyjeżdżał często w późniejszych, dostatnich i sytych latach, będzie tu pracował intensywnie, chociaż... nigdy nie nauczy się porządnie języka francuskiego.

IV

Po przyjeździe z pierwszego zagranicznego wojażu Reymont zasiada do pracy nad nowymi dziełami. Od opowiadań i nowel przechodzi ku powieściom, oddalając się w nich na razie od środowiska wiejskiego. Bohaterka „Komediantki” występuje na deskach wędrownego teatru. Akcja „Ziemi obiecanej” rozgrywa się na tle przeżywającej swoistą „gorączkę złota”, pełnej gwałtownych kontrastów społecznych Łodzi.

Jesienią 1898 roku w osobliwym i zmiennym życiu pisarza zachodzi wydarzenie, które stanowi prawdziwe szczęście w nieszczęściu. Reymont ulega katastrofie kolejowej i wyszedłszy z niej cało, uzyskuje drogą procesu od zarządu kolei żelaznych znaczne odszkodowanie pieniężne, które pozwoli mu odtąd żyć bez naglącej troski o jutro, bez przymusu pogoni za doraźnymi zarobkami literackimi. Uwolniony od codziennej walki o chleb, pisarz coraz częściej rozmyśla o powrocie do wsi i jej życia jako źródła twórczości. Jak gdyby próbując pióra przed nową, wielką batalią literacką, pisze znów kilka nowel o tematyce wiejskiej. Namawiany przez wielu przyjaciół, między innymi przez krytyka Jana Lorentowicza, chce objawić w wielkiej powieści o wsi pełną swobodę kolorytu, języka, obyczajowości chłopskiej.

„W tym, co pisałem, nie zawsze mogłem być sobą, ale nadszedł przecież czas, że napiszę tak, jak trzeba pisać” — powiedział wówczas. I na siedem lat zasiadł do pracy nad nową powieścią. Tytuł jej brzmiał: „Chłopi”.

Pierwszy tom tego dzieła narodził się na ziemi polskiej, w Warszawie i w Wiśle, gdzie Reymont bawił w gościnie u przyjaciela, lekarza Juliana Ochorowicza. Dalszy ciąg powstawał w Paryżu. Po upływie lat dwudziestu sam Reymont w następujących słowach opowiadał o pracy nad „Chłopami”:

„Kiedy ukończyłem pierwszą redakcję tej powieści objętości około jedenastu tysięcy wierszy i przekonałem się, że jest to tylko opowieść chłopska, nie obejmująca jednak całokształtu psychiki i bytu chłopa polskiego, spaliłem rękopis i zasiadłem ponownie do pracy. W dzisiejszych „Chłopach” nie ma ani jednego zdania z tej dawnej powieści. Pierwszy pomysł „Chłopów” powstał na ziemi francuskiej i za temat miał francuskiego chłopa.

Było to około roku 1900, kiedy po przeczytaniu „La Terre" Zoli zrozumiałem, jak wielką niesprawiedliwość wyrządził ten wielki pisarz chłopu swego narodu, jak krzywdząco ocenił jego duszę i jego życie."

Przyjaciele Reymonta zapamiętali narodziny paryskich rozdziałów „Chłopów". Autor ich pracował wtedy nad swą powieścią dzień po dniu, systematycznie przez cały ranek do godziny pierwszej, i nie wolno mu było wówczas przeszkadzać. Wracał ponownie do pracy po południu. „Gdy wybiła pierwsza — opowiada jeden z jego bliskich znajomych, Alfred Wysocki — posłyszałem w drugim pokoju jakieś brzydkie słowo i odgłos odsuwanego krzesła. Po chwili zajrzał Reymont w bogatym wschodnim szlafroku... i zaprosił mnie do siebie.

«Widzicie, jak ja tu orzę. Od dziewiątej do pierwszej, a czasem i całe poobiedzie. Piszę trzecią część «Chłopów». Szkic mam już gotowy.»

I pokazał mi zeszyt ceratowy, gęsto zapisany i poznaczony niebieskim ołówkiem.

«Próżniak jestem — mówił Reymont — więc sobie wydzielam na każdy dzień robotę i póty nie wychodzę, póki jej nie skończę. A po obiedzie idę do kawiarni i śmiech to mówić, ale na tych paryskich bulwarach widzę przed sobą moją kochaną wioskę i słyszę, jak Antek rozmawia z Hanką albo z Jagusią, widzę, jak jadą do lasu, orzą czy sieją, patrzę na bursztynowe pnie sosen, na wnętrze lasu zasypiającego w ciszy, na złote rżysko czy zieleń zagajników, wśród których toczą się bystre wody potoku. Ktoś mi opowiada o Anatolu Fransie czy nowinkach z «Journalu», inny radzi poznać się koniecznie z takim czy innym krytykiem lub malarzem, a ja, panie święty, siedzę, jak na tureckim kazaniu i tylko słucham tego, co we mnie szepce, gra, śpiewa. Boję się, wiecie — mówił dalej — o tych moich «Chłopów» kochanych, bo jak mi ich krytycy obrzydzą, to cisnę, psiakrew, wszystko i osiądę na wsi, nie biorąc już nigdy pióra do ręki."

Można zrozumieć te obawy Reymonta, pamiętając jego niemiłe doświadczenia z krytykami, mentorami i „doradcami" u początków kariery pisarskiej „chudego literata". Teraz jednak obawy okazały się płonne.

Reymont — jak dalej opowiada Wysocki — nie chadzał w Paryżu do teatrów, nie czytywał prasy, obcował przeważnie z rodakami. Zapytany, dlaczego nie mieszka w Warszawie lub w Krakowie, gdzie pisanie „Chłopów" szłoby mu na pewno łatwiej, odpowiedział: „W Polsce nie ma tej atmosfery pracy, jaka tu panuje. Tu każdy coś robi. Życie dzieli się na godziny zawodowego zajęcia i wypoczynku. I jakoś łatwiej skupia się w sobie i łatwiej się pisze... W Polsce przyjdzie od rana «przyjaciel» i będzie siedział godzinami. I cały rozpęd do pisania diabli biorą w ustawicznych dyskusjach, sporach, bajeczkach. A tu żyję, jak chcę i nikt mi w tym nie przeszkadza."

Według relacji Jana Lorentowicza, Reymont dla swoich utworów przygotowywał najpierw rodzaj obszernego brulionu-konspektu, po jego ukończeniu przystępował do tak zwanego przepisywania, w którego wyniku z jednej stronicy brulionu powstawało kilka, a niekiedy nawet kilkanaście stron tekstu ostatecznego.

Posiadał dar niezwykłej pamięci wzrokowej. Adam Grzymała-Siedlecki w przedmowie do zbiorowej edycji dzieł Reymonta, wydanej w latach międzywojennych, przytacza ciekawą relację Or-Ota, dotyczącą spostrzegawczości i bystrości, z jaką pisarz chłonął wszystko, co go otaczało.

„Przechodziłem kiedyś z Reymontem przez ulicę Królewską w Warszawie, koło placu Saskiego. Naraz Reymont odzywa się do mnie:

«Zamknij na chwilę oczy i powiedz mi, co na placu widziałeś przed chwilą.»

Poddałem się temu egzaminowi, ponieważ jednak niewiele miałem do zeznania i czułem się tym niejako zakłopotany, więc postanowiłem czekać odwetu. Zatrzymałem Reymonta umyślnie na miejscu przez kilka minut, wciągnąłem go w temat żywszej jakiejś rozmowy, po czym naraz rzuciłem mu:

— No, a teraz ty zamknij oczy i powiedz, coś na placu widział przed chwilą.

Przywarł powieki, odwrócił się tyłem do placu i zaczął:

— Od strony ulicy Wierzbowej wjeżdżały przed chwilą dwie dorożki, jedna z siwym koniem skręciła w ulicę Czystą; druga dwukonka, z gniadym i kasztanem, jedzie ku Mazowieckiej. W pierwszej siedzi jakaś starsza dama, w dwukonce dwaj ofice-

rowie, ten po lewej stronie, huzar, pałasz trzyma na założonych noga na nodze kolanach, drugi zdaje się sztabowiec, sądząc po lampasie na czapie. Na środku placu grupa trzech jegomościów żywo rozmawia, najstarszy z nich z siwą bródką... itd., itd."

Systematyczny i solidny zarówno w pracy literackiej, jak w stosunkach z ludźmi, punktualny i dotrzymujący zobowiązań, po długich latach biedy i poniewierki lubił drobne uroki domowego życia, wygodę i dostatek na co dzień. Nie miał w sobie nic z upodobań „cygana artystycznego."

Był towarzyski i bardzo gościnny. Interesowały go wszelkie, zdawałoby się, nawet mało ciekawe zjawiska i przejawy życia powszedniego. „Na prawo i lewo — pisze o nim Grzymała-Siedlecki — przy lada okazji, jakby z jakichś nieprzebranych zasobów praktycznej mądrości, zasypywał ludzi wszelakimi radami, przepisami, receptami. Co najmniej na kilka istnień ludzkich starczyłoby tych potocznych wiadomości, które tkwiły w jego głowie. Nierozłącznie się to łączyło z tą jego cechą umysłową, którą by można nazwać wszechciekawością. Obchodziło go wszystko, co ludzkie i pozaludzkie. Stosunkowo najmniej interesowała go może... literatura. Literatura i czysty intelektualizm. Dziwne to, ale tak było. Natomiast polityka, procesy socjalne, życie gospodarcze, wynalazki, cuda techniki, sport — powiedzmy: życie, nie tylko go rozciekawiało, ale i ożywiało, rozpalało".

„Chłopi" zawarli sumę doświadczeń życiowych, wyniesionych przez pisarza z lat jego młodości, z wędrówek po wsiach, od Tuszyna poczynając, poprzez Lipce aż do Krosnowej, małej stacyjki między Płyćwią a Rogowcem, gdzie pracował w latach 1891—1893. Talent pisarza wypowiedział się w tym dziele najpełniej, tworząc obraz mieniący się mnóstwem barw, świateł i cieni, zawierający jednak również mocny ładunek prawdy o wsi — prawdy o chłopskiej doli. Pierwsze zwłaszcza tomy powieści, czyli „Jesień" i „Zima", pokazują nam nie tylko wieś barwną i malowniczą, ale pełną sprzeczności i różnic, dzielących bogaczy chłopskich od biedoty. Ludzkie sprawy i konflikty rozgrywają się na tle wsi „bajecznie kolorowej" w bogactwie tradycji, obyczaju i obrzędów.

Z kolei zaczyna kusić Reymonta inny rodzaj prozy powieściowej, a mianowicie powieść historyczna. Pociąga go i nęci

z nieprzepartą siłą obfity w burzliwe i dramatyczne wydarzenia wiek osiemnasty, którego schyłek pieczętuje utratę niepodległości naszej ojczyzny. Temat jak gdyby wymarzony dla pisarza, rozmiłowanego w bogactwie scenerii historycznej, w kontrastach kolorów i blasków. Temat ów wymaga jednak pilnych i żmudnych studiów historycznych. Nie wystarcza już sam talent i znakomicie wspomagająca pisarza w pracy świetna pamięć wzrokowa, dzięki której Reymont utrwalał w mózgu jak na wrażliwej kliszy fotograficznej każdy niemal szczegół mijanego krajobrazu, miasta, ulicy. Trzeba sięgnąć do źródeł, które pomogą na kartach powieści ewokować życie i atmosferę dawnej Warszawy, wskrzesić jej ludzi. Reymont gromadzi więc niezwykły „surowiec literacki":

„Widziałem go przy tej pracy" — mówił o powstaniu trylogii «Rok 1794» (poszczególne jej części noszą tytuły: «Ostatni sejm Rzeczypospolitej», «Nil desperandum», «Insurekcja») przyjaciel Reymonta, poeta i krytyk, Zdzisław Dębicki. „Widziałem go, obłożonego stosem kalendarzy z wieku XVIII, pochodzących z jedynej tego rodzaju kolekcji Józefa Weyssenhoffa, niestety, dzisiaj już rozbitej, sprzedanej, wędrującej po antykwarniach. Czego szukał Reymont w tych kalendarzach? Oto rozglądał się przede wszystkim w ogłoszeniach, w anonsach ówczesnych «kafehauzów», sklepów, miejsc rozrywek. Notował nazwiska, adresy. W ten sposób wchodził w realne życie ówczesnej Warszawy, odtwarzał, a gdzie nie mógł odtworzyć, tam odgadywał Warszawę z czasów Stanisława Augusta i Kilińskiego."

W bibliotekach publicznych wertował osiemnastowieczne gazety. Szukał w nich wiadomości o ówczesnych cenach rynkowych, o cenie korca żyta, funta mięsa czy masła, łokcia płótna itd.". „Bez dokładnej tego znajomości nie mogę sobie odtworzyć powszedniego dnia bohaterów mojej powieści; muszę wiedzieć, jakimi dochodami mogli rozporządzać, ile mogli wydać, z jakiego materiału strój sobie sprawić, ile bez zrujnowania się w karty przegrać, do jakiej klasy traktierni zajść mogli, gdy ze wsi do Warszawy zajeżdżali — bez tego w ekonomicznej abstrakcji będą mi wisiały moje postaci". Te uwagi pisarza przytacza w swoich o nim wspomnieniach Grzymała-Siedlecki.

Dzięki takiej metodzie — jak słusznie zauważył po latach wnikliwy autor źródłowej monografii o twórcy „Chłopów", pro-

fesor Julian Krzyżanowski — „tłum przewijający się na kartach trylogii kościuszkowskiej, zwłaszcza w partiach jej warszawskich, zrośnięty jest z miastem, jego ulicami i placami, pałacami, kościołami, zajazdami — i cyrkiem nie mniej silnie aniżeli gromada chłopska z chatami, młynami, kościołem i karczmą w Lipcach, słowem z realną ziemią obranej epoki".

Nawet zagadnieniom, które nie miały znaleźć oddźwięku literackiego w jego twórczości, poświęcał Reymont mnóstwo czasu i pasji. Adam Grzymała-Siedlecki opisuje jego zainteresowanie wojną rosyjsko-japońską, toczącą się w pierwszych latach naszego wieku. Reymont przebywał wtedy w Krakowie, mieszkał w jednym z tutejszych pensjonatów. „Pokój, który zajmował, czynił wrażenie wystawy kartograficznej, tyle tu było map Dalekiego Wschodu, tyle ich wisiało na ścianach, tyle ich rozłożonych na stole i na fotelach, a najbardziej spośród nich szczegółowa mapa terenu walk w Mandżurii, nadziana dziesiątkami szpilek z chorągiewkami o barwach państwowych obu walczących stron — a autor „Roku 1794" od rana już tkwił nad tym swoim „frontem" i przestawiał chorągiewki stosownie do opublikowanych w rannej prasie biuletynów wojennych. Przepadłeś, jeśliś go nad tą mapą zastał: musiałeś wysłuchiwać wszystkich jego namiętnych przewidywań na temat: jakiego zwycięskiego manewru użyje w najbliższych dniach japoński sztab generalny. W terenie geograficznym Mandżurii, w jej warunkach klimatycznych, w trudnościach komunikacyjnych kraju, w środkach dostawy amunicji i aprowizacji, w całym uwarunkowaniu działań wojennych jednej i drugiej ze stron walczących orientował się tak, jakby przebywał tam na miejscu w bezpośrednim zetknięciu się zarówno z Kuropatkinem, jak i generalissimusem japońskim. Nie było sprawy, ważnej oczywiście, która by go mniej pochłaniała. «Ja muszę się weżreć w rdzeń rzeczy, inaczej nie ma jej dla mnie» — sam to kiedyś powiedział".

Jak pracował Reymont w owych latach najpiękniejszych osiągnięć twórczych, kiedy był już autorem słynnym i znanym, kiedy razem z rosnącą sławą przypływały doń coraz wyższe dochody? Pięknie opisuje to we właściwy sobie, pełen żartobliwego sentymentu, ale nacechowany trafną bystrością, sposób Kornel Makuszyński:

„Jak drugi genialny chłop, Kasprowicz, tak i Reymont śmieje się «całą gębą», tak dziecinnie, tak dziecinnie szczerze, że się miło czyni dookoła i większa jest zabawa z tego, jak się oni obaj śmieją niż z tego, z czego się śmieją... A za chwilę — jak ręką odjął. Chwytając ciężko oddech, szedł Reymont powoli, z trudem, co chwila rękę kładąc na serce, do swych książek i do swego warsztatu. Tam już czycha jego opętańcza moc, która go dławi i przykuwa na całe dni i noce do biurka, która mu nie daje chwili spokoju, tylko w nim rozpętuje furię pracy i upór nieludzki, wytrwałość jakiegoś straszliwego oracza, co w pałąk zgięty, z czołem namarszczonym, pracuje, pracuje, pracuje. Reymont jest pracownikiem — straszliwym. Zapomniawszy o świecie i o ludziach, otoczony kłębami dymu, skurczony, jak do skoku, stawia uparcie, nieznużenie litery staranne, dziwacznego charakteru, prawie prostopadłe, do klinowego pisma podobne, żmudne, jakby wykute. Czyni to powoli, z nabożnym jakimś ceremoniałem, jakby każdą tę literkę dobywał z bólem, jak drzazgę z serca. Trzeba mu odbierać pióro, ach — i papierosa. Reymont sam jeden mógłby utrzymać monopol tytoniowy".

Żona Reymonta opowiadała, że pisarz, pracując w Bretanii przez kilka dni niemal bez przerwy nad odmalowaniem wesela w „Chłopach", był tak wyczerpany, że padł na łóżko, wyzuty z sił. Przerażona, sprowadziła lekarza. Ten zbadał Reymonta i zapytał: „Co się z panem działo, że pan się doprowadził do tak groźnego stanu?"

„Przez trzy doby bez przerwy tańczyłem oberka" — odpowiedział pacjent.

Wybuch pierwszej wojny światowej zaskoczył pisarza w Warszawie, cały niemal jednak okres zawieruchy spędza on w Zakopanem, skąd wraca do stolicy w roku 1918. Po wojnie spełnia się długoletnie marzenie twórcy, w którym — jak żartobliwie twierdził sam i jak mawiali o nim przyjaciele — tkwił kawałek „hreczkosieja": za dochody ze swoich dzieł Reymont zakupił niewielki mająteczek — Kołaczków pod Wrześnią, w Poznańskiem.

„Śliczny dom — pisał o Kołaczkowie Makuszyński — naprawdę śliczny, wśród bukietów drzew pełen jest złotej poświaty, w dzień naprażony słońcem, wieczorem zaś złotym, migotliwym i najmilszym na świecie światłem woskowych świec, co

po całym domu się wałęsa, przed gościem bieży i pokazuje mu śliczne rzeczy: stare mahonie połyskujące, złocone grzbiety niezliczonych książek, obrazy w świetle tym tęczowe, szmatki różnobarwne, rozwieszone na ścianach, i wszędzie kwiaty, kwiaty, kwiaty".

Na „zimowe leże" Reymont z żoną zjeżdżał jednak zawsze do Warszawy, gdzie mieszkał najpierw na ulicy Górnośląskiej 16, później zaś na ulicy Zgoda 12, w domu należącym do wydawców jego dzieł: Gebethnera i Wolffa, „w mieszkaniu cokolwiek zwariowanym, w którym człowiek cokolwiek od Reymonta roślejszy już by mieszkać nie mógł, położywszy się bowiem nogami zwisającymi przez okno, tamowałby ruch ulicy Marszałkowskiej. Reymont jednak wcale mało dba o pałacowe wygody. Trzeba było wypuścić rurę od pieca przez okno, no to trzeba! Zapaliła się raz okiennica — także niewielkie zmartwienie... Tak! Ale w którym to pałacu w Alejach było kiedy tak cudownie miło jak w tych dwóch pokoikach, tak szczupłych, że najpierw na ich widok zdumiewał się człowiek, jak w nich Reymont mógł napisać tak ogromne książki... Wielki Reymont nikogo nie onieśmielał; wielkość swoją chował do szuflady biurka między rękopisy, a sam, skromny, cichy i serdeczny, oba ramiona wyciągał do każdego, co wchodził choćby ten gość miał w swej sławie jeden wierszyk z trzech zwrotek".

Sugestywny obraz Reymonta takiego, jakim bywał w spotkaniach i zetknięciach z ludźmi, nakreślił Adam Grzymała-Siedlecki:

„Z jakimż nerwowym nasileniem, z jakim wkładem całego siebie brał udział nie tylko w sporach czy dysputach, ale i w zwyczajnych pogawędkach towarzyskich! Siedzi z nami na przykład w kawiarni i najbardziej błahy temat natychmiast ożywia go; wciąga się weń z pasją i z drobiazgu czyni coś godnego uwagi. A niech temat będzie naprawdę ważny, wtedy trzeba było widzieć Reymonta! Osłabienie serca wstrzymuje mu burzę gestów, ale tylko spojrzeć mu było w oczy: poprzez szkła binokli jarzyły się wprost ogniem rozgorączkowania, a ręce raz po raz to z rozmachem przejeżdżają przez gęstwę jego popielatoblond czupryny, to poprawiają spadające mu z nosa binokle, nigdy nie mogące się widocznie przyzwyczaić do ferworu ich właściciela. Patrząc nań

w takich chwilach, miało się przed sobą nie tego, co prawda, korpulentnego, ale niskiego osobnika, lecz raczej jakiegoś atletę — tak wyrastał ponad siebie cielesnego, tak olbrzymim naporem psychicznym działał. Zapala się, peroruje, a bystre jego oczy spoza tych niesfornych szkieł nieprzerwanie śledziły wszystko, co się wokół dzieje, kontrolowały każdego wchodzącego do kawiarni, zapisywały w mózgu jego wygląd, wychwytywały znamienne cechy jego twarzy, jego ruchów, jego zachowania się. Notowały wszystko, co było w polu widzenia".

Rekompensatę za lata głodu i chłodu, włóczęgi i poniewierki, goryczy i upokorzeń przyniosło Reymontowi najwyższe odznaczenie literackie, jakim rozporządza świat kapitalistyczny, przyznane mu w roku 1924 — nagroda Nobla. Hołdy i uznanie nie przywrócą jednak starganego zdrowia, nie odmłodzą nadwątlonego serca i... nie ożywią najlepszych sił twórczych. Ostatnie utwory Reymonta, chociaż pisał je autor zaledwie pięćdziesięcioletni, dalekie są od drapieżnego realizmu jego nowel młodzieńczych i od wielkiej sztuki „Chłopów".

Późnym latem 1925 roku Reymont uczestniczy w święcie ludowym — w chłopskich dożynkach, urządzanych na terenie Wierzchosławic pod znakiem PSL-Piasta. Raz jeszcze pozdrawia wtedy wieś, odświętną, kolorową i... daleką od tej prawdziwej, wstrząsającej bolesnym obrazem wydziedziczanych, ubogich, krzywdzonych, jaką odtwarzał w dawnych utworach.

W grudniu 1925 roku umiera.

IV

Reymont lubił wokół siebie wytwarzać legendę, rozgłaszając coś, w co, choć nie było prawdą, sam stopniowo zaczynał wierzyć. Tak było na przykład z rzekomym pochodzeniem jego rodziny od... normandzkich Wikingów, co opowiadał w okresie młodzieńczego biedowania.

Rzecz osobliwa, że w tej opowieści, długo uważanej za blagę, zdaje się tkwić ziarenko prawdy. Szwed istotnie był jego protoplastą — twierdzi Adam Grzymała-Siedlecki, który badał dokładnie biografię Reymonta i genealogię

jego rodziny. „W drugiej połowie XVII wieku, czasu „Potopu", znalazł się w Polsce, był bowiem żołnierzem w armii Karola Gustawa. Należał do oddziałów oblegających Jasną Górę w 1655 roku. Dostaje się do niewoli. Internowany w obrębie klasztoru we władaniu o.o.paulinów, przebywa tu do końca wojny, tak przynajmniej należy mniemać. Nastaje pokój, co począć z Baltazarem? Takie było imię owego jeńca. Jako siła robocza przydałby się na przykład w Gidlach o.o. dominikanom, jako że ci w swoim zarządzie prowadzą większe gospodarstwo rolne, i tu w podarunku duchowno-sąsiedzkim przesłano Baltazara do Gidii. Tu trudne do wymówienia imię Baltazara lud miejscowy przemienił na Balcera. Balcer do Gidli przyzwyczaił się, tu się języka polskiego nauczył, tu się ożenił i wydał potomstwo. Potomstwo to, Balcerowicze, Balcerkami przezywani, okazywali się widocznie jednostkami energicznymi i rozgarniętymi, bo z ojca na syna w XVIII wieku zajmują w dobrach gidelskich stanowisko podstarościów, czyli ekonomów czy starszych włodarzy. Wnuk czy prawnuk jasnogórskiego jeńca, osobnik prawdopodobnie popędliwy, zasłynął tym, że gdy go zniecierpliwili pracownicy na polu czy w gumnach, przeklinał ich zwrotem: „Niech was rejment (regiment) diabłów porwie". I tak się to z nim zrosło, że w całych Gidlach nie inaczej go przezywano jak tylko Rejment. Przezwisko — jak to u nas często bywało — przeszło w nazwisko i już pod koniec wieku XVIII praprawnukowie Baltazara figurują w metrykach jako Rejmentowie, takie też było prawdziwe nazwisko naszego laureata nagrody Nobla. Gdy mu ją w Szwecji przyznawano, ani sobie sprawy zdano, że wieńczą potomka swoich rodaków".

A inne elementy legend, jakie sam autor „Chłopów" szerzył o sobie?

Udzielając redakcji „Wiadomości Literackich" wywiadu wkrótce po przyznaniu mu nagrody Nobla, nadmienił o znacznej ilości nowych dzieł, już napisanych, gotowych, oczekujących druku. „Księgarze będą mieli co wydawać po mojej śmierci przez wiele lat" — powiedział wówczas. Okazało się jednak, że stosunkowo szczupła ilość utworów, głównie nowel, jaka ujrzała szpalty drukarskie po zgonie pisarza, nie dorównuje żadną miarą jego wczesnym opowiadaniom, „Ziemi obiecanej" i epopei chłopskiej o Lipcach. Gdy dziś patrzymy na półkę z długim szeregiem jego ksią-

żek, wydaje się, że blask, jakim promieniowały dawniej niektóre z nich, mocno przygasł z biegiem lat. Inne zaś po dziś dzień płoną jasnym światłem. Do tych ostatnich należą „Chłopi" i jeszcze raz „Chłopi".

Wróćmy więc na tropy wędrówek ich autora — do Lipiec, które od roku 1946 noszą przydomek: „Reymontowskie".

*
* *

W Lipcach na długo zaginął słuch o młodym, z miejska przyodzianym pomocniku dróżnika, który nadzorował niegdyś budowę torów kolejowych i lubił chadzać po wsi. Dopiero wiele, wiele lat później gruchnęła wieść, że ów niepozorny „panek" wyrósł na pisarza, i to pisarza nie byle jakiego! Co więcej, wprowadził on do literatury Lipce wraz z ich krajobrazem, z ich ludźmi. Nazwa skromnej wsi niedaleko Łowicza obiegła całą Europę, trafiła za ocean, stała się znana — dzięki różnojęzycznym tłumaczeniom — we wszystkich krańcach kuli ziemskiej!

„Chłopi" trafili oczywiście także i do Lipiec. Powieść stała się znana i popularna w całej wsi, choć wśród jej czytelników nie brakło i takich, którzy dąsali się i boczyli na autora, dopatrując się w charakterystyce bohaterów „obgadywań" i plotek. Ale tych malkontentów znalazło się niewielu. Na ogół mieszkańcy Lipiec dumni byli z tego, że właśnie ich wieś trafiła na karty literatury, że dostarczyła ona treści znakomitemu dziełu sztuki. I ta duma pozostała im po dziś dzień.

*
* *

Czy są jeszcze w Lipcach ludzie, pamiętający młodego Reymonta, jego wędrówki po wsi, jego zainteresowanie miejscowym życiem i obyczajem?

„Ostatnim mohikaninem" starego pokolenia jest sędziwy Stanisław Kuchta, o kilka zaledwie lat młodszy od Reymonta; pracował on kiedyś pod nadzorem przyszłego pisarza na torach kolejowych. Pamięta miastowego młodzika, pilnie gryzmolącego w notesie; pamięta jego zaciekawienie tutejszą pieśnią, tańcem, obrzędami. W trójkę — przy pomocy Marii Nowickiej, nauczyciel-

ki, która pracuje tu od lat blisko trzydziestu i której nic, co lipeckie, nie jest obce — próbujemy konfrontować opis wsi, zawarty w „Chłopach", z jego rzeczywistym pierwowzorem. Chociaż zmieniło się w Lipcach wiele, choć znacznie rozszerzyły się one i rozbudowały, przetrwała dawna karczma — dziś budynek mieszkalny — i położone z dwóch stron chaty, w których słusznie chyba można dopatrywać się mrugających nawzajem do siebie światłami okien Borynowych i Dominikowej. Pamiętamy, jak Antek spoglądał „na staw, na drugą stronę, w duży dom świecący białymi ścianami i szybami okien, bo zachód bił w niego. Pęki czerwonych georginii wychylały się zza kamiennego płotu i paliły jaskrawo na tle ścian, a przed chałupą, w sadzie, to między opłotkami uwijała się wysoka postać — ale twarzy rozeznać nie można było, bo co chwila ginęła w sieni".

Topolowa aleja, o której często mowa w powieści, posiada aż dwa pierwowzory: jednym z nich, bez wątpienia bliższym prawdy, jest wysadzona topolami szosa, która biegnie w kierunku Słupi.

„Topografia w powieści oddana z ambicją mierniczego, który ma sporządzić mapę Lipców — pisze Adam Grzymała-Siedlecki — ten sam staw jako centralny punkt osiedla, ta sama wokół stawu droga, niemal że dokładne, wierne porozmieszczanie chałup, zgodne z rzeczywistością ulokowanie kościoła, nie zmienione umiejscowienie karczmy, precyzyjnie ścisły kierunek drogi do Pszczonowa, ten sam strumyk, który wiedzie do kapuściska".

Wiele tych elementów krajobrazowych pozostało do dziś.

Czy Boryna istniał naprawdę? Czy są we wsi potomkowie innych rodzin, których „modele" zawędrowały na karty „Chłopów"? Kiedy Grzymała-Siedlecki zwiedzał Lipce w roku 1929, wskazywano mu niektórych mieszkańców jako prototypy postaci z Reymontowej powieści. Dzisiejsza miejscowa tradycja doszukuje się Boryny w zamożnym gospodarzu lipeckim, nazwiskiem Burys; ponadto we wsiach okolicznych często spotkać można znajome nazwiska Borynów i Kłębów. W Lipcach żaden Boryna nie mieszkał. Ale — zacytujmy raz jeszcze Grzymałę-Siedleckiego — „w dzienniczku poufnym autora „Chłopów", z czasów, kiedy Lipce poznawał, odnajdujemy stronicę, na której spisał szczegółowo wykaz swoich drobnych długów: temu rubli 2, owemu rubla, ko-

muś tam rubli cztery etc. Wśród tych wierzycieli doczytujemy się i: „Boryna 3 ruble". Więc istniał może gdzieś w okolicy jakiś autentyczny Boryna. Pożyczając 3 ruble Reymontowi, biednemu wówczas pomocnikowi dróżnika kolejowego, dobroczyńca ów ani się spodziewał, że jego 3 ruble tyle słynności przyniosą jego nazwisku". Oczywiście powieść — to dzieło sztuki, nie dokument czy fotografia! Niemniej jednak ciekawa jest próba rozszyfrowania niektórych realiów powieściowych i sprawdzenia trwałości Reymontowskiej legendy, jaka żyje tutaj do dziś.

Pamiętacie Rocha, przybysza ze świata, uczącego w szkołach lipeckich miejscowe dzieciska sztuki czytania i pisania? Pamiętacie, jak w czwartym tomie „Chłopów" naczelnik reprezentujący władze carskie obarcza mieszkańców Lipiec podatkiem na budowę szkoły i jak odzywają się wtedy wśród obecnych nieśmiałe jeszcze na razie wołania o szkołę polską („Każde stworzenie ma swój głos, a jeno nam przykazują mieć cudzy")? Dzisiejsze Lipce mają od dawna szkołę siedmioklasową, która długo jednak nie mogła uzyskać własnej siedziby, gnieżdżąc się w pięciu różnych budynkach. Nowy budynek szkolny i elektryfikacja wsi — to dwie najważniejsze dla Lipiec sprawy na lata najbliższe.

Szkoła lipecka promieniuje na wieś i okolicę. Dzięki szkole Lipce mogą pochlubić się sporą garstką tutejszej młodzieży, która powędrowała w świat i zdobyła wyższe wykształcenie. Z Lipiec wyszło paru lekarzy i prawników, malarka, dziennikarz... Założony z inicjatywy kierownika szkoły uniwersytet powszechny skupia kilkudziesięciu słuchaczy, i to nie tylko młodych, lecz i takich, którzy wiekiem dobijają sześćdziesiątki. „Gwoździem" działalności miejscowej świetlicy jest osnute na tle „Chłopów" widowisko „Wesele Boryny", wzbogacone miejscowymi tańcami, obrzędami i pieśniami. Z widowiskiem tym zespół wyjeżdża do Skierniewic, Tomaszowa, a nawet do Łodzi.

*

* *

Są miejscowości, związane z pamięcią najwybitniejszych naszych pisarzy, którzy przez dłuższy czas tu mieszkali. Do takich miejsc należy Sienkiewiczowski Oblęgorek i Nałęczów z „Chatą"

Żeromskiego. Są również miejsca inne, w których twórca przebywał krótko, ale które w rozwoju jego talentu odegrały kapitalną rolę, dając impuls do powstania dzieł o wielkiej, nieprzemijającej wartości. W chacie Tetmajerów Wyspiański był tylko gościem, a jednak dzięki „Weselu" myśl o nim narzuca się od razu, gdy tylko przestąpimy próg Tetmajerówki. Pobyt Reymonta w Lipcach był tylko jednym z epizodów jego burzliwej młodzieńczej tułaczki, a jednak z tego właśnie wiejskiego zakątka pisarz zaczerpnął najobficiej literacki „budulec", który kiedyś miał wspaniale zaowocować twórczym plonem.





ALEKSANDER FREDRO



«*Strach przestraszony*»

Znał kto z waćpaństwa dobrodziejstwa pana Stecewicza? – Nie? – Szkoda... Był to dobry człowiek, miał wzrost ogromny, nos duży, rzadkiej wielkości nogi, koszulę zawsze brudną i część ubioru nieodzownie potrzebną zawsze podartą. Dlatego zapinał surdut aż pod szyję i siadał wąsko. Był on dyrektorem, *alias* * pedagogiem, moich młodszych braci. Teraz już dyrektorów nie ma, sami guwernerowie, ale onego czasu pan Stecewicz był dyrektorem, guwernerem zaś pan Płachetko, na drugi zawód * w domu naszym. Dwie osobliwości łączył on w sobie, pierwsza, że był guwernerem Polakiem w owym czasie zatapiającej nas francuszczyzny, a druga, że brodę golił bez zwierciadła. Poważna to była figura pan Płachetko, ale można było o nim powiedzieć, przekręcając znane przysłowie: Nie tak mądry, jak się zdaje. Boską to były plagą owe guwernery, chodzące wszechnice. Guwerner dawniej brał obowiązek kształcenia duszy i ciała. Uczenia przy tym kilku języków, wszystkich wiadomości i niektórych innych. Udzielał często nauki muzyki i rysunku, a co najdziwniejsza, że czasem sam mało co umiał...

Moim pierwszym autokratą umysłowym był Hekel, Szwajcar o łbie kędzierzawym i kabłąkowatych nogach. Szlufował * kamienie, łapał ptaszki, nietęgo uczył, ale tęgo ciągnął za uszy. Lubo często nazywał mnie Sztokfiszem, powiem, niepomny urazy, że o ile sobie przypominam, był to człowiek światły, przy tym i muzyk niezły. Po nim nastąpił pan Płachetko, o tym już wyżej. Na koniec, trochę już za późno, zwrócono się do trybu szkolnego i berło przeszło w ręce pana Trawińskiego. Obfita w zdarzenia i przemiany, acz, niestety, krótka jego historia. Z pedagoga, w całym znaczeniu tego słowa, stał się nagle dziwaczno wykwintnym elegantem. Z eleganta został żołnierzem w wojsku polskim 1807 r.

---

* czyli (łac.)
* za drugim nawrotem
* Szlifował

Za młodym jeszcze byłem, abym był mógł z Maksymilianem, Sewerynem * i Trawińskim umknąć do Warszawy, przeszedłem więc z młodszymi braćmi, Julianem, Henrykiem i Edwardem, pod powtórne panowanie pana Płachetki jako guwernera i dyrektora pana Stecewicza. Pierwszy miał uczyć po francusku, muzyki, przyzwoitości, obyczajności etc., etc. Drugi zaś kontynuować rozpoczęte przez pana Trawińskiego nauki szkolnym trybem prywatnie, których egzamina w domu zawsze kosztowały parę fasek masła. O Płachetko! niech ci Bóg, przed którym już stoisz, przebaczy, ale ja nie mogę, żeś mój czas najpiękniejszy od 1807 do 1809 zabił, zamordował bez litości. Książki w rękę nie wziąłem. Jeżelim czytał, to romanse. Mój ojciec, zajęty interesami, a szczególnie fabryką żelaza, którą założył w Ciśnie, rzadko bawił w domu. Nie mógł więcej dla dzieci zrobić jak do ogólnego dozoru wziąć guwernera, a do szkolnych nauk dyrektora. Odpowiedzialność więc cała ciążyła na panu Płachetce. Pan Płachetko nic nie robił, nie robiłem i ja nic. Polowałem, jeździłem konno. Wtem nagle, nie pamiętam, z jakich powodów, chwyciłem pióro i... napisałem komedię pod tytułem *Strach przestraszony.*

Jeżeliby kto znalazł książkę *in 8⁰* *, w skórkę oprawną, w której pierwsza połowa wycięta, bo ta książka była kiedyś rejestrem *, a druga zachwyca oczy tytułem *Strach przestraszony. Komedia w jednym akcie* – niech ją wróci memu potomstwu, bo to jest moje dzieło. Ale daremne wezwanie! Próżne nadzieje! Przepadł drogi rękopis, jak przepada skarb niejeden w wirze ludzkiej ciemnoty.

Nie mogę wstrzymać się i muszę wam, kochani, a zwłaszcza cierpliwi moi słuchacze, opowiedzieć treść tej krótkiej, ale pięknej komedii. Aby jednak stała się zrozumiałą, należy cofnąć się nieco i rzucić okiem w nasze zwyczaje domowe.

Był więc zwyczaj, że co niedzieli dzieci wyprawiały bal, tak zwał się bankiet, na który otrzymywały prócz codziennych jabłek trochę suszonych śliwek i wiśni, trochę rodzenków i migdałów, i kawałek cukru. Mój brat Seweryn, szef szwadronu gwardii (nie wówczas, ale później), jako najstarszy (Maksymilian bawił wówczas w Puławach) przywłaszczył sobie *jure forti-*

---

* Starsi bracia autora (por. niżej, s. 300, 301).

* w ósemce, tj. dość dużego formatu

* księgą rachunkową

rioris * zazdroszczony urząd kuchmistrza. On siekał, skrobał, nadziewał śliwki rodzenkami a rodzenki migdałami, kiedy tymczasem młodsze rodzeństwo, obsiadłszy mały stoliczek zastawiony cynowymi talerzykami, czekało niecierpliwie pierwszego dania. Nareszcie, gdy nadeszła chwila pożądana, półmiski wypróżniały się w mgnieniu oka, nie bez zatargów i nie bez pokrzywdzenia najmłodszych pomimo reklamacji piastunek. Często też kończyło się na płaczu i dopiero cała śliwka wpakowana w gębę wzięła z sobą ostatnią łzę sunącą się po nosie. Czasem i bunt powstał; rzucano się na surowe kuchenne materiały – a gdy kuchmistrz nie mógł ich już obronić, rozdawał szturchańce i ciągnął za nosy, ale rodzenki osładzały wszystko.

Mój brat Seweryn, o cztery lata starszy ode mnie, był do swoich lat trzynastu dokładnym egzemplarzem (tak we Lwowie nazwanego) lamparta. Swawolny, nieposłuszny, zawsze w zadeptanych trzewikach i podartej czapce, którą uczył psy aportować, był dla guwernera prawdziwą plagą. Szczególne miał upodobanie szczuć świnie psami i nieraz Cusin, ówczesny guwerner, Francuz, przyprowadzał go za ucho z tego polowania do lekcji i za karę przywiązywał sznurem do stołu. Z tego powodu napisał Seweryn komedię, której osoby były: Cusin, Sewercio, Burda (kundys) i Świnia. Tak to talent dramatyczny w naszym rodzie parł się w górę wszystkimi porami. Seweryn uczył się lepiej ode mnie, ale ja byłem poważniejszy... nigdy nie byłem dzieckiem. Dlatego mnie zwano Staruszkiem.

Otóż, wracając do rzeczy, taki bal dziecinny był treścią mojej sztuki. Osoby były: Pan... zapewne Cnotliwski – ale nie pamiętam, równie jak nazwiska synka i córeczki pana Cnotliwskiego – Michał lokaj i Szafarka. Rzecz się zaczyna: Pana nie ma w domu, dzieci narzekają, że niedziela przejdzie bez balu. Michał obiecuje im dostać śliwek, rodzenków itd. Ubiera się w prześcieradło, jak to zwykle wystawiają duchów, i idzie do śpiżarni straszyć szafarkę. Szafarka, przestraszona, kryje głowę w beczkę z mąką, Michał ładuje kieszenie nie tyle dla dzieci, ile właściwie dla siebie. A wtem... otwierają się drzwi... wchodzi Pan... Kolej na Stracha przestraszyć się... Michał kryje głowę w drugą beczkę. Rozwiązanie następuje prędkie i jasne, zamknięte nareszcie sensem moralnym.

---

* prawem silniejszego (łac.)

Widzicie więc, moi państwo, że komedia nie była bez planu i pewnie byłaby i nie bez efektu scenicznego, gdyby była przedstawiona w teatrze. – Szkoda!

Był w naszym domu nauczyciel muzyki Mikołaj Matłowski... poczciwy, dobry Matłowski... Dziwną miał zaletę; mógł kilka godzin siedzieć wyprostowany na jednym miejscu i nic nie mówić, i nic nie robić, jak tylko od czasu do czasu zażyć tabaki i utrzeć nosa w kraciastą chustkę z wymaganym rozgłosem. Jego wybrałem na słuchacza tym śmielej, że obawa, która mnie w ciągu całego życia nie odstępowała, abym kogo nie znudził, nie mogła względem niego mieć miejsca, bo w niczym nie naruszałem jego moralnej i fizycznej nieruchomości. Poczciwy Matłowski uśmiał się serdecznie z konceptów Michała. Pokochałem go za to jeszcze więcej, niż go kochałem, i odwdzięczając jego pochwały przestałem brać od niego lekcje na fortepianie. Niemały z niego zdjąłem ciężar. Cztery lata uczyłem się i nigdy zrozumieć nie mogłem, czego właściwie żądają ode mnie. Przy lekcjach zawsze nogami dzwoniłem, oczywiście nie w takt i nieustannie wciągałem nosem, *vulgo* * siąkałem, co jest niezawodną oznaką słabego usposobienia ucznia i powinno zwracać uwagę rodziców. Jeżeli podrostek mocno siąka przy muzyce – nie tracić czasu. Czasem zły muzyk bywa dobrym jurystą *. Jeżeli zaś siąka i nad kodeksem, czym prędzej dajcie mu ołówki, może będzie malarzem. Ale jeżeli zawsze i przy każdej nauce siąka i siąka – to hebes jak Bóg Bogiem...

Śmiech Matłowskiego ochrzcił mnie na autora. Przy tej sposobności muszę zrobić uwagę, że sposób najdzielniejszy podobania się jest łatwość śmiechu. Śmiech jest nie udaną aprobatą konceptu... a aprobaty któż nie lubi?

Sukces nadzwyczajny mojej komedii zawrócił mi głowę, wziąłem się do tragedii. Ale ta ograniczyła się na tytule wielkimi literami napisanym: *Rzeź Pragi*, i na spisie osób, na czele których, jak łatwo zgadnąć, stali Suworow, Zajączek i generał Jasiński. Zdaje mi się nawet, że zacząłem pierwszy wiersz pierwszej sceny wyrazami: „O Ty! co"... albo: „O Ty! który", co zawsze wielki efekt robi w stylu poważnym tak, jak inwokacje * w kazaniach, które budzą wszystkie uśpione baby do ryczącego

---

* mówiąc po prostu

* prawnikiem

* wezwania do słuchaczy

westchnienia, albo jak w teatrze owe oklepane sentencje o cnocie, honorze, miłości ojczyzny. Bo trzeba wiedzieć, że nigdzie nie ma tylu czcicieli cnoty, ile w teatrze, lubo w zamęcie owych szlachetnych uniesień najwięcej ginie chustek i zegarków.

Ale jeżeli zostałem dramaturgiem bez żadnego wyraźnego powodu, nie tak się ma co do poezji. Okolicznościami bowiem pchnięty dosiadłem Pegaza. Długo już przemyśliwałem, jak to opowiedzieć, bo to działo się w wojsku, a koszary nie salon. Ale historia jest historią, ma swoje żelazne prawa, z których wyłamać się nie zawsze można. Będę jednak starał się, bądźcie panie pewne, omglić, ile możności, wszelką szorstkość przedmiotu. A więc do rzeczy.

W Krasnym Stawie mieszkałem razem z podporucznikiem Jakubem Nowickim, który miał służącego Franciszka. Razu jednego wziąłem wstępnym bojem *(necessitas frangit legem *)* pewną nieodzowną, acz tylko płócienną część ubioru, którą to słońce nie zwykło oglądać. Kiedy zaś kolega uporczywie upominał się o zwrot swojej własności, napisałem wierszyk pod tytułem: *Żale Jakuba nad utratą g..i.* Zwrotki kończyły się powtórzeniem: „Franciszku! Gdzież g... moje?" – Ta poezja zrobiła w pułku furorę. Ale jeden z kolegów, Dąbrowski (zginął pod Możajskiem *), wziął mnie na stronę i zwrócił moją uwagę, że w kilku wierszach nie ma średniówki.

– Średniówki?... Co to średniówka? – zapytałem.

Dąbrowski wytłumaczył i to była pierwsza oraz jedyna nauka rymotwórstwa, którą w życiu otrzymałem.

Uzbrojony w średniówkę, rzuciłem w świat parę kawałków, których tytułu powtórzyć nie mogę, a których sława przeszła krańce nawet pułku.

Później we Francji spróbowałem rodzaju uczuciowego – napisałem do Ludwika Jelskiego ładny wierszyk zaczynający się:

Miłość jest równie
Bujna topoli.
Wzrasta gwałtownie
Na miękkiej roli...

Ale kiedy razu jednego zacząłem deklamować w gronie kolegów, je-

---

* potrzeba łamie prawo (łac.)

* podczas wyprawy moskiewskiej 1812 r.

den z nich, gbur nieokrzesany, dodał zaraz do mego pierwszego wiersza „Miłość jest równie" – swój rym arcynieczysty, co mnie tak zbiło z terminu, że na długi czas dostałem wstrętu do uczuciowego rodzaju.

Aleksander Fredro: *Trzy po trzy. Pamiętniki z epoki napoleońskiej*, Warszawa 1917.

Szabla i pióro

Nie słyszałem nigdy, by Aleksander chodził do szkół, więc wychowanie czysto domowe odebrać musiał. Mając lat szesnaście wstąpił do wojska r. 1809. Podczas odwrotu z Moskwy zakopał chorego i zamarzającego ordynans Jędrzej w śniegu, a wynalazłszy gdzieś podwodę przywiózł do Wilna, gdzie w szpitalu dostał się Aleksander do niewoli. Przez jakieś panie wykradziony, przebrany za chłopa, dostał się do Galicji, wypocząwszy wrócił do służby i robił kampanię 1813–1814 roku.

Wróciwszy do domu, dostał od ojca rocznego wyznaczenia 100 dukatów. Z tej pensji objął w dzierżawę maleńki folwarczek, należący do Beńkowej Wiszni, Jatwięgi. Jak mawiać lubiał, biedował na tej dzierżawce, mając na śniadanie kieliszek „kopciuchy", na obiad drugi, a na kolację trzeci, z przyjacielem i sługą Jędrzejem, któremu za uratowanie życia odwdzięczył się odą:

Jędrzeju, sługo wierny, przyjacielu rzadki,
Ty, co ze mną wojenne dzieliłeś wypadki
I coś w całej zdobyczy z moskiewskich płomieni
Uniósł szczotkę, dwie pończoch i kilka grzebieni.

Żył, jak mógł, polując zawzięcie z sąsiadami, szczególnie najbliższym, bratem moim Kazimierzem, pierwszym na ten czas w Galicji myśliwym.

Podrostkiem widywałem Fredrę często u brata w kniei i na siwym podjezdku, w zielonej kurcie; miał wtedy jeszcze coś wojskowego i bogaty zbiór przypowiastek, facecji i wspomnień pułkowych. Facecje owe, zawsze zgrabnie i dowcipnie podane, często tylko w paru słowach rzucone, czyniły go w męskim towarzystwie przyjemnym i pożądanym.

Wzrostu średniego, ale kształtnie zbudowany, był Fredro lekko ospowaty i płci żółciowej na twarzy, zdradzającej skłonności do hipochondrii.

Oko miał siwe, w białku także żółte, wzrok nieujmujący, wąs rudawy, krótko przystrzyżony, uśmiech niedobry, ułożenie dość gładkie...

W 21 roku osiadłszy, po pięcioletniej wojaczce, w Jatwięgach, pola zażyć musiał; sam nieraz powtarzał, że poszarpany tomik Moliera, podany przez Igla, dał mu pierwszy popęd do pisania komedii...

Ludwik Jabłonowski: *Złote czasy i wywczasy. Pamiętnik szlachcica z pierwszej połowy XIX stulecia*, Poznań 1927.

«*Mąż i żona*»

Mój ojciec przepędzał we Lwowie [w latach 1815–1824] tylko kilka zimowych tygodni. Ile, to już od ilości lisich skórek zależało; resztę roku siedział w Jatwięgach, gdzie zaczął pisać swoje komedie. Wiele lat później, gdy raz przejeżdżaliśmy przez Jatwięgi, on na dzielnym gniadym koniu, ja na kucu, pokazywał mi sosnę, pod którą leżąc napisał pierwszą scenę komedii *Mąż i żona*. Dziś już tej sosny nie widzę; czy ją burza powaliła, czy siekiera ścięła, nie wiem; dosyć, że wróciwszy do kraju po dziewięcioletniej emigracji, już jej nie zastałem. Wznosiła się ona nad Jatwięgami od strony lasu zwanego Bezarabiną.

Gdy już trochę pisać zacząłem, ojciec, który w ogóle nie lubił mówić o swym autorstwie, wrócił do tego wspomnienia i sam się dziwił, że tę komedię, którą do najlepszych można policzyć, zaczął bez planu i już miał kilka scen napisanych, gdy właściwego węzła sztuki ani jej rozwiązania nie był jeszcze znalazł. W istocie jest to rzadki, może w swoim rodzaju jedyny wypadek, by autor dobrą komedię napisał nie mając przy zaczęciu w myśli przynajmniej ogólnych jej zarysów.

Jan Aleksander Fredro: *Wspomnienia...*, w książce Marii z Fredrów Szembekowej *Niegdyś...*

Czwartkowe obiady

Według ówczesnych ustaw szkolnych, których celem było ograniczenie rozszerzania się oświaty w kraju, potrzeba było mieć lat dziesięć skończonych, aby być przyjętym do szkół gimnazjalnych. W roku 1835

brakowało mi do tego wieku jeszcze kilka miesięcy, ale znalazła się jakaś metryka, która wypełniła tę lukę, a może to zrobiono jakoś inaczej; ja tylko tyle pamiętam, że tej jesieni ojciec mnie zawiózł do Lwowa i umieścił w konwikcie *. W tym konwikcie miałem wszakże osobnego nauczyciela, który się nazywał Różycki. Będąc już z domu przygotowanym do pierwszych klas gimnazjalnych, miałem wiele wolnego czasu; ten czas starano się zapełnić lekcjami rysunków, muzyki i obcych języków, bo wtedy w domach szlacheckich trzymano się tej zasady, że młody człowiek powinien się uczyć wszystkiego. Jednak pomimo tych lekcji zostawało mi jeszcze dość czasu do czytania i przepisywania zakazanych poezji polskich, które wówczas w nieprzebranej ilości obiegały pomiędzy młodzieżą i daleko więcej ją zajmowały niżeli wykładane przez Niemców, zresztą niezmiernie chude, przedmioty szkolne. Ażeby mi podać sposobność poznania rodzin, w których było cokolwiek więcej oświaty, a przy tym dobre i gładkie chowały się obyczaje, ojciec wprowadził mnie do kilku domów, z którymi go dawne wiązały stosunki.

Jednak przed wszystkimi innymi wprowadził mnie ojciec do domu p. Aleksandra Fredry, który wówczas mieszkał przy ulicy Sykstuskiej i gdzie się chował jego syn Oleś, głośny później jako Jan Aleksander w naszej literaturze dramatycznej, tylko o półtora roku młodszy ode mnie, a który w domu uczył się mniej więcej tych samych przedmiotów szkolnych. Oleś jako dziecko był śliczny, jasny blondynek z niebieskimi, ciągle uśmiechniętymi oczyma, był przy tym pełen chłopięcej pustoty; miał pokój osobny, przepełniony zabawkami najrozmaitszego rodzaju, gdzie jednak znajdował się także pult, przy którym jego ojciec stojąc pisywał, bo pomieszkanie to nie było bardzo obszerne.

Fredrowie, bracia Aleksandra – a było ich sześciu i tylko najstarszy z nich, Maksymilian, mieszkał w Warszawie – w czasach swojej młodości, a mianowicie między latami 1815 a 1825, zajmowali wybitne stanowisko we Lwowie i z kilką innymi synami zamożniejszych rodzin szlacheckich nadawali niejako ton owoczesnej młodzieży warstw wyższych. Pewna starsza matrona, opisując mi później te czasy, pełne tryskającego humoru w tych sferach, powiada mi:

– Wtenczas tu Fredry chodzili na głowach i nie można się było

* w szkole z internatem

nigdzie obrócić, aby się nie natknąć na Fredrę. Trzeba się było chować przed nimi, bo i z ołtarza byliby zdjęli, a do tego jeszcze i takie wiersze pisali, że nawet starszym uszy od nich trzeszczały...

Poważniejsi ojcowie familii, ze starożytnych, bez przerwy w pierwszym rzędzie stojących rodów, mocno na nich za to nosem kręcili, a przy tym puszczali w obieg złośliwe wieści, że nawet nie wiedzieć, skąd się ci Fredrowie wzięli na świecie.

... od czasu ożenienia się z Jabłonowską, rozwiedzioną ze Skarbkiem, damą niecodziennej piękności, złotego serca i bardzo świetnego ukształcenia, prowadził [Aleksander Fredro] życie skromne, spokojne i bez tej wystawności, na którą inni tracili dużo pieniędzy; bywał w towarzystwie tylko o tyle, o ile konieczność tego wymagała do utrzymania stosunków, a przyjmował u siebie tylko takich ludzi, dla których umysłu i serca miał szczerą sympatię. Pomiędzy latami 1835 a 1838, o których to mówię, odbywały się u niego co czwartek literackie obiady, do których i nas przypuszczano. P. Aleksander sadzał nas zawsze obok siebie, Olesia po jednej, a mnie po drugiej stronie, i dawał nam objaśnienia o tym, o czym właśnie mówiono, a czasem te i owe nauki, bo wychowanie syna po swej myśli leżało mu przede wszystkim na sercu. Nie widziałem w życiu lepszego męża i troskliwszego ojca od niego. Na tych obiadach, które się odbywały o godzinie drugiej, nie bywało nigdy więcej nad dziesięć do dwunastu osób. Bywali na nich, o ile sobie mogę przypomnieć, Adam Zamoyski, w granatowym kontuszu, który sam także wiersze pisywał, Tadeusz Wasilewski, konsyliarz gubernialny a często i komisarz sejmowy, ale także w kontuszu, książę Henryk Lubomirski, kurator Zakładu Ossolińskich, Sagatyński, paź Stanisława Augusta, który pamiętniczek po sobie zostawił, Aleksander Batowski, Jan Nepomucen Kamiński w długim granatowym surducie. Bywał także i Pol, ale był to jedyny z młodszej generacji pisarzy, którego tam widywałem. Pol, chociaż młody, był bardzo poważny, a kiedy mówił, wszyscy go z wielką atencją słuchali, bo już wtedy otaczał go pewien urok, któremu wszyscy ulegali, a który on umiał utrzymać. Mówiono zwykle o literaturze, która wszakże wtedy w Galicji była jeszcze bardzo ubogą, dlatego kończono zwykle na Mickiewiczu, którego utwory dopiero wtedy zaczęły się upowszechniać w szerokich kołach i około których kręciły się wszystkie rozmowy.

Pomnę, że w owym czasie mój ojciec, do którego wszystkie publi-

kacje emigracyjne przychodziły z Węgier, przysłał mi był przez jakąś dobrą okazję jeden egzemplarz *Pana Tadeusza,* jeden *Dziadów* i jakieś paryskie gazety i kazał mi to zanieść pod płaszczem do p. Aleksandra Fredry. Mój nauczyciel Różycki, który był bardzo dobrym Polakiem, ale miał dekret na profesora, kiedy ten pakiet obaczył, zaokrąglił oczy jak gałki, zaparł oddech w piersiach i otarł chustką pot z czoła. Mnie się z niego śmiać chciało, zresztą jak zawsze, pytam go więc ze śmiejącymi oczyma: co mu takiego? A on mi na to:

– Jak to co? gdzież takie rzeczy!... za to idzie się do Kufstejnu.

A potem, chociaż prócz nas dwóch nikogo w pokoju nie było, nakrył „te rzeczy" chustką od nosa. Tego dnia odprowadził mnie o godzinę wcześniej do Fredrów – i jestem przekonany, iż gdyby mnie był jakiś policjant w drodze zaczepił, to mój Różycki byłby dał takiego drapaka, że byłby się pewnie nie oparł, aż w Węgrzech.

Kiedym przyszedł do pana Aleksandra Fredry z tymi zakazanymi książkami, już było trochę gości u niego. Wszyscy się zaraz około nich gromadzić poczęli, porozkładali je na stole i patrzali na nie z taką ciekawością i namaszczeniem, jak się patrzy na święte relikwie za ołtarzem w kościele.

Te czwartkowe obiady u Fredry przeciągały się zwykle aż do wieczora – a kiedy już ze stołu zebrano, dopiero wtedy zaczynały się poważniejsze rozmowy. Wtedy niejednokrotnie czytano głośno jakieś utwory i dyskutowano ich zalety i niedostatki. Wówczas już i we Lwowie zaczęła się z wolna rozbudzać romantyczna literatura...

Zygmunt Kaczkowski: *Mój pamiętnik z lat 1833—1843*, Lwów 1899.

Pan Fredro

Nie byle jakim szczęśliwcem stał się brat mej matki, ośmioletni Wicuś: widział on na swe własne oczy Aleksandra Fredrę, gdy ten zjawił się z wizytą w Warszawie w domu Rapackich...

W rozmowie ze mną wuj tak snuł swe dziecinne wspomnienia:

„Rzecz dziwna, niektóre fakty z epoki dzieciństwa tak mi się wryły głęboko w pamięć, że widzę je dzisiaj o wiele wyraźniej niż te z lat

późniejszych, i muszę przyznać, że lepszym byłem obserwatorem, mając lat pięć niż obecnie.

W owe czasy odwiedzało nas wielu «panów», którym z biegiem lat ten tytuł odjęto. Pierwszym takim «panem», który zjawił się u nas w Warszawie, był pan Moniuszko. Przychodził na lekcje śpiewu do mojej matki. Matka studiowała partię Zosi z *Flisa*. Muszę się pochwalić, że arię «Franku, moje krocie» śpiewałem z takim samym zapałem jak i moja matka, a pan Moniuszko, kiedy się o tym przekonał, wydał straszny wyrok, a mianowicie, że jestem stracony i nic porządnego ze mnie nie wyrośnie, co się do joty sprawdziło.

Bywał także pan Siemiradzki... Bardzo lubiłem, kiedy przychodził, bo grał ślicznie marsza na fortepianie. Potem doszło do mojej wiadomości, że pan Siemiradzki zajmuje się także malarstwem.

Ojciec mój jeszcze więcej cieszył się z odwiedzin pana Matejki, co mnie bardzo dziwiło, bo pan Matejko nie grał na fortepianie. Nosił okulary i nigdy się nie śmiał.

Za to nastrój prawdziwej zabawy wprowadzał w dom nasz pan Bałucki. Kiedy przyjeżdżał z Krakowa, zawsze mieszkał u nas. Cały czas mówił wierszami, co wywoływało niezwykłą wesołość...

Gdy wracam do tych dawno minionych czasów i wskrzeszam wizje tych różnych postaci, staje przede mną sylwetka jeszcze jednego «pana».

Pozwól mi, Jurku, przez chwilę patrzeć oczami dziecka i tak odtworzyć ten obraz, jak mi się wtedy przedstawił.

Coś dziwnego działo się tego dnia w naszym mieszkaniu. Mama zniknęła w kuchni, aby zaparzyć kawy.

Ojciec co chwila wybiegał do przedpokoju i pilnie nasłuchiwał. Reszty rodzeństwa nie było w domu. Na mnie, najmniejszego, nie zwracano uwagi, dzięki czemu mogłem się nareszcie dowiedzieć, czym był wypchany konik, darowany mi przez pana Niedzielskiego.

Nagle odezwał się dzwonek. Ojciec pośpiesznie otworzył drzwi. Do przedpokoju wszedł wysoki, siwy pan.

Ojciec pocałował tego pana w ramię. Sam zdjął mu palto i poprosił do gabinetu. Mama w tej chwili przyniosła kawę i wróciła do kuchni.

Stary pan długo z ojcem rozmawiał... Z początku cicho, potem bardzo głośno. Ojciec bardzo się unosił, a siwy pan kiwał tylko głową, ale był spokojny i bardzo poważny. Przez otwarte drzwi widziałem ich dosko-

nale, a zapamiętałem sobie tę niezwykłą wizytę dlatego, że ku swojemu zdumieniu spostrzegłem, że mój ojciec płakał, a ten pan miał także łzy w oczach. To było dla mnie niepojęte. Z jakiego powodu starsi mają płakać, kiedy im wszystko wolno? Po godzinie wyszli z gabinetu. Ojciec odprowadził siwego pana do przedpokoju, znowu go pocałował w ramię i kłaniając się nisko pożegnał. Ja stałem na środku jadalni, trzymając w ręku konia, który wyglądał jak po walce z bykiem.

Ojciec z wielkim ożywieniem zwrócił się do mnie:

– Przyjrzałeś się temu panu?

– Tak.

– Zapamiętaj go sobie, to był pan Fredro.

– Pan Fredro – powtórzyłem chowając konia za plecy.

Ojciec przeszedł się parę razy po pokoju, nagle przystanął i znowu zwrócił się do mnie:

– No, i jakiż był ten pan?

– Był bardzo polski – odpowiedziałem.

Ojciec uśmiechnął się i pogłaskał mnie po głowie...

*

Dom dziadka mego, Wincentego Rapackiego, jak i nasz był opętany miłością do Fredry.

Zemstę umiałem wcześniej niż pacierz. Wiersze Fredrowskie często plątały mi się z modlitwą: „Nie wódź nas na pokuszenie...", ale dalej już waliłem Fredrę: „... Ojców moich wielki Boże..." W tym miejscu dostawałem od matki tęgiego klapsa, co nic nie pomagało, bo, chowając łepetynę pod kołdrę, przekornie kończyłem: „Wszak gdy wstąpił w progi moje..." itd., i z Fredrą na ustach zasypiałem. Pukając do gabinetu mego dziadka, cichutko szeptałem słowami Papkina: „Wolnoż wstąpić...", na co dziadek (cudowny Milczek na scenie) odpowiadał jako Rejent: „Bardzo proszę..." Po czym rozmowa toczyła się już w normalnym języku.

Gdy zbyt natrętny wierzyciel wtargnął do mieszkania, kwitowało go się słowami Milczka: „Cześnik wszystko będzie płacił..." Otumaniony, ogłupiały tą odpowiedzią, zmykał jak oparzony. Chorego napominało

się. „Szanuj zdrowie należycie, bo jak umrzesz, stracisz życie.” Co prawda kazanie takie niewiele pomagało, ale byliśmy pewni poprawy – wszak Fredro mu radził. Powinno to go było uzdrowić....

Jerzy Leszczyński: *Z pamiętnika aktora*, Warszawa 1958.

I tu, i tam

W czasach tych, tj. około roku 1871–1872, dziad mój dość dużo jeszcze pisał, zwłaszcza poezyj, lecz nigdy ich nikomu nie czytał, prócz babce w cztery oczy; mnie powoływał czasem do ich przepisywania na czysto. Nic tak nie lubił, jak kiedy brat mój w wolnych chwilach czytając w rękopisach niewydane jego komedie, zanosił się nieraz od śmiechu. Twarz dziadka się wtedy rozjaśniała i z uśmiechem mawiał do babki: „Oto moja najmilsza, najwdzięczniejsza publiczność! Dla niej warto pisać...”

Z czasów tych i nieco późniejszych a poprzedzających długą, bo przeszło dwa lata trwającą, chorobę jego pozostały mi w sercu dwa obrazki... Więc najpierw obraz pokoju mojej babki w wieczory zimowe. Spędzaliśmy je stale u niej. Babka, mająca wtedy lat siedemdziesiąt jeden, kładła się już około godziny siódmej; po kolacji, w jej pokoju spożytej, przysuwano do jej łóżka stolik i fotel mego dziada i razem kładli pasjanse. Przy drugim dużym stole siedziała reszta towarzystwa... Pod koniec wieczoru drzwi się otwierały i wchodził mój ojciec we fraku...

Przyszedłszy pewnego wieczoru do pokoju babki, ujrzałam ze zdziwieniem dwa próżne krzesła stojące przed piecem, w którym śród stosów popiołu tliły się jeszcze szczątki papierów. Babka, jak zwykle o tej godzinie leżąca już w łóżku, wydawała się smutna – dziadek milczący i głęboko zamyślony siedział obok niej w fotelu. „Musiało tu zajść coś niezwykłego – pomyślałem sobie – ale co takiego?” Brat mój, który zawsze pierwszy o wszystkim wiedział, szepnął mi do ucha, że dziadostwo przez cały wieczór palili swą przed- i poślubną korespondencję...

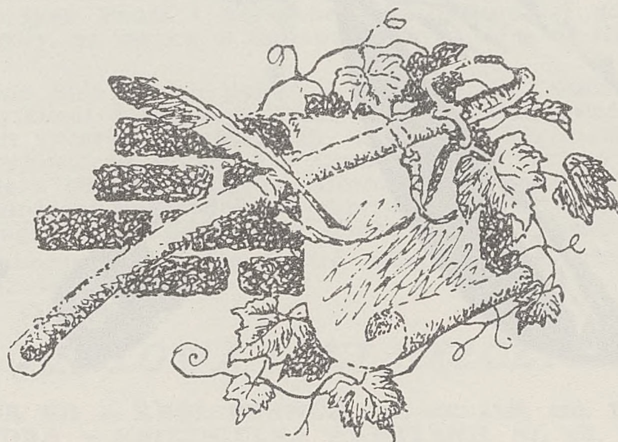
... Słuszność mieli staruszkowie drodzy, zdobywając się na ten czyn bolesny; na takich listach, pisanych wprost z serca do serca, żadne oko obce, choćby rodzonych, kochających dzieci, spocząć nie powinno... A przed spaleniem, po raz ostatni odczytując je, płakali nad nimi oboje...

Z tych więc dalekich czasów ich długoletniej miłości nie pozostał list

żaden. Jedyną pamiątką sięgającą okresu, w którym toczyła się długa sprawa rozwodowa babki i w którym możliwość związku jej z dziadem wątpliwą się jeszcze zdawać mogła, pozostał miedziany pierścionek z wyrytym napisem: „Nie tu – to tam." Babka moja, przegrawszy do dziadka cwancygiera * – nie wiadomo, czy w grze jakiej, czy w zakładzie – kazała z niego pierścionek ten zrobić i w ten sposób dług swój spłaciła. A z woli Bożej spełniły się ich marzenia i życie ich splotło się na zawsze „i tu, i tam".

Maria z Fredrów Szembekowa: *Niegdyś... Wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze*, Lwów 1927.

* Popularna nazwa drobnej monety austriackiej.











ROMANSE Z GATUNKU AŻ PO GRÓB

KORONACJA UMARŁEJ

ALFONS IV — KRÓL PORTUGALII, ur. 1291, zm. 12.5.1357
PEDRO I — KRÓL PORTUGALII, ur. 8.4.1320, zm. 18.1.1367
KONSTANCJA KASTYLIJSKA — ur. ok. 1323, zm. 1345
INEZ DE CASTRO — ur. ok. 1323, zm. 7.1.1355

Uroczystości koronacji Inez de Castro na królową Portugalii odbywały się wśród blasku pochodni i ogłuszających dźwięków trąb. Inez siedziała na tronie ubrana we wspaniałe szaty koronacyjne. Panie i panowie z portugalskiej arystokracji, jedno po drugim, podchodzili, przyklękali, całowali jej dłoń. Niektórzy panowie dostawali przy tym szoku nerwowego, a damy padały zemdlone. Bo królowa była już od pięciu lat — martwa. Ale król Pedro pilnował osobiście, żeby przepisany ceremoniał był przestrzegany ściśle i w pełni. Służba dworska przytrzymywała głowę królowej, dworacy trzymali w rękach jej ciężką koronę i jej dłoń, żeby panie i panowie mogli dłoń całować.

Ślady niezwykłej urody królowej były wciąż jeszcze łatwe do wykrycia na umarłej twarzy. Ślad śmiertelnego ciosu sztyletem ukryto pod koronacyjną szatą. Król Pedro siedział obok królowej, zakochany i szczęśliwy. Spoglądał na nią tak, jakby ona wciąż jeszcze żyła. Kochał Inez uczuciem z pierwszego dnia ich miłości.

A ten „pierwszy dzień" był ciepłym, kwietniowym dniem 1340 roku. Pedro jechał na koniu w barwnym orszaku na spotkanie „nakazanej mu" dynastycznymi względami narzeczonej — Konstancji Kastylijskiej. Ale — gdy nastąpiło spotkanie obu orszaków — nie na Konstancji spoczął zachwycony wzrok królewicza. Tuż obok narzeczonej zobaczył Pedro śliczną dziewczynę o jasnych włosach i ciemnej cerze — Inez de Castro. Spoglądali na siebie nawzajem i wiedzieli, że w swoich losach nic już zmienić nie mogą.

Okazji dworskich do spotkań mieli mnóstwo, uczucie przybierało na sile. Ale dopiero gdy w 1345 r. Konstancja zmarła po urodzeniu trzeciego dziecka, Pedro sprowadził Inez do Coimbry. Nastały dni, miesiące i lata pełnego szczęścia dwojga zakochanych. Pedro coraz rzadziej zaglądał do stolicy, coraz trudniej było mu oderwać się od Inez i dzieci.

Starego króla Alfonsa IV ten niefortunny i przydługi romans następcy tronu napawał troską i oburzeniem. Król nie lubił „bastardów", a Inez była dzieckiem króla Kastylii i jego pięknej kochanicy. „Bastardy są niespokojne i żądne władzy" — mawiał stary król. Ale romans swego syna po cichu tolerował. Uległ dopiero anonimowym donieśieniom, według których Inez miała rzekomo zamiar zgładzić infanta, jedynego syna Pedra i Konstancji, Ferdynanda. I gdy Pedro wybrał się na kilkudniowe łowy, na zamku w Coimbrze zjawił się król Alfons w towarzystwie trzech rycerzy.

Gdy następnego dnia Pedro powrócił z polowania, znalazł swoją uwielbianą Inez pokłutą sztyletami i martwą. Kazał ciało zabalsamować i wyruszył szukać zemsty na trzech rycerzach-mordercach. Pustosząc ich ziemie, pałace i zamki dotarł do ich kryjówki w Porto. Ale Coelho, Gonsalves i Pacheco zdołali uciec za granicę. Dopiero gdy po śmierci Alfonsa IV Pedro wstąpił na tron, dopełnił przysięgi, złożonej nad zwłokami ukochanej. Teraz mogła już Inez de Castro spocząć w sarkofagu. Tylko przed tym trzeba ją było jeszcze ukoronować.

Uroczystości koronacji Inez de Castro odbywały się wśród blasku pochodni i ogłuszających dźwięków trąb...

KRÓLOWA I JEJ MĘŻCZYŹNI

LUDWIK VII — KRÓL FRANCJI, ur. ok. 1120, zm. 18.9.1180.
ELEONORA — KSIĘŻNICZKA AKWITANII, ur. ok. 1122, zm. 26.6.1202.
RAYMOND POITOU — KSIĄŻĘ ANTIOCHII, ur. 1099, zm. 1149.
HENRYK II — KRÓL ANGLII, ur. 25.3.1133, zm. 6.7.1189.

Masę rzeczy robił król Francji Ludwik VII tylko po to, żeby dowieść pięknej małżonce, jaki to on jest męski. Przy pomocy psychoanalizy tym można by tłumaczyć, dlaczego z natury miękki i niepewny człowiek, przeznaczony początkowo przez swojego królewskiego ojca na zakonnika — po stłumieniu powstania w Poitou osobiście odrąbywał ręce rebeliantom.

Może i ten motyw oddziałał na fakt, że po upadku powstania w Szampanii kazał mieszkańców Vitry-sur-Marne zamknąć w kościele i żywcem spalić.

Tym także można by tłumaczyć i fakt, że odsunął od siebie uciechy świata i zainicjował wielką wyprawę krzyżową do Ziemi Świętej, a w czasie wyprawy dokazywał cudów waleczności, gdy np. osobiście i prawie sam jeden osłaniał odwrót swojej armii spod Jerozolimy.

A jednak piękna i pełna wewnętrznych sprzeczności Eleonora, księżniczka sło-

necznej Akwitanii, mawiała do trubadurów o swoim królewskim małżonku: „Szkoda go! Byłby takim dobrym mnichem".

Gdy 11 czerwca 1147 ruszyła w stronę Ziemi Świętej wyprawa krzyżowa złożona ze szlachetnych panów, pieszego pospólstwa, trubadurów i niebieskich ptaków, na czele wielkiej armii jechała konno również królowa Eleonora w otoczeniu szlachetnych dam (te „nieszlachetne" na polecenie papieża musiały tym razem pozostać w kraju, w poprzedniej bowiem wyprawie krzyżowej udowodniły, że kobiety tego autoramentu wpływają niekorzystnie na ducha walki u rycerzy).

Eleonora jechała nie po to, żeby zrobić przyjemność zakochanemu i niekochanemu mężowi; jechała po własną miłosną przygodę. Wiedziała, że po drodze znajdą się w księstwie Antiochii, w którym rządy sprawował jej uroczy wuj — Raymond. I rzeczywiście, gdy wyprawa krzyżowa dotarła do Antiochii okazało się, że kobieca fama nie przesadzała: właśnie wuj Raymond, a nie ponury i okrutny małżonek okazał się być prawdziwym mężczyzną, godnym pierwszej wielkiej miłości. Długo trwał romans, zanim wiadomość o tym dotarła do króla Ludwika. Przyparta do muru Eleonora zaproponowała rozwód, lecz Ludwik tutaj, w czasie wyprawy krzyżowej, na rozwód zgodzić się nie chciał. Ale Raymondowi nie zapomniał. Pozwolił mu kochać Eleonorę z daleka i krótko: gdy do Ludwika dotarły z oblęganej przez Turków Antiochii rozpaczliwe wołania o odsiecz, nie kiwnął nawet palcem. Antiochia padła, a w jej gruzach zginęła pierwsza wielka miłość Eleonory.

Pierwsza, ale nie ostatnia. Życie pełnej temperamentu Eleonory nie skończyło się u boku Ludwika. Rozwiedziona z nim wychodzi za Henryka Plantageneta, przeżywa burzliwy okres jego walk o sukcesję tronu angielskiego. Była królowa Francji zostaje królową Anglii. Ale nie jest jej pisane spokojne życie domowe. Przychodzą chwile, gdy gorąca miłość do Henryka przemienia się w piekielną zazdrość o królewską kochankę Rosamunde Clifford, w śmiertelną nienawiść. Przyjdzie czas, gdy — wspólnie z Ryszardem Lwie Serce i innymi synami — poprowadzi żołnierzy przeciwko królowi Anglii — Henrykowi II.

HISTORIA NIEDOKOŃCZONA

HENRYK IV — KRÓL FRANCJI, ur. 13.12.1553, zm. 14.5.1610.
MARIA DE MEDICI — KRÓLOWA FRANCJI, ur. 26.4.1573 zm. 3.7.1642.
CHARLOTTE MONTMORENCY — ur. 1594, zm. 1650.

Pewnego lutowego wieczoru roku 1609 znana w Paryżu jasnowidząca Pasithée została nawiedzona przez złe duchy. Najpierw zaczęła bełkotać, potem przeraźliwie krzyczała, aż wreszcie padła zemdlona. Zgromadzeni dokoła niej przyjaciele na podstawie doświadczeń wiedzieli, że zapowiada się coś niezwykłego. Gdy Pasithée wróciła do siebie, powiedziała łkając: „Nasz dobry król Henryk zostanie zamordowany"...

A król Henryk IV siedział właśnie wśród rozbawionego towarzystwa karnawałowego w jednej z sal zamku w Fontainebleau i ze zdziwieniem odkrywał, że — znowu jest zakochany. Przyczyna tego nagłego olśnienia tańczyła właśnie, jako jedna z dwunastu nimf. „Kim jest ta mała?" szepnął król do marszałka dworu. „To księżniczka Charlotte Montmorency. Akurat skończyła piętnaście lat i właśnie dziś debiutuje..."

Król uśmiechnął się melancholijnie. A on ma pięćdziesiąt pięć, siwą głowę i siwą brodę. Chociaż jego liczne przyjaciółki wciąż jeszcze podziwiają jego zdumiewającą witalność i świeżość...

*

Właśnie z powodu tej wychwalanej przez damy dworu witalności, a nie z powodu talentów politycznych, wybrała jego, skromnego króla skromnej Navarry na męża dla swojej córki Małgorzaty francuska królowa. A gdy 2 sierpnia 1589 zmarł ostatni brat Małgorzaty, król Henryk III, nie pozostawiając męskiego potomka — Henryk, król Navarry, został królem Francji.

Nie był to władca krwiożerczy. Nie dążył do podbojów. Położył kres krwawym wojnom religijnym i wiele energii poświęcił odbudowie zniszczonego kraju. Jego królewska dewiza brzmiała: „U każdego w niedzielę — kura w garnku".

W państwie zaprowadził pokój, ale w jego sercu nie było spokoju nigdy. Z Małgorzatą przeżył rozczarowanie: widziała w nim swego księcia małżonka, a nie — mężczyznę. Dłuższy romans — obok całej masy krótkotrwałych — miał Henryk z Gabriellą d'Estrées; chciał z niej nawet zrobić królową. Małgorzata nie miałaby nic przeciw rozwodowi, ale nienawidziła Gabrielli. 10 kwietnia 1599 roku Gabriella w kilka dni po wypiciu szklanki zatrutej lemoniady — umiera, Małgorzata daje królowi wolność. Po paru latach król poślubia korpulentną blondynkę, Marię de Medici. I znowu: Maria widzi w nim królewskiego małżonka, a nie widzi i nie chce widzieć — zwycięskiego mężczyzny. A tymczasem Henrykowi właśnie teraz zaczyna na tym coraz bardziej zależeć, bo coraz częściej miewa przygody, których przebieg i epilog pogrąża go w rozterce.

Dla Charlotty Henryk stracił głowę. Nawet nie dążył do tego, żeby została jego kochanką. Kochał ją pierwszą w swoim życiu „miłością czystą", a nawet, żeby oddalić pokusy, wydał za księcia Kondeusza. Ale królowa Maria wietrzyła niebezpieczeństwo dla siebie i swego potomstwa. Na królu jej nie zależało. Więc pewnego dnia Kondeusz ucieka z Charlottą z Francji i szuka schronienia w Belgii.

Zrozpaczony król dociera jednak do ukochanej przez swego posła w Brukseli i przez zaufaną damę dworu z fraucymeru Charlotty. Pisze do niej listy pełne miłości i otrzymuje od niej listy podobnej treści. Ale królowa jest nieodrodną córą rodu Medyceuszów, w intrygach nie ma sobie równej.

Maria jest królową, ale jeszcze nie ukoronowaną; jako niekoronowana nie będzie miała praw regentki i opieki nad młodocianym następcą tronu, gdyby Henryk zmarł śmiercią dziwną i nagłą... Nalega więc na nieprzytomnego z miłości i szczęścia (Charlotta go kocha! Oddział specjalny gwardii królewskiej jest już w drodze po Charlottę!) króla, a ten obojętnie godzi się na koronację.

13 maja 1610 roku w Saint Denis odbywa się uroczysta koronacja królowej Marii. Tak się przypadkowo składa, że następnego dnia Henryk IV umiera, zamordowany przez grupę spiskowców.

OSTATNIA NOC Z ZOFIĄ DOROTEĄ

HRABIA FILIP KRZYSZTOF VON KÖNIGSMARCK — ur. 14.3.1665, zm. 11.7.1694.
SOPHIE DOROTHEA — KSIĘŻNA HANOWERU, ur. 15.9.1666, zm. 23.11.1726.
KLARA ELISABETH, HRABINA VON PLATEN, ur. 1648, zm. 1706.

Hrabia Filip Krzysztof Königsmarck, przebrany za wiejskiego chłopaka, wszedł do książęcego zamku w Hanowerze w dniu 11 lipca 1694 roku o godzinie 11 wieczorem. Opuścił rezydencję następnego poranka w zupełnie zmienionej formie: częściowo w charakterze dymu z komina, a częściowo, jako popiół w książęcym kuble od odpadków.

*

Filip Krzysztof i Zofia Dorotea poznali się i pokochali, gdy byli jeszcze dziećmi; stało się to wtedy, gdy on przybył na dwór jej ojca księcia Jerzego Wilhelma Brunszwickiego.

Szczupły, elegancki, wspaniały jeździec i znakomity szermierz był właśnie kropla w kroplę podobny do jej wymarzonego ideału mężczyzny. Sentymentalna i skłonna — po swojej francuskiej mamie — do kochania mężczyzny „aż po grób", pokochała Zofia Dorotea Filipa taką właśnie miłością.

Natomiast bardzo dalekim od ideału był Filip dla księcia Jerzego, który miał zupełnie inne, dynastyczne plany małżeńskie dla swojej córki. Gdy więc po dwóch latach młodzieńczej miłości tych dwojga zrozumiał, co się święci, wysłał hrabiego Königsmarcka „w celu uzupełnienia wykształcenia" do Akademii Fauberta w Londynie. A następnego dnia zakomunikował córce, iż czas już na nią, żeby została „matką państwa"; tym państwem miałby być połączony małżeństwem Zofii Dorotei z następcą książęcego tronu hanowerskiego Jerzym Ludwikiem — cały, niepodzielny już kraj Welfów. Opór Zofii nie miałby żadnego sensu. Ojciec pokonał nawet pewną niechęć ciężkiego i małomównego kuzyna z Hanoweru, któremu inteligencja Zofii Dorotei działała na nerwy. Pocieszał się jednak tym, że — wzorem dworu w Wersalu — i on miał przecież metresę, która mu tak bardzo odpowiadała. Była nią pozbawiona wszelkich skrupułów żądna władzy i pieniędzy, zarozumiała i zazdrosna intrygantka — hrabina Platen.

*

Jesienią 1685 na dworze hanowerskim rozpoczął służbę młody 22-letni pułkownik Filip Krzysztof von Königsmarck, opromieniony sławą niezwykłych bojowych czynów. Wszystkie damy dworu zagięły na niego parol. Tylko jedna kobieta unikała spotkania: była nią Zofia Dorotea. Oczywiście, spotkanie było nieuniknione. Nieuniknione okazały się spotkania, wyznania, przysięgi i wybuch tłumionej latami miłości.

Ale nie wszystkie damy dały za wygraną. Gdy zakochany w Zofii Dorotei dowódca przybocznego pułku dragonów hanowerskich ośmielił się odtrącić ofertę pulchnej i już starzejącej się intrygantki hrabiny Platen, jego losy były przesądzone. Poinformowany wreszcie o romansie książę hanowerski dał metresie wolną rękę.

I oto lipcową nocą hrabia Königsmarck pomyka przez ciemny zamkowy park do znanych sobie bocznych drzwi.

Gdy nad ranem Königsmarck chwyta za klamkę drzwi, stwierdza, że są zamknięte. Wstępuje więc z powrotem schodami w górę. W półmroku sali rozświetlonej mętnym światłem brzasku — czekają już na niego. Jest ich czterech. Długa, zacięta walka kończy się właściwie w sąsiedniej sali: hrabina Platen kładzie na twarzy umierającego Königsmarcka nogę, obutą w niebieski trzewik metresy.

MŁODY CZŁOWIEK TRACI GŁOWĘ

PIOTR ALEKSIEJEWICZ — CAR ROSJI, ur. 9.6.1672, zm. 2.1.1725.
KATARZYNA I — ur. 15.4.1684, zm. 17.5.1727.
WILHELM MONS DE LA CROIX — data ur. nieznana, ścięty 16.11.1724.

Jesienią 1782 roku Akademia Nauk w Petersburgu otrzymała nowego administratora. Na początek zabrał się on do kontroli dokumentów i rachunków. W toku tej pracy odkrył ze zdziwieniem, że Akademia zużywa rokrocznie 360 litrów spirytusu. Administrator nie mógł zrozumieć, jakim cudem w „świątyni wiedzy" zużywa się tyle rektyfikowanego spirytusu. Wezwał więc dozorcę. Ten wyjaśnił krótko: „Spirytus jest dla głowy". „Jakiej głowy?" „Głowy pewnego młodego pana", tłumaczył dozorca, „musi on co miesiąc dostawać porcję 30 litrów czystego spirytusu. Tyle trzeba, żeby głowa była całkiem zanurzona. Może pan chce to zobaczyć?"

Po drodze do piwnicy dozorca opowiadał: „Młody pan nazywał się Mons, Wilhelm Mons, wiem to od mojego poprzednika. Był kamerjunkrem u cesarzowej Katarzyny I, zanim mu nie ścięto głowy... Ładny był, jeszcze teraz można to dostrzec. Proszę wejść do piwnicy. Niech pan spojrzy na tę głowę w słoju..."

*

Wilhelm Mons de la Croix był synem francuskiego kupca, który przybył do Moskwy i założył w jednej z dzielnic winiarnię.

Były to czasy Piotra Wielkiego, który masę energii wkładał w unowocześnienie swego wielkiego i zacofanego państwa. Pozostawało mu jednak jeszcze sporo sił na ulubione rozrywki. Należały do nich: przygody miłosne, wino i pogawędki z ludźmi, którzy odbyli dalekie podróże. Winiarnia Monsa nadawała się do tego znakomicie. Była nawet kobieta, właściwie dziewczyna, śliczna dziewczyna, Anna, która pracowała w probierni swego ojca. Car spróbował...

Romans z Anną trwał — jak na przygody miłosne Piotra — wyjątkowo długo. Gdy car przeniósł się z Moskwy do nowej, wybudowanej przez siebie stolicy — Petersburga, pojechała za nim i Anna. Car wydał ją za pułkownika von Balka. W pałacowej siedzibie von Balków podrastał młodziutki brat Anny, Wilhelm.

W tym czasie miejsce wtrąconej do klasztoru w Starej Ładodze pierwszej carycy zajęła wiejska dziewczyna, Katarzyna Aleksiejewna. Uciekła ona przed paru laty z domu swego ojca, litewskiego chłopa Samuela i rozpoczęła karierę, która zaczęła się od posady służącej i poprzez ramiona szwedzkiego dragona Johanna, generała Szeremientiewa i potężnego ministra Mienszykowa, doprowadziła ją do sypialni cara Piotra Wielkiego, a potem — na tron carycy.

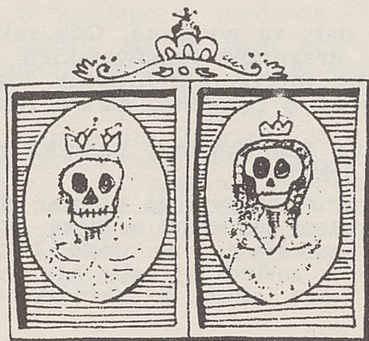
Bez wątpienia, mająca do końca trudności z czytaniem i pisaniem Katarzyna, była kobietą niezwykłą, o wielkiej urodzie i uroku kobiecym. Miała także masę wrodzonej inteligencji i bystrości, która pozwoliła jej ocenić i docenić wyjątkowe piękno, skromność i delikatność kamerjunkra Wilhelma Monsa.

Tragedia chłopca — w swoim przebiegu — wyglądała wprost klasycznie, przeszła tylko inne — w niezwykle brutalnym zakończeniu. W dniu 8 listopada 1724 roku usłużnie poinformowany car postanawia rzekomo udać się do Szliselburga. Ale po przejechaniu paru wiorst — wraca, i przyłapuje dwoje kochanków in flagranti.

W kilka dni później caryca — z woli cara — przygląda się egzekucji, a wieczorem znajduje głowę kochanka na nocnym stoliku przy swoim łożu i musi — z woli cara — sypiać w jej towarzystwie przez cały tydzień. Po tym okresie nieszczęsna głowa wędruje, jako prezent cara, do Akademii Nauk, z drobiazgowymi zaleceniami co do sposobu konserwacji.

*

Nowy administrator zwraca się do carycy — Katarzyny II, zwanej Wielką. Ta każe sobie przynieść makabryczny eksponat, przez dłuższą chwilę przygląda się głowie nieszczęsnego kochanka i poleca — w celach oszczędnościowych — zakopać głowę pod podłogą piwnicy Akademii. *Opr. wg tygodnika „Stern"*



HUMOR

RADA

Matka do córki, która właśnie wyszła za mąż:

— Moje dziecko, chcę ci udzielić dobrej rady: nigdy nie dyskutuj ze swoim mężem. Od razu płacz!

KALEKA

Młody wielbłąd pragnie się ożenić i zwraca się do swata, który proponuje:

— Mam dla ciebie kandydatkę: młodą i uroczą wielbłądzicę. Ale, niestety, ona jest trochę kaleką.

— Co jej jest?

— Nie ma garbu.

MĄDROŚĆ

Mały Jasio pyta mamę:

— Dlaczego Salomon uważany był za najmądrzejszego człowieka na świecie?

— Dlatego, że miał dużo żon, które mu doradzały.

W DŻUNGLI

Dwaj biali myśliwi w dżungli afrykańskiej słyszą za sobą odgłos ciężkich kroków jakiegoś zwierza. Rzucają się do ucieczki. Zwierz zaczyna ich gonić. Jeden z myśliwych woła:

— To na pewno tygrys!

— Nie, to lew.

— Mówię ci, że tygrys.

— Lew!

— Obejrzyj się, to się przekonasz, że tygrys!

— A po co? Czy jestem kuśnierzem?!

PRZYJEMNOŚĆ

Przechodząca pani widzi jak mały chłopiec toczy przed sobą z hukiem zamknięty pojemnik na śmieci.

— Po co to robisz? — pyta.

— Żeby zrobić przyjemność Tomkowi.

— A gdzie jest ten Tomek? Nie widzę go.

— W środku.

NAUKA

Mały chłopiec pyta ojca:

— Tato, kiedy odkryto Amerykę?

— Nie wiem.

— A jaka jest najdłuższa rzeka w Europie?

— Nie wiem.

— Kto to był Magellan?

— Nie wiem.

— Tatusiu, a nie masz nic przeciwko temu, że ci zadaję tyle pytań?

— Oczywiście, że nie. W ten sposób tylko możesz się czegoś nauczyć.

PECH

Oto historyjka z okresu wojen krzyżowych. Lew zobaczywszy śpiącego żołnierza w zbroi woła z niesmakiem:

— Mam pecha! Znowu konserwa.

U PSYCHIATRY

Jaś do psychiatry:

— Panie doktorze, ja tu przychodzę nie w swojej sprawie. Niepokoi mnie mój tatuś, który uważa, że jest świętym Mikołajem!

W KAWIARNI

Dwaj panowie rozmawiają przy kawie:

— Zauważyłeś, że o wiele więcej jest ludzi dobrych niż mądrych?

— Bo dobrego łatwiej jest udawać.

DUCH, KTÓRY TŁUCZE TALERZE

NA TRAWIE

Jeżeli nie mamy również ochoty „zasiadania do stołu" aż trzy razy w ciągu weekendu, postarajmy się, aby jednorazowy posiłek był pożywny i odpowiednio urozmaicony. Podajmy więc najpierw „przystawki" w formie kanapek z bułki paryskiej; na jednych ułożyć można plasterki pomidorów, ogórków i jaj, a na drugich szprotki w oliwie czy inne rybki. Podstawowym daniem mogą być sznycle, kotlety lub podzielona na porcje kura. Po mięsie podać jeszcze można kromki pumpernikla z masłem i serem, a na deser — owoce i trochę czekolady, najlepiej gorzkiej.

Jeśli chodzi o napoje, to jeden z nich, a mianowicie alkohol, trzeba z góry wykluczyć. Z innych „pić" zabieramy w termosach herbatę do doraźnego gaszenia pragnienia i kawę, która wypita na pół godziny przed wymarszem w powrotną drogę, znakomicie stawia nas na nogi po błogim, weekendowym rozleniwieniu.

Jeśli chodzi o menu plażowe, to proponujemy twarożek ze śmietaną i szczypiorkiem, pieczywo, rzodkiewki i ogórek. Na obiad: roztrzepaniec, sałatkę jarzynową, ugotowane jajka, pomidory, pieczywo. Na podwieczorek: ciasto drożdżowe lub keks czy herbatniki i owoce.

Napojami najbardziej odpowiednimi na plażę są ziołowe herbatki oraz przecierane, lekko osłodzone kompoty. Pragnienie gaszą też doskonale warzywa i owoce, z których najodpowiedniejszymi są niełatwo ulegające zgnieceniu rzodkiewki, ogórki, marchewka, niezbyt dojrzałe pomidory, jabłka, gruszki i śliwki.

A oto wycieczkowy savoir-vivre:

- Bierzemy solidarny udział nie tylko w jedzeniu, ale i w noszeniu gastronomicznego bagażu. I to bez względu na płeć.

- Poza wygniecioną trawą nie pozostawiamy po sobie żadnych pamiątek w postaci puszek, flaszek i papierków.

- „Szarotkę" lub „Kolibra" nastawiamy dla siebie, a nie dla całego regionu.

- Zły humor, podobnie jak pantofle na szpilkach i lakierki, zostawiamy w domu. Jeśli nam Kowalscy grają na nerwach, obiecajmy sobie w duchu, że więcej razem z nimi nie pojedziemy, a na razie róbmy dobrą minę do złej gry. (B)



Ralph Pennyweather Post zdecydował się na przestępstwo, ponieważ — podobnie, jak wielu innych ludzi — skłonny był kłamać, gdy odczuwał przerażenie. Miał już lat sześćdziesiąt pięć; niedawno sprzedał swój sklepik z gazetami i materiałami piśmiennymi w Maxton-juxta-Mare i osiedlił się w sporym, starym domu w ładnej wiosce zwanej Peckover-on-the-Wold.

Siedząc w tym właśnie domu i nie podnosząc się nawet z fotela sięgnął leniwie po fajkę leżącą na gzymsie kominka i jakoś strącił przy tym fiołkoworóżowego porcelanowego pieska, który rozbił się o posadzkę. Wiedział już co nastąpi. Jego droga małżonka Catherine po zwięzłym, ale zjadliwym podkreśleniu nieostrożności i głupoty swego męża, znów wstąpi na ścieżkę wojenną. Wojenna ścieżka Catherine było długa i wyboista. Ralph wzdychał z ulgą, gdy w zwykłym trybie następował etap takiego skłócenia, że Catnerine niemal nie odzywała się do niego.

Ale teraz pan Post wolał uniknąć tego wszystkiego. Pozostawił więc odłamki rozbitego pieska obok kominka i poszedł do cieplarni. Nie zawsze przecież było tak w ich małżeństwie. Jeszcze sześć miesięcy temu, szczęśliwi i uśmiechnięci pracowali razem w swoim sklepie od świtu, kiedy to wyprawiali na miasto chłopców z gazetami, aż do późnego wieczora, kiedy ulica już pustoszała. Czas, który Catherine poświęcić mogła pracy domowej był bardzo ograniczony, więc ich małe mieszkanko nigdy nie wyglądało na wypieszczone.

A potem oboje zakochali się w tym wiejskim domu, noszącym piękną nazwę — Keeper's Cottage. Kupowali meble, debatowali całymi godzinami nad urządzeniem poszczególnych pokoi. Ale po pewnym czasie z Catherine stało się coś strasznego. Trudno się było dziwić, że zaczęła narzekać na samotność, na odcięcie od świata. Pan Post był zaskoczony i przerażony tą nagłą okropną zmianą, która w niej nastąpiła teraz, kiedy nie miała nic innego do roboty, jak tylko dbać o ten nowy dom. Jeden pokój po drugim zamieniała w salon wystawowy, nieskazitelnie schludny i czysty aż do przesady. Właściwie nie było w tym domu pomieszczenia, w którym można by było swobodnie przebywać. Nawet bawialnia stała się jakimś świętym przybytkiem. W podobną świątynię zamieniła się także kuchnia. Panu Postowi wydawało się już, że mieszka nie w wiejskim domu, lecz w jakimś muzeum pełnym bezcennych przedmiotów, opatrzonych wywieszkami „Nie dotykać!" Zdawał sobie sprawę, że rozbicie porcelanowego pieska było niesłychaną zbrodnią. I postanowił, że w żadnym wypadku nie przyzna się do niej.

Tak więc, kiedy nieco później Catherine blada z zaciśniętymi wargami weszła do cieplarni, żeby wytoczyć przeciw niemu surowe oskarżenie, udał jak najbezczelniej, że pojęcia nie ma o czym ona mówi. Piesek? Jaki znów piesek? Przecież nie mają żadnego... Ach, ta figurka w stołowym pokoju. Nie ma pojęcia... Nie dotykał jej nawet. Nie był w stołowym pokoju od śniadania.

Wydało mu się, że jeśli uparcie będzie zaprzeczał, być może Catherine uzna, iż to przeciąg strącił figurkę, albo że poruszył ją ptak, który wpadł do pokoju przez otwarte okno, czy wreszcie — wypadek spowodowany został jakimś lokalnym trzęsieniem ziemi...

A tymczasem ona zbladła jeszcze bardziej i zamyśliła się.

— Wiedziałam, że nie powinniśmy byli kupować tego domu. On ma już kilkaset lat — odezwała się. — Rozmaite rzeczy mogły się tu zdarzyć... Nawet morderstwa. O, Ralph! Pierwszej nocy, którą tu spędziliśmy poczułam od razu, że coś nie w porządku jest z tym domem. Pani Osbert zawsze mawiała, że mam wrażliwość medium.

— Ależ kochanie...

— Choćby w zeszłym tygodniu — mówiła dalej Catherine — w piątek zaraz po obiedzie, bez żadnej przyczyny otworzyło się kuchenne okno. A teraz to!

— W piątek było trochę wietrznie — zauważył nieśmiało Ralph.

— To nie był wiatr — stwierdziła Catherine. — Chciałabym, żeby to był wiatr. Wiem co to jest. Czuję to...

— Na litość boską! — krzyknął pan Post. — Co czujesz?

— Duchy... — odpowiedziała jego małżonka uroczystym tonem. — Z tego prymitywnego gatunku duchów, które nazywają „poltergeist"...

I zaczęła płakać. Pan Post wzdychał pocieszająco, czyniąc to raczej tylko dlatego, że tak wypadało. Nie wzruszył go specjalnie ten płacz żony, bo w tej chwili bardziej zajęty był własnymi myślami.

Poltergeist! Owszem, znał to określenie. Odnosiło się ono do tej kategorii zjawisk nadprzyrodzonych, które wyrażały się gwałtownymi i magicznymi zmianami miejsca położenia rozmaitych przedmiotów, rozbijania się łamliwych i podobnie nonsensowną metafizyczną błazenadą. Ale Catherine dysponowała teraz wyraźnym dowodem. Rzeczywiście mogła to przypisać psocie jakiegoś poltergeista.

Iskierka złośliwości zapłonęła w oczach pana Posta. Uświadomił sobie nagle, że kiedyś przejawiał talent do prostych kuglarskich sztuczek. A Catherine nie miała już takiego wzroku, jak kiedyś; poza tym wyraźnie przecież chciała wierzyć...

Jakże on nienawidził tych wszystkich nietykalnych skarbów nagromadzonych w tym domu. Tej norymberszczyzny, tego świecącego się brązu, porcelanowych piesków i innych błyskotek, prowokujących wypielęgnowanym połyskiem. Dostrzegał już wspaniałe możliwości...

Odezwał się jednak, udając pocieszyciela:

— Cóż za fantastyczny pomysł! — i roześmiał się, jakby chciał jej dodać otuchy.

— Chodź i zobacz — powiedziała Catherine.

Poprowadziła go przez kuchenne drzwi, a potem poszła przodem do po-

koju stołowego. Idąc za nią pan Post, bez trudu zdjął z lodówki filiżankę, która tam akurat stała. Ukrył ją za plecami i, kiedy oboje znaleźli się już w pokoju stołowym, rzucił filiżankę do tyłu w ten sposób, że rozbiła się o kuchenną podłogę.

Catherine wzdrygnęła się i dłoń podniosła do gardła.

— Masz! — zawołała na pół triumfalnie, rada z jeszcze jednego dowodu potwierdzającego jej teorię.

— To rzeczywiście dziwne... — przyznał tym razem pan Post.

Następnie przeszedł do rzeczy większych: w tenże wieczór, zanim jeszcze zasiadł przed telewizorem, żeby obejrzeć transmisję bokserską, przewrócił nocną lampkę, rozbił pełny dzbanek mleka, stłukł kilka filiżanek i talerzyków, porozrzucał po pokoju kominkowe utensylia (pogrzebacz wypalił spory ślad na dywanie), strącił wazon z żonkilami, a następnie postarał się o to, aby kwiaty pojawiły się w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach.

Catherine ani przez chwilę nie podejrzewała, że to wszystko mogłoby nie być świadectwem działalności poltergeista. Oczarowana, z oczami pełnymi łez, trzymała się pana Posta, oczekując od niego pocieszenia i poparcia. Ralphowi o wiele bardziej odpowiadała ta jej pokora od zaczepnej postawy wojennej.

W ciągu następnych kilku dni znacznie usprawnił swoją technikę. Doszedł do tak sprytnego ustawiania rozmaitych przedmiotów na półkach, że przy otwarciu drzwi, albo mocniejszym stąpnięciu na podłogę pokoju na piętrze spadały one i rozbijały się na drobne kawałki. Czarne nitki pomagały również w stwarzaniu dodatkowych efektów jakiegoś cudownego poruszania się rzeczy martwych. Opracował nawet specjalne, podrzucające małe obiekty urządzenie, działające na zasadzie podskakiwania polnych koników.

W międzyczasie uważnie obserwował, jak te „zjawiska" wpływają na jego żonę. Niemal natychmiast przestała interesować się nieustannym przedtem pucowaniem mieszkania. Mógł teraz bez przeszkód wejść do każdego pokoju w ogrodowych butach. Uznał jednak, że terapię swoją rozłożyć musi na jakiś rozsądny okres czasu, aby wyleczenie uczynić kompletnym. Przerażenie i uległość Catherine nie przemijały, a pan Post tak się cieszył ze swego dzieła, że nie czuł się nawet winny z powodu tych nielojalnych praktyk.

Okazało się jednak, że nie przewidział wszystkiego. Traktował swoje sztuczki jako zupełnie prywatne kawały pomyślane na domowy użytek w czterech ścianach Keeper's Cottage.

Niestety, Catherine opowiedziała o wszystkim pani Fox, dochodzącej pomocy domowej. Musiała tak zresztą uczynić, bo trudno przecież było pozwolić na to, aby ta ciesząca się ogólnym szacunkiem osoba odniosła wrażenie, że wszystkie potłuczone naczynia stanowią rezultat rodzinnych nieporozumień. Wkrótce dowiedział się również Dodd Marley, ogrodnik, pracujący u państwa Postów dwa razy w tygodniu.

Następnie o duchach w Keeper's Cottage mówiono już w barze „Lowcroft Arms", w Instytucie Kobiecym, w wikarówce oraz w zarządzie gminnym. Poza tym, oczywiście, w każdym zamieszkałym punkcie Pockover. Nie odstraszało to jednak nikogo. Wprost przeciwnie, ludzie byli zaciekawieni i podekscytowani. Zrazu wymyślali najrozmaitsze preteksty do składania wizyt w Keeper's Cottage. Zawiadowca stacji przyszedł pożyczyć nożyce do żywopłotu, chociaż nie miał żywopłotu w swoim ogrodzie. Wikary przypomniał sobie nagle o obowiązku odwiedzenia nowych mieszkańców parafii, nawet tych, którzy nie uczęszczali do kościoła. Panny Worley zgłosiły się po datek na cel dobroczynny, a właściciel z „Lowcroft Arms" przyszedł po puste butelki.

Później odwiedzający nie szukali już usprawiedliwień, Sama pani Hope-Lowcroft przyjechała z Pałacu swoim wielkim, cichym autem i powiedziała wprost, że pragnie zobaczyć ducha. Po tym zjawili się reporterzy. Zgłosił się również policjant Huckett, żeby się dowiedzieć, czy pan Post nie zamierza złożyć przeciw komuś skargi o złośliwe powodowanie szkód.

Wszyscy artyści reagują na uznanie publiczności. Pan Post też nie miał serca, aby dopuścić do rozczarowania gości. W większości przypadków udawało mu się dyskretnie zaaranżować dla nich odpowiednie widowisko. Wszyscy oni mieli co prawda lepszy wzrok od Catherine, ale któż mógł podejrzewać solidnego, starszego pana, takiego jak pan Post. Tymczasem Catherine wezwała telefonicznie z Maxton-juxta-Mare swoją wypróbowaną przyjaciółkę, panią Osbert i jej poświęciła całą swą uwagę.

Pani Dolly Osbert była w Maxton główną powiernicą Catherine. Nikt nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak się działo, bo zwierzenie się pani Osbert było jednoznaczne z ogłoszeniem sekretu przez megafon na jarmarku. Pan Post nigdy nie czuł do niej sympatii, a teraz jej obecność w Keeper's Cottage równała się po prostu katastrofie. Trzeba było niezwłocznie działać.

Pan Post wśliznął się dyskretnie do pokoju gościnnego i opróżnił walizki pani Osbert, wysypując ich zawartość częściowo na podłogę, a resztę — za okno. Następnie za pomocą przygotowanej przedtem czarnej nitki, strącił z półki w łazience cały komplet kremów, soli kąpielowych i buteleczek z proszkami akurat kiedy pani Osbert znajdowała sie w wannie.

Dolly opuściła Keeper's Cottage już nazajutrz rano. Rozglądała się zaniepokojona dokoła, zaskakująco cicha i zdenerwowana. Pan Post był jednak okrutny. Gdy żegnała się w stołowym z Catherine, funtowa torba mąki nadleciała z kuchni i rąbnęła panią Osbert w samo ucho. A pan Post akurat wtedy uruchamiał w garażu auto. Był zachwycony samym sobą. Zmiany, które zaszły w Catherine, i przepędzenie tej wiedźmy z Maxton warte było z pewnością tych

65 funtów, które kosztowały wszystkie spowodowane dotąd straty.

Post uznał wreszcie, że czas najwyższy skończyć już z wybrykami poltergeista w Keeper's Cottage. Przeprowadził nawet przygotowawczą rozmowę z ogrodnikiem Marleyem, zapowiadając, że zamierza uciec się do egzorcyzmów, żeby przepędzić z domu złośliwe duchy.

W Keeper's Cottage zapanował znów spokój. Ale nie na długo. Ku najwyższemu zdziwieniu pana Posta poltergeist dał znów znać o sobie już na trzeci dzień. I to — przy gościu. Przyjechała właśnie pani Hope-Lowcroft zaprosić ich na garden party. A w kuchni, jak szalone latały talerze. Bez udziału pana Posta!

Dopiero po kilku dniach, w czasie wizyty wikariusza złapał Catherine w kuchni na przygotowaniach do niespodziewanego rozbicia ładnego porcelanowego dzbanka. Kiedy zorientowała się, że ją podpatrzył, pobiegła do sypialni i zapłakana rzuciła się na łóżko. Pan Post musiał wyjaśnić pastorowi, że żona nagle zasłabła. Wciąż żyje biedaczka w takim napięciu przez te duchy...

Po wyjściu wikariusza powrócił do żony.

— Więc to tak — zaatakował ją. — Przez cały czas to robiłaś.

Zaklinała się, że na początku nie miała z tym nic wspólnego. Przyznała, że usiłowała zastąpić poltergeista dopiero, gdy przerwał swoje występy.

— Poczułam się znów taka samotna — wyznała. — Nie mogłam znieść myśli o tym, że się od nas wyniósł.

— Nie próbuj mnie przekonywać, że ten poltergeist stanowił dla ciebie towarzystwo — oburzył się pan Post.

— Ale on sprowadził do tego domu towarzystwo — stwierdziła pani Post. — Zaprzyjaźniłam się z sąsiadami. Ludzie odwiedzali mnie. I to właśnie dzięki temu duchowi. Kiedy się u nas zjawił, po raz pierwszy poczułam się dobrze w Peckover. A teraz przeraziłam się, że znów zostanę sama.

— I dlatego zaczęłaś udawać poltergeista? Czy pomyślałaś co by się stało, gdyby cię ktoś na tym złapał. Co innego ze mną. Znam się trochę na iluzjonistycznych sztuczkach, ale ty...

— Co? — przerwała mu Catherine. — O czym mówisz?

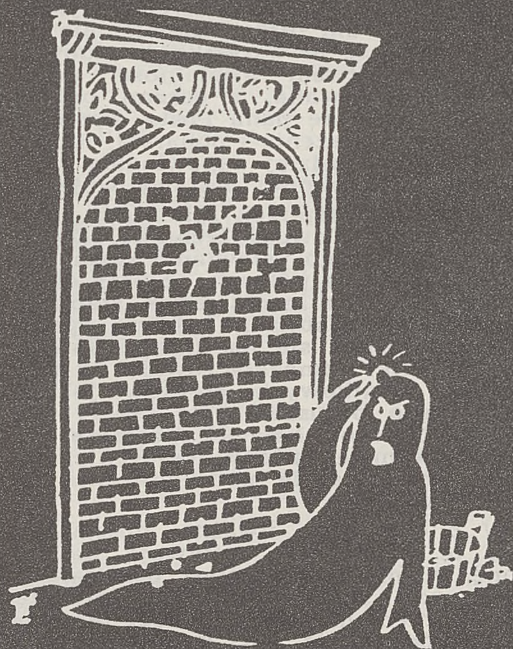
Zadzwonił akurat telefon i przerwał im rozmowę. Telefonowała jedna z sąsiadek zaniepokojona o Catherine. Dowiedziała się właśnie od pastora o jej nagłym zasłabnięciu.

A potem nigdy już nie wracali do tej rozmowy. Nie było po co. Oboje czuli się szczęśliwi w Keeper's Cottage. A poltergeist? Zdziwi was to może, że ale poltergeist odwiedza jeszcze od czasu do czasu dom państwa Post. Dla sprawienia przyjemności specjalnie miłym gościom.

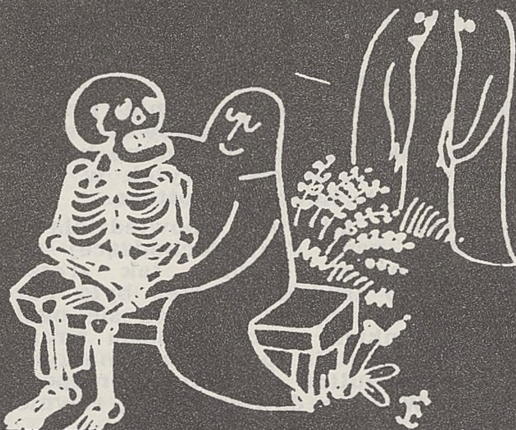
„John Bull" (Londyn) **Clive Burnley**
przeł. M. Kozłowski



— Wyobraź sobie, muszę straszyć na dziennej zmianie.



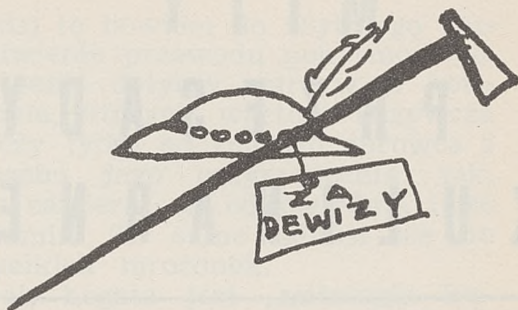
— Do diabła, kto zamurował to przejście?



— Co on widzi w tym szkielecie?

„Szpilki" Rys. Jerzy Flisak

GAZDA



OSOBY: ON, ONA I GAZDA.

Scena przedstawia ścieżkę górską. Obok ścieżki siedzi na kamieniu gazda z dzbankiem i kobzą. On i ona podchodzą z plecakami.

Ona: — Chętnie napiłabym się czegoś. Może ten gazda ma śmietanę?
On: Świetny pomysł. (do gazdy) Macie śmietanę, gazdo?
Gazda: — A co nie mom mieć? Mom.
Ona: — Może byście nam sprzedali po szklance?
Gazda: — Kiej nie mogę.
On: — To szkoda! Tak nam się chce pić. Ale trudno.
Ona: — Zobacz jaką kobzę ma ten gazda! Gracie na kobzie, gazdo?
Gazda: — A co nie mom grać? Grom.
On: — To może byście nam zagrali?
Gazda: — Kiej nie mogę.
On: — Dziwny jakiś ten gazda. Śmietany sprzedać nie chce, grać nie chce. Ruszamy dalej.
Ona: — Tą ścieżką w prawo, czy tą w lewo?
On: — Właśnie. Nie mam pojęcia, która z nich prowadzi na Zawrat.
Ona: — Może gazda będzie wiedział?
On: — Wiecie, gazdo, która ścieżka prowadzi na Zawrat?
Gazda: — Co nie mom wiedzieć? Wim.
On: — No to powiedzcie, gazdo, która?
Gazda: — Kiej nie mogę.
Ona: — Nie możecie? To nie do wiary! Oburzające!
On: — Czy wyście, gazdo, zwariowali?
Gazda: — No, no, panocku, wolnego, wolnego...
On: — Śmietany nie chcecie sprzedać, na kobzie nie chcecie grać i drogi też nie pokażecie?
Gazda: — Kiej padom, że nie mogę.
On: — Jak to nie możecie?
Gazda: — Ano nie mogę, bo jestem gazda nie zwycajny, jeno gazda dla cudzoziemskich turystów za zagranicne dewizy!
On i Ona: — Aaaaaaaaa!
On: — A nie wiecie, czu tu nie ma w pobliżu jakiegoś gazdy za złote?
Gazda: — Co nie ma być? Jest. Hań na zakręcie za kosówką. Jeno on śmietany nie ma, na kobzie nie gra, a i drogi pokazać nie potrafi.

„Szpilki" **Janusz Osęka**

MITY I PRZESĄDY KULINARNE

Mity i przesądy na temat pożywienia i systemu odżywiania wiążą się jeszcze z zamierzchłymi czasy, kiedy pokarmom — podobnie jak pewnym minerałom czy ziołom — przypisywano siłę magiczną, dobrą lub złą. „Wtajemniczeni", czyli kapłani i czarownicy, posiadali dzięki temu duży wpływ na swoje otoczenie. Jeszcze dziś spotyka się niekiedy, nawet w społeczeństwach o wysokim poziomie kulturalnym, przeważnie wśród przedstawicieli starszego pokolenia, ludzi, którzy propagują krańcowy wegetarianizm, każą unikać potraw mięsnych, odżywiać się zaś jedynie pokarmami roślinnymi i to w stanie surowym.

Przytaczamy kilka przykładów najpopularniejszych mitów kulinarnych, spotykanych nawet w krajach wysoko rozwiniętych. Dowodzą one, że i my, współcześni, bywamy niekiedy bardzo zacofani...

● **Mniema się niemal powszechnie, że szczególnie cenną odżywką jest jogurt oraz drożdże, które przedłużają młodość.** Takie bajeczki można opowiadać dzieciom, które nie chcą pić mleka w innej postaci. Jogurt ma takie same wartości odżywcze, jak każde inne, byle nie odtłuszczone mleko. Drożdże natomiast zawierają sporą ilość witamin B-kompleks, ale jeżeli ktoś urozmaica sobie menu nabiałem, mięsem, chlebem Grahama, pumperniklem, grubo mielonymi kaszami czy nawet zwykłym razowcem — nie potrzebuje pakować w siebie dodatkowo jeszcze drożdży.

● **Niektórzy zalecają odżywianie się tylko takimi magicznymi zestawami, jak: baranina i grapefruity czy — banany i śmietanka.** Jeszcze inni propagują rybę i selery, które zawierają dużo fosforu, a więc „wzmacniają umysł". Badania naukowe wykazały, że każdy jednostronny sposób żywienia staje się po dłuższym czasie nawet wręcz szkodliwy dla zdrowia, choć każdy z tych produktów pojedynczo jest bardzo cennym urozmaiceniem naszej diety. Ryba rzeczywiście jest bogata w związki fosforowe, niezbędne do budowy tkanki nerwowej, ale w razie braku mogą ją z powodzeniem zastąpić: mięso, drób, jaja i mleko. Selery natomiast w ogóle zawierają znikomą ilość fosforu.

● **„Podstawowym pożywieniem każdego, kto chce być naprawdę silny, powinien być solidny, na pół surowy befsztyk z polędwicy.** To prawda, że mięso wołowe zawiera dużo cennego białka zwierzęcego, ale jest przy tym obojętne w jakiej postaci je spożywamy, choćby jako sztukę mięsa. Wołowina, ani żadne mięso, nie ma tu jednak prawa wyłączności. Ryby i jaja zawierają też wiele białka, a uzupełnione odrobiną mięsa wystarczą całkowicie, aby dostarczyć organizmowi dostatecznie dużo cennych aminokwasów. Poza tym całkiem w błędzie są ci, którzy utrzymują, że tylko dieta, oparta na węglowodanach, daje człowiekowi siłę, bo rzekomo „białko spala się w organizmie, zamieniając się całkowicie w energię". Nawet najbardziej chudy befsztyk zawiera ponad 20% tłuszczu, objadanie się więc nim to prosta droga prowadząca do otyłości.

● **„Wszelkie w ogóle tłuszcze są szkodliwe dla organizmu".** Współczesna wiedza medyczna stroni jak najbardziej od tego dogmatu. Potrzebujemy pewnej ilości tłuszczu, nie tylko dlatego, że dodaje on smaku wielu potrawom, a sylwetka zbytnio wychudzona razi nas podobnie, jak „baryłkowata". Od-

żywianie się jedynie jałowymi pokarmami powoduje uczucie głodu i to wkrótce po każdym posiłku. Najważniejsza sprawa to odpowiednio wysoka kaloryczność naszych pokarmów, a nie ich skład. Tak więc, zarówno niedostatek, jak i nadmiar pewnych składników w naszym menu, są równie niepożądane.

● **Istnieje też cała „rodzina" mitów na temat przyrządzania pokarmów.** I tak jedni zalecają spożywanie jaj w stanie surowym (bo są bardziej odżywcze, niż gotowane lub smażone), inni propagują opijanie się sokami z surowych owoców i warzyw. Można generalnie stwierdzić, że sposób przyrządzania wpływa jedynie na... szybkość trawienia. Dla normalnie funkcjonującego żołądka jest znacznie zdrowiej, jeżeli produkty surowe przyjmuje on w stanie normalnym, nie zaś płynnym, prowadzi to bowiem do zbytniego rozleniwienia przewodu pokarmowego. To samo dotyczy warzyw w konserwie, których wartość odżywcza zależy tylko od rodzaju surowca i sposobu jego przyrządzenia, tak, aby zawierał on odpowiednią ilość witamin. To samo odnosi się do wszelkich mrożonek.

Jak bogata jest „mitologia kulinarna"! Mamy i uprzedzenia co do temperatury. Jedno z najpopularniejszych stwierdza, że „chleb jeszcze ciepły, a mięso — zimne mogą wywołać silne zaburzenia w trawieniu". To jeszcze jeden dogmat „wyssany z palca". Powinniśmy jadać pokarmy w takiej temperaturze, jaka nam najbardziej odpowiada ze względów smakowych.

Krążą także legendy o „niebezpiecznych dla zdrowia" zestawach pokarmowych takich, jak: mleko i ryba, mleko i surowe owoce czy

dalszy ciąg na stronie 86

8 TAJEMNIC KUCHENNYCH

Cebula bez łez... Pokrajać cebulę i nie popłakać się przy tym — to żaden problem. Należy po prostu umieścić kromkę białego chleba między zębami tak, żeby kromka znalazła się pod nosem i nieco poza nos wystawała. Działa ona wówczas, jak filtr.

Jarzyna wiecznie świeża... Pietruszka, koperek czy szczypiorek dadzą się przez dłuższy czas zachować w stanie zupełnej świeżości, trzeba tylko te warzywa drobno pokroić, dodać trochę wody i zamrozić w „zamrażalni" lodówki (po wyjęciu kostek lodu). Przed użyciem do potraw — pozwolić tej mrożonce odtajać.

Nie ma twardego mięsa... Nawet najtwardsze mięso da się dość łatwo zmiękczyć. Przed smażeniem należy posmarować lekko sodą i odstawić na dwie godziny, pod pokrywką. W czasie gotowania czy duszenia takiego mięsa — również należy wrzucić do środka odrobinę (na końcu noża) sody. Ważne: mięsa nie należy rzucać na patelnię czy do garnka bezpośrednio po wyjęciu go z lodówki. Musi najpierw dojść do temperatury pokojowej.

Mleko nie wykipi... Trzeba tylko przed gotowaniem natłuścić brzegi garnka czy naczynia, w którym mleko ma być gotowane. A znowu — po to, żeby dno naczynia ustrzec przed przypaleniem, trzeba je przed nalaniem mleka zwilżyć zimną wodą.

Ryba nie pachnie... Normalnie przy gotowaniu właśnie pachnie i to nieładnie. Żeby się przed tym zabezpieczyć, należy garnek przykryć odpowiedniej wielkości kawałkiem lnianego płótna i dopiero na nie położyć pokrywkę. Biały kolor zachowa ryba i nie będzie się w czasie gotowania rozlatywać, jeżeli do wody wlejemy odrobinę octu.

Jajeczne problemy... One również są do rozwiązania. Unikniesz np. przykrego pękania jaj, jeżeli — przed gotowaniem — cieniutką szpilką przekłujesz je od grubego końca. Jeżeli chcesz zachować jajeczne żółtko w stanie świeżości, wrzuć je ostrożnie do naczynia z zimną wodą i codziennie wodę zmieniaj.

Kalafior wiecznie biały... Kalafior pozostanie, mimo długiego gotowania, w stanie śnieżnej bieli, gdy pozwolimy mu gotować się wspólnie z kawałkiem skórki od cytryny, albo jeżeli do wody dolejemy jedną lub dwie łyżki octu.

Chrupiące kartofelki... Nie tylko chrupiące, ale znacznie smaczniejsze, będą przysmażane kartofelki, jeżeli po pokrojeniu, a przed wrzuceniem na patelnię zostaną one umaczane w mące.

ROBERT SHECKLEY

CENA STRACHU

Uwaga! Uwaga! Oto „Cena strachu" — widowisko telewizyjne Mike'a Terry'ego! Gra idzie na całego: pieniądze albo życie! Jim Raeder, osaczony i goniony przez bandę gangsterów — killerów!

Raeder wysunął głowę nad parapet okna. Widział teraz w dole wąską uliczkę, na której stał, zardzewiały wózek dziecięcy i trzy pojemniki ze śmieciami. Spoglądał w dół. Zza ostatniego pojemnika wychylił się czarny rękaw z pięścią w której coś nagle zabłysło. Raeder pochylił się szybko. Pocisk gwizdnął mu koło ucha i trzasnął w sufit; nad głowę Raedera posypał się tynk. No, przynajmniej wiedział teraz, co i jak. Uliczka była strzeżona, podobnie jak i drzwi.

Leżał na popękanym linoleum, wpatrywał się w otwór w suficie i wsłuchiwał w szmery za drzwiami. Brud i wyczerpanie poprzecinały mu twarz głębokimi krechami, a strach malował się w rysach umęczonego oblicza.

Jedna spluwa tam na dole na ulicy, dwie — na schodach. Znalazł się w pułapce, właściwie był już trupem. Zagryzł mocno wargi. Musi być przecież jakieś wyjście. Podczołgał się na brzuchu i obejrzał uważnie mieszkanie, do którego zapędzili go bandyci. Był to prawdziwy, mały sarkofag. Miał jedyne drzwi, które były strzeżone i jedno wyjście zapasowe, którego także pilnowano. I była jeszcze maleńka, ślepa łazienka. Wtoczył się do niej i wstał. Dach był tu mansardowy i miał otwór szeroki na jakieś 10 cm. Usłyszał głuche dudnienie. Killerzy stawali się już niecierpliwi i zabierali się do wyłamania drzwi. Zbadał otwór w suficie. Nigdy się z tym nie upora na czas. Oni walili już w drzwi z całych sił. Jeszcze chwila i zawiasy wyskoczą z futryn. Drzwi polecą na podłogę i wejdą ci dwaj o twarzach bez wyrazu, strzepując kurz ze swoich kurtek. Ale przecież jemu ktoś na pewno pomoże! Wyjął z kieszeni maleńki odbiornik telewizyjny. Obraz skakał, ale Raeder nawet nie zadał sobie trudu, żeby go nastawić na ostrość wizji. A dźwięk był czysty i precyzyjny.

Usłyszał modulowany głos Mike'a Terry'ego, który mówił do swojej olbrzymiej masy odbiorców: „...Obrzydliwa plama", powiedział właśnie Terry „Tak, moi kochani, Jim Raeder znajduje się naprawdę w okropnej sytuacji. Jak sobie przypominacie, ukrył się on pod fałszywym nazwiskiem w trzeciorzędnym hoteliku na Broadwayu. Wydawało się, że jest zupełnie bezpieczny. Ale hotelowy goniec rozpoznał go i dał znać bandzie Thomsona".

Drzwi trzeszczały teraz pod bezustannymi uderzeniami. Raeder ściskał kurczowo odbiornik i nasłuchiwał.

„W ostatniej chwili udało się Jimowi uciec z hotelu! Mając za sobą, prześladowców, depczących mu po piętach, przedostał się do starego domu, sto pięćdziesiąt sześć, Westend-Avenue. Chciał biec dalej po dachach. I mogło mu się to

udać, był na dobrej drodze! Ale — drzwi prowadzące na dach były zamknięte! Wyglądało więc, że to już koniec... Lecz Raeder odkrył, że apartament numer siedem jest otwarty i niezamieszkany. Wszedł do środka...".

Terry zrobił efektowną pauzę, a potem zaczął krzyczeć: „...A teraz siedzi w matni, jak szczur w pułapce! Banda Thomsona wyłamuje już drzwi! Zapasowe wyjście jest strzeżone! Nasza kamera znajduje się w jednym z sąsiednich domów i przekazuje państwu w tej chwili zbliżenie. Patrzcie ludzie, tam, spójrzcie tylko! Czy nie ma już żadnej nadziei dla Jima Raedera?"

„Nie ma już żadnej nadziei..." powtórzył Raeder w przejmującej ciszy.

„Chwileczkę!" krzyknął nagle Mike Terry. „Wytrzymaj jeszcze trochę, Jimie Raeder! Może jednak istnieje szansa! Właśnie odbieram telefon — błyskawicę od jednego z naszych telewidzów, telefon od Dobrego Samarytanina! Jest więc ktoś, kto myśli, że będzie mógł ci pomóc, Jim! Czy nas słyszysz, Jimie Raeder?"

Raeder usłyszał, jak powoli wyskakują zawiasy z frontowych drzwi.

„Proszę mówić, drogi panie", powiedział Mike Terry. „Jak się pan nazywa?"

„Fe — Felix Bartholemow"...

„Tylko proszę się nie denerwować, panie Bartholemow. Proszę mówić".

„A więc, mr. Raeder" wymówił wreszcie ktoś drżącym starczym głosem, „ja tam kiedyś mieszkałem na Westend-Avenue, sto pięćdziesiąt sześć. W tym samym mieszkaniu, w którym jest pan zamknięty, mr. Raeder — naprawdę! Niech pan uważa, ta łazienka ma okno, mr. Raeder. Ono jest zamalowane, ale tam jest"...

Raeder wsunął aparat do kieszeni. Powiódł ręką po zarysie okna i przysunął się do niego cały. Szyba trzasnęła i do środka wpłynęło blade światło dzienne. Zepchnął odłamki z okiennego parapetu i szybko wychylił się na zewnątrz.

Zawiasy u drzwi wejściowych trzasnęły z hukiem. Raeder wdrapał się szybko przez okno, stanął przez chwilę na palcach i runął w dół. Upadek ogłuszył go. Zataczając się, podniósł się z ziemi. W okienku łazienki ukazała się jakaś twarz.

„Taki pech", powiedział mężczyzna; wychylił się i wyraźnie celował ze swojego krótkiego pistoletu, kaliber trzydzieści osiem. W tym samym momencie w łazience eksplodowała dymna bomba. Strzał killera poszedł w niebo. Z aparaciku, ukrytego w kieszeni, dochodził ochrypły głos Mike'a Terry'ego: „A teraz wiej, ile sił w nogach! Uciekaj Jimie Raeder, ratuj swoje życie! Biegnij teraz, dopóki dym zasłania killerom oczy. I podziękuj Dobrej Samarytance Sarah Winters z Edgar Street, czterdzieści jeden, Brocton, Massachusets, która postarała się o pięć bomb dymnych i człowieka, który je podrzucił".

Nieco spokojniejszym głosem Mike Terry ciągnął: „Uratowała pani dziś człowiekowi życie, pani Winters. Niech pani łaskawie opowie telewidzom, w jaki sposób..."

Dalszych słów Raeder już nie mógł słyszeć. Pobiegł przez zadymione podwórze i wyskoczył na otwartą ulicę.

„Eh! Panie, panie...!"

Raeder odwrócił się do tyłu. Jakaś kobieta w średnim wieku, siedząc na schodkach, spoglądała na niego spode łba. „Pan nazywa się Raeder, nieprawda? Ten, który ma być zabity?"

Raeder zamierzał pójść dalej.

„Niech no pan wejdzie do środka, Raeder" powiedziała kobieta.

A może to jakaś pułapka? Ale Raeder wiedział, że może liczyć na ludzką dobroć i wielkoduszność. Był przecież zwykłym, przeciętnym człowiekiem, znajdującym się w śmiertelnych tarapatach. Wszedł więc za kobietą do mieszkania. Zaprosiła go, żeby usiadł i prawie natychmiast wróciła z talerzem gulaszu. Dwoje dzieci wybiegło z

kuchni i spoglądało na niego z zainteresowaniem. Z sypialni wyszło trzech mężczyzn w pulowerach. Nastawili na niego kamerę. Masa sprzętu telewizyjnego stała po kątach pokoju. Pochłaniając jedzenie, Raeder spoglądał na ekran telewizora, widział Mike'a Terry'ego i słyszał jego silny, męski głos.

„To jest, drodzy słuchacze, on", mówił Terry. „Jim Raeder je wreszcie po dwóch dniach swój pierwszy, gorący obiad. Prawdziwy wyczyn ze strony zespołu naszych operatorów, że zdołali to dla Was złapać. Dziękuje, chłopcy... Tak, proszę państwa, Jim Raeder znalazł chwilowe schronienie u pani Velmy O'Dell, na 63 ulicy, numer czterdzieści trzy. Dziękuję Dobrej Samarytance O'Dell! To naprawdę jest cudowne, że ludzie ze wszystkich sfer wzięli sobie do serca sprawę Jima Raedera".

„Niech pan się trochę pośpieszy" powiedziała mrs. O'Dell.

„Tak jest, łaskawa pani" odpowiedział Raeder.

„Ja nie chcę żadnej strzelaniny w moim mieszkaniu"...

„Tak, tak, Jim", teraz śpiewał Terry, „będzie lepiej, jeżeli się trochę pośpieszysz. Twoi killerzy depczą ci już po piętach. Oni nie są głupi, Jim. Nieludzcy, okrutni, niemoralni, o tak, ale nie głupcy! Idą śladami krwi, krwi z twojej zranionej ręki, Jim!"

Raeder nie zauważył, że rozciął sobie rękę o parapet okna.

„Niech no pan tu przyjdzie, zawiążę ją panu", powiedziała mrs. O'Dell.

Raeder podziękował i poszedł. Szedł najpierw w stronę Broadwayu, wsiadł do metra, podjechał do 59 ulicy, potem kolejką miejską — do 86. Tutaj kupił gazetę i wsiadł do pośpiesznego, jadącego do Manhasset.

Spojrzał na zegarek: jeszcze sześć i pół godziny. Kolejka podziemna dudniąc leciała pod Manhattanem. Raeder ukrył zabandażowaną rękę pod gazetą, twarz w cieniu szerokiego ronda kapelusza. Czy go już rozpoznano? Czy udało mu się oderwać od bandy Thompsona?

Otworzył oczy. Właśnie coś mu się śniło... Coś nieprzyjemnego. Nie wiedział już, co to właściwie było... Przymknął znowu oczy...

*

To było przed dwoma laty. Jim Raeder był silnym, pogodnym, młodym człowiekiem, zatrudnionym w charakterze pomocnika kierowcy ciężarówki. Nie odznaczał się jakimś specjalnym talentem. Był skromny, ale marzył. Wydało mu się, że telewizja, to właśnie droga do bogactwa dla sympatycznego, młodego człowieka. Napisał więc list do działu o nazwie „Hazard", załączając swoje zdjęcie. „Hazard" zainteresował się nim.

Rozgłośnia JBC znalazła, że Jim jest dostatecznie przeciętnym, młodym człowiekiem, żeby zadowolić najczujniejszego widza. A o takiego chodziło, bo publika miała już po dziurki w nosie tych wszystkich wytresowanych wyczynowych atletów z ich szybkim refleksem na wszystkie sztuczki i z ich profesjonalną odwagą. Wezwano Jima do Nowego Jorku. Tam Jim podpisał dokument, zwalniający JBC z jakiejkolwiek odpowiedzialności na wypadek, jeżeliby on, Raeder miał stracić życie, zdrowie lub postradać zmysły. Ponadto podpisał papier, w którym powoływał się na ustawę o prawie do samobójstwa; ustawa stanowiła, że każdy może dać się zabić.

Po trzech tygodniach wziął udział w „Upadku". III kanał, 1.000 dolarów za zdobycie pierwszego lub drugiego miejsca i prawo do wystąpienia w „Sytuacji krytycznej".

Program był naśladownictwem klasycznych wyścigów samochodowych. Niewprawni, niewytrenowani kierowcy wsiadali do potężnych

amerykańskich i europejskich wozów wyścigowych i rwali w morderczym tempie po 20-milowej trasie. Wyścig w tych warunkach był koszmarem zgrzytów i dymiących opon. Raeder trzymał się z tyłu; na przedzie co chwila któryś wóz kapotował, uderzał o wały i bariery, czy o maszynę sąsiada. W końcu przed sobą miał Raeder tylko dwa wozy, a na pięćdziesiąt metrów przed metą jednemu z kierowców na przedzie trzasnął wał korbowy i Raeder przeleciał metę jako drugi.

Był więc o tysiąc dolarów dalej. Wezwano go teraz, żeby wziął udział w „Sytuacji krytycznej".

W toku przygotowań do tego widowiska Raeder został odurzony nieszkodliwą dawką narkotyku. Obudził się w wieżyczce pilota maleńkiego samolotu, który — automatycznie sterowany — krążył na wysokości 3 tys. m. Zegar benzynowy wykazywał, że zbiornik jest już prawie pusty. Raeder nie miał spadochronu. Jego zadaniem było lądować. Oczywiście, nigdy w życiu jeszcze nie latał.

Ostrożnie próbował naciskać wyłączniki, tu i tam. Pamiętał przy tym, że w ubiegłym tygodniu jego kolega z „Sytuacji krytycznej" obudził się w łodzi podwodnej, pociągnął za niewłaściwy wentyl i zatonął.

Tysiące telewidzów z zapartym tchem obserwowało, jak ten przeciętny człowiek daje sobie radę w tej sytuacji. A tymczasem Raeder jakoś sprowadził maszynę do lądowania. Skapotował, przewrócił się parę razy, ale jego pas bezpieczeństwa nie zawiódł. Wyszedł z „krytycznej sytuacji" z dwukrotnym złamaniem lewej nogi, trzema tysiącami dolarów i szansą wystąpienia — gdy już będzie zdrów — w widowisku „Ryzyko pod wodą", finansowanym przez firmę „Mydło Fairlady".

Uzbrojonego w maskę, aparat tlenowy, pas z ołowiu, płetwy i nóż, zanurzono Raedera w ciepłych falach Morza Karaibskiego, razem z czterema innymi zawodnikami. Za nimi spuszczono zespół kamerzystów zabezpieczonych klatką. Chodziło o odnalezienie i wydobycie z dna morza — skarbu, ukrytego tam przez fundatora widowiska.

Nurkowanie w masce nie jest specjalnie niebezpieczne. Ale też organizatorzy zadbali o to, żeby — było. Cały podwodny teren widowiska roił się od olbrzymich muren, rekinów, potwornych ośmiornic, trujących koralowców i innych podwodnych niebezpieczeństw.

Walka była porywająca. Jeden z zawodników, z Kalifornii, znalazł skarb w rozpadlinie dna, ale jego też znalazł — rekin. Inny nurek uchwycił już skarb w ręce, ale jego noga tkwiła już w paszczy mureny. Przejrzyście niebieska woda zaczerwieniła się od ludzkiej krwi, co w kolorowej telewizji dawało niezwykłe efekty. Skarb upadł z powrotem na dno morza. Raeder rzucił się w jego stronę, uchwycił, zerwał ołowiany pas z bioder i zaczął przebijać się do góry.

Na głębokości 10 m pod powierzchnią musiał jeszcze stoczyć walkę z jednym z zawodników. Tamten wyciągnął właśnie nóż, natarł na Jima i przejechał mu nożem po piersi. Ale Jim uchylił się w ostatniej chwili i wyrwał przeciwnikowi przewód powietrzny z ust. To wystarczyło. Raeder wypłynął na powierzchnię i pokazał skarb: skrzyneczka z mydłem Fairlady. Przyniosło mu to 20 tys. dolarów w czystej gotówce i bonach. Ale najcenniejsze było prawo wystąpienia w największym, najwspanialszym spośród wszystkich widowisk thrillerowych — w „Cenie strachu"!

Przed tygodniem stał na scenie w świetle reflektorów, a Mike Terry potrząsał mu rękę.

„A więc, mr. Raeder" mówił Terry uroczyście, „pan zna reguły

tej gry, w której zamierza pan wziąć udział?"

Raeder skinął głową.

„Jeżeli pan akceptuje, Raeder, to staje się pan na okres tygodnia przedmiotem polowania. Mordercy będą na pana polować, Jim. Rutynowani killerzy, którym prawo na zasadzie ustawy o samobójstwie zapewnia bezkarność za to morderstwo. Oni dołożą wszelkich starań, żeby pana zgładzić, Jim. Czy pan to pojmuje?"

„Tak, rozumiem" odpowiedział Raeder. Rozumiał także tych dwieście tysięcy dolarów, które otrzyma, jeżeli przeżyje tydzień...

Pociąg metra nagle stanął i wyrwał Raedera ze wspomnień. Jim spojrzał na mężczyznę siedzącego naprzeciw, który rozmawiając z otyłą kobietą nie spuszczał z niego oka. Gdy drzwi pociągu zostały otwarte, Jim wstał i zerknął na zegarek. Miał jeszcze przed sobą pięć godzin.

Na dworcu Manhasset wskoczył do taksówki i krzyknął do szofera, żeby go wiózł do New Salem.

„New Salem"? Zapytał tamten i zajrzał do lusterka. „Proszę bardzo". Włączył mikrofon: Jadę do New Salem. Teek! Właśnie... New Salem!"

Ruszyli. Raeder zastanawiał się przez chwilę: „Czyżby to był umówiony sygnał?... Niech pan zatrzyma. Ja tu wysiądę".

Zapłacił i zaczął iść wąską drogą, wiodącą przez tereny rzadko zadrzewione. Z drugiej strony zbliżała się szybko ciężarówka. Raeder kroczył spokojnie dalej, nasunął tylko kapelusz głębiej na czoło. Ale gdy ciężarówka znalazła się już blisko niego, usłyszał głos dochodzący z aparatu ukrytego w kieszeni: „Uważaj!" Padł plackiem w przydrożnym rowie. Ciężarówka skręciła gwałtownie i przejechała o włos od jego głowy, a potem gwałtownie zahamowała, piszcząc hamulcami. Szofer krzyczał: O, tam biegnie! Strzelaj, Harry, strzelajże!" Pociski cięły liście z lewej i prawej strony, gdy Raeder zanurzał się wśród drzew.

„I znowu zdarzyło się to samo", słychać było teraz podniesiony głos Mike'a Terry'ego. „Obawiam się, Jim Raeder dał się ukołysać poczuciu bezpieczeństwa. Nie wolno ci tego robić, Jim! Nie wolno, gdy w grę wchodzi twoje życie! Nie wolno, gdy killerzy depczą ci po piętach! Bądź ostrożny, Jim, przed tobą już tylko cztery i pół godziny".

Raeder biegł ze sto metrów przez krzaki i nagle znalazł się na autostradzie, do której z drugiej strony przylegały znowu tereny zadrzewione. Przez krzaki za nim przedzierał się jeden z bandytów i Jim widział go już z pewnego oddalenia.

Z przeciwnego kierunku nadjeżdżało auto. Raeder wyskoczył na drogę i machnął ręką, jak opętany, wóz stanął.

„Szybko!", krzyknęła młoda blondynka siedząca przy kierownicy.

Raeder wskoczył do środka. Kobieta zrobiła gwałtowny zakręt. Pocisk prasnął o boczną szybę. Nacisnęła na gaz i nieomal przejechała jednego z killerów, który stał na autostradzie. Raeder opadł do tyłu i zamknął oczy. Kobieta skoncentrowała się teraz na prowadzeniu wozu, od czasu do czasu obserwowała w lusterku jadącą z tyłu ciężarówkę.

„I znowu, znowu to samo", krzyczał ekstatycznie Mike Terry. „Znów udało się wyrwać Jima Raedera z objęć śmierci dzięki Dobrej Samarytance, Yanice Morrow z Lexington Avenue, cztery — trzy—trzy, New York City. Ludzie, czy widzieliście kiedykolwiek coś takiego, jak wtedy, gdy miss Morrow pędziła wśród pocisków i wyrywała Jima Raedera z rąk mściwych bandytów? W odpowiedniej chwili przeprowadzimy z miss Morrow wywiad, w którym ona

sama nam opowie, co przy tym odczuwała. A teraz — gdy Jim przedostaje się być może w strefę bezpieczeństwa, połączymy się na chwilę z fundatorem naszej audycji. Prosimy nie wyłączać odbiorników! Jim ma jeszcze cztery i pół godziny, jeszcze wszystko się może zdarzyć!

„O-key" powiedziała dziewczyna. „Wyskoczyliśmy z eteru. Raeder, co właściwie jest z panem, do diabła? — Dziewczyna miała około dwudziestu lat, była czyściutka, świeża, wyglądała atrakcyjnie. Miała przyjemną twarz, była świetnie zbudowana. Raeder dostrzegł, że była wściekła. — „Nie jestem żadną Dobrą Samarytanką. Jestem pracownicą JBC.

Niech pan posłucha, to jest kosztowny program, Raeder. Musimy w nim coś ludziom pokazać. Jeżeli byśmy nie brali pod uwagę opinii słuchaczy, moglibyśmy od jutra wyjść na róg ulicy i sprzedawać sznurowadła. A pan nam nie chce pomóc".

„Co? Jakże to?"

„Bo pan jest okropny", powiedziała dziewczyna gniewnie. „Pan jest niewypałem, fiaskiem..."

„Robię co mogę..."

„Ludzie Thompsona mogliby pana wykończyć już z dziesięć razy. My im powiedzieliśmy, żeby się nie śpieszyli, że mają czas. Ale to, co się dzieje, zaczyna wyglądać na lipę... Jeżeli nie potrafi pan żyć, to niech pan umie przynajmniej porządnie umrzeć. Ma pan jeszcze niecałe dwie godziny do końca. Zaraz wejdziemy na fale eteru i każę panu wysiadać. Banda Thompsona jest już blisko. Oni pana teraz wykończą przy pierwszej sposobności, rozumie pan? Niech pan biegnie przez ten las, aż dopadnie pan do takiej głębokiej jamy. Tam się pan ukryje".

Raeder biegł wśród drzew, obok domków campingowych. Któryś z ich mieszkańców musiał widocznie dać telefoniczną wskazówkę bandytom, bo znów byli bardzo blisko, gdy on wskakiwał do swojej jamy.

Wskoczył do kryjówki i zagrzebał się głęboko pod chrustem. Był tak śmiertelnie zmęczony, że zaczęła go — nawet w tych okolicznościach — ogarniać senność. Słyszał jakby z ogromnej odległości szum śruby śmigłowca z kamerzystami telewizyjnymi, krążącego gdzieś w pobliżu. Zapadł w sen.

Budzi go okrzyk:

„Chłopcy. Tutaj! Tutaj się ukrył!"

Jim usiłuje się unieść. Ale opada z powrotem. To już jest zupełnie bezcelowe. Leżąc na grzbiecie, widzi nad sobą kawał błękitnego nieba. Ale na tym niebieskim tle rysuje się wyraźnie czarna sylwetka z wyciągniętą w jego stronę ręką. W tej ręce błyszczy metal...

„Stop! Thompson!" zaryczał nagle wielokrotnie wzmocniony głos Mike'a Terry'ego. Zadrżała ręka z pistoletem. „Jest już sekunda po godzinie piątej! Tydzień właśnie minął. Jim Raeder wygrał!"

W studio wybuchła prawdziwa eksplozja radości.

„Przyjaciele, on wygrał! On wygrał!!" chrypi Mike Terry. „Spójrzcie na ekran! Jest już na miejscu policja, oddzieliła ludzi Thompsona od ich niedoszłej ofiary, której nie udało im się zgładzić ze świata. I to wasza zasługa, Dobrzy Samarytanie Ameryki! Patrzcie, ludzie: ostrożne dłonie unoszą Jima Raedera z jego kryjówki, jego ostatniego schronienia. Dobra Samarytanka Yanice Morrow jest na miejscu. Czyżby wikłał się tu mały romans?..."

Mike Terry spojrzał na zegar. „No, więc drodzy telewidzowie, program nasz dobiega końca. Żegnając, prosimy zwrócić uwagę na zapowiedź naszego najbliższego widowiska thrillerowego".

„Twen" Przeł. **M. Ziemski**

WYPADEK

— Słyszałeś? Zygmunt potrącił niedawno samochodem jakąś kobietę na ulicy, a teraz się z nią ożenił.

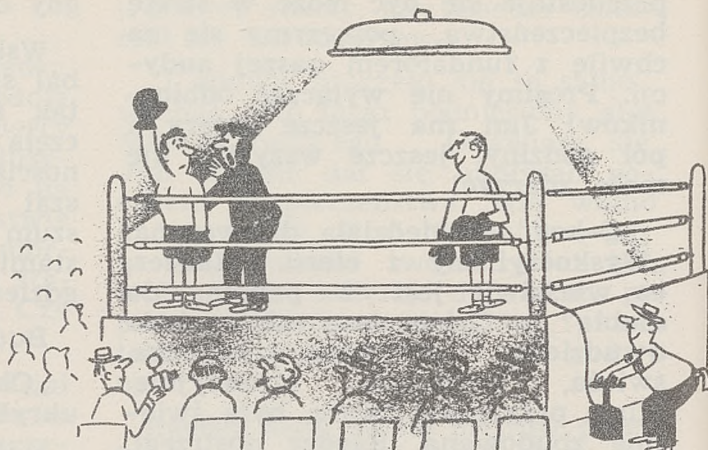
— Tak, tak... Gdyby takie wypadki zdarzały się częściej, ludzie jeździliby uważniej.

GOŚCIE

W drugi dzień świąt mieli przyjść goście. Pani domu wchodzi do pokoju i widzi jak jej mąż chowa skrzętnie wszystkie książki do szafy.

— Bój się Boga, Jureczku! Co ty robisz? Przecież sami porządni ludzie do nas przyjdą. Na pewno nikt z nich nie ukradnie ci książki.

— Nie o to chodzi. Mogą je rozpoznać...



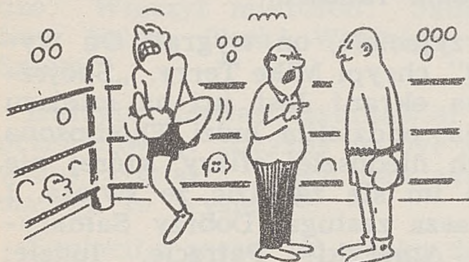
— Uważaj, on ma dynamit w lewej pięści...



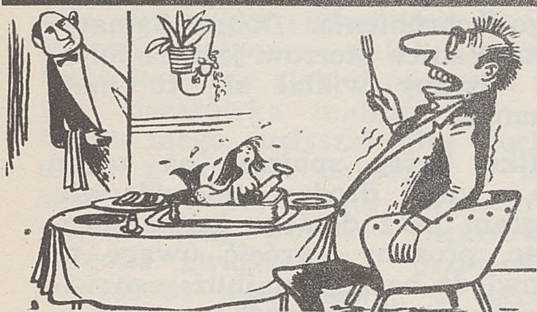
— Ma pan szczęście, że to walizka z bielizną, w tej drugiej są książki...



— Twój chłopiec już się u nas zadomowił...



Dostajesz napomnienie za nieczystą walkę!...



— Panie starszy!...



Doktor John? Owszem, był tutaj. Nadzwyczaj pikantny facet...

HUMOR NA PLAŻĘ

GRZEŚ I BABCIA

Grześ nudzi bez przerwy babcię, żeby mu coś opowiadała. Jest już wieczór i babcia zmęczona protestuje:
— Już ci dość naopowiadałam, a teraz chce mi się spać — daj mi więc spokój.
Grześ kiwa główką:
— Oj babciu, babciu — już tyle lat śpisz i ciągle jesteś niewyspana, a ja dopiero pięć lat śpię i wcale nie jestem śpiący!

MĄŻ I ŻONA

— Co się stało kochanie, przeciętnie rozmawiasz przez telefon pół godziny, a teraz tylko 10 minut. Nie miałaś o czym mówić z jedną z przyjaciółek?
— To nie była przyjaciółka, to była omyłka.

INSTRUKTOR I UCZENNICA

Instruktor szkolenia motorowego do swej uroczej uczennicy:
— Czy ktoś pani powiedział, że ma pani wyraziste, cudne oczy?
— Tak — odpowiedziała kokieteryjnie dziewczyna.
— To dlaczego, do cholery, nie patrzy pani tymi wyrazistymi, cudnymi oczami na znaki drogowe?

URZĘDNIK I KOLEDZY

Ktoś zwierza się przyjacielowi:
— Mam ogromne zmartwienie. Wyobraź sobie, że mówię przez sen.
— To przecież nic wielkiego.
— Dla mnie tak, ponieważ koledzy się ze mnie śmieją.
— Jacy koledzy?
— Biurowi.

NAUCZYCIEL I UCZEŃ

Nauczyciel w szkole szwajcarskiej do ucznia:
— Kto był pierwszym człowiekiem?
— Wilhelm Tell.
— A co powiesz o Adamie?
— No, jeśli pan profesor chce brać pod uwagę cudzoziemców...

LEKARZ I PACJENT

Lekarz do pacjenta:
— Najlepiej zrobiłby panu dłuższy pobyt nad morzem. Czy mógłby pan sobie na to pozwolić?
— Dlaczego nie? Jestem marynarzem.

SZEF I MASZYNISTKA

— To nie do wiary! Pani nawet nie umie założyć taśmy do swojej maszyny!
— I co z tego? Czy sądzi pan, że Paderewski umiał nastroić swój fortepian?

PRZEDZIWNE POMYSŁY

Im gruntowniej zagłębiamy się w tajniki przyrody, tym silniejsze staje się nasze przekonanie, że dla twórczych jej możliwości właściwie nie ma żadnej granicy. Bo wyobraźmy sobie jakieś najbardziej wymyślne warunki topograficzne i najbardziej dziwaczny klimat: możemy być pewni, że przyroda upora się bez trudu z tymi dziwnościami i wyprodukuje istotę żywą, która będzie w zgodzie z nowym otoczeniem i sytuacją. Na nowo i odpowiednio dopasowane zostaną oczy, dziób lub paszcza oraz kończyny. Jak się jednak okazuje, mimo tych tendencji i zdolności do idealnego rozwiązywania problemu istot żywych, przyroda ulega czasem jakby fluktuacjom humoru, a nawet lubi stawać się filuterna i płatać figle. Stwarza wtedy dziwolągi wyglądające jak zjawy senne.

...JEDZĄ PIÓRA. Najważniejszym czynnikiem, do którego zwierzę musi się przystosować, jest rodzaj pożywienia. Przyjrzyjmy się więc nieco tej sprawie. Można np. obserwować ptaki błotne, zajęte zajadaniem... piór; ten „artykuł spożywczy" stanowi niekiedy aż 60% ich całkowitej aprowizacji! W ten sposób bowiem zabezpieczają one swój przewód pokarmowy przed uszkodzeniem ośćmi chwytanych ryb. Pióra tworzą w ich żołądku i jelitach odpowiednio miękką wyściółkę, w której grzęzną twardsze części pokarmu. Źródłem zaopatrzenia w ten niesmaczny dodatek do rybnego menu są opuszczone gniazda innych ptaków.

...OCZY NA GŁOWIE. Rodzaj pożywienia może nawet decydująco wpłynąć na ukształtowanie samej postaci zwierzęcia. Np. dżdżownice „wymodelowały" postać ptaka-słonki, żerującego w pulchnej, wilgotnej glebie na krawędzi lasów, przy pomocy bardzo długiego i wąskiego dzioba. W czasie poszukiwania glist dziób tkwi czasem cały w ziemi, wskutek czego słonka jest wówczas jakby do ziemi przygwożdżona, bezbronna więc wobec ataków z góry. Przyroda jednak w chytry sposób umieściła jej oczy niemal na samym czubku głowy. Ptaszysko jest przez to dziwaczne i brzydkie, ale.. bezpieczne. W tym przypadku przyroda poszła na łatwiznę, i po prostu „wykręciła się sianem" z ciążącego na niej obowiązku przystosowania.

...NIE PIJE WODY. Za to w innym przypadku spisała się wspaniale. Chodzi o jedno z najciekawszych zwierząt starego kontynentu australijskiego, należące do podgrupy torbaczy, a wyglądem swym przypominające małego niedźwiadka. Koala dochodzi zaledwie do 60 cm wzrostu i jest stworzeniem niezwykle ospałym. Związał się on nierozerwalnie z drzewem eukaliptusowym, którego liście stanowią jego jedyne pożywienie; na tym daniu kończy się jego jadłospis, nie uzupełniany nawet żadnym płynem. Koala nie odczuwa po prostu nigdy pragnienia i pod tym względem należy do ssaków wyjątkowych. Wystarcza mu sok zawarty w liściach — przystosowanie niezwykle cenne dla zwierzęcia, żyjącego na suchych, pozbawionych całkowicie wilgoci, pustynno-stepowych obszarach Australii.

...RYBA Z WĘDKĄ. Zadaniem dla przyrody jeszcze poważniejszym, niż przystosowanie gatunków do rodzaju pożywienia, jest pomoc w jego zdobywaniu w warunkach czasem niezmiernie trudnych i skomplikowanych. Np. w ciemnych rozpadlinach głębin morskich przebywa ryba, żywiąca się swymi mniejszymi krewniaczkami, które zresztą niechętnie zaglądają do takich nieciekawych zakamarków. Rybie tej wyrasta na głowie długa, cienka, sztywna wypustka, przypominająca wędkę. Na końcu jej zwisa wiotkie włókno, naśladujące robaczka, założonego na przynętę. Zwabione nią rybki podpływają bardzo blisko i stają się łatwym łupem „ryby-wędkarza".

...ANEMON STRZELAJĄCY. Jeszcze wymyślniej rozwiązała przyroda problem chwytania wymykającej się zdobyczy — u anemonów morskich, zwierząt przypominających swym kształtem kwiaty. Z racji swej budowy mogą one czyhać na ofiarę tylko w pozycji nieruchomej, ponieważ jednym końcem swego ciała są stale przytwierdzone do jakiegoś przedmiotu na dnie morza, podczas gdy ryby są — jak wiadomo — niezwykle ruchliwe. Anemony posiadają bardzo rozwinięte specjalne czułki, zaopatrzone na końcach w „spłonki". Gdy przepływająca w pobliżu ryba zaczepi o czułkę, następuje „wystrzał" cienkiego, ale ostrego i mocnego włókna, które przebija ciało ryby. Nie koniec jednak na tym: włókno „eksploduje" w mięśniach ryby, rozprzestrzeniając dokoła obezwładniającą truciznę.

...UCHO NA BRZUCHU. Przyroda podjęła różne próby i wysiłki nie tylko w dziedzinie przystosowania zwierząt do agresji, ale i w sferze możliwości obrony

PANI PRZYRODY

przed wrogami wyposażyła niektóre z nich w doskonałe urządzenia. Np. jeżeli chodzi o system alarmowy, to u większości stworzeń działa on wręcz doskonale. Na jego ukształtowanie duży wpływ wywarły m. in. fale dźwiękowe: np. bombardowały one przez tyle pokoleń ciała żabich przodków, aż doprowadziły do tego, że ich organ słuchu stał się doskonalszy od oka. Uszy stanowią teraz u żab tak czuły instrument, iż wystarczy najsłabszy, podejrzany dźwięk, aby spowodować natychmiastowy skok do wody i ukrycie się na dnie. Również zając został wyposażony w uszy dostatecznie czułe na to, aby wychwytać prawie bezszelestny lot sowy. U konika polnego natomiast organ słuchu mieści się na samym spodzie brzucha, tj. na najniżej położonej części ciała, dzięki czemu może on z łatwością wykryć kroki jakiegoś swego owadożernego prześladowcy.

...SKRZYDŁO Z OSTROGĄ. Także i czynne narządy obrony przydziela niekiedy przyroda hojną ręką stworom, u których można by się było tego najmniej spodziewać. Np. ptak dżakana, żyjący w tropikalnych częściach Ameryki jest obdarzony specjalnymi ostrogami, które wysuwają mu się z przegubów skrzydeł podczas lotu. Przy ich pomocy może on po prostu pokrajać na płaty zwierzę znacznie od siebie większe i silniejsze.

...KREW Z OCZU. Kiedy jednak wszystko zawodzi, pozostają już tylko same fortele. I w tej dziedzinie natura może się pochwalić doskonałymi pomysłami. Niektóre gatunki jaszczurek są mistrzyniami w stosowaniu „uników" wobec napastnika, którym bywa najczęściej sokół. Mianowicie ich ogon jest tak zbliżony kształtem do głowy, że wprowadza w błąd nawet bystrookie, ptasie drapieżniki. Sokół sądzi, że łepek jaszczurczy to ten, który jest bardziej uniesiony do góry. Ptak atakuje więc rzekomą głowę, a jaszczurka, korzystając z mgnienia oka potrzebnego sokołowi do zmiany kierunku — umyka gwałtownie i niespodzianie. Najbardziej jednak wymyślnego sposobu odstraszania wroga używa gatunek pewnej ropuchy, spotykanej w południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Rozdrażniona i osaczona, tryska ona na przeciwnika wprost fontannami krwi z oczu, co wygląda wręcz przerażająco.

...KIESZONKOWY MAŁŻONEK. Kiedy trzeba, przyroda potrafi zadbać nawet i o sprawy... matrymonialne. Na rozległych przestrzeniach dna oceanicznego poruszają się ryby, żyjące prawie w absolutnej ciemności. W takich warunkach kojarzenie się w pary byłoby wysoce utrudnione: ryby mogłyby wędrować całymi latami, nie napotykając i nie odkrywając w ciemnościach towarzysza płci odmiennej. Ale i na to przyroda znalazła sposób. Samice pewnych gatunków ryb głębinowych mają przy sobie stałego, „kieszonkowego" — jeżeli chodzi o wymiary — małżonka, który towarzyszy im przez całe życie. Ichtiolodzy zaobserwowali, że zaślubiny takich par odbywają się w najwcześniejszej rybiej młodości, tuż po wylęgu z ikry. Już wówczas karzełkowaty oblubieniec czepia się pyszczkiem dolnej części ciała samicy, aby się już nigdy więcej od niej nie oderwać. Wkrótce samczyk po prostu wrasta w ciało małżonki i odbywa wraz z nią wędrówki, pobierając pokarm bezpośrednio z jej żołądka.

...RYBA BEZ WODY. Jedna sprawa wydawałaby się — mimo wszystko — nie do przezwyciężenia: życie ryb bez wody. Znamy jednak wszechstronne możliwości przyrody, które pozwalają przypuszczać, że takie ryby także gdzieś istnieją. I tak jest w rzeczywistości. W wodach afrykańskich żyje pewien gatunek ryb, które są zaopatrzone w płuca; muszą więc co najmniej co 20 minut wypływać na powierzchnię, aby się zaopatrzyć w zapas powietrza. Latem, kiedy większość wód w tej części świata wysycha, ryba zagrzebuje się głęboko w mule rzek i jezior, trwając w odrętwieniu nieraz przez kilka lat, aż nadejdzie okres deszczów. Wówczas zaczyna znowu swój normalny żywot.

...JĘZYK JAK PIÓRO. A jednak niekiedy wydaje się, jak by przyrodzie — przy całej jej genialności — jakiś pomysł po prostu wymknął się spod jej kontroli. Taki np. nos na brzuchu u skorpiona lub język w kształcie pióra u ptaka amerykańskiego — tukana. Ewolucja gatunków w przyrodzie wyprodukowała z jednej strony okazy pełne piękna i patosu, jak np. lwy, z drugiej zaś — mnóstwo pociesznych i obrzydliwych kreatur.

„Reader's Digest"

TAJEMNICE WIECZNEJ MŁODOŚCI

Odroczenie terminu śmierci — to już żaden sukces. Walka toczy się obecnie o przywrócenie młodości i urody na okres tak długi, żeby oznaczał prawie nieśmiertelność. A pacjenci bywają starzy, bardzo starzy i bardzo sterani niełaskawym życiem. Jaką więc obrać metodę ich leczenia? Za pomocą jakich środków uchronić od zagłady? Głowią się nad tym uczeni wielu krajów, a od roku 1946 — Międzynarodowa Rada Muzeów — bo o ratowanie dzieł sztuki chodzi.

Rada przede wszystkim pośredniczy w wymianie informacji z tej dziedziny. W ostatnich czasach sztukę konserwacji najdoskonalej opanowali Włosi. Tłumaczy się to najlepszym wyposażeniem pracowni i najbogatszym dziedzictwem kulturowym, wymagającym nieustannej i pieczołowitej opieki.

W muzeach zgromadzone są przedmioty bardzo różne: uzbrojenie starodawnych wojów, inkunabuły, instrumenty muzyczne, szaty liturgiczne, ozdoby kobiece, ceramika, rzeźby, obrazy. Chociaż wykonano je z różnych materiałów w różnych krajach i epokach, odznaczają się one jedną wspólną cechą: wszystkie są dziedzictwem minionych wieków, wszystkie powinny być w stanie nienaruszonym przekazane przyszłym pokoleniom. Jak to należy zrobić? Primum non nocere — przede wszystkim nie szkodzić — tę naczelną zasadę lekarzy przejęli także konserwatorzy dzieł sztuki. Nieumiejętne odnawianie bardziej szkodzi niż pomaga — świadczą o tym praktyki różnych znachorów, którzy swymi „tajemniczymi" środkami okaleczyli niejedno bezcenne dzieło sztuki.

Współczesny konserwator — wykwalifikowany specjalista, obeznany na bieżąco z najnowszymi zdobyczami fizyki, chemii, biologii — sporządza szczegółową dokumentację swych prac, publikuje ich wyniki i na zwoływanych periodycznie międzynarodowych konferencjach dzieli się z kolegami swymi doświadczeniami. Wszechstronnie korzysta z możliwości, które mu daje współczesna technika. Posługuje się precyzyjnymi przyrządami i stosuje materiały syntetyczne o niezwykle cennych — jak się okazało — właściwościach. Szczególnie szerokie zastosowanie znajdują tu syntetyczne środki, służące do oczyszczania i dezynfekowania, rozpuszczalniki, wosk rozpuszczalny w wodzie używany do odnawiania skóry, włókno syntetyczne, syntetyczny klej.

Specjalne rentgeny umożliwiają wykrycie pod warstwami farby — pierwotnego szkicu wykonanego na płótnie. Dzięki tym przyrządom stwierdzono, że staroroSyjskie ikony malowano na tej samej desce kilku warstwami. Obecnie specjaliści są w stanie odtworzyć warstwy najstarsze i najgłębsze, nie niszcząc górnych. Umieją także przenosić obrazy z desek starych, stoczonych przez szkodniki, na nowe podłoże lub zmienić płótno, na którym obraz został niegdyś namalowany.

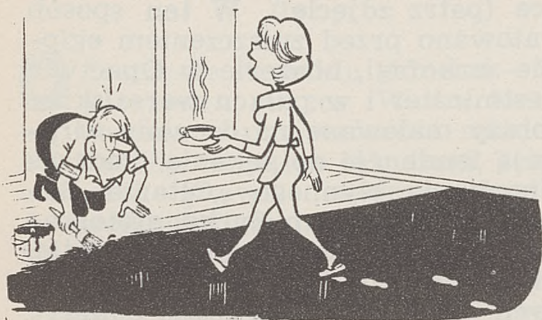
Na odnawianie i konserwację dzieł sztuki nie ma gotowej, generalnej recepty. Metody pracy muszą być zindywidualizowane, dostosowane do każdego dzieła. I tak na przykład trwa obecnie „kuracja odmładzająca" obrazu „Ostatnia wieczerza", skopiowanego przez ucznia Leonarda da Vinci — Andrea Solario ze słynnego fresku wielkiego mistrza. Obraz ten z Włoch zawędrował niegdyś do Francji, a następnie do Belgii, gdzie znalazł schronienie w opactwie w Tongerloo. Podróże nadwerężyły poważnie stan tego dzieła, a specjalnie niekorzystnie wpłynęło nań ukrywanie go w podziemnym schronieniu podczas rewolucji francuskiej. Prace restauracyjne trwają już od

1959 r. Główne zadanie polega na wydobyciu spod nawarstwień poprzednich renowacji — pierwotnych konturów i barw. Jest to praca wymagająca niezwykłej precyzji, należy bowiem usunąć wszystko, co zbędne, nie naruszając oryginału. Gdy stare farby są tak dalece stwardniałe, że nie dają się zmyć rozpuszczalnikami, usuwa się je ostrym lancetem o kształcie cieniutko zatemperowanego ołówka. Prześwietlenie obrazu promieniami nadczerwonymi i podfiołkowymi wykrywa ślady dawnych zabiegów renowacyjnych.

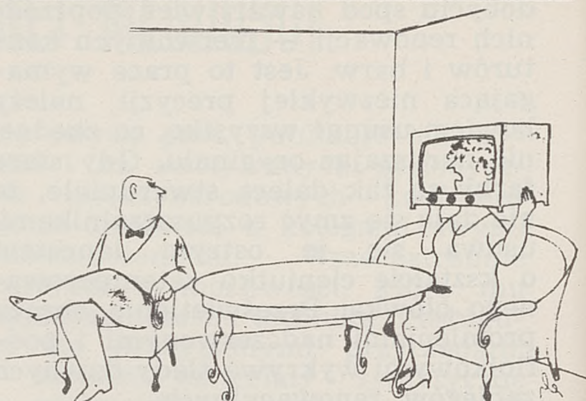
Zagrożona została także naturalna galeria malarstwa prehistorycznego w jaskini Lascaux we Francji. Odkryta w 1940 roku, wzbudziła ogromne zainteresowanie wśród turystów. Pewnego dnia jednak stwierdzono, że podobizny byków, koni, jeleni, dzikich baranów — namalowane na skałach przed wiekami przez bezimiennych mistrzów — zaczęły zdradzać objawy tak zwanej biologicznej korozji. Zapewne zainstalowanie drzwi zamykających wejście do jaskini oraz nieustanny ruch spowodowany masowym napływem zwiedzających — spowodowały niedostrzegalne, ale istotne zmiany mikroklimatu jaskini, który dotychczas sprzyjał zachowaniu się malowideł. Obrazy, które przetrwały w doskonałym stanie wiele setek lat, w stosunkowo krótkim czasie pokryły się bakteriami i drobnymi organizmami roślinnymi. W 1963 r. komisja ekspertów poleciła zamknąć jaskinię dla ruchu turystycznego i opracowała plan kuracji. Ze ścian jaskini usunięto porosty, zastosowano szereg środków dezynfekujących. Pod czujnym okiem specjalistów malowidła przechodzą okres rekonwalescencji.

Zupełnie inne problemy muszą rozwiązać konserwatorzy dzieł sztuki wykonanych w drewnie. 80 procent drewnianych rzeźb i bezcennych stylowych mebli ulega zniszczeniu wskutek działalności szkodników, drążących w drewnie sieć korytarzy. Drewno należy więc nasycić preparatami chemicznymi, które zabijają owady i zapobiegają ich ponownej agresji. Jeżeli drewno zostało uszkodzone poważnie, wstrzykuje się do jego tkanek emulsje wzmacniające (patrz zdjęcie!). W ten sposób uratowano przed zniszczeniem egipskie sarkofagi, boazerie w Opactwie Westminster i w pałacu wersalskim. Obrazy malowane na drewnie zdradzają tendencje do pękania. Podczas odnawiania słynnego „Ołtarza Baranka", pędzla Van Eycka, sfotografowano obraz w bocznym świetle. Zdjęcie ujawniło gęstą siatkę pionowych pęknięć; obraz został pokryty specjalną, wzmacniającą drewno masą.

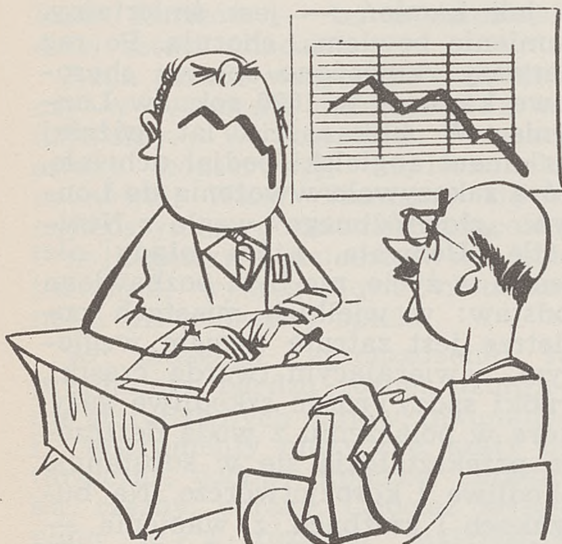
Nawet materiał pozornie tak trwały jak kamień — jest śmiertelny. Kamienie bowiem... chorują. Po raz pierwszy zauważono objawy chorobowe kamieni w 1620 roku w Londynie. W kilkanaście lat później parlament angielski podjął uchwałę, która zakazywała wwożenia do Londynu „złowróżbnego" węgla z Newcastle. Uchwała, która nigdy nie weszła w życie, nie była pozbawiona podstaw: w wielkich miastach powietrze jest zatrute dymem węglowym, zawierającym twarde cząstki, grudki sadzy i różne szkodliwe gazy, które w połączeniu z wodą deszczową przekształcają się w substancje szkodliwe i korozjotwórcze. Na budynkach i rzeźbach z wapienia — a nawet ze zwykłego piaskowca — wytwarza się twarda skorupa — pierwszy objaw choroby. Drugim jej stadium jest odwarstwianie się skorupy, obnażanie kamienia, który następnie pokrywa się szczelinami. Sole mineralne przedostające się do pierwszych, niewielkich jeszcze pęknięć — pogłębiają je i przyspieszają proces rozkładu. Zjawisko to występuje w wielu miastach zachodniej Europy; w ten sposób zagrożona została m.in. katedra w Chartres — perła gotyckiej architektury oraz pochodzące z XVI wieku rzeźby ze szpitala św. Jana w Brugge (Belgia). Pierwsza pomoc polega na usunięciu skorupy. Nie jest to zresztą jedyna choroba kamienia. Zagrażają mu bakterie, porosty, woda, sole mineralne i wahania temperatury. **(Skrót red.)** ***Tekst i zdjęcie: „Kurier UNESCO"***



– Przyniosłam ci, kochany, dobrą kawkę...



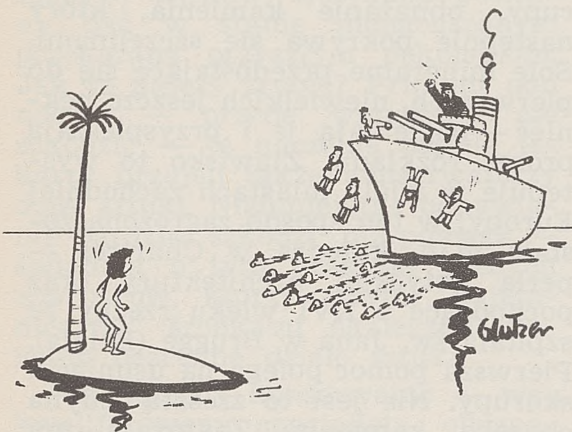
– Czy zechcesz mnie wysłuchać przez pięć minut?...



– Jak z planem, panie dyrektorze?...



– U mnie nic nowego, a jak tam u ciebie?...



– – –



– Choinka emerytowanego generała.

Staropolska Gościnność Bywała Też Plagą

Polacy od dawien dawna słynęli z gościnności. Popularne było w dawnej Polsce powiedzenie: "Gość w dom, Bóg w dom." Znany osiemnastowieczny pamiętnikarz ks. Jędrzej Kitowicz opisując ówczesne obyczaje polskie powiada, że "rzadki był dzień bez gościa." Zasiadanie do stołu jedynie w gronie domowników należało prawie, że do złego tonu. Mawiano, że kto sam "obiaduje", temu posiłek nie wychodzi na pożytek. Tak szeroko pojmowana gościnność stawała się często kłopotliwa, zarówno dla zapraszanych gości, gdy ich przymuszano do jedzenia, a zwłaszcza do picia, jak i nieraz dla gospodarzy, gdy goście swoją wizytę przeciągali nazbyt długo, siedząc w domu gościnnym całymi tygodniami.

Na przełomie XVI i XVII wieku wsławił się gościnnością wręcz dokuczliwą bogaty szlachcic polski Golski, dziedzic Kobylowłok w ziemi halickiej, późniejszy kasztelan kamieniecki. Nawet nieznajome osoby, przejeżdżające koło jego włości, zapraszał do swego domu, a opornych, którym się spieszyło i z gościny nie chcieli skorzystać, przymuszał i przy pomocy czeladzi siłą ściągał do swego dworu, poczym trzymał ich tu dopóki mu nie opowiedzieli najświeższych nowinek i plotek. Golski słynął bowiem ze swej ciekawości. Mnożyły się na niego jednak skargi, że "uczciwą szlachtę na dobrowolnej drodze hamuje, zawraca, łapie, niewoli i więźniem czyni".

Jan Chryzostom Pasek, autor znakomitych pamiętników XVII wieku opowiada, jak to jadąc w poselstwie od króla do wojska na Ruś Białą, zatrzymał się u pana Tyszkiewicza: "Przyjechawszy tam — pisze — byłem wdzięcznym gościem, ochota wielka, pijatyka. Byłem tam tydzień. Po tygodniu chcę odjechać, nie puszczają. Byłem tedy tam i drugi tydzień w owej konwersacji miły, w owych komplimentach wzajemnych, ofiarują mi różne poparcia, ofiarując mi swoją siostrzenicę pannę Rudominównę, dziedziczkę, która miała substancję lepiej aniżeli sto tysięcy, tylko, że dziewiąty rok była zaczęła". Tak mile traktowany spieszył się imć pan Pasek z załatwieniem poselstwa od króla, wreszcie opuścił gościnnego gospodarza", co wyjeżdżając, to się znów wracając, jak to zwyczajnie w dobrej przyjaźni bywa".

Wiadomo z dawnych pamiętników oraz wspomnień, że do szeroko praktykowanego sposobu należało zdejmowanie kół od pojazdu gości, aby w ten sposób uniemożliwić im wyjazd. Ale bywały również przypadki, gdy zbyt długie przeciąganie pobytu doprowadzało gospodarzy do rozpaczy. Łukasz Górnicki, znakomity pisarz XVII w., wspomina o szlachcicu, którego dom zaszczycił swą wizytą znaczny gość z gronem towarzyszy i dużym pocztem służby. Mijał czas, a goście nie kwapili się zupełnie z odjazdem. Wreszcie przebrała się miarka. Gospodarz zmęczony tak długim pobytem rozbawionych gości, wziął się na sposób.

Kazał własnej służbie przygotować się do wyjazdu i przyszedł pożegnać się ze swoim dostojnym gościem, który pełen oburzenia, zapytał go: "Cóż to Waszmości? Wyjeżdżasz mając tak znakomitych gości w domu?" "Cóż mam robić?— brzmiała odpowiedź—kiedy wy panie ze swą hordą mnie opuścić nie chcecie, muszę ja was odjechać".

Wytworzył się z czasem typ wiecznych pieczeniarzy, którzy tak sobie układali własne życie, aby je spędzać w gościnie i jadać z cudzego stołu. Często nie wynikało to bynajmniej z braku funduszów i konieczności szukania zaspokojenia swoich codziennych potrzeb, lecz po prostu z towarzyskiego obyczaju. Kiedy jeść samemu uchodziło za obyczaj godny potępienia, byli tacy co woleli jeździć po cudzych kominkach, niż samemu gości przyjmować. Musiało to być na porządku dziennym, skoro przetrwało takie przysłowie: "Gość częsty a długi, rychło się sprzykrzy, lub: "Gość nie w porę, gorzej Tatarzyna", czy wreszcie przysłowie jeszcze bardziej ostre: "Gość i ryba na trzeci dzień cuchnie". (Sz)

WESOŁA „KARUZELA"

POWRÓT

Noc. Mąż wraca do domu, niepewnie balansując przez korytarz.

— Co ty wyrabiasz? — mówi żona. —

— Ja? Nic. Myślałem, że to tunel.

PROFESOR

Znakomity internista zachorował. Mówi do żony: — Do żadnego z kolegów nie mam zaufania, a sam dla siebie jestem za drogi.

POŻYCZKA

— Panie, pożycz mi pan stówę!

— Przecież ja pana nie znam.

— No właśnie. Gdyby mnie pan znał, wtedy na pewno by mi pan nie pożyczył!

W SZKOLE

— Stasiu, dlaczego napisałeś wypracowanie o filmie słowo w słowo tak jak Grześ?

— Bo to był ten sam film, proszę pani.

DOLCE VITA PO POLSKU

BANANOWY WYŻ I UBAWY ZA PIENIĄDZE SZCZODRYCH TATUSIÓW

Poobiednią sjestę mieszkańców pewnego bardzo eleganckiego i modnego, zamkniętego ośrodka wczasowego przerwał niecodzienny hałas. Pisk opon, klaksony, zgrzytanie hamulców i rozbawione głosy.

Przed dom zajechała niezwykła kawalkada. „Mercedesy", „Peugeoty", „Volkswageny", „Fiaty" i supermodern sportowy NSU (model 1965 rok). Z samochodów wysypał się przepiękny, cieszący oko, męsko-damski „wyż", żywcem wycięty z „Seventeen", „Vogue" czy „Jardin des Modes". Kak w kino! Skąd przybyli? Z Via Venetto? Champs Elysées czy Piccadilly Circus?

Dowiemy się chyba skąd się tu wzięli?

O nie, nic z tych rzeczy. Pokoje zarezerwowane zostały przy pomocy pewnego autorytatywnego telefonu, który wykluczał sprzeciw. Przybysze pewni siebie, ekspansywni, akcentujący swoją obecność, zniknęli w pokojach. Zapanował spokój. Po chwili, przebrani do kolacji, zjawiają się w sali jadalnej, skupiając uwagę obecnych. Tubylcy — panowie, wśród których nie brakowało światowych bywalców i panie, które jedząc w Paryżu suche bułki i popijając wodę z fontanny olśniewały nas za tę cenę pięknymi sweterkami z soldów lub koronkowymi pończoszkami z fabryczną skazą (także z przeceny!) — oniemieli.

Nienagannej nowości zamszowe bluzeczki, skórzane spódniczki, elastyki, ciżemki, make-upy od nieboszczki Heleny Rubinstein — wywołały napięcie pełne takiego zdumienia, że co poniektórzy tubylczy panowie zapomnieli o smakowitym omlecie, a co poniektóre tubylcze panie zaczęły się dławić.

Piękna polska mowa, której zmuszeni byli używać przybysze, wyjaśnia nieporozumienie. Nie Via Venetto, nie Champs Elysées i nie Piccadilly Circus. Z Warszawyśmy rodem!

Co bardziej otrzaskani pensjonariusze „domwypu" rozpoznają w olśniewającym gronie wypieszczone latorośle dobrze uposażonych urzędników i funkcjonariuszy państwowych, warszawskiej finansjery, sławnych ginekologów, tudzież stołecznych krawców, a także — pewnego dżentelmena zwanego popularnie hrabią Lolo (vel wujo Jędrek).

Hrabia Lolo jest postacią znaną. Uwiecznił go nawet pewien publicysta poczytnego pisma.

Hrabia Lolo przybył zielonym „Mercedesem" z osóbką, którą niewtajemniczeni mogliby wziąć za jego wnuczkę. Hrabia Lolo uwodzi „wnuczki" sławnym już chwytem „na Kopciuszka": jeden piękny komisowy bucik do rączki — drugi ewentualnie wieczorem, w czasie czułego sam na sam w intymnym apartamencie.

...Omlet wzbogacony drinkiem poprawia humory przybyszów. Jeden drink, drugi drink, trzeci drink. Padają różne imiona i pseudonimy: „Reżimek", „Biedny", „Szyfr".

Po kolacji big-beat i surf. A potem „chata"...

Następnego ranka (panie z „Vogue" sfatygowane, panowie ociężali) nowa rewia mody, nowe elastyki — tym razem w barwach pastelowych, nowe angorki, zamsze i cielęce skórki. Tubylcy znowu się dławią — tym razem jajkiem na twardo — a co poniektórzy panowie dostają skrętu szyi.

A potem polanka, leżaczki i słońce.

„Wyż" zaczyna szczebiotać: „Wiesz, jak kupiłem nowego Volkswagena w Genewie, to zapomniałem wymienić olej i tak spiłowałem silnik, że już na włoskiej granicy trzeba było naprawiać. Nie masz pojęcia, co za ubaw. Pękło 45 tysięcy lirów".

Rechot.

Ktoś proponuje: Jedziemy do „Kadłubka".

Pytanie: A kto to jest ten Kadłubek?

Głos z leżaka: Pewno sekretarz partii.

Zamszowa kurteczka: Głupiś, to kronikarz Polaków.

Elastyczne spodnie: Gówniarzu, wstań jak mówisz to słowo!

Rechot...

Jakiś nieszczęsny tubylec próbuje uruchomić „Syrenkę". Ubaw dla sosjety.

Ciżemka: Może popchniemy, bo ta prykawka nie ruszy.

Skórzana spódnica: Znacie to? Przed świętym Piotrem stanęło trzech nieboszczyków: Francuz, Niemiec i Polak. Francuz wylądował w niebie, bo za ostro wziął zakręt, Niemiec strącił drzewo „Mercedesem", Polak umarł z głodu, spłacając raty za „Syrenkę".

Wzmożony rechot.

Tubylcy nieśmiało proszą o ciszę:

— Przyjechałam odpocząć. Państwo są tu gośćmi. Proszę się odpowiednio zachowywać. To nie jest garden-party w prywatnej willi...

Cielęca kamizelka: Znowu stanowimy temat. Już był taki jeden idiota w „Kulturze", który napisał o nas artykuł. Tylko tytuł zapomniałam...

Ktoś z tubylców: Tytuł „Kwadratowy".

Zielone „polo": Pani to pewnie z IBL, bo taka pani oblatana.

Ktoś z tubylców: Okazuje się, że „Kultura" napisała tylko część prawdy. Całą zademonstrowaliście dziś. Byłoby jeszcze o czym pisać...

Angielski tweed: Proszę napisać i dać nam znać. Wykupimy cały nakład...

Klaksony, pisk opon, pełny gaz, honorowa runda po miasteczku.

W tak zwanym międzyczasie w domu wczasowym zjawiają się kierownicy poważnych zakładów, którzy mają prawo do niedzielnego odpoczynku w swojej wczasowej przystani. Odjeżdżają z kwitkiem. Dla nich nie ma miejsca.

A wieczorem znowu rewia „bananowych" dzieci. Nowe kreacje i oczywiście nowe drinki. Po drinkach zachwiana równowaga i lekkie gastryczne przypadłości. Ślady na pięknym gazonie i niebieskim „Volskwagenie" — model 1965.

Nietaktowni tubylcy podnoszą głowy. Zaczynają się szmery. Zalana w pestkę złota młodzież traci rezonans:

— Nie lubią nas tu, odjeżdżamy!

Angielski tweed zapala silnik, wrzuca do wozu skórzaną spódniczkę. Skórzana spódniczka — z braku lotniczej torebeczki — folguje sobie na niebieskim błotniku.

Angielski tweed rusza, żeby odjechać w siną dal, a jej kresem okazuje się najbliższe drzewo — z podziwu godną precyzją tłucze szkła odblaskowe i niszczy zderzak „Volkswagena". Zaszokowani tubylcy postanawiają ratować inne samochody na szosach: bez ceremonii odbierają zalanemu tweedowi samochodowe kluczyki, „Volkswagena" odprowadzają na parking. To robi wrażenie. A więc można reagować, można protestować!

Tubylcy obserwują i komentują po kątach, broń Boże głośno. Bo syn prezesa X, bo córka dyrektora Y, bo zięć towarzysza Z., a nieliczni hobbyści samochodowi z wyraźnym psychicznym kacem spoglądają na swoje „Syrenki", „Wartburgi" i „Octavie". Nawet posiadacz „Simca Aronde" o mało nie dostał kompleksu niższości.

Znowu pożegnalna honorowa runda na setce, feeria świateł, pełna gama kolorów, błysk niklu i lśniącego lakieru. „Volkswageny", „Fiaty", „Mercedesy", „Peugeoty" mkną w domowe pielesze. Do swo-

ich willi, wielopokojowych mieszkań, wakacji na Kanaryjskich Wyspach, do swojej nie zmąconej żadnymi kłopotami rzeczywistości. Ostatnie pogardliwe spojrzenia, ostatni pisk opon.

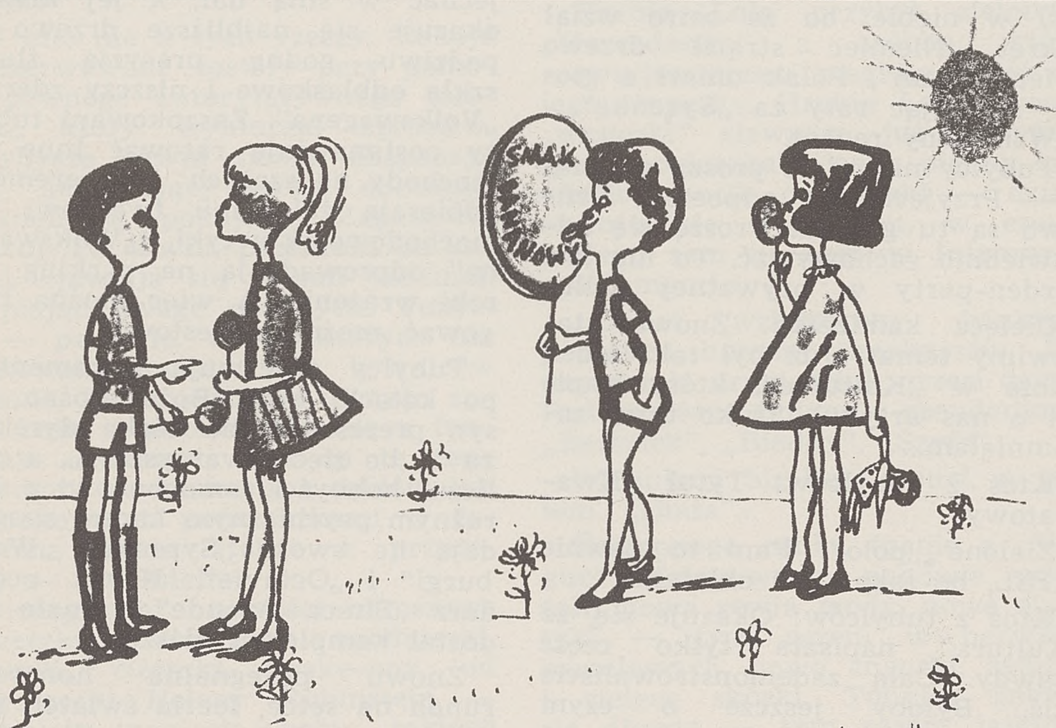
Na następnym weekendzie znowu będą rewie mody, rewie samochodów, będą gorzkie żale, że znowu „stanowimy temat", że „jacyś idioci znów o nas napisali".

Będziemy pisać tak jak piszemy o młodych inżynierach z Lublina utytłanych do pasa błotem, o młodych ofiarnych lekarzach i nauczycielach z „koszmarnej Polski powiatowej", o studentach mieszkających kątem w zagęszczonych domach akademickich i wyczekujących w kolejkach po akademicką zupę. Będziemy również pisać o „bananowych" dzieciach. Nie jest ich zbyt wiele, są wyobcowane ze społeczeństwa i obce społeczeństwu, ale stanowią nabrzmiały problem społeczny — dostarczają zaraźliwych, choć dla wielu utopijnych wzorców, próbek stylu życia i postaw.

Bywa różna młodzież w Polsce. Są takie lekarki i tacy młodzi nauczyciele, i są dzieci chowane w „inkubatorach" — egoistyczne, pełne pogardy dla normalnych ludzi, dla ich spracowanych rąk, którymi — nie dajmy się przestraszyć zarzutem demagogii — stwarzają dobra i wartości, z których ta mała grupka złotej młodzieży, za przyzwoleniem swoich szczodrych rodziców, tak beztrosko i bez skrupułów czerpie. Bananowe obyczaje, bananowe ideały. Te, które nam się zaprezentowały — puste, bezmyślne, pasożytnicze — stanowią szczep równie żałosny, jak ten pseudo-intelektualny, który poszukuje sprzeczności, czuję się wyalienowany (wyobcowany), satysfakcjonuje się „absurdem rzeczywistości", z której żyje i oczywiście gardzi „tym krajem" (this country).

Dolce vita po polsku.

„Walka Młodych" **Ina Radlin**



— Skąd on ma taki lizak?
— Bo jego tatuś jest na wysokim stanowisku.

Rys. Jolanta Karczewska

HUMOR PO POLSKU

MIĘDZY NOWOŻEŃCAMI...

Para nowożeńców wybrała się na wycieczkę samochodową. Nagle auto zatrzymało się. W poszukiwaniu uszkodzenia obydwoje weszli pod samochód i naprawiali go przez długi czas.

Przechodzący tamtędy wędrowiec trącił mężczyznę w plecy i powiedział:

— Nie tylko patrzy na was dwadzieścia osób, ale jeszcze przed pięcioma minutami skradziono wam auto.

MIĘDZY MĘŻCZYZNAMI...

Rozmawiają dwaj panowie:

— Słyszałem, że się rozwiodłeś.

— Tak.

— Czy żona cię zdradzała?

— Tak myślałem, ale to okazało się kłamstwem.

MIĘDZY MILICJANTAMI...

Rozmowa dwóch milicjantów ze służby ruchu.

— Dlaczego na kolejach jest znacznie mniej wypadków, niż w ruchu samochodowym?

— A czyś ty kiedy widział, żeby maszynista kolejowy całował palacza?

MIĘDZY WIĘŹNIAMI...

Do celi przybył nowy więzień.

— Za co tu pana wsadzili?

— Za zbyt częsty udział w weselach.

— Jak to? Więc za to pana ukarano?

— Tak, bo w każdym uczestniczyłem, jako pan młody.

MIĘDZY ZWIERZĘTAMI...

Dwie kury stoją przed wystawą sklepu i oglądają prześliczne jajko wielkanocne przewiązane wstążką. Jedna z nich mówi:

— Czy przypadkiem nie znasz tego koguta?

MIĘDZY WARIATAMI...

Spotyka się dwóch wariatów. Jeden prowadzi na smyczy kota.

— Piękny kocur — mówi drugi.

— Pss, szepce właściciel. To nie kot. To pies policyjny. I dlatego w przebraniu.

MIĘDZY MAŁŻONKAMI...

Żona do męża podczas zwiedzania wystawy:

— Ile kosztuje ten obraz?

— Nie wiem.

— Więc jaką przyjemność masz z oglądania obrazu, którego ceny nie znasz?

MIĘDZY OJCAMI...

W poczekalni szpitala położniczego przyszły ojciec chodzi nerwowo z kąta w kąt. Po pewnym czasie zjawia się inny mężczyzna i siada spokojnie w fotelu. Wchodzi pielęgniarka i zwracając się do ostatniego przybysza mówi:

— Niech pan idzie ze mną. Ma pan syna.

Na to pierwszy:

— Ależ proszę pani, ja tu byłem przed tym panem!

MIĘDZY DYSKRETNYMI...

— Marysiu, proszę tutaj 50 złotych, niech Marysia odniesie ten list na Nowy Swiat i ani słowa o tym nie wspomina pani.

— Na moją dyskrecję może pan liczyć. Nigdy słówkiem nie wspomniałam co pani robiła, jak pan wyjeżdżał...

KOMEDIA  LUDZKA

Hotel za... kratkami

W meksykańskim mieście Pequila przebudowano dawne więzienie na hotel, zachowując „styl" budynku — kraty w oknach i wizjery, przez które strażnicy podglądali więźniów. Aby jeszcze bardziej oddać „historyczną" atmosferę, dyrekcja oferuje gościom „więzienny żywot". Pragnący go posmakować budzeni są o piątej rano, otrzymują więzienny wikt i pod nadzorem pracują fizycznie na pobliskich polach...

„Kochaś" po angielsku

„Billy, błagam — wróć do mnie. Wszystko wybaczam. Margaret." Ogłoszenie tej treści ukazywało się codziennie przez okres dwóch miesięcy w jednej z londyńskich gazet. Na początku trzeciego miesiąca w rubryce ogłoszeń — obok żelaznego już apelu Margaret — znalazł się taki inserat: „Billy, do diabła! Wróć już wreszcie do Margaret, która ci wszystko wybaczyła. Zniecierpliwieni czytelnicy".

Mąż w szafie

Pewien zazdrosny o żonę kupiec z Rio de Janeiro postanowił ukryć się w szafie, aby sprawdzić wierność swojej Inez. Po prawie czterogodzinnym posiedzeniu, usłyszał wreszcie podejrzany szept na dwa głosy, przechodzący chwilami — jak mu się wydawało — w namiętny szloch. Z furią wyskoczył z szafy i oniemiał: u stóp jego żony klęczała zapłakana dziewczyna — jego ostatnia miłość, której przyszło do głowy sprawdzić, czy „narzeczony" jest rzeczywiście kawalerem...

Widzę w jego oczach...

Uwagę organizatorów odczytów znanego filozofa, Kalfa Vaslo Emersona, zwróciła pewna dama, która nie opuściła ani jednego wykładu. Zaintrygowani tym faktem nawiązali z nią rozmowę, pytając między innymi, czy rozumie wszystko o czym mówi profesor. W odpowiedzi usłyszeli: „Ani słowa, ale lubię gdy stoi tak, patrzy na nas wszystkich i widać wyraźnie w jego oczach naiwną wiarę w to, że go rozumiemy."

Dwaj w służbowej podróży

Zaparkowawszy swój wóz w niedozwolonym miejscu na ulicy miasta Richmond w stanie Virginia pewien amerykański komiwojażer przylepił do szyby samochodu karteczkę z usprawiedliwiającym — w jego mniemaniu — ten fakt napisem: „Jestem w podróży służbowej". Gdy wrócił po godzinie, zastał zatknięty za wycieraczkę mandat, a na kartce dopisek: „Ja też".

Ślub na pierwszej lekcji...

Pewien przedsiębiorczy businessman z Temple w Teksasie wpadł na pomysł zorganizowania „kursu wyrabiania pamięci". Pomysł chwycił, posypały się zgłoszenia kandydatów i w niedługim czasie ogłoszono termin rozpoczęcia zajęć. Inauguracyjna lekcja została jednak odwołana dosłownie w ostatniej chwili: pan profesor zapomniał, że tego samego dnia, o tej samej godzinie ma odbyć się jego ślub...

ROK 2000

MARIAN ZAŁUCKI

Przepraszam bardzo, że ciut-ciut
Zanadto myślą sięgam w przód —
Lecz sprawa w tym się głównie
streszcza,
Że odkąd zmarł Mickiewicz Adam,
To u nas brak w poezji wieszcza,
Więc może ja się nadam...

Ten przyszły,
Nowy,
Piękny świat
Wy sobie tylko wyobraźcie:
My starsi o kilkadziesiąt lat —
Kobiety o kilkanaście!
Epoka nowa.
Atomowa.
A technika się tak rozwinie,
Że nawet będzie słychać słowa
Na polskim filmie w kinie!

A w restauracjach —
Bez przesady —
Też całkiem nowe obyczaje:
Zamiast kelnerów — automaty,
Co same mówią:
„Kolega podaje!"
Od dawna telewizja wkroczy
Do wszystkich mieszkań
Zwykłych ludzi,
Żeby widzieli na własne oczy,
Kto ich tak w radio nudzi...

A w medycynie jakie cuda!
Gdzie tylko człowiek się nie uda —
Wszędzie lekarskich szyldów szereg:
WYMIANA SERCA, WĄTROBY
I NEREK!
NA POCZEKANIU!
NA ŻYCZENIE!

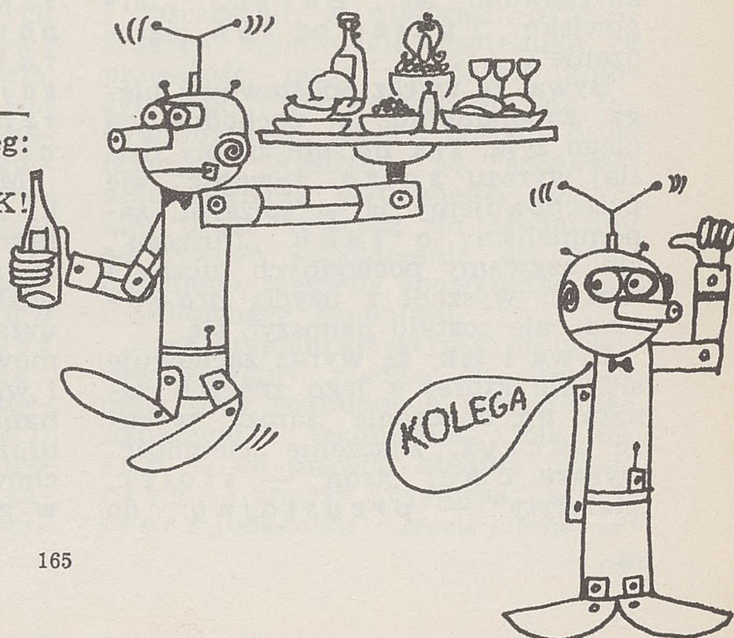
Sam dam w gazecie ogłoszenie,
Które tę będzie miało treść:
UNIEWAŻNIAM serce skradzione
przez pewną piękną blondynkę
w rakiecie Nr 6.

I wstawię sobie nowe —
Prościutko ze skrzynki —
Dla jakiejś innej blondynki!

Słowem,
Techniczny postęp wszędzie,
Wygoda na każdym kroku —
Sam nie wiem,
Czego nie będzie
W tym 2000 roku...
Wprost wyobraźnią nie ogarnę:
Podróże międzyplanetarne!
Nowa rubryka w ankiecie:
„Czy ma krewnych na innej
planecie?"
Astronawigacja!
Automatyzacja!
Nareszcie spadnie nam z głowy
Ten cały problem lokalowy:
Naciśniesz guzik —
Masz mieszkanie!

Każdy — kto wniesie podanie,
Taki guzik dostanie.

„Tygodnik Kulturalny"



Prof. ZENON KLEMENSIEWICZ

WYRAZY ZAPOMNIANE

Śledząc „życie wyrazów" języka ogólnonarodowego, zauważamy że niektóre z nich z biegiem czasu wychodzą z użycia, ulegają zapomnieniu, „umierają". Oczywiście, nie wyrazy są sprawcami takiego swojego losu — kształtuje się on na podłożu zmian, które się dokonują w ludzkiej społeczności językowej.

Oto weźmy dla przykładu trzy zdania z XVI—XVII stulecia: *Żąp* bywa z marmuru albo z innego kamienia; Muzyka i zwierzęta czyni *rochmanne;* Nie mógł się on *skaraskać* fatalnego kruka — gdzie *żąp* znaczy „zbiornik wody", *rochmanny* „łagodny", *skaraskać się* „uwolnić się od czegoś".

Bywa, że wyraz w potocznym użyciu zapomniany żyje jeszcze w utartym zwrocie, np. mieć *mir*, albo trafić w *sedno*, gdzie *sedno* znaczy „bolesne miejsce wskutek otarcia od kulbaki". Wiele takich wyrazów, zresztą zapomnianych, trwa w nazwach miejscowych, rzecznych, górskich itp. — co prawda często w etymologicznym znaczeniu nie rozumianych — jak np. *Chełm* „pagórek", *Isep* i *Ostrów* „wyspa", *Stróża* straż", *Trzebinia* „obszar, gdzie wykarczowano las", *Barycz* „targowisko", *Tyniec* od *tyn* „ogrodzenie".

Bywa, że wyraz podstawowy ulega zapomnieniu, a pochodne od niego żyją. Tak np. nie znamy dzisiaj wyrazu *spiża* „żywność", ale przechowujemy ją w spiżarni; zapomnieliśmy o *tuku* „tłuszczu", ale używamy pochodnych tuczny i tuczyć; wyszedł z użycia *panosza*, ale zostało panoszyć się.

Bywa i tak, że wyraz zachowuje się, ale któreś z jego znaczeń zanika, np. znaczenie „tarcza" wyrazu *szczyt;* znaczenie „ciemność" wyrazu *ćma;* „tron" — *stolec;* „należyty" — *przystojny;* „do niczego" — *nikczemny;* „zuchwały" — *bujny;* „mówić kazanie" — *kazać;* — „zwlekać" — *mieszkać* itp.

Dlaczego wyrazy wychodzą z użycia? Przyczyny tego procesu są rozmaite. Chyba najważniejszą, a z pewnością najbardziej oczywistą. jest fakt, że odnośny relat (tzn. to, co wyrazem nazwane) przestaje istnieć w związku z rozwojem życia społecznego, państwowego, urządzeń cywilizacyjnych, gospodarczych itp. Tak np. zginęły nazwy różnych, bardzo licznych i wyspecjalizowanych danin, opłat podatków: *czopowe, godne, łanowe, narzaz, nastawa, niestane, obraz, opole, osep, poczta, podworowe, podymne, pogłówne, pokłon, pomiot, pomocne, poradlne, poteczne, powołowe, prawidlne, przewód, sep, stan, stróża, ślad.* Albo szereg wyrazów dotyczących organizacji i uzbrojenia wojska, np. *arkebuzer, bełt, berdysz, buzdygan, czekan, drab, dragon, dzida, grenadier, hetman, huf, hufnica, husaria, kałkan, kapalina, koncerz, kusza, kwarta, komput, miecz, muszkieter, oboźny, obuszek, pawęża, pika, puszkarz, rajtar, regiment, rusznica, sajdak, sudlica, szczyt, szponton, szyszak, taraśnica, wój.*

Można by tak wymieniać dziesiątki i setki zapomnianych wyrazów, które nazywały stopnie pokrewieństwa, części stroju i materiały odzieżowe, zwyczaje, tańce, zabawy, urządzenia budowlane, sprzęty domowe, naczynia, potrawy, miary i wagi itd. itd. Ten proces zapominania wyrazów na podłożu przeobrażeń kultury materialnej i duchowej trwa bez przerwy. Nawet w granicach życia jednego pokole-

nia nietrudno zauważyć, jak wychodzą one z obiegu w związku z rozwojem techniki, z produkcją przemysłową, z dorobkiem myśli naukowej, z likwidacją pewnych instytucji, ze zmianą upodobań i mody itp.

Inną, rzadziej działającą przyczyną usuwania wyrazów, co prowadzi do ich zapomnienia, jest nacisk społeczno-obyczajowej cenzury. Ten proces tłumaczy się jasno: skoro źródłem odrazy czy zażenowania jest sama rzecz, o której mówić „nie wypada", choć nieraz mówić trzeba, bo jej z życia nie można usunąć, to każdy wyraz nazywający tę rzecz nabiera prędzej czy później cech nieprzyzwoitości i z czasem ustępuje miejsca nowemu, który na początku wydaje się łatwiej dopuszczalnym i strawnym eufemizmem.

Trudno mi — właśnie ze względów cenzuralnych — sypać przykładami. Poprzestanę — uczciwszy oczy czytelnika — na jednym — odnoszącym się do lokalu, który oznaczamy dwoma zerami. W „Słowniku języka polskiego" Karłowicza, Kryńskiego, Niedźwiedzkiego czytamy pod hasłem „wychodek": *prewet, kloaka, ustęp, ganek, wygódka, tranzet, na dwór, na przechód;* przemilczę jeszcze jedną najprostszą, najbardziej bezpośrednią, „funkcjonalną" nazwę, którą się tam określa jako „gminną". Natomiast przypominam, że okresowo w latach trzydziestych krążył *sławojek*, że dziś bywa w użyciu klozet, garderoba, ubikacja.

W wielu przypadkach trudno jest wskazać przyczynę odejścia jakiegoś wyrazu w zapomnienie. Czymże na to zasłużyły takie np. staropolskie wyrazy jak *chaśba* „kradzież", *gędźba* „muzyka", *leść, lściwość* „chytrość", *łża* „kłamstwo", *obiata* „ofiara", *pwa* „nadzieja", *sromięźliwość* „wstydliwość", *uczyn* „uczynek", *wiła* „błazen", *występ* „występek", *luty* „okrutny", *trefny* „żartobliwy", *bucić się* „pysznić się", *wiarować się* „zaklinać się", *zdzierżeć* „dotrzymać, wytrzymać"? Były potrzebne i pożyteczne, były zrozumiałe, składem głoskowym nie nastręczały ani wymowie trudności, ani uchu przykrości.

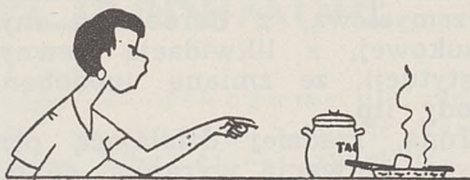
W ich zaniku trzeba widzieć skutek procesu współzawodnictwa dwu lub więcej wyrazów jednoznacznych lub bliskoznacznych albo dwu jednokształtnych różnoznacznych homonimów. Jeden z tych konkurentów zwyciężał z jednej strony z powodu działania ekonomii języka ograniczającej niepotrzebne synonimy i niewygodne homonimy, a z drugiej dzięki własnym zaletom. Mogło to być mocniejsze zabarwienie uczuciowe, któremu towarzyszy wzmożona siła ekspresji i impresji. Mógł jakiś wyraz zrobić karierę dzięki temu, że używany w środowisku ludzi wykształconych albo wpływowych nabierał ceny środka dodatnio wyróżniającego, zaspokajającego snobistyczne zachcianki, stawał się dlatego modny, dobrze widziany i pożądany i upowszechniał się kosztem ubogiego kuzyna — synonimu, mającego może charakter ludowy, gminny, prowincjonalny. W poszczególnych przypadkach potrzeba by tu szczegółowych mikromonografii wyrazowych.

Dodajmy na koniec, że wyrazy zapomniane mogą być sztucznie ożywione jako stylistyczne archaizmy. W artystycznej odmianie języka literackiego spełniają one dwie główne funkcje. Przede wszystkim i najczęściej, w utworach przenoszących wyobraźnię czytelnika w przeszłość, mają uwydatnić koloryt epoki i spotęgować prawdę indywidualnego języka postaci działających. Rzadziej są środkiem uniezwyklenia wypowiedzi poetyckiej przez ucieczkę do archaizmu od żywego współcześnie, ale powszedniego, niekiedy spowszedniałego i oklepanego synonimu.

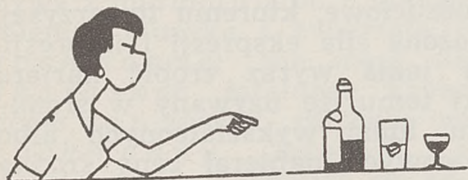
Poza kręgiem artystycznych utworów sięgamy rzadko do archaizmów przy rozbudowie terminologii naukowej i technicznej. Tak np. *żąp* — co prawda błędnie pisany *rząp* — znaczy „cysterna" a *alkierz* „bokówka". *„Życie Literackie"*

WYBÓR „KAZAŃ" NA CO DZIEŃ I OD ŚWIĘTA

...O ZGUBNYM PALENIU



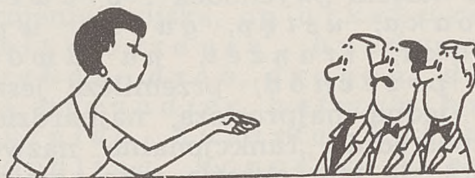
— Jeszcze palisz na noc! — Zobaczysz, jak będziesz kaszlał! — Od tych papierosów masz ten nieustający bronchit! — Co będzie z twoim sercem? — A jaka ziemista cera! — Ile to by się zaoszczędziło! — Za te pieniądze które puszczasz z dymem, na pewno mógłbyś mi kupić materiał na kostium! — Sam mówiłeś, że palacze kończą na raka! — Ale ty w nic nie wierzysz! — Ciągle zadymione mieszkanie! — To i na moją cerę źle wpływa! — Ale co to ciebie obchodzi!



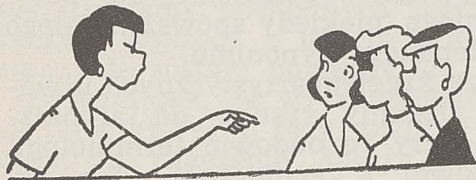
...O SŁABEJ GŁOWIE

W niczym nie znasz umiaru! — Spójrz jak ty wyglądasz! — Wątroba ci spuchła, worki pod oczami, nos czerwony! — Nieodrodny synek swojego ojca! — Ze mnie także wszyscy się śmieją, że na to patrzę i nic nie mówię! — Ale co ja mam mówić dorosłemu człowiekowi, którego rozum opuścił! — Każda kompania dobra! — Źle skończysz człowieku! — Pić, z taką głową! — A na stare lata to tylko ja będę miała kłopot: pielęgnować, leczyć...

...O NĘDZNYCH KREATURACH



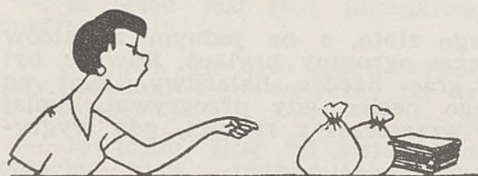
— Nie rozumiem jakie to sprawy macie ciągle do omawiania? — Ten twój Marek jest strasznie ordynarny! — A Jurek to niepoważny facet! — Albo Paweł: smutna kreatura! — Nikt ich poważnie nie bierze! — Ja wiem, że oni mnie nie cierpią i chcą cię ode mnie odciągnąć! — Te ciągłe wasze libacje, kawki i piwka do niczego dobrego nie prowadzą! — Wszyscy wiedzą, że twój kochany Piotruś stale cię podgryza i tylko czyha na twój stołek! — A w gruncie rzeczy i Jacek cię nie znosi! — Chociaż może on najmniej zły z nich wszystkich! — A najbardziej musisz się strzec Romana, bo on jest sprytny i bystry! — Kto wie, czy nie inteligentniejszy od ciebie! — Wszyscy mówią, że ja mu się bardzo podobam...



...O KOCIAKACH

— Już ja dobrze widzę, że Janeczka ci się bardzo, bardzo podoba! — Pewnie, to twój typ: gruba, wulgarna, brunetka! — Tylko ja się wyłamałam, ale to czysty

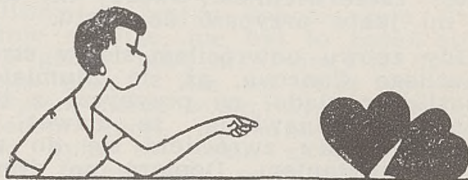
przypadek! — A to twoje ciągłe przesiadywanie w biurze? — Tyle masz pracy? — Nie wierzę! — Siedzi się, bo wesoło z panienkami! — Wszystkie one są okropne! — I ta osławiona sekretarka, i ta nowa blondyneczka! — One się z ciebie tylko nabijają! — Zabraniam ci chodzić na kawę z biurowymi koleżankami, to mnie ośmiesza! — Nie myśl, że podobasz się Zuzi! — Ona wszystkich kokietuje, ale wybiera tylko forsę! Zresztą dobrze, chodź sobie z kim chcesz, ale uprzedzam, że oczy ci na wierzch wyjdą, jak się dowiesz z kim ja się umówiłam...



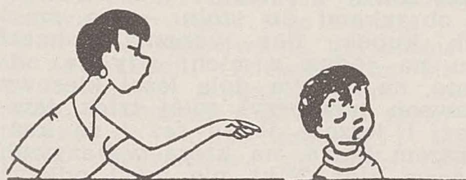
...O DOMOWYCH FINANSACH

— Czy ty w ogóle wiesz jak wygląda nasz budżet domowy? — Czy pomyślałeś kiedy co robić, żeby mieć więcej pieniędzy? — Są przecież możliwości jakiejś dodatkowej pracy! — Wszyscy mężowie moich koleżanek więcej zarabiają niż ty i jakoś sobie potrafią radzić! — A ty zawsze goły jak święty turecki i dobrze ci z tym! — Jak będę stara, pieniądze nie będą mi potrzebne! — Ach, jak sobie pomyślę, że mogłam wyjść za Henryka... tak mu się świetnie powodzi!

...O CZUŁYM KOCHANIU



— Czy ty mnie właściwie kochasz? — Bo nigdy mi tego nie mówisz! — Prawie nigdy! — Wychodzisz i nie pocałujesz mnie nawet! — Kiedy mi w końcu powiesz, że mnie kochasz? — Wstydzisz się swoich uczuć! — Obawiasz się, żeby ktoś nie zauważył! — Przecież jesteśmy mężem i żoną! — A przy ludziach zachowujesz się z taką rezerwą, jakbyś się czegoś krępował! — Mógłbyś mnie kiedy pogłaskać, spojrzeć czule, ale tak żeby wszyscy to widzieli! — Jestem pewna, że nasi znajomi przekonani są, że mnie nie kochasz!...



...O OBOWIĄZKACH OJCA

— Musisz koniecznie nagadać Wojtkowi! — Zbił wczoraj talerz i pokazał język sąsiadce. — Dla ciebie to wszystko nic! — Zawsze zaczyna się od drobiazgów, a kończy chuligaństwem! — Chcesz, żeby z niego wyrósł złodziej i zbrodniarz? — Ja mu ciągle tłumaczę, ale on sobie z tego nic nie robi! — To ty powinieneś zrobić mu awanturę, z ojcem więcej się liczy! — Jak wracasz do domu, nie chcesz słyszeć o moich kłopotach, pewnie, tobie wszystko jedno co z twojego syna wyrośnie! — Jak Wojtek robi przy stole grymasy, bo nie chce jeść wątróbki, to ty milczysz, bo sam wątróbki nie lubisz! — A mógłbyś się zmusić do jedzenia, żeby dać dobry przykład! — Już dawno miałam ci powiedzieć, że jak wstajesz rano, powinieneś chodzić na palcach, żeby dać temu małemu trochę dłużej pospać! — A czy w ogóle wiesz, ile ja mam roboty, żeby go wyekwipować na wyjazd? — Nie martwisz się w czym twój syn będzie chodził, a w Ameryce ojcowie od ust sobie odejmują, żeby móc odpowiednio ubrać swoje dzieci! A propos, zrobiłam dziś doskonały budyń czekoladowy, Wojtuś szalenie to lubi!...

„Marie France"

Krwawe opale



Charlie Conroy grał właśnie ze mną w karty, gdy ten nowy wszedł do salonu. Płynęliśmy na s/s „Baranda" z Londynu do Sydney; gdy się przez miesiąc nie wychodzi krokiem poza pokład, każdą nową twarz uważa się za objawienie. Pomyślałem sobie, że ten nowy musiał wsiąść na statek w Aukland, żeby na pokładzie „Barandy" odbyć ostatni odcinek tury z Nowej Zelandii do Australii.

Ubrany był wytwornie i drogo, miał ruchy człowieka pewnego siebie, który tę postawę zdobył przy okazji przedzierania się przez trudne życie. Tylko małe, ciekawskie oczka w mięsistej, zaczerwienionej twarzy nie mogły mi jakoś przypaść do gustu.

Gdy znowu odwróciłem się w stronę Charliego Conroya, aż się zdumiałem: Charlie spoglądał na przybysza z taką natężoną nienawiścią, że nawet nie zauważył, gdy zwróciłem się do niego z zapytaniem. Dopiero po długiej chwili oprzytomniał, jakby obudzony z głębokiego snu. Wtedy dopiero z twarzy jego znikł wyraz napięcia.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział do mnie swoim zwykłym, uprzejmym tonem. — Akurat przez chwilę byłem myślami zupełnie gdzie indziej.

Charliego Conroya poznałem dopiero na statku. Był zawsze grzeczny i układny, chociaż milczący i zamknięty w sobie. Ale sprowokowany przeze mnie opowiedział, że jest z zawodu inżynierem górnikiem i że jako młody człowiek przeżył kawał niełatwego życia na nie zbadanych jeszcze wówczas bliżej górzystych terenach Australii.

Co wieczór zasiadaliśmy razem do kart, ale odkąd ten nowy — nazywał się Rawson — zjawił się na pokładzie, Charlie nie mógł się już na niczym skoncentrować. Kiedy w roztargnieniu pykał swoją fajeczkę, jego spojrzenie uważnie wypatrywało Rawsona, a gdy go przyłapało — stawało się zimne i twarde.

Znałem — przynajmniej powierzchownie — wszystkich, z którymi tamten grywał w pokera. Chociaż byli oni ludźmi bogatymi, a Dennison i McGill — nawet milionerami, żaden nie nosił się ani nie zachowywał tak ekscentrycznie, jak Rawson. Na stoliku obok niego leżała zawsze sterta banknotów, papierośnica ze złota i krokodylej skóry, złota zapalniczka i nożyczki z czystego złota, a na jednym z palców błyszczał ogromny brylant. Rawson był przy grze bardzo hałaśliwy. Klął na swojego pecha, gdy przegrywał. Śmiał się i wrzeszczał z radości, gdy wygrywał.

Rawson był bardzo antypatyczny, ale Charlie na pewno odczuwał w stosunku do niego coś więcej niż zwykłą niechęć. Musiał mieć powody do uczuć znacznie gorętszych.

Przydarzyło się to w ostatni wieczór naszej podróży. Następnego poranka mieliśmy wpłynąć do portu w Sydney i na całym statku zapanowało zrozumiałe podniecenie. Nikt już nie miał ochoty, żeby się zająć czymkolwiek. Nawet najbardziej zapaleni pokerzyści zrezygnowali z gry i stać ich było tylko na to, żeby się przyglądać Rawsonowi, który zabawiał towarzystwo karcianymi sztuczkami.

Był w swoim żywiole, jego tricki budziły coraz żywsze i szersze zainteresowanie. A przyznać trzeba, że na tych sztuczkach znał się wybornie. Na pewno zepchnąłby w cień niejednego sztukmistrza zawodowego. Po kilku znanych karcianych kawałkach — w rodzaju wyciągania widzowi karty z rękawa itp. — Rawson zademonstrował pewien trick, którego nigdy przedtem nie widziałem. Wyjął z talii kartę, asa kierowego, i pokazał ją wszystkim dookoła. Włożył ją z powrotem do talii, zmieszał karty i rozłożył je — odwrócone, obrazkami do stołu — na sześć małych kupek. Bez wahania wskazał palcem na jedną z nich; gdy ją odwrócono, na samym dole leżał kierowy as. Rawson powtórzył swój trick jeszcze raz, i jeszcze jeden raz i za każdym razem karta, na którą wskazywał, była asem kier. Nikt nie mógł odkryć na czym ta zdumiewająca sztuczka polega. Również i Charlie pochylił się do przodu, patrząc z największą uwagą na zabiegi Rawsona.

— Ostatni raz widziałem tę sztuczkę w Summit Diggins — powiedział nagle tak głośno, że słychać było jego słowa nawet w najdalszym kącie.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę i spoglądali nań ze zdziwieniem.

— Summit Diggins — zawołał McGill — A kiedyż pan tam był?

Zanim Charlie zdążył odpowiedzieć, podniósł się z fotela Dennison i zaproponował:

— Dlaczegóż to panowie nie przysiądą się do nas? Przecież to nasza ostatnia noc na statku. Wychylmy więc razem kielicha!

Zestawiliśmy stoliki razem i zostaliśmy przedstawieni Rawsonowi. Dennison kazał stewardowi przynieść parę butelek szampana, a McGill zwrócił się do Charliego:

— A więc jest pan poszukiwaczem opali?

— Już nie. To było przed trzydziestu laty. Miałem tego wówczas po dziurki w nosie.

— Ja także, Bóg mi świadkiem. To przecież była niebezpieczna okolica. Pustka. Samotność. Setki mil do najbliższego miasta. Na granicy wielkiej pustyni. I jak gorąco! Gdy się rzuciło jajko na patelnię i potrzymało w słońcu, w ciągu minuty było już usmażone. Trzeba było być kawałkiem prawdziwego mężczyzny, żeby tam coś zdziałać, prawda?

Charlie skinął głową. Podobnie jak większości milionerów, również McGillowi sprawiało przyjemność wspominanie trudnych lat młodości.

— Czy pan zrobił forsę? — Dennison zwrócił się z tym pytaniemm do Conroya.

— I tak, i nie — odpowiedział Charlie z ociąganiem. Spoglądał przy tym na Rawsona jakimś szczególnym spojrzeniem. Ale poza mną nikt tego nie dostrzegł. Pucołowata twarz Rawsona nawet nie drgnęła. Nie można było po nim poznać o czym w tej chwili myślał, ale jego ręce bawiły się nerwowo kartami. Charlie przytknął do ust fajkę i wypuścił kłąb dymu.

— Harowałem w Summit Diggins prawie przez cały potwornie długi rok. Razem z Dan Horganem, starym, szczwanym lisem, i pewnym żółtodziobem. Nazywał się Angus Mac Donald i przyjechał na poszukiwanie brylantów prosto ze Szkocji. Niewiele on się znał na tajemnicy szukania opali, ale był wołem roboczym z gatunku tych, jakie spotyka się bardzo rzadko. I tak we trójkę posuwaliśmy się stale naprzód.

— Jeżeli sobie dobrze przypominam, trzeba było wtedy kopać tylko na głębokości sześciu stóp — wtrącił McGill.

Dennison spojrzał na niego ze zdumieniem:

— Tylko sześć stóp? Nie głębiej?

— Nie, zgadza się — wyjaśnił Charlie. — Kopało się, dopóki człowiek nie natrafił na warstwę skał twardych jak żelazo. Trzeba ją było jednak przebić i wtedy jeszcze pozostawało tylko ze dwie stopy. Ale teraz właśnie przychodziło to najtrudniejsze. Pod kamienną warstwą przebijało się tunel i przekopywało do przodu w pozycji leżącej; w nędznym świetle ogarka świecy. Zupełnie jak kret, powiadam wam. Musiało się przy tym wyłamywać od dołu opale i rzecz jasna uważać, żeby ich nie miażdżyć. To już była robota mordercza możecie mi wierzyć. Ale my trwaliśmy w tym piekle, dopóki nie uzbieraliśmy tego tysiąc dwieście uncji. Nie wygląda to zbyt imponująco, ale pierwszej klasy ogniste opale o kolorze pomarańczowym kosztowały wówczas ponad sześćdziesiąt dolarów za uncję. Mogliśmy więc liczyć mniej więcej na siedziemdziesiąt pięć tysięcy dolarów do podziału na trzech.



Bardzo mnie dziwiła ta nagła rozmowność milczącego zwykle Charliego. Byłem przekonany, że przy pomocy tego opowiadania zmierzał do jakiegoś określonego celu; że miało ono coś wspólnego z Rawsonem, było dla mnie także pewne, choć wyglądało, że na Rawsonie nie robi żadnego wrażenia.

— Ostatniej nocy spędzonej w obozie nie zapomnę nigdy w życiu — Charlie kontynuował swoje opowiadanie. — Siedzieliśmy w trójkę dokoła stołu. Dokładnie mówiąc, nie był to żaden stół, tylko gruby blat, wykrojony z obciosanego pnia. Ale cel swój spełniał. Zważyłem nasze opale. Tysiąc dwieście i siedem uncji, dokładnie. W blasku świec było to jedno skrzenie się i błyski. Jakby piec, wypełniony pomarańczowego koloru płomieniem. Co to był za widok! Kiedyśmy już dokonali podziału i naopowiadaliśmy, czego to my z tymi skarbami nie zrobimy, zasiedliśmy do ostatniego pokera.

Graliśmy już z godzinę i byłem grubo wygrany. Angus przegrał, ale niewiele, był graczem ostrożnym. Natomiast Horgan był już porządnie opisany kredą, i patrzył przed siebie dzikim wzrokiem. Nie umiał przegrywać. W końcu zabluffowałem przy potężnej puli i zgarnąłem pełen kapelusz wygranych opali. Twarz Horgana zsiniała ze źle ukrywanej wściekłości.

Właśnie położyłem rękę na stole, żeby zebrać karty, gdy Horgan błyskawicznym ruchem wyciągnął nóż. Zobaczyłem błysk — ale było już za późno. Ostrze powędrowało do góry i spadło z całą siłą na moją dłoń, przebijając ją na wylot i przygważdżając do blatu.

Charlie odetchnął głęboko. Czoło zroszone miał perlistym potem, a w jego oczach błyszczały małe iskierki. Z głośnym klaśnięciem położył płasko dłoń na stole, a my wszyscy aż poderwaliśmy się z krzeseł. Była to duża ręka, mocno owłosiona, z silnymi palcami. Od nasady palców aż do przegubu ciągnęła się niebieska blizna, która w środku była nieco szersza niż po obu końcach. Formalnie aż się widziało ten nóż o ostrzach z obu stron, który przeborował dłoń na wylot.

— I co pan zrobił? — zapytał wreszcie ktoś ze słuchających.

— Wiele zrobić nie mogłem. Horgan bełkotał: „Ty oszuście, ty przeklęty, cholerny oszuście". I kocim ruchem przeskoczył na moją stronę stołu. Pochylił się obok skrzynki, na której siedziałem, a gdy się znowu podniósł, trzymał w ręku kartę. Miał ją schowaną w rękawie, ale teraz upuścił ją i wyglądało to tak, jakby karta leżała przy mnie, na podłodze. A na sztuczkach z kartami to on się przecież znał.

Była to jakaś blotka, dwójka lub trójka kier. Rzucił ją na stół, Angusowi pod nos i urządził całą operę. Wrzeszczał, że ja ukryłem asa i zamieniłem go na niższą kartę, którą następnie upuściłem, gdy czułem, że nie jestem obserwowany. Od razu wiedziałem do czego on zmierza. Usiłowałem ostrzec Angusa, ale na próżno. Nie chiał mi uwierzyć.

— Zabieraj swoje rzeczy, Angus — nakazał Horgan. — Nie zostanę tu w obozie ani jednej godziny razem ze śmierdzącym oszustem. Noc jest księżycowa, odpływamy, ale to już!

Na chwałę Angusa trzeba powiedzieć, że patrzył na to wszystko z obrzydzeniem. I zaprotestował: „Przecież nie możemy go zostawić w takim stanie".

Horgan chwycił go za ramię. „Posłuchaj no uważnie, szczeniaku. Życie tutaj — to nie szkółka niedzielna! Tu z kanciarzem robi się krótki proces. A teraz, zjeżdżaj. Ja sam tę sprawę załatwię". I wypchnął Angusa za drzwi.

Przez cały ten czas czyniłem rozpaczliwe starania, żeby przy pomocy lewej ręki rozluźnić nieco nóż, ale ostrze ani drgnęło. Ból doprowadzał mnie do obłędu, a krew płynęła ciurkiem po blacie stołu. I wtedy Horgan podszedł do mnie z ciężką łopatą w rękach. Gdy zrozumiałem jego zamiary, zacząłem dziko wrzeszczeć, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Uchwycił mocno stylisko, zamachnął się i wbił ostrze noża w blat stołu aż po rękojeść. Jak się potem okazało — nie mógł mi oddać większej przysługi. W każdym razie na początek popadłem w omdlenie, a gdy oprzytomniałem — byłem już sam.

Kiedy człowiek zupełnie nagle znajdzie się w takiej rozpaczliwej sytuacji — ciągnął Charlie swoją opowieść — wtedy dzieje się z nim coś niezwykłego. Z początku chciałem się już poddać. Przez cały dzień jęczałem i klątem. Gdy jednak nadszedł wieczór, ożywiłem się nagle. Wyglądało to tak, jakbym przez cały dzień zbierał siły na podjęcie jakiejś wielkiej próby. Bóle w ramieniu zelżały nieco.

Na szczęście ostrze noża przeszło gładko pomiędzy kośćmi nadgarstka, a ponieważ moja ręka leżała płasko na blacie stołu, po pewnym czasie przestała krwawić. Tylko — co ja mogłem w tych warunkach zrobić? Nie miałem pod ręką ani obcęgów, ani innego narzędzia, przy pomocy którego mógłbym wyciągnąć nóż z grubej deski. Obóz leżał zaledwie o trzy mile od drogi, ale do najbliższego miasta było ponad sto mil. Mimo wszystko jednak — jeżeli pozostałbym w wymarłym obozie, byłbym skazany na niechybną śmierć. Nie pozostało mi więc nic innego, jak dowlec się do dróżki i czekać w nadziei na przypadkowe spotkanie z poszukiwaczem opali lub geometrą, dokonywającym gdzieś w tej okolicy swoich pomiarów.

Dwa dni zużyłem na przebycie odcinka, na którego pokonanie zdrowy człowiek nie potrzebuje więcej niż dwie godziny. Musiałem bowiem przez cały czas uważnie balansować ciężkim blatem od stołu, który niosłem na głowie.

A jednak dokonałem tego! Dowlokłem się do drogi i zemdlałem. Gdy się obudziłem, byłem otoczony przez kilku białych i jednego tubylca. Któryś z nich położył mi głowę na swoim plecaku, inny wlewał mi wodę do ust. Opowiedziałem im, co się ze mną stało. Byli to rządowi inspektorzy, mieli z sobą konie. Ruszyliśmy w pościg za Horganem. Ale przybyliśmy za późno. Przeczuwałem, co znajdziemy i znaleźliśmy dokładnie to właśnie. Horgan nie tracił czasu. Angus i on rozbili obóz nad krawędzią przepaści. A na dnie tej przepaści leżały zwłoki Angusa...

Wyczerpany nerwowo Charlie przerwał opowiadanie. Musiał zrobić pauzę. Dennison napełnił mu szklankę, my zapaliliśmy cygara. Nikt nie powiedział ani słowa, i po długiej chwili milczenia Charlie zaczął znowu opowiadać.

— Wyglądało to tak, jakby Angus zsunął się z krawędzi i przy spadaniu rozbił sobie głowę o wystający kant skalny. Takie właśnie wrażenie pragnął wywołać Horgan. My, rzecz jasna, nie wątpiliśmy ani przez chwilę, że to Horgan sam pozbawił go życia, uderzając kamieniem w głowę. I zrobił to zapewne wtedy, gdy Angus pogrążony był we śnie. Z początku nie mogliśmy znaleźć kamienia, którego użył do tego celu. Potem jednak do poszukiwań zabrał się krajowiec i on, doświadczony tropiciel śladów, znalazł kamień. Mieliśmy więc dowód rzeczowy w rękach. Teraz musieliśmy tylko schwytać samego Horgana.

Gdy jednak zaczęliśmy podnosić zwłoki Angusa, ten nagle głęboko westchnął. Było to tak szokujące, że omal go znów nie upuściliśmy. Jeden z nas przyłożył ucho do jego piersi: serce biło zupełnie regularnie. Natychmiast rozbiliśmy na miejscu obóz i za-

jęliśmy się jego leczeniem, dopóki nie stał się zdolny do dalszej podróży.

Od chwili gdy Charlie rozpoczął swoje opowiadanie, czekałem przez cały czas na coś, co musiało się stać. Spoglądałem od czasu do czasu na Rawsona. Jego oczy były hipnotycznie zapatrzone w twarz Charliego.

— No i...? Czy schwytał pan Horgana? — dopytywał się McGill.

— Nie. Miał nad nami zbyt dużą przewagę czasu. Nigdy go już nie widziałem. Przypuszczam, że wyjechał za granicę.

— A Angus McDonald? Co się z nim stało?

— O, świetnie mu się wiedzie. Ożenił się potem i ma kupę dzieci...

Charlie przerwał i spojrzał dokoła siebie.

— Zresztą, możecie go jutro poznać. Mieszka w Sydney i przyjedzie po mnie na przystań.

Zanim padło czyjeś następne słowo, Rawson poderwał się z miejsca. Jego mięsista twarz była teraz nabrzmiała i miała kolor zielonkawego sera.

— Niedobrze mi — wybełkotał. — Muszę się położyć.

Spoglądaliśmy na niego w milczeniu, gdy steward odprowadzał go do drzwi. Zaraz potem Charlie Conroy powiedział cicho:

— Ja chyba także pójdę do łóżka. Zrobiło się już późno.

My wszyscy — z zamyślonymi minami — rozeszliśmy się do swych kabin. Nie mogłem przez dłuższy czas zasnąć, a kiedy wreszcie zapadłem w sen, obudziłem się nagle i zupełnie przytomny siadłem na łóżku. Mówiłem coś, ale żaden głos nie wydobywał mi się z gardła. Zaniepokojony nacisnąłem kontakt od światła — było krótko po piątej. Co mogło mnie obudzić? I nagle pojąłem: maszyny statku nie pracowały. Zerwałem się i wybiegłem na pokład. Nad morzem wisiała mgła. W mroku dostrzegłem grupkę ludzi, którzy stali nad burtą. Od nich dowiedziałem się co zaszło.

Rawson wyskoczył za burtę. Całą noc spędził na pokładzie, a gdy go wartownik pokładowy widział po raz ostatni, stał już poza relingiem. Zanim mógł mu ktoś przeszkodzić — skoczył w dół.

Gdy wzeszło słońce, pokręciliśmy się dokoła przez kilka godzin, ale bez żadnego skutku. Później, gdy usłyszałem dzwonienie okrętowych telegrafów i zrozumiałem, że statek rusza w dalszą drogę, odczułem jakieś mimowolne współczucie dla Rawsona. To, że był on Danem Horganem, nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości. Zdziwiło mnie tylko, że nigdzie na pokładzie nie zauważyłem Charliego Conroya. Nie było go także na śniadaniu. Spotkałem go dopiero w południe, u wejścia do salonu. Dennison, McGill i paru innych piło swoje aperitify. Charlie wyglądał na człowieka, u którego nastąpiło gwałtowne zwolnienie dużego wewnętrznego napięcia. Musiał mieć za sobą noc dobrze przespaną. Ale to było nie to. Trudno mi moje wrażenie opisać, ale wyglądał na człowieka, który osiągnął swój cel życiowy i który wypełnił swoje zadanie.



Gdy wszedł do salonu, dopadł do niego McGill:

— Niech no pan posłucha, Charlie — powiedział pochylając się nad stołem. — W związku z tą historią, którą pan nam opowiadał wczoraj wieczorem: ja myślę, że ten facet, ten Dan Horgan, to był Rawson, prawda?

Charlie zaczął właśnie kłaść pasjansa. Milcząc popatrzył na McGilla i skinął głową. McGill triumfował:

— No, a co ja wam mówiłem!

Dennison patrzył na Conroya z napiętą uwagą:

— Naturalnie, nie przeczuwał pan, że Rawson może popełnić samobójstwo, inaczej pan by nam wszystkim o tym nie opowiadał.

— Nie mogę powiedzieć, że przeczuwałem — odpowiedział Charlie z lekkim uśmiechem. — Powiedzmy, miałem nadzieję...

Zapanowało pełne niechęci milczenie. Przez długi czas nikt się nie decydował na zabranie głosu. W końcu zrobił to McGill.

— Ja tego nie rozumiem. Czy nie byłoby rozsądniejsze w pana położeniu zachować to wszystko dla siebie. Rawson uwierzyłby, że pan go nie poznał. A w Sydney kazałby go pan zaaresztować. Musiałby oddać panu i Mac Donaldowi wasze udziały, a pan mógłby go jeszcze zaskarżyć o odszkodowanie.

Ja także nie rozumiałem postępowania Conroya. A tymczasem Charlie znowu z całym spokojem wrócił do pasjansa.

— Ja tu nie przypłynąłem po odbiór pieniędzy — powiedział po chwili. — A poza tym: co bym zrobił w tej sprawie bez świadków?

Patrzyliśmy na niego zdumieni, nic nie rozumiejąc.

— Angus Mac Donald nie powita mnie w porcie w Sydney. Gdy go znaleźliśmy w tej rozpadlinie był zimny i martwy...

„Alfred Hitchcock's Mystery Magazine"

KELNERSKI SAVOIR VIVRE

Podręcznik „Nauka usługiwania" wydany na progu naszego stulecia w Krakowie, nakładem „Towarzystwa bratniej pomocy kelnerów" warto by wznowić i dzisiaj.

Czegóż w owym podręczniku nie ma! Jest i dokładny zestaw urządzeń, tudzież naczyń kuchenno-restauracyjnych, (z ilustracjami!), system obliczania cen za bankiety, przepisy o nakrywaniu stołu i wreszcie — co najważniejsze — przepisy usługiwania klientowi. Taki szczegółowy savoir-vivre kelnera.

Przykazania te, tylko niekiedy śmieszą 19-wiecznymi manierami, w większości zaś wzruszają ewidentną prawdą, że w dobie, gdy dziadkom naszym nie śniło się o rzucaniu haseł „Klient ma zawsze rację" czy „Klient nasz pan" — hasła te realizowane były jako rzecz najzupełniej oczywista i normalna.

Poniższy migawkowy wybór kelnerskiego savoir-vivre'u sprzed lat 60 proponuję jako lekturę, gdy zbyt długo przyjdzie czekać na kelnera w hotelowej restauracji lub wiejskiej gospodzie...

...**Gościa wchodzącego do lokalu** mają obecni kelnerzy stojąc pozdrawiać: ma się rozumieć, że od chwili wejścia gościa, nie może żaden kelner siedzieć w tym samym pokoju.

...**Stosownie do stanowiska osobistości** robi się odpowiednio głęboki ukłon. Jasnem jest jednak, że się gościowi o mniejszym znaczeniu nie daje poznać, że jest nieco inaczej witanym.

...**Przy pozdrowieniu przybrać należy** odpowiednią postawę: pięty ku sobie, palce nóg na zewnątrz, ręce mają swobodnie do boków (szwów spodni) przylegać.

...**Trzeba unikać, aby od razu dwóch**, trzech albo i więcej kelnerów nie narzucało gościowi swych usług, jak też z drugiej strony aby nie czuł się omijanym lub nawet zaniedbywanym.

...**Jeżeli kelner mówi do gościa**, ma przybrać odpowiednią postawę, stać nie za blisko, ani za daleko i patrzeć gościowi w oczy.

...**Postawa kelnera musi być** zawsze prosta, jego wystąpienie uprzedzające, jego ruchy, chód pewny i elegancki; głowę ma trzymać prosto, pierś wypiąć silnie ku przodowi.

...**Trzewiki mają być czarne**; noszenie trzewików innego koloru w czasie służby jest niestosownym. Trzewiki nie powinny też skrzypieć.

...**Czyszczenie, napełnianie i przygotowanie** solniczek, podstawek na ocet i oliwę, naczyń z musztardą, wykłuwaczek itd. nie powinno nigdy odbywać się w obecności gościa.

...**Jeżeli każdy kelner ma do obsługiwania** wyznaczonych kilka stołów, to każdy z nich ma dbać przede wszystkim o utrzymanie stołów w czystości. Gdy jednak przynależny kelner jest czymś innym zajęty, powinien jeden z jego kolegów stół uprzątnąć i świeżo nakryć.

...**Postawa kelnera przy obnoszeniu potraw** ma być naturalna i nie wymuszona. Nie wolno mu się zanadto nad stołem nachylać, ani zbyt prosto stać. Unikać należy opierania się, lub trzymania krzesła prawą ręką.

...Usługiwanie przy kawie wymaga dwóch kelnerów: jeden ma stawiać próżne filiżanki, drugi nalewać kawę i mleko względnie śmietankę z kubków.

...Kelnerzy również powinni dobrze nauczyć się sposobu, jak można najlepiej usłużyć przy wdziewaniu i zdejmowaniu zarzutek. Przede wszystkim kelnerzy muszą mieć ręce czyste zupełnie i paltoty brać w ten sposób, aby nie chwytać za kołnierz. Kelnerzy niższego wzrostu powinni zaniechać ubierania osób słusznego wzrostu, gdyż łatwo mogą ubrania o ziemię powalać.

...Jeśli się zdarzy, że gość w wielkim podrażnieniu, albo w stanie niezupełnie trzeźwym, kelnera obrazi, wówczas będzie najodpowiedniej gdy ten zachową się całkiem spokojnie i roztropnie. W każdym razie powinien unikać wszystkiego, co by kłótliwym gościom mogło dać powód do sprzeczki.

...Gdy gość daje kelnerowi napiwek, ma ten podziękować w odpowiedni sposób. Jeśli napiwku nie otrzyma, jest wysoce niegrzecznym kręcić się wciąż koło stołu i przez znaczące miny i ruchy starać się zwrócić uwagę gościa na siebie.

I na zakończenie zdanie — kwintesencja „Nauki usługiwania" — fragment przedmowy podręcznika:

...Z chwilą gdy gość przestąpił progi lokalu, aż do czasu kiedy go znowu opuszcza, ma kelner całą swą uwagę skierować na to, aby był na jego rozkazy i wykonywał je chętnie i wprawnie...

Hej, łza się w oku kręci!...

„Dziennik Polski"



— Z jedzeniem to u was nie bardzo, ale obsługa wspaniała.

„The Saturday Evening Post"

WALKA LUDU WARMII i MAZUR

O POLSKĄ SZKOŁĘ

LUDNOŚĆ polska na Warmii, Mazurach i w Niemczech zapisała niejedną piękną kartę historii swą nieubłaganą, ostrą walką o prawo do zachowania swej kultury i do oświaty w języku ojczystym. W listopadzie 1918 roku powstało niepodległe państwo polskie. Jednak położenie ludności polskiej w Niemczech, pomimo moralnego oparcia o państwo polskie uległo — wbrew nadziejom — wyraźnemu pogorszeniu. Przyczynił się do tego w niemałym stopniu gwałtowny odpływ inteligencji i przywódców, którzy po powstaniach i plebiscytach schronili się w wolnej ojczyźnie. Nie bez znaczenia był też brak zainteresowania losem pozostałego pod niemieckim panowaniem ludu polskiego ze strony rządu polskiego. Dlatego z chwilą ostatecznego ustalenia granic pozostała przy Niemczech ludność polska postanowiła własnymi siłami dochodzić swych praw.

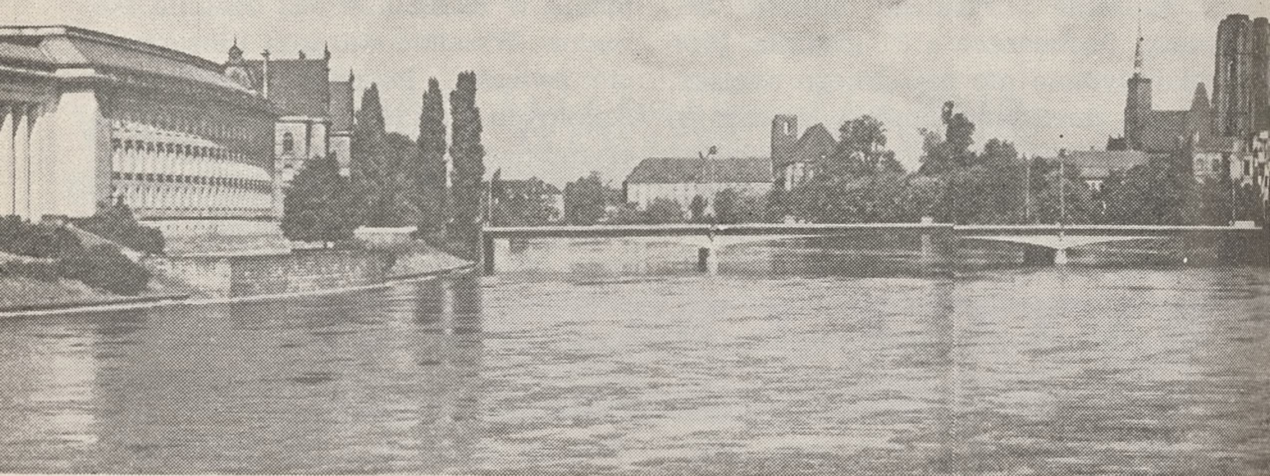
Już w roku 1921 na Warmii powstaje Związek Polaków, który z czasem rozszerza swoją działalność na całe Niemcy. Również na Warmii powstaje pierwsze Polsko-Katolickie Towarzystwo Szkolne z siedzibą w Olsztynie (11. XI. 1921). W ślad za powstaniem terenowych Oddziałów Związku Polaków organizują się Towarzystwa Szkolne: w Bytomiu, na Śląsku Opolskim, w Złotowie na Pograniczu, oraz na emigracji: w Berlinie, Lipsku, Dreźnie, Hamburgu, Hanowerze, Bochum. Dla usprawnienia swej działalności łączą się poszczególne Towarzystwa w dniu 10. VI. 1923 w Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech z siedzibą w Berlinie. Od tej chwili rozpoczyna się zorganizowana samoobrona ludności polskiej i walka o prawa, prowadzona zarówno w Sejmie Pruskim przez polską reprezentację parlamentarną w latach 1921—1928, jak i przez terenowe (dzielnicowe) Oddziały Związku Polaków, oraz Związek Polskich Towarzystw Szkolnych.

Walka ta napotykała od samego początku na poważne trudności przede wszystkim w dziedzinie prawno-formalnej, albowiem ani konstytucja Rzeszy, ani obowiązujące ustawodawstwo, nie dawały żadnych podstaw prawnych dla istnienia polskiego szkolnictwa w Niemczech, nie uwzględniały zupełnie potrzeb oświatowych ludności polskiej. Jedyne roz-

porządzenie pruskiego ministra oświaty, pochodzące z 31 grudnia 1918 roku wydane nie bez silnego nacisku opinii międzynarodowej, dawało w niektórych okręgach ludności polskiej możność korzystania z nauki religii w języku polskim, oraz z nauki języka polskiego jako przedmiotu to znaczy z nauki czytania i pisania po polsku. Stanowiło ono przez całe następne 10 lat jedyne uprawnienie ludności polskiej — z braku jednak uzupełniających norm prawnych miało bardzo małe znaczenie praktyczne. Dopiero rozporządzenie pruskiej rady ministrów z dnia 31 grudnia 1928 roku stworzyło wystarczającą podstawę prawną do zakładania zarówno szkół państwowych z polskim językiem nauczania, jak i szkół prywatnych — powszechnych i średnich. Niestety i to rozporządzenie, ogłoszone w dniu 23 stycznia 1929 r. w pruskim Dzienniku Urzędowym (Zentralblatt fur innere pressische Verwaltung) realizowane przez polakożerczych urzędników pruskiej administracji, karmionych przez dziesiątki lat nienawiścią do Polaków, nie dało w praktyce ludności polskiej wielkich zmian na lepsze.

Typowym przykładem stosowania nowej ordynacji szkolnej może być tak zwane Północne Pogranicze, określane również jako Pomorze Kaszubskie. Na terenie tym po przezwyciężeniu wszystkich trudności założyli Polacy w powiecie bytowskim w roku 1929 dwie pierwsze szkoły podstawowe w Płotowie i Rabacinie, a w roku następnym dwie dalsze w Ugoszczy i Wojsławowej Dąbrówce. Już jednak następny, piąty z kolei, wniosek Towarzystwa Szkolnego o otwarcie szkoły w Kłącznie odrzuciła rejencja w Koszalinie bez podania powodów. Wszelkie starania i interwencje Związku Polskich Towarzystw Szkolnych i skargi do najwyższych czynników administracji państwowej, z Najwyższym Trybunałem Administracyjnym włącznie, zostały odrzucone. Wreszcie w roku 1932 władze pruskie bez silenia się na jakiekolwiek uzasadnienie cofnęły pozwolenie na nauczanie wszystkim nauczycielom polskim pracującym w wymienionych szkołach i nie zatwierdziły nowych, nawet spośród obywateli niemieckich. Wskutek tego istniejące szkoły polskie zostały unieruchomione. Wysokie mandaty karne zmusiły następnie opornych rodziców do posyłania dzieci polskich do szkół niemieckich. W ten sposób zlikwidowały władze pruskie problem polskiego szkolnictwa na Pomorzu Kaszubskim, bagatelizując całkowicie postanowienia obowiązującej ordynacji. Podobnie było zresztą i gdzie indziej.

Wyjątkowy stan prawny zaistniał na Śląsku, gdzie od roku 1922 obowiązywała zawarta w dniu 15 maja 1922 Konwencja Genewska, przyjęta w dniu 11 lipca tegoż roku jako ustawa Rzeszy. Konwencja ta regulowała na Górnym Śląsku stosunki szkolne w sposób szczegółowy, mogła więc stanowić dostateczną podstawę do pełnego rozwoju polskich szkół na tym terenie. Niestety i tu praktyka wykazała co innego. W chwili bowiem wejścia w życie Konwencja Genewska dawała dostateczne podstawy prawne do dalszego rozwoju już istniejącego szkolnictwa. Tymczasem szkolnictwo takie istniało tylko na polskim Górnym Śląsku i było to bardzo rozbudowane szkolnictwo niemieckie. Natomiast na niemieckiej



WROCŁAW. Widok na Odrę, Gmach Rady Narodowej i Katedrę.

części Górnego Śląska szkolnictwo polskie trzeba było dopiero tworzyć. Musimy jednak pamiętać, że siła ekonomiczna Niemców w Polsce dawała przy wydatnym poparciu rządu niemieckiego aż nadto wystarczającą podstawę do pełnego wykorzystania przez Niemców uprawnień Konwencji Genewskiej na terenie Polski, podczas gdy prawie całkowita zależność ekonomiczna ludności polskiej w Niemczech od niemieckich pracodawców i brak pomocy ze strony ówczesnych, często zmieniających się, rządów polskich spowodowały nie tylko fatalne w skutkach opóźnienie naszego startu, szczególnie jeżeli chodzi o szkolnictwo średnie, ale i niemożność pełnego wykorzystania uprawnień wynikających z Konwencji Genewskiej przez ludność polską.

Dopiero w ciągu roku 1923, a więc z rocznym opóźnieniem zgłosił Związek Polaków, a później Polsko-Katolickie Towarzystwo Szkolne w Opolu, pierwsze 50 wniosków o otwarcie szkół publicznych dla 4.426 dzieci polskich na Górnym Śląsku.

Mimo wyraźnych przepisów Konwencji w tej sprawie władze niemieckie uwzględniły tylko 16 wniosków, a w następnym roku z 37 złożonych wniosków tylko 9. Równocześnie w wyniku gwałtownej kontrakcji niemieckiej i zastosowania najbrutalniejszego terroru gospodarczego i politycznego, zaczęła zmniejszać się ogólna ilość dzieci w uruchomionych szkołach. W roku 1925 uwzględniły władze niemieckie 28 wniosków polskich czekających prawie od dwóch lat na załatwienie i to dopiero pod presją międzynarodową. Dzięki temu do szkół z polskim językiem nauczania uczęszczało dalszych 415 dzieci polskich. Rok następny przynosi wprawdzie jeszcze trzy nowe szkoły, tak że ogólna liczba ich wzrosła do 56, równocześnie jednak pod wpływem terrorystycznej kampanii antypolskiej spada gwałtownie ilość dzieci w szkołach, co doprowadza do zamknięcia 21 polskich szkół.

Tak więc pierwszy okres walki o szkołę polską na obszarze stwarzającym największe możliwości zamyka

się niepowodzeniem. Przyczyny tego niepowodzenia należy dopatrywać się nie tylko w zorganizowanym przeciwdziałaniu niemieckim ale i w zależnej całkowicie od władz niemieckich strukturze szkół, do których przydzielano najgorszych nauczycieli. Nauczyciele ci władali bardzo słabo językiem polskim, co obrażało uczucia narodowe rodziców, skutkiem czego sami przenosili dzieci do szkół niemieckich.

Podobnie niekorzystnie kształtował się problem nauki języka polskiego w szkołach publicznych z niemieckim językiem nauczania. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach lata następne przynoszą całkowity upadek szkolnictwa polskiego, wzrasta natomiast liczba prywatnych kursów języka polskiego otwieranych na zasadzie rozporządzenia z grudnia 1918 roku oraz liczba szkół prywatnych. Dotychczasowe doświadczenia wykazały bowiem że tylko prywatne szkoły polskie mogą zaspokoić kulturalne potrzeby ludności.

Trzeba pamiętać, że dla tych szkół pruskie Ministerstwo Oświaty wydało specjalne programy (zarządzenie z dnia 30. IV. 1929, Nr 11-III-A 1011), które nie uwzględniały zupełnie życzeń ludności polskiej. W programach tych nie było miejsca na historię i geografię Polski jako przedmiotu nauczania.

Na odcinku podręczników sprawa przedstawiała się jeszcze gorzej. Władze niemieckie nie dopuściły do szkół polskich w Niemczech żadnych podręczników drukowanych w Polsce, nawet elementarza. Praktycznie więc szkoły polskie musiały obywać się bez podręczników.

Pomimo tych ogromnych trudności Związek Polskich Towarzystw Szkolnych rozpoczął w roku 1929 zorganizowaną akcję zakładania prywatnych szkół polskich na terenie Śląska, Pogranicza i tak zwanych Prus Wschodnich. W akcji tej wyrosły z miejsca dwie poważne trudności. Pierwsza, to konieczność sprowadzenia nauczycieli z Polski, druga to sprawa zdobycia odpowiednich lokali. Zarówno władze jak i społeczeństwo niemieckie z reguły odpowiadały odmownie na wnioski polskie o wykorzystaniu na ten cel wolnych lokali niemieckich.

Pierwsze cztery szkoły uruchomiono na Warmii (Chabrowo, Gietzwałd, Nowa Kaletka Szafałd). Ogółem uruchomiono w ciągu całego roku szkolnego na terenach polskich Śląska, Pogranicza i Prus Wschodn. 36 prywatnych szkół polskich dla 1,368 uczniów. W szkołach tych uczyło 53 polskich nauczycieli. Na obszar Prus Wschodnich przypadało z tego 10 szkół, 12 nauczycieli i 237 uczniów.

Rozwój szkół polskich postępował teraz szybko. W następnym roku przybyły 22 szkoły, oraz 21 nauczycieli i 472 uczniów. Szczytowy punkt rozwoju szkolnictwa polskiego w Niemczech nastąpił w dniu 1 stycznia 1932 roku. W tym czasie istniało 67 prywatnych polskich szkół powszechnych (z 1883 uczniami), w których uczyło 82 nauczycieli. Z liczby tej mieliśmy na terenie tak zwanego Powiśla, Warmii i Mazur 24 szkoły (13 w powiecie olsztyńskim, 1 w reszelskim, 1 w szczecińskim i 9 w sztumskim), w których uczyło 25 nauczycieli. Do szkół tych uczęszczało 400 uczniów, w tym 205 na terenie Powiśla. Dla

uczniów uczęszczających do szkoły niemieckiej organizował Związek Polskich Towarzystw Szkolnych prywatne kursy języka polskiego. Z nauki tej korzystało w dniu 1 stycznia 1932 r. 4071 uczniów, uczęszczających na 101 kursów zorganizowanych na obszarze całych Niemiec.

„Brak wystarczających funduszów" zmusił Związek Polskich Towarzystw Szkolnych do zaprzestania dalszej akcji organizacyjnej. Równocześnie władze niemieckie przerażone tempem rozwoju polskiego szkolnictwa rozpoczęły za pośrednictwem różnych organizacji systematyczną i gwałtowną kampanię (w prasie i na specjalnie zwoływanych zebraniach) przeciw polskim szkołom prywatnym oraz zorganizowały wielką akcję terrorystyczną wymierzoną przeciw lokalom, uczniom, rodzicom i nauczycielom polskim. Akcja prowadzona była niesłychanie zażarcie.

W trosce o ostateczny wynik walki o szkołę polską zwrócił Związek Towarzystw Szkolnych uwagę na dzieci w wieku przedszkolnym. Pierwsze przedszkola powstały na terenie Prus Wschodnich. W roku 1936 uczęszczają już dzieci Powiśla do pierwszych pięciu przedszkoli zorganizowanych na terenie rejencji kwidzyńskiej. W roku następnym przybywają trzy dalsze przedszkola, tym razem na Warmii, oraz po jednym na Powiślu i na Śląsku. W roku 1928 było już 15 przedszkoli a w roku 1932 ilość przedszkoli polskich na terenie Niemiec podniosła się do liczby 29, ilość dzieci zaś do 450.

Rozwój polskich przedszkoli spotkał się również ze zdecydowanym przeciwdziałaniem władz. Zarówno władze jak i organizacje niemieckie inspirowane przez germanizatorów rozpoczynają akcję zakładania przedszkoli w miejscowościach zamieszkałych przez ludność polską. W pierwszym rzędzie władze niemieckie zakładają bogato wyposażone przedszkola niemieckie w tych miejscowościach gdzie już istniały przedszkola polskie — mimo że sąsiednie obszary poza Warmią Mazurami i Powiślem, zamieszkałe przez ludność niemiecką, żadnych przedszkoli nie posiadały i długo jeszcze na nie musiały czekać. Następnie rozpoczęła się szeroko zakrojona akcja „pozyskiwania" dzieci polskich dla przedszkoli niemieckich, prowadzona przy pomocy różnych przynęt natury materialnej, a tam gdzie to nie pomagało, stosowano nacisk gospodarczy i brutalny terror polityczny. W rezultacie nieprzebierająca w środkach akcja germanizacyjna, ciesząca się pełnym materialnym i „moralnym" poparciem rządu, doprowadziła stopniowo do zahamowania rozwoju polskich przedszkoli, następnie do wycofania dzieci z polskich przedszkoli i przenoszenia ch do przedszkoli niemieckich — wreszcie do zamykania polskich przedszkoli.

Mimo olbrzymich trudności piętrzących się na drodze do zdobywania przez lud polski należnych mu praw, walka trwała nadal z niesłabnącym nasileniem. Towarzyszyła jej, wbrew wszystkim racjonalnym przesłankom, wiara w ostateczne zwycięstwo i wiara ta podtrzymywała szeregi walczących w najcięższych chwilach i dramatycznych nieraz zmaganiach z gwałtownym naporem germanizacyjnym.

FORTEPIAN

WŚRÓD instrumentów muzycznych osobną grupę stanowią instrumenty opatrzone strunami, z których ton wydobywa się przez szarpnięcie lub uderzenie strun młoteczkiem. Są to: cytra, cymbały, gitara, mandolina, harfa oraz instrumenty z klawaiturą fortepianową, wśród których najważniejszym jest fortepian.

Początki fortepianu sięgają głębokiej przeszłości. Poprzednikami jego były instrumenty z rzędem strun. Istniało wiele najróżnorodniejszych postaci i odmian tych instrumentów. Psałterjonami zwano małe cytry, trzymane pionowo, z których ton wydobywano przez szarpanie strun ręką. Cymbały miały układ strun poziomy, grano na nich uderzając w struny pałeczkami (plektrami). Trzecim ważniejszym w tej grupie instrumentem był monokord, posiadający jedną tylko strunę, którą początkowo przez naciśnięcie palca, później zaś przez automatyczne podsuwanie pod nią mostków dzielono w rozmaitych miejscach, dobywając z niej w ten sposób tony o rozmaitej wysokości. Monokordy, będące raczej przyrządami fizycznemi, a nie instrumentami, służyły do mierzenia interwali oraz do nauki śpiewu.



Klawikord.

Dalekie jeszcze pokrewieństwo łączy te prymitywne instrumenty z dzisiejszym fortepianem, którego powstanie było możliwe dopiero z chwilą, gdy rząd strun otrzymał klawiaturę.

Pierwsi przodkowie fortepianu pojawiają się około 1400-go roku i odrazu tworzą dwie odrębne linje genealogiczne, dwie rodziny pokrewne w szczegółach, różne w samej zasadzie.

Przedstawicielem pierwszej rodziny jest klawikord. Nazwa jego pochodzi od dwóch wyrazów łacińskich: clavis — klucz i chorda — struna. Była to prostokątna skrzynia, którą przy graniu stawiano na stole. Struny w niej początkowo były równej długości, tak jak w skrzypcach, i biegły wpoprzek to jest równolegle do linji klawiatury. Przy naciskaniu klawisza tylna jego część tkwiąca w pudle podnosiła metalowy języczek (tangentę), który uderzał o strunę, dzieląc ją tem samem, podobnież jak w monokordzie. Zależnie od miejsca, którego dotykał języczek, struna wydawała tony rozmaitej wysokości. Ponieważ kilka klawiszy należało do jednej, przeto strun było mniej, niż klawiszy, wskutek czego gra była utrudniona, zwłaszcza, gdy chodziło o dobywanie akordów. W ulepszonych klawikordach każdemu klawiszowi odpowiada już osobna struna, struny zaś były rozmaitej długości; następnie dla wzmocnienia dźwięku wprowadzono dla każdego tonu podwójny, później zaś nawet potrójny "chór" strun, już zawsze metalowych; powiększono stopniowo szczupłą pierwotnie ilość dwudziestu tonów; w połowie szesnastego wieku wprowadzono wszystkie półtony; wreszcie postawiono skrzynię na własnych nogach.

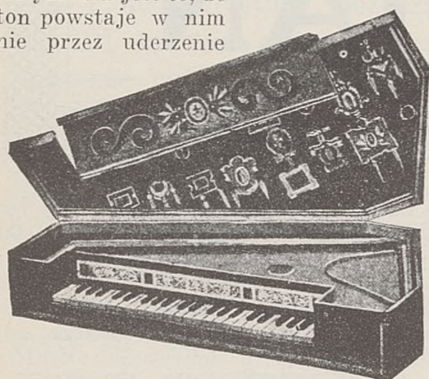
Przez długi czas służył klawikord jako instrument do nauki; dźwięk miał słaby, ale delikatny. Jeszcze Ludwik Beethoven utrzymywał, że tylko na klawikordzie pianista może dobrze władać tonem.

Równocześnie z klawikordem wchodzi w użycie klawicymbał,



Włoski clawicembalo.

przedstawiciel drugiej rodziny, pokrewnej cymbałom. Struny w nim idą prostopadle do klawiatury, tworząc kształt leżącej harfy, każdy klawisz ma własną strunę, niema więc potrzeby dzielenia strun. Istotną cechą klawicymbału jest to, że ton powstaje w nim nie przez uderzenie struny, lecz przez szarpnięcie jej. Za pociśnięciem klawisza, wewnętrzna jego część podnosiła drewniany kołeczek, w którego boku sterczała "szczypawka", zrobiona z piórka lub skórki. Po opuszczeniu klawisza szczypawka wracała znów pod strunę, nie zaczepiając już o nią ponownie.



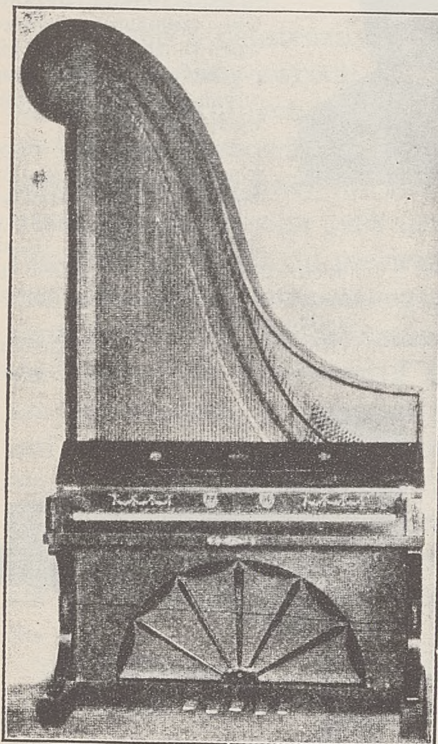
Spinet oktatowy.

Klawicymbal wydawał ton dźwięczny, silny i w akordach szumny, ale ton ten był suchy, monotonny, bez odmiany w barwie. Za to sprawna mechanika klawicymbału umożliwiała na nim szybką, wiruozowską grę. Przez trzy prawie wieki klawicymbał był podstawą techniki gry fortepianowej.

Odmianami klawicymbału były: spinet o stroju o oktawę wyższym i angielski wirginał.

Wieko instrumentów było zazwyczaj ozdobnione zewnątrz malowidłami, a przy spinetach i wirginałach znajdowały się zwykle wewnątrz przyrządy do naprawy szczypawek.

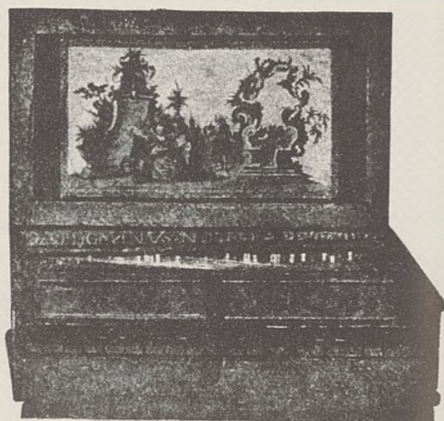
Prymitywną formą dzisiejszego pianina było klawicysterjum to jest klawicymbał ze stojącą pionowo harfą strun. Próby sporządzenia fortepianu "smyczkowego", o którego struny trącały krążki wysmarowane kalafonją, nie wydały pożądanych rezultatów, pozostawiając po sobie dziwolągi w rodzaju skomplikowanej orphiki.



Żyrafa.

Wynalazek fortepianu został dokonany z chwilą, gdy natrafiono na pomysł połączenia z klawiaturą pałeczek na własnych dźwigniach, inaczej mówiąc z chwilą zastosowania mechanizmu młoteczkowego, który stanowi zasadniczą cechę konstrukcji fortepianowej. Pierwsze systemy młoteczkowe skonstruowali: Bartolomeo Cristofori w 1711 roku i Jean Marius w 1716 roku i im też słusznie się należy zaszczytne miano wynalazców fortepianu.

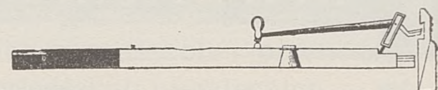
Bezpośrednio po wynalezieniu mechanizmu młoteczkowego występują dwa typy w konstrukcji fortepianów: mechanika angielska i mechanika wiedeńska, która jest ulepszoną mechaniką niemiecką. Instrumenty Cristoforiego oraz drezdeńczyka Silbermanna zbudowane są na zasadach dzisiejszej mechaniki angielskiej; natomiast budowniczowie południowo - niemieccy, Stein z Augsburga i jego zięć Streicher z Wiednia wynaleźli mechanikę tak zwaną wiedeńską, doskonale nadającą się do lekkiej, wirtuozowsko-błyskotliwej techniki ówczesnej epoki. Gdy jednak trzeba było wydobyć siłę, pełnię tonu, jędrność masywnych akordów—wtedy instrumenty wiedeńskie zawodziły; tym wymaganiom lepiej mogły odpowiedzieć fortepiany angielskie.



Wirginał



Orphica.



System młoteczkowy A. Steina.

Zasadnicza różnica między mechaniką wiedeńską a angielską polega na położeniu klawiatury i osadzeniu młoteczków.

W wiedeńskich fortepianach klawiatura znajduje się pod dnem rezonansowem, umieszczonem na trzech częściach szkieletu fortepianowego. To sprawia, że dźwięk instrumentów wiedeńskich pozbawiony jest jędrności i siły, nie jest donośny, lecz huczy i dudni beczkowato. W fortepianach angielskich klawiatura leży przed dnem rezonansowem, które jest rozpięte na całym szkielecie i działa jak mocno napięta błona na bębnie: dźwięk ma sprężystość, siłę, blask i niesie daleko. Oto przyczyna, dla której instrumenty wiedeńskie

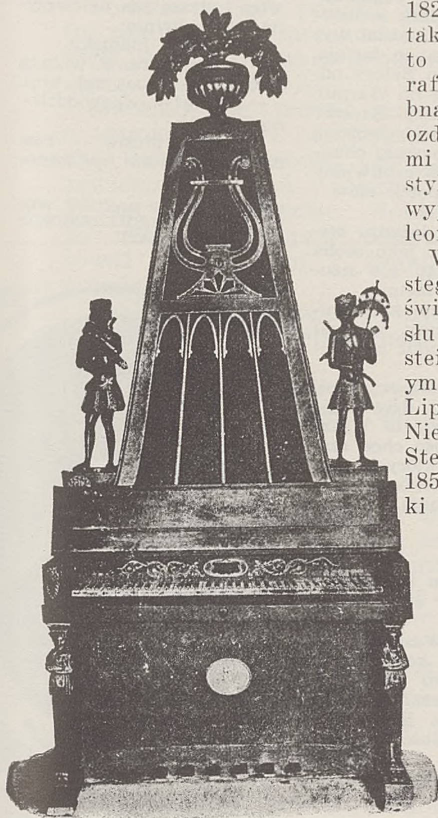
niemożliwe są dzisiaj na estradzie koncertowej, wymagającej donośnego dźwięku.

Druga różnica polega na osadzeniu młoteczków. W angielskiej mechanice młoteczki uderzają z wnętrza na zewnątrz; w wiedeńskiej ustawione są odwrotnie, a więc uderzają do wnętrza. Specjalna sprężynka sprawia, że młoteczek odskakuje po uderzeniu; ponieważ jednak opadając, wykonałby niepotrzebne drgania, które przeszkadzałyby następnemu uderzeniu, dlatego na końcu klawisza umieszczony jest chwytnik obciągnięty skórką; głowa młoteczka wraca do spoczynku, ześlizgując się wzdłuż chwytnika. Dzięki chwytnikowi można wydobyć nowy dźwięk, nie spuszczając całkiem klawisza; chwytnik zatem jest właściwym przyrządem repetycji. Wynalazcą mechaniki repetycyjnej był Sebastian Erard w 1823-im roku.

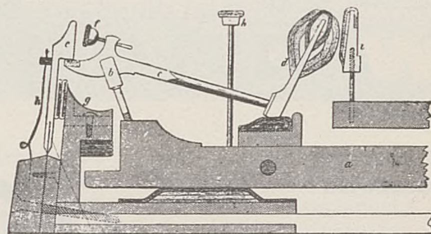
Jedną z najważniejszych części mechaniki fortepianowej jest pedał; umiejętne użycie pedału decyduje wprost o grze. Pedał prawy służy do podnoszenia ze strun tłumika to jest drobnych klinów, krytych filcem i spoczywających na strunach. Po uderzeniu klawisza tłumik podnosi się, by nie hamować drgania struny, ale natychmiast ją kryje i tłumi, skoro tylko ręka puści klawisz. Zadanie tłumika polega więc na tem, by wstrzymać równoczesne brzmienie kilku strun zwłaszcza wtedy, gdy dźwięki ich nie zlewają się w konsonans. Jeśli tłumik ma być podniesiony przez czas dłuższy, aby struna dźwięczała swobodnie, wówczas właśnie naciska się prawy pedał. Lewy pedał przesuwa klawiaturę nieco na prawo tak, że młoteczki uderzają w jedną tylko strunę lub w dwie zamiast we wszystkie trzy, wskutek czego dźwięk słabnie i przybiera charakter dźwięku stłumionego o brzmieniu harfy.

Pierwsze pianina pojawiają się w Salzburgu w 1820 roku. Poprzedziły je tak zwane żyrafy. Były to pianina o kształcie żyrafy lub piramidy z ozdobną wieżą na szczycie, ozdobioną nadto figurkami sfinksów i karjatyd w stylu modnym od czasu wyprawy egipskiej Napoleona.

W połowie dziewiętnastego wieku powstają światowe firmy przemysłu fortepianowego: Bechsteina w Berlinie w 1856-ym roku i Bluthnera w Lipsku w 1853-im roku. Niemiecki fabrykant Steinwey przenosi się w 1850-ym roku do Ameryki i zakłada w Nowym Yorku największą dziś fabrykę fortepianów Steinway & Synowie, która zatrudnia przeszło dwa tysiące robotników. Ale i dawne firmy europejskie dzielnie dotrzymują kroku postępowi nowoczesnej fabrykacji, jak stara firma francuska Pleyela, której fortepiany wysoko cenił Fryderyk Chopin, osobiście zaprzyjaźniony z założycielem firmy Kamilem Pleyelem.

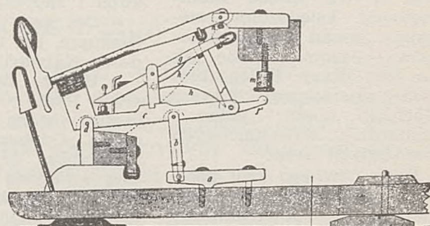


Żyrafa.



MECHANIKA "NIEMIECKA".

Z tylnej części klawisza a, wystaje kołek b, który silnie (działaniem dźwigni) podrzuca młotek w górę, ku strunie. Młotek musi znów opaść aby struna drgała swobodnie. "Wyłączenie" młotka odbywa się przez to, że lewy jego koniec tak zw. dziobek zesuwa się po główce e wyłącznika, przyczem łapka i podchwytuje opadający młotek. Po opuszczeniu klawisza wyłącznik regulowany sprężyną h i listwą g, wraca do pierwotnego położenia, tak, że główka e znowu zazębia się o dziobek. — h jest dolną częścią tłumika, który siedzi na strunie i podnosi się za pociśnięciem klawisza.



NOWOCZESNA MECHANIKA REPETYCYJNA STEINWAYA.

Kołek b siedzący na klawiszu podnosi dźwignię kątową c, f, g, obracającą się na osi d. Ramiona dźwigni c i g rozchyla sprężyna h — h. Ramię f przechodzi przez otwór ramienia g i podrzuca młotek, aż f' zawadzi o śrubę m. Wtedy górna część f zesuwa się na prawo po nosie l (pierwsze "wyłączenie"), poczem prawy koniec ramienia g podsuwa się pod śrubkę n, przez co młotek jest teraz na działaniu "repetycji".



Nowoczesny klawicymbał Pleyela.

DZIEJE POLSKI w anegdocie

STANISŁAW PODLEWSKI

Zygmunt August, ostatni król z dynastii jagiellońskiej lubił przebywać w gronie uczonych mężów i poetów. Z wielkim nakładem kosztów sprowadzał księgi przez specjalnych wysłanników, wyławiał najcenniejsze księgi łacińskie, włoskie, francuskie i niemieckie ze wszystkich działów wiedzy humanistycznej, a nawet z zakresu astrologii i wróżbiarstwa. W ten sposób skompletował księgozbiór, sięgający ponad 4 tysiące tomów — ogromną liczbę, jak na owe czasy. Księgozbiorem zawiadywał Łukasz Górnicki, poeta i jeden z najbardziej wykształconych ówczesnych ludzi.

Razu pewnego król polecił Franciszkaninowi Lismaninowi, spowiednikowi królowej matki Bony, aby zakupił za granicą książki i na ten cel dał mu poważną sumę pieniędzy.

Obserwował to Stańczyk i śmiał się w duchu.

— Powiedz mi Stańczyk — zapytał go Zygmunt August — wieleś ty już głupców sobie równych znalazł?

— Co dzień spisuję i już Zygmunta Augusta zapisałem.

— A to za co?

— Za to żeś Lismaninowi dał tyle pieniędzy i wyprawił z nimi za granicę.

— A poczekajże jeszcze, Lismanin powróci.

— Jak powróci, to ciebie zmażę, a jego napiszę.

Stańczyk nie mylił się, gdyż pobożny mnich zabrał pieniądze, książek nigdy nie kupił i nigdy więcej się w Polsce nie pokazał, osiadł w Szwajcarii i żył w dostatku.

*

W Górze Kalwarii pod Czerskiem ks. biskup Stefan Wierzbowski zakładał



Kalwarię. Król Zygmunt August dostrzegł na swoich pokojach księdza biskupa i zapytał:

— Cóż tam Mości Księże Biskupie, jak tam idzie budowa Kalwarii?

— Bardzo dobrze Miłościwy Panie — odpowiada biskup — wnet będzie ukończona. Odebrałem właśnie wiadomość, że okręt z ziemią święconą na wysypanie dróg przybył już z Palestyny do Gdańska.

— Lepiej by było — rzecze król — nawieźć proszowskiej ziemi na czerskie piaski.

Biskup oburzył się na taki respons Króla Jegomości, obrócił się do stojącego towarzysza i powiedział:

— Ja widzę, że król niewiele lubi rozmawiać o rzeczach świętych.

Zygmunt August posłyszał i odpowiedział:

— Tak jest, Mości księże Biskupie. Krótko wiele, a i to w kościele.

*

Jednego razu w Wilnie Zygmunt August zobaczył w ludwisarni, gdzie leją działa, skazanego na śmierć za to, że ukradł trochę spiżu. Kazał go puścić wolno, mówiąc:

— Pierwej wielkich złodziejów wywieszać trzeba, a dopiero następnie tych małych.

*

Pewien dworzanin króla Zygmunta upominał się natarczywie o podwyższenie mu pensji.

— Najjaśniejszy królu, między wszystkimi dworzany to rozsławiło się, żeś mi dał dziesięć tysięcy złotych.

Król rzekł mu na to:

— Rozpowiadajże ty żeś wziął, a ja będę powiadać żem dał.

Niewstydliwego natręta król mądrze odprawił.

*

Król Stefan Batory, książę siedmiogrodzki, nie mógł w żaden sposób „wprawić się" do języka polskiego; prawdę powiedziawszy to nie lubił tego języka. W życiu codziennym w czasie narad z dostojnikami państwowymi używał łaciny, którą władał znakomicie. Od swoich dworzan żądał, aby mówili po łacinie i drwił niemiłosiernie z błędów gramatycznych. Ks. Stanisław Sokołowski, profesor Akademii Jagiellońskiej i spowiednik królewski, w katedrze musiał wygłaszać kazania po łacinie.

Kiedyś Stefan Batory odwiedził katedrę na Warmii. Kiedy ks. biskup Kromer wygłaszał mowę powitalną po polsku, w pewnej chwili król zniecierpliwiony przerwał mu potok słów i rzekł po łacinie.

— Dziwię się księdzu biskupowi, że Inic jako osoba duchowna dotąd nie nauczyłeś się po łacinie.

Ksiądz biskup, znakomity znawca łaciny, zawrzał gniewem i odpalił po łacinie:

— Ja znów Waszej Królewskiej Mości dziwię się jeszcze bardziej, że Wasza Królewska Mość chce rządzić ludami, których mowy nie zna, a które mowy W.K.M. nie znają.

*

Innym razem Stefan Batory zapytał arcybiskupa lwowskiego:

— Jakże to Waszmość został biskupem kościoła katolickiego skoro po łacinie tak mało umiesz?

— Tak samo, jak Wasza Królewska Mość królem polskim, choć nie umiesz po polsku.

*



KRÓL ZYGMUNT AUGUST. Z PRACOWNI ŁUKASZA CRANACHA MŁODSZEGO W KRAKOWIE

Jednego razu Stefan Batory chciał dać jednemu nieszlachcicowi kanonię krakowską, ale powiedziano mu, że w Polsce plebejusze nie mają dostępu do godności duchownych.

— A po czym poznać najlepiej księdza szlachcica? — zapytał król.

— Zazwyczaj ksiądz szlacheckiego pochodzenia ma w nazwisku końcową sylabę SKI lub CKI.

Właśnie jechali przez wieś i słyszą jak dziewczyna woła świnię:

— Maluśki, maluśki!

— Jakiego franta woła ta dziewczyna? — zapytał król.

— Prosię — odpowiedziano.

— Przeto prosię — rzecze król — może być kano-

KRÓL STEFAN BATORY WEDŁUG WSPÓŁCZESNEGO OBRAZU



Dobry żart

DOBRY ŻART — TYNFA WART

Powiedzonko to znane jest zapewne wszystkim, ale rzadko kto wie, skąd ono pochodzi. Otóż w XVIII w. niejaki pan Tomasz Tynf był dzierżawcą mennicy olkuskiej. Bite przez niego monety — o mniejszej wartości od innych — popularnie nazywano „tynfami". Imć pan Tynf dawno zniknął z tego świata, „tynfy" zachowały się jedynie w zbiorach numizmatycznych, a powiedzonko związane z nazwiskiem dzierżawcy olkuskiej mennicy przetrwało wieki. I tak oto, zupełnie niechcący, pan Tomasz Tynf przeszedł do historii.

NIE MIAŁA WYGODY

Król Aleksander Jagiellończyk, polując w lasach litewskich, spotkał leśniczego, który miał 120 lat, a był silny i krzepki, podczs gdy król, zaledwie trzydziestoletni, był zawsze słabowity.

— Czy chorowałeś kiedy? — zapytał.

— Nigdy, najjaśniejszy panie, — odrzekł starzec. — Nie bawiła u mnie choroba, bo wygody nie miała.

HISTORIA SIĘ POWTARZA

Podczas swego pobytu w Krakowie (w roku 1880) cesarz austriacki Franciszek Józef I postanowił odwiedzić pracownię Jana Matejki.

Matejko nie mówił po niemiecku, a tłumaczem był namiestnik hr. Potocki, który informował cesarza o treści zawieszonych na ścianie obrazów. W kącie wisiał szkic „Hołdu pruskiego". W pewnej chwili cesarz zainteresował się szkicem i zapytał, co on przedstawia.

Zakłopotany Potocki wybrnął jednak dowcipnie z trudnej sytuacji odpowiadając:

— To jest rysunek do pewnej bajki dla dzieci pt. „Historia się powtarza".

OPINIA

— Nic z tego chłopca nie wyrośnie — orzekli nauczyciele i tylko ze względu na rodziców dali mu promocję, choć uważali, że wobec słabych wyników w nauce powinien pozostać w tej klasie na następny rok.

Uczniem tym był Józef Ignacy Kraszewski.

ŻYCZENIE

Pewien pianista po raz pierwszy grał przed samym Arturem Rubinsteinem. Po kilku akordach zwrócił się do mistrza:

— Czy ma pan jakieś życzenie? Mogę z fortepianem robić wszystko, co mi się podoba.

— Niech go pan wobec tego zamknie — powiedział Rubinstein.

KOMORNIK I SIŁA

Sławny przed wojną mistrz boksu Chmielewski siedział pewnego razu w restauracji z przyjaciółmi. Ktoś z towarzystwa zaproponował mu, aby zademonstrował swoją siłę.

— Zgoda! — powiedział Chmielewski. — Daję sto złotych temu, kto z tej cytryny po wyciśnięciu jej przeze mnie potrafi wydobyć jedną kropelkę soku.

Wszyscy w zapale próbowali swojej siły, lecz nadaremnie. W końcu od sąsiedniego stolika wstał jakiś chudy jegomość i zapytał Chmielewskiego, czy on także może wziąć udział w próbie. Naturalnie zgodzono się. Jegomość wziął cytrynę do ręki, ścisnął — o dziwo — spłynęły trzy krople!

Chmielewski wręczył zwycięzcy 100 złotych i zapytał ze zdziwieniem:

— Jaki jest pana zawód?

— Ach, jestem tylko komornikiem... — odpowiedział skromnie jegomość.

BYŁBY SKANDAL

Gdy znakomity dyrygent Leopold Stokowski prowadził kiedyś podczas wieczornego koncertu uwerturę Beethovena „Leonora III", doszło do niebywałego skandalu: sławne solo na trąbki, wykonywane poza sceną, nie rozległo się. Kiedy po skończeniu utworu dyrygent pobiegł za kulisy, zobaczył tam dyżurnego strażaka, który mocno trzymał wyrywającego się trębacza.

— Panie kapelmistrzu — zameldował dumnie strażak Stokowskiemu — ten łobuz chciał tu trąbić podczas pańskiego koncertu. Dobrze, że udało mi się go powstrzymać. To byłby dopiero skandal!



W okresie zaborów i panowania monarchii austriacko-węgierskiej Ziemia Rzeszowska była poważnie przeludniona. Karłowate gospodarstwa chłopskie nie mogły wyżywić wszystkich mieszkańców. Z każdym rokiem coraz liczniejsze rzesze zmuszone były szukać chleba na drugiej półkuli, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych A. P. Polska odrodzona nie zdołała powstrzymać emigracji za ocean. Brakowało ludziom chleba, ziemi i pracy.

Zazwyczaj z wiosek rodzinnych wyruszali emigranci całą gromadą, razem odbywali kilkutygodniową podróż koleją i okrętem w najcięższych warunkach, zwykle szukali pracy w jednym mieście amerykańskim lub w tej samej okolicy całą gromadą osiadali na roli.

Emigranci z Rzeszowszczyzny wyróżniali się głębokim przywiązaniem do ziemi rodzinnej, do wiary ojców, do narodowych obyczajów, do strojów swojego regionu. Tę wielką miłość do ziemi ojców starzy emigranci przekazywali swoim dzieciom. Wyrazem tego, między innymi, są liczne kluby powiatowe, gromadzkie, parafialne w Ameryce Północnej, noszące nazwy miast i wsi z Małopolski, z których pochodzili. Tworzą one Związek Małopolskich Klubów w Stanach Zjednoczonych AP.

Od wielu lat kluby te utrzymują stałe kontakty z rodzinnymi wioskami, niosą wydatną pomoc w realizowaniu różnych poczynań gromadzkich, jak budowa nowych kościołów parafialnych, ośrodków zdrowia, nowych budynków szkolnych, wyposażenie w nowoczesne aparaty lecznicze i pomoce szkolne.

Kluby te mają wielkie tradycje współpracy z rodzinnymi wioskami, w popieraniu i podejmowaniu szlachetnych inicjatyw społecznych.

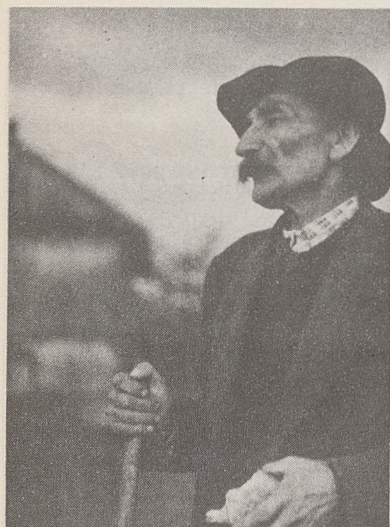
Niezapomniane zasługi położył „Klub Hyżne" w Chicago, utrzymujący od lat stały kontakt z wioskami Hyżne i Dylągówka. Klub ten pomógł w elektryfikacji wsi Hyżne, ufundował nowoczesny aparat rentgenowski i buduje szkołę im. gen. Władysława Sikorskiego, a we wsi Dylągówka pomógł w budowie i wyposażeniu wiejskiego ośrodka zdrowia.

JEDNA Z ZAGRÓD WE WSI NIEDŹWIADA

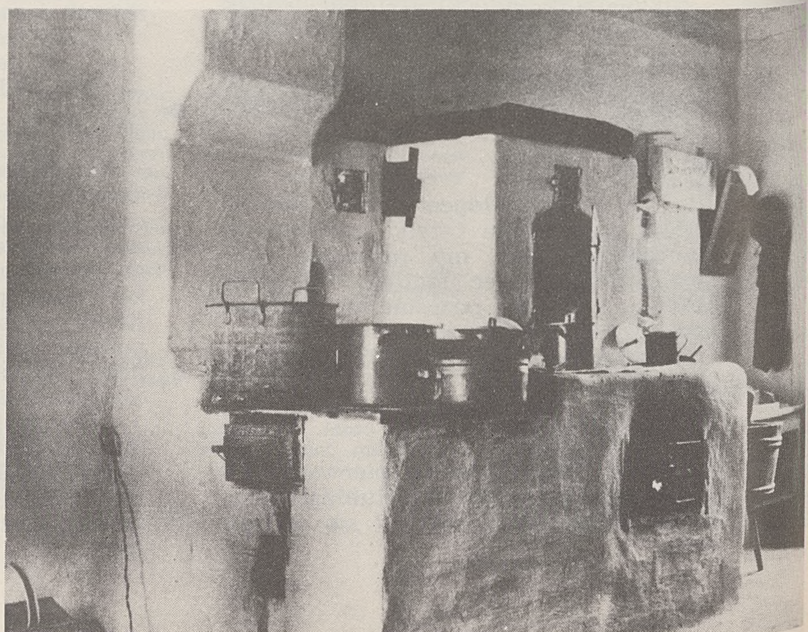
Również Kluby „Brzozowian" w USA, „Święciany" i „Wietrzychowice", „Dębica" przejawiają ożywioną działalność na rzecz rodzinnych wiosek w kraju.

Od 17 października 1929 roku istnieje w USA „Klub Niedźwiada". Pieczętuje się on ładną suchą pieczęcią z rysunkiem niedźwiedzia po środku.

Wieś Niedźwiada, o której tu jest mowa, leży wśród zielonych wzgórz w powiecie ropczyckim. Przed kilku laty z Chicago przybył do rodzinnej wioski Jan Mazur, prezes „Klubu Niedźwiada". Trzeba trafu, że w czasie jego pobytu piorun zabił dwie osoby. Zrobiło to na nim wstrząsające wrażenie. Powróciwszy do Ameryki na zebraniu „Klubu Niedźwiada" wystąpił z inicjatywą, aby przyczynić się wydatnie do podniesienia zdrowotności i lecznictwa mieszkań-



ANDRZEJ MARDEUSZ, JEDEN ZE STARSZYCH GOSPODARZY.



KUCHNIA W JEDNEJ ZE STARYCH CHAT WE WSI NIEDŹWIADA, JAKIE PAMIĘTAJĄ JESZCZE AMERYKAŃSCY RODACY

WIEŚ NIEDŹWIADA WIELE ZAWDZIĘCZA RODAKOM ZZA OCEANU



KOŚCIOŁEK DREWNIANY WE WSI NIEDŹWIADA

POSTĘPUJE BUDOWA DOMU LUDOWEGO
FOT. J. VOGEL





PASIEKA WE WSI NIEDŹWIADA

ców rodzinnej wioski. Członkowie Klubu kupili nowoczesny aparat rentgenowski i przysłali go do Polski. Jednak Niedźwiada nie była jeszcze zelektryfikowana i nie można było zainstalować aparatu, więc za zgodą Klubu postanowiono przekazać aparat do Szpitala Powiatowego w Ropčzycach, gdzie służy ludności całego powiatu.

Wkrótce we wsi Niedźwiada powstaje Społeczny Komitet Budowy Wiejskiego Ośrodka Zdrowia. Mieszkańcy nie szczędzą funduszów i pracy, toteż budowa rusza z miejsca, i w tym roku, jeśli nic nie zajdzie, zostanie doprowadzona szczęśliwie do końca.

W Ośrodku znajdzie się pogotowie, gabinet przyjęć, izba porodowa, apteka, mieszkanie dla lekarza.

W ubiegłym roku cała wieś otrzymała światło elektryczne; nowe życie zapanowało w gromadzie.

Dzięki wydatnej pomocy „Klubu Niedźwiada' z Chicago i naszego rządu przystąpiono do budowy Domu Ludowego, który w tym roku ma być wykończony. Będzie się w nim mieściło stałe kino, sala teatralna, biblioteka, świetlica i pokoje klubowe.

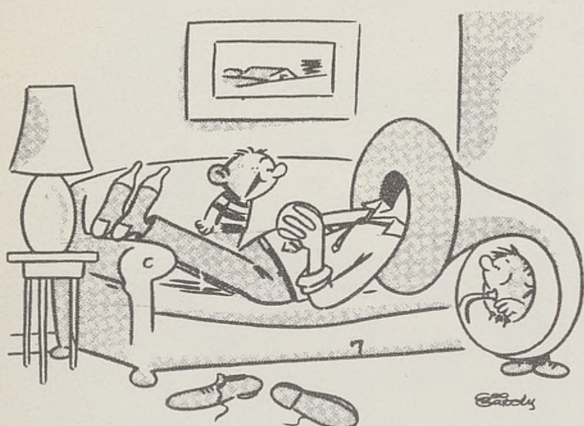
Przed kilku laty ze wsi Góra Ropczycka przeniesiono do Niedźwiady drewniany kościółek i wzniesiono murowaną dzwonnicę. Do tego wszystkiego „Klub Niedźwiada" walnie się przyczynił i dopomógł.

Niejeden ze starych gospodarzy, choćby tylko wspomnieć Andrzeja Mardeusza, mógłby wiele opowiedzieć, jak ongiś się żyło w wiosce, a jak teraz wszystko się radykalnie zmieniło na lepsze a życie stało się łatwiejsze i piękniejsze.

Mieszkańcy Niedźwiady z wdzięcznością wspominają naszych rodaków z zagranicy i dziękują im za pamięć i pomoc. „Klub Niedźwiada" utrzymuje stały z nimi kontakt.

W dniu 4 listopada ub. roku Klub urządził w Chicago wielką zabawę towarzyską, z której całkowity dochód został przeznaczony na pomoc dla rodzinnej wioski. Pan Jan Mazur, prezes „Klubu Niedźwiada" i panie z Komitetu: Weronika Wójcik, Zofia Lukas i Anna Ligeska nie szczędziły zabiegów, trudów i pracy, aby zabawa wypadła jak najlepiej.

M. Ł.



– Teraz dmuchnij!...

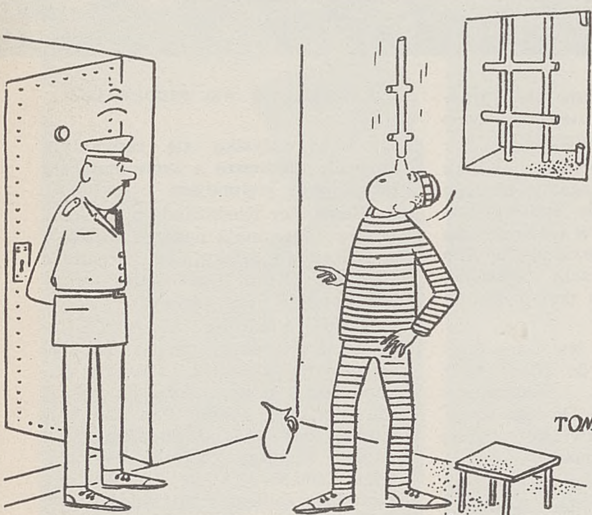


– Nie dostaniesz tortu! Powinieneś schudnąć!...



– Hm, hm... Niech pan naprzód uiści moje honorarium...







– Dzwoni ta młoda panna z naprzeciwka i pyta, czy nie zauważyłeś gdzie wczoraj, rozbierając się, położyła zegarek?...

UŚMIECH ZZA KIEROWNICY

LOGIKA KOBIECA

Prowadząca samochód kobieta zawadziła o krawężnik, potrąciła stojący samochód, skosiła drzewko i zatrzymała się na płocie, który rozwaliła.

— Proszę o prawo jazdy — mówi milicjant.

— Proszę pana, niech pan tylko logicznie pomyśli. Któż by mi dał prawo jazdy?

PRZYTOMNOŚĆ UMYSŁU

— Dlaczego nie pijesz? Przecież to żona ma dzisiaj prowadzić samochód.

— Tak, ale sam rozumiesz jakiej to wymaga przytomności umysłu.

REWANŻ I SATYSFAKCJA

Pani uczy się prowadzić wóz. Nagle dostrzega ciężarówkę i mówi do siedzącego obok męża:

— Na Boga! Co mam teraz robić?
Mąż z satysfakcją:

— To dziwne. Gdy ja prowadziłem wóz, zawsze wiedziałaś!

DOBRA RADA

Oto rada dla męża, właściciela samochodu:

„Traktuj swą żonę z taką pieczołowitością, jakby ona była twoim nowym wozem".

PRAWO JAZDY

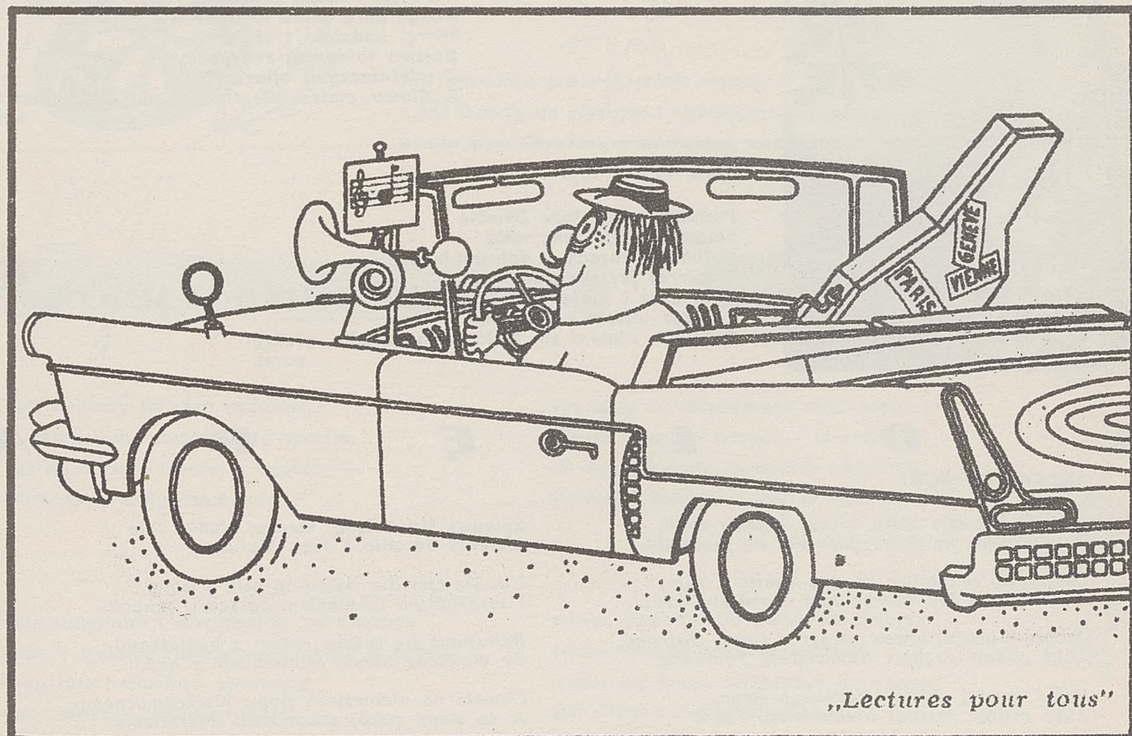
Kobieta prowadząc wóz do milicjanta, który ją zatrzymał:

— Skąd mam wziąć prawo jazdy?! Pański kolega zabrał mi je pół roku temu.

KOMPLEMENT FACHOWCA

Automobilista na dansingu do tancerki:

„Panią się tak łatwo prowadzi jak Volkswagena!"



„Lectures pour tous"



Bóg się rodzi

Bóg się rodzi
Moc truchleje
Pan niebiosów obnażony
ogień krzepnie, blask ciemnieje
ma granice — Nieskończony.
Wzgardzony — okryty chwałą,
Śmiertelny — Król nad wiekami
A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.



*

Cóż masz niebo nad ziemiany?
Bóg porzucił szczęście twoje
Wszedł między lud ukochany
dzieląc z nim trudy i znoje.
Niemało cierpiał, niemało
Żeśmy byli winni sami.
A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.



*

W nędznej szopie urodzony
Żłób Mu za kolebkę dano.
Cóż jest, czym był otoczony? —
Bydło, pasterze i siano.
Ubodzy! was to spotkało
Witać Go przed bogaczami.
A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.



*

Potem i króle widziani
cisną się między prostotą,
niosąc dary Panu w dani —
mirrę, kadzidło i złoto.
Bóstwo to razem zmieszało
Z wieśniaczymi ofiarami!
A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.

*

Podnieś rękę, Boże Dziecię
błogosław Ojczyznę miłą —
w dobrych razach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą
Dom nasz i majętność całą —
i Twoje wioski z miastami —
A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.



K O L Ę D A

ARTUR CHOJECKI

Bóg się ku nam zniża, biorąc ludzkie ciało,
A więc nam ku Bogu podnieść się przystało.

Dzieciątko przybywa do nas prosto z raju,
Baczmyż, by Mu dobrze było w polskim kraju.

Oczyść z gnoju, bracie, w sercu swym stajenkę,
Abyś godnie przyjął Najświętszą Panienkę.

Nałóż czystej słomy i wonnego siana,
Abyś godnie przyjął Niebieskiego Pana.

Śpiewaj Mu kolędy, niechaj słodko lula
Maleńki Jezunio i Jego Matula.

Ucz się czci dla Niego od osła i wołu.
I serdecznym tchnieniem ogrzewaj pospołu.

Radujmyż się ludzie, razem z bydlątkami,
Że Wcielone Słowo zamieszkało z nami.

Chwała na niebiesiech Bogu Wszechmocnemu,
A na ziemi pokój stworzeniu wszelkiemu.

POD CHRYSTUSEM W NIEBO WSTĘPUJĄCYM

ZYGMUNT KRASIŃSKI



Nie tak, jak dawniej — w cierniowej koronie,
Nie tak, jak dawniej — z gwoździami u ręki,
Pan bólu tylko i Bóg tylko męki —

Innym już wiekom inny Chrystus płonie:
Od ramion krzyża na zawsze odpięty,
Jak Duch świetlany, wyzwolony, święty,

Zawisł na Ojca wszechbłękitnym łonie
I w światów nowych wschodzącej jutrzence
Macza wzniesione — wniebowstępne ręce.

FRANCISZEK SURÓWKA

R E Z U R E K C J A

Na zmartwychwstanie wokół rozmodliły się dzwony,
hymn ich radością w polach w zórz przestrzeniach wyrasta,
a tłum idzie garściami przez zielone zagony
zwycięskiego Chrystusa czcić i witać w dnia brzaskach.

Rozwiośniła się radość w sercach młodym i starcom,
rozwidniła dusz ciemne i niezbadane głębie:
oto dni me nie zgasną, ale wieczności starczą,
powstanę Bożym cudem i na wieki żył będę...

Na rezurekcję grają weselem organy,
a lud wtórzy im głośnym i radosnym śpiewaniem,
bo oto idzie Chrystus, triumfujący, wiośniany —
i jawi każdej duszy! Dziś ze mną zmartwychwstaniesz!...

WESOŁY DZIEŃ NASTAŁ

JADWIGA KORCZAKOWSKA

Biją dzwony od rana radośnie.
W sercu cicha szczęśliwość narasta.
Już się myśli o słońcu, o wiośnie —
Alleluja! Wesoły dzień nastał!

Tyle wspomnień dziecięcych, pachnących
wraz z melodią rozdzwonną mknie w pościg!
I zupełnie bezwolnie, niechcący
usta szepczą: hosanna radości!

Na ulicy — odświętnych słów echa.
Hymn bijący o stropy — w kościele.
W domu kwiaty, słoneczne uśmiechy,
kolorowe święcone, stół w bieli.

Bijcie, dzwony! Do nieba, do słońca!
Pieśń triumfu miłością owianą!
Niech się święci od krańca do krańca
siła ducha i cudów Wielkanoc.



NIE KAŻDY O TYM WIE... ŻE:

● Kopiec Krakusa, mitycznego władcy Wiślan, powstał przypuszczalnie między VI a VIII wiekiem.

● Ok r. 985 kupiec arabski Ibrahim ibn Jakub wspomina w opisie podróży przez kraje słowiańskie, o miejscowości KRAKWA, centralnym grodzie większego obszaru, który posiadał duże znaczenie handlowe.

● W r. 1200 zanotowano pierwszą wzmiankę o trzęsieniu ziemi w Krakowie. W 1212 r. kronikarze odnotowali inną wiadomość: piorun uderzył w skarbiec królewski i zapalił go.

● W r. 1363 mieszczanin krakowski Wierzynek podejmował na słynnej uczcie wielu znakomitych gości, a wśród nich cesarza rzymskiego Karola IV, króla węgierskiego Ludwika, króla Cypru — Piotra i króla Danii — Zygmunta.

● U schyłku XIII w. ludność Krakowa i okolic wynosiła 2000—5000 mieszkańców.

● 600 lat temu (a właściwie już 601, bo 12 maja 1364 r.) król Kazimierz Wielki wydał dyplom fundacyjny Akademii Krakowskiej, zwanej od XIX w. Uniwersytetem Jagiellońskim. Jest to jedyna tego rodzaju instytucja w historii i kulturze narodu polskiego, która od sześciu wieków istnieje bez przerwy.

● Najstarszym budynkiem U. J. jest Collegium Maius, powstałe w XV w. Znajdują się w nim m. in. dawne przyrządy astronomiczne, którymi posługiwał się młody Kopernik.

● W 1520 r. ludwisarz Hans Behem wykonał w odlewni dzwon, zwany „Zygmuntem", który został później zawieszony na Wawelu.

● W 1784 r. uczeni krakowscy z Janem Śniadeckim dokonali eksperymentu z balonem, który wzniósł się na wysokość 4700 m i utrzymywał w powietrzu przez 33 minuty.

● Słynne krakowskie Planty zaczęto zakładać w latach 1820—1830.

● W 1883 r. profesorowie U. J. — Karol Olszewski i Zygmunt Wróblewski dokonali po raz pierwszy na świecie skroplenia tlenu, azotu i tlenku węgla.

● Poza Wisłą, Kraków leży nad Dłubnią, Młynówką, Prądnikiem, Rudawą i Wilgą. Doliny tych 5 rzek, przepływających przez Kraków, zostały z czasem wyrównane i zabudowane.

● Wspaniały zabytek architektury — Wieża Ratuszowa na Rynku Głównym — jest krzywą wieżą! Ma ona 55 cm odchylenia od pionu.

● W całej Polsce zaliczono do najwyższej klasy (w skali światowej) 52 zabytki architektury. Aż 11 z nich przypada na Kraków.

● Obecnie Kraków liczy 515 tys. mieszkańców. Jest trzecim miastem polskim (po Warszawie i Łodzi), które przekracza pół miliona mieszkańców.

● W 11 wyższych uczelniach Krakowa studiuje ponad 18 000 studentów. Miasto posiada 17 muzeów, 8 teatrów i 29 kin.

● Jubileusz 600-lecia UJ uczcił Polski Przemysł Zapałczany wydaniem specjalnej serii etykiet.

„Na przełaj"

Kościół Św. Trójcy

PARAFIA

ŚWIĘTEJ TRÓJCY

ZAŁOŻONA w ROKU 1873

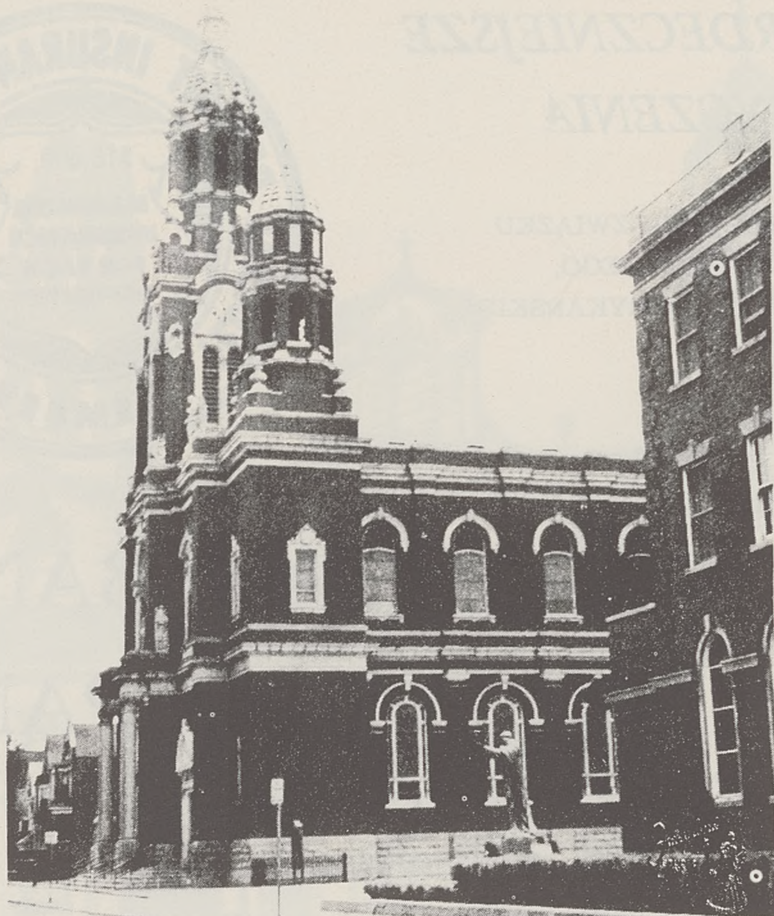
95 Lat w Służbie Katolickiej Polonii

1118 North Noble Ulica Chicago, Ill. 60622

Proboszcz: Ks. Bernard Niemier, C.S.C.
Wikariusze: Ks. Albin Hosinski, C.S.C.
Ks. Leon Wojciechowski, C.S.C.
Ks. Kazimierz Czaplicki, C.S.C.
Ks. Edgar Szymanski, C.S.C.
Ks. Franciszek Bennett, C.S.C.



Ks. Bernard M. Niemier, C.S.C.



Kościół Św. Jacka

PARAFIA
ŚWIĘTEGO JACKA
ZAŁOŻONA w ROKU 1894

73 Lat w Służbie Katolickiej Polonii

3636 W. WOLFRAM CHICAGO, ILL. 60618

Ks. Stanisław A. Tarczan, C.R., Proboszcz
Ks. Ludwik Gracz, C.R., Przełożony Domu Zakonnego

WIKARIUSZE:
Ks. Stanisław A. Gadacz, C.R., Ks. Józef Prusiński, C.R.
Ks. Hieronim Klingsporn, C.R., Ks. Stanisław Lapinski, C.R.
Ks. Henryk Stec, C.R., Ks. Marian Gienko, C.R.

REZYDENCI:
Ks. Józef Szczepanik, C.R. (Kościół Misyjny Świętej Jadwigi)
Ks. Józef Samborski, C.R., Kapelan Domu Św. Józefa



Ks. Stanisław A. Tarczan, C.R.



6600 Blok South Western Ave. • HEmlock 4-8200 • Chicago, Ill. 60636
18 Godzinna Obsługa, 7 rano do północy (od poniedziałku do piątku)
Dział Sprzedaży Otwarty Codziennie do 10ej wieczorem. Sobota i Niedziela do 6 wieczorem.

SPEŁNIAJACY KRAJOWE ZAPOTRZEBOWANIA OD WYBRZEŻA DO WYBRZEŻA

NOWE AUTO — Numer Jeden Auta na Drogi w Ameryce PONTIAC i TEMPEST
UŻYWANE AUTA — CZTERY OLBRZYMIE PARCELE UŻYWANYCH AUT DO WYBORU PONAD 200

FINANSOWANIE — DOSTOSUJEMY FINANSOWANIE AUTA DO WASZEGO BUDŻETU

PORADA ASEKURACYJNA — DOŚWIADCZENI DORADCY DO WASZYCH USŁUG
USŁUGA — 18 GODZIN NIEPRZEWANEJ USŁUGI OD PONIEDZIAŁU DO PIĄTKU 7:00 RANO DO PÓŁNOCY

CZĘŚCI — NAJWIĘKSZY W CHICAGO MAGAZYN TRUDNYCH DO DOBRANIA ĆZĘŚCI

WYNAJEM AUT — JEŻELI POTRZEBUJECIE AUTO NA JEDEN DZIEŃ LUB TYDZIEŃ — WSZYSTKIE NOWE 1965 PONTIACS

NAPRAWY PO ZDERZENIACH — NAJWIĘKSZY W ŚWIECIE SKŁAD 50,000 KW. ST. RÓŻNYCH PRZYBORÓW

MÓWIĄCY PO POLSKU SPRZEDAWCY DO OBSŁUŻENIA WAS

GODZINY W DZIALE SPRZEDAŻY
9:00 Rano do 10:00 Wiecz. Codziennie

GODZINY W DZIALE OBSŁUGI
7:00 Rano do Północy od Poniedziałku do Piątku

GDY BĘDZIECIE W CHICAGO ODWIEDZCIE TONY PIET "BASEBALL HALL OF FAME" KU CZCI LICZNYCH GRACZY POLSKIEGO POCHODZENIA

PARCELE Z UŻYWANYMI AUTAMI

6550 South Western Avenue
6555 South Western Avenue
6622 South Western Avenue
6635 South Western Avenue
2323 W. 59ta St. — Nowy Warsztat Reperacji Karoserii i Malowania

Telefon: Area Code 312 434-8200

NAJWIĘKSZY W ŚWIECIE POLSKI DOSTAWCA PONTIAC



TONY PIET, PREZES

DR. MICHAŁ J. BADŹMIEROWSKI, Jako stypendysta Związku Narodowego Polskiego, składa uznanie tej Organizacji

Jestem przekonany i wiem jak wielką i doniosłą pracę wykonuje ta największa polska Organizacja w Stanach Zjednoczonych.

Jako stypendysta Wydziału Oświaty Związku Narodowego Polskiego, ukończyłem przy Waszej wydatnej pomocy Wydział Medyczny i jestem lekarzem już blisko lat 50. Jest to też więc i Wasza zasługa, że wykształciłem się na lekarza.



Dr. Michał J. Badźmierowski
Nasz Rodak

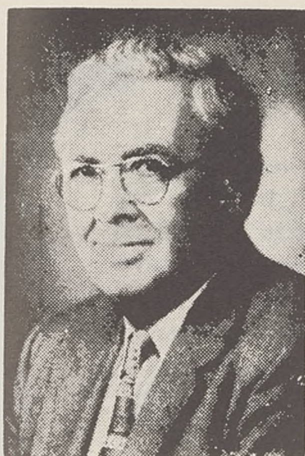
Cześć zarazem zasłudze za prace dotychczasowe i szczęść Boże na przyszłość. Oby Związek Narodowy Polski nadal zwrastał w siłę i znaczenie po obu stronach oceanu i był sternikiem polskiej sprawy wśród wartkich i zmiennych prądów Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze polskość nie zginęła na ziemi amerykańskiej — póki istnieją nasze polonijne Organizacje.

DR. MICHAŁ J. BADŹMIEROWSKI

1620 W. 18-ta ulica, Chicago, Illinois

Telefon: CAnal 6-4888



JOHN A. SIEROCIŃSKI

Serdeczne

ŻYCZENIA

Na Rok 1968



E. JOHN SIEROCIŃSKI

— przesyłają —

Dalszego Pomyślnego Rozwoju

Z. N. P.



SECOND FEDERAL SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

26th STREET i PULASKI ROAD
CHICAGO, ILLINOIS 60623

JOHN A. SIEROCIŃSKI
Przewodniczący Dyrekcji

E. JOHN SIEROCIŃSKI
Prezes

ROK DOKOŁA

na wszelkie okazje, od święta i na codzień, rano, w południe, wieczorem; na każdy posiłek, w każdym domu, czy to rezydencji bogaczy, czy w skromnym domostwie, w każdej jadłodajni — zawsze gotowa do podania, na zimno, lub gorąco, niezawodna, bezkonkurencyjna, prawdziwa, importowana

POLSKA SZYNKA

stała się nieodzowną, uniwersalną potrzebą. Do nabycia w sklepach spożywczych i supermarketach w puszkach od 2 do 12 funtów, słynnych marek KRAKUS, ATALANTA i TALA, pierwszorzędny ten polski produkt spożywczy zdobył tu zaszczytny znak

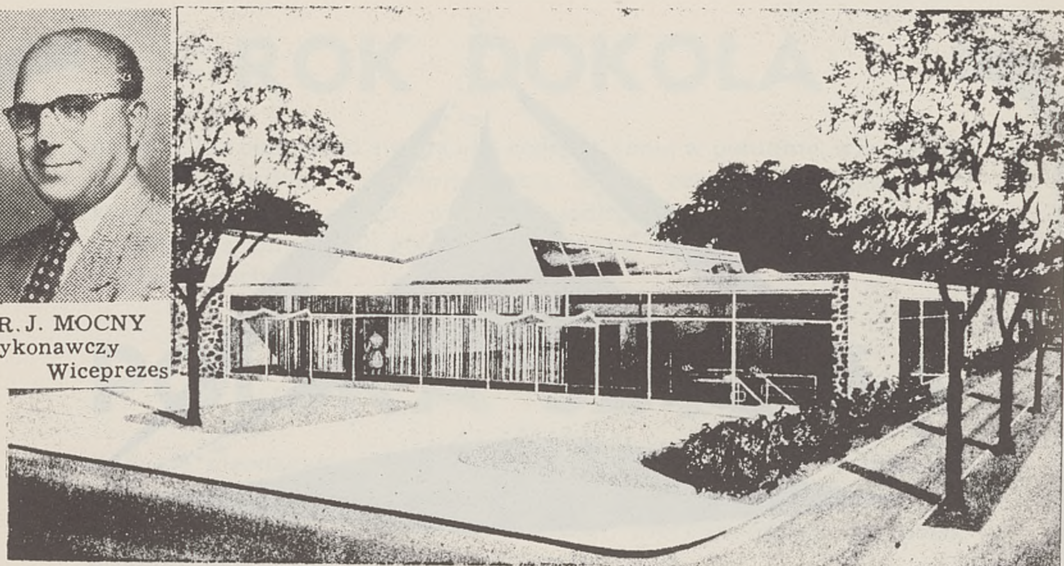


symbol wysokiej jakości



Prosimy żądać wyraźnie prawdziwej, importowanej polskiej szynki, wystrzegając się naśladownictw.





R. J. MOCNY
Wykonawczy
Wiceprezes

MOŻECIE OSZCZĘDZAĆ PRZEZ POCZTĘ **WYSOKIE DYWIDENDY**

Niech Wasze Oszczędności Zarabiają w

United Savings
and Loan Association
4730 W. 79th Street

CZŁONEK
• Federal Savings and Loan Insurance Corporation

Narożnik Keating

CZŁONEK
• Federal Home Loan Bank System

Chicago, Illinois

MARTIN J. OLESZKIEWICZ
Prezes

LU 5-7700

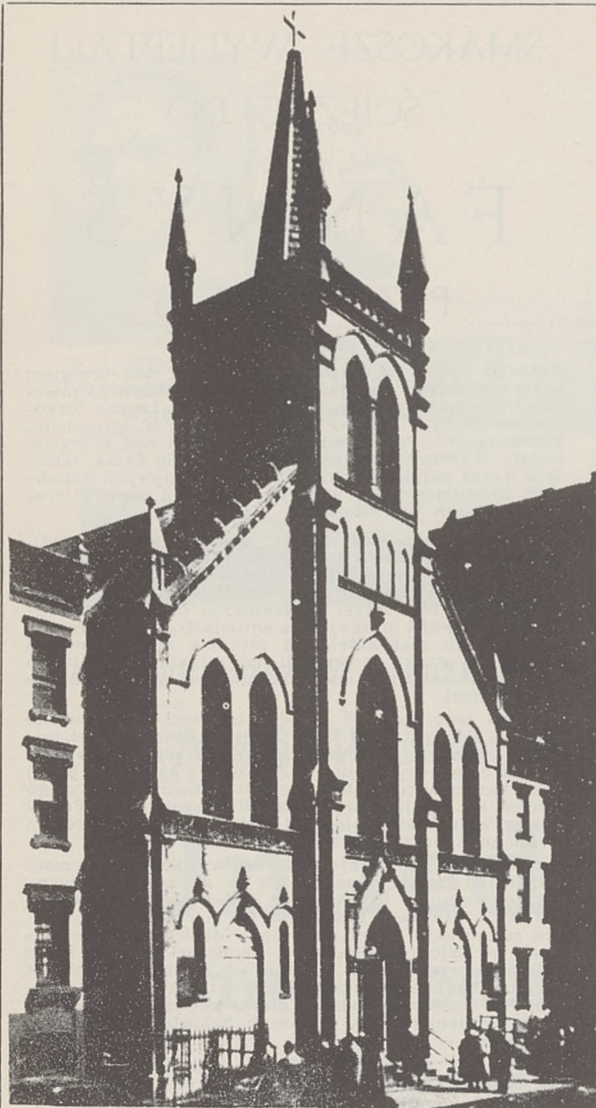
ROBERT J. MOCNY
Wykonawczy Wiceprezes



Przesyłamy
Najlepsze Życzenia
Całej Polonii
Na Rok 1968



KONTA UBEZPIECZNE DO $15,000 PRZEZ FS & LIC



Założona w roku 1949

POLSKA PARAFIA

ŚWIĘTEGO STANISŁAWA

BISKUPA i MĘCZENNIKA

101 East 7th St.

NEW YORK, N. Y.

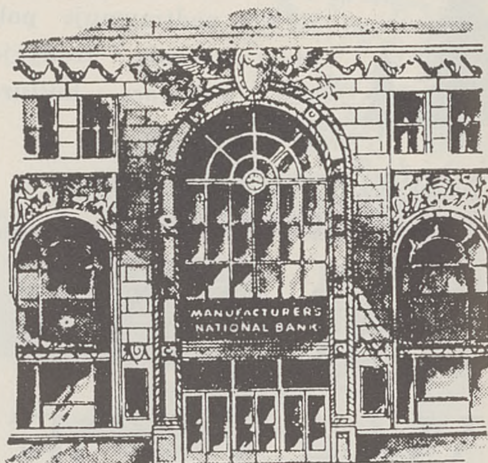


Ks. Jan J. Karpiński,
Proboszcz

KS. JAN J. KARPIŃSKI,
Proboszcz

Ks. Ludwik Makulec
Ks. Józef Sokolewicz
Ks. Alfred Szczepkowski
— Asystenci

Kompletna Obsługa Bankowa



URZĘDNICY

FRANK BOBRYTZKE
Przewodniczący
C. N. PALECZNY
Prezes
MATT A. SAWYER
Wiceprezes Wykonawczy
PAUL I. MITCHELL
Wiceprezes i Kasjer
JOSEPH M. BARON
Wiceprezes
VICTOR JANKOSKI
Asystent Wiceprezesa
JOS. A. DUBIEL
Asystent Wiceprezesa
EDWARD WOJNOWSKI
Asystent Wiceprezesa

NICK J. LAPETINA
Asystent Wiceprezesa i
Kontroler
LEO S. KUJAWA
Asystent Kasjera
EDWARD H. KAY
Asystent Kasjera
FRED S. SKOWRONSKI
Asystent Kasjera
CASIMIR E. WEGLARZ
Asystent Kasjera
LOUIS S. JANKIEWICZ
Audytor
BOYD LISEWYCH
Asystetn Audytor

DYREKTORZY

FRANK BOBRYTZKE
JOSEPH J. BOBRYTZKE
STANLEY P. DYBA
Z. GEORGE JAWOROWSKI
C. N. PALECZNY
T. R. PIECH
MATT A. SAWYER
BERNY SCHULMAN
LEONARD P. SLOTKOWSKI

DEPOZYTY GWARANTOWANE DO $15,000 PRZEZ FEDERAL DEPOSIT INSURANCE CORP.

THE

Manufacturers National Bank

OF CHICAGO

1200 N. Ashland Ave.

BRunswick 8-4040

Lota do Parkowania Na Division Ulicy Obok Banku

Godziny Urzędowania:

Poniedziałek, Wtorek, Czwartek 9 do 2
Środa, Sobota 9 do 12
Piątek 9 do 2 i 4:30 do 7

KOŚCIÓŁ Św. KONSTANCJI

POSWIĘCONY W R. 1916

5843 W. Strong St., Chicago, Ill. 60630

W SŁUŻBIE KATOLICKIEJ POLONII 51 LAT

Ks. Ludwik Handzel, Proboszcz

Ks. Sylwester Urbanek, Ks. Raymond Barlog, Ks. Marcin Hebda, Ks. Frank Kozioł, wikariusze

---

NAJSTARSZY W CHICAGO

POLSKI KOŚCIÓŁ

ŚWIĘTEGO Stanisława Kostki

100 **lat od konsekracji w roku 1867**

1351 W. Evergreen róg Noble

Ks. Marian A. Kaleth, C.R., Proboszcz

Ks. Raymond Golubski, C. R., Superior

Ks. Wład. S. Bartylak, C.R.

Ks. Wojciech Kowalczyk, C.R.

Ks. Jan Myśliwiec, C.R.



Ks. Marian A. Kaleth, C.R.
Proboszcz

JOHN C. MARCIN

KLERK MIASTA CHICAGO

oraz

DEMOKRATYCZNY KOMITYMAN 35-TEJ WARDY

I BYŁY PREZES POLSKO-AMERYKAŃSKIEJ ORGANIZACJI DEMOKRATYCZNEJ

Jan C. Marcin urodzony i wychowany na Jackowie, Weteran drugiej wojny światowej, graduant De Paul Uniwersytetu, znany powszechnie ze swego czynnego udziału w życiu Polonii, jest typowym przykładem młodego pokolenia, które swą pracą i rzetelnością wybija się w tutejszym życiu politycznym.

Na stanowisku komitymana wardy wyróżnia się swą znajomością jej potrzeb. Dobro mieszkańców jest jego głównym celem i zadaniem. Jego stałe zabiegi o polepszenie ulic, oczyszczenie parków i zaułków, dążenie do zapewnienia jak największych wygód i bezpieczeństwa mieszkańcom i ochrony ich własności, a przede wszystkim walką z gemblerką—są widoczne i przynoszą rezultaty.

Jest on chlubą 35-tej wardy. Szczyci się ze swojego polskiego pochodzenia. Doskonale włada językiem polskim. Mieszkańcy 35-tej wardy widzą w nim swego lidera.

W roku 1955, poraz drugi w 1959 roku, poraz trzeci 1963 roku na wiosnę, 1967 roku znów został on wybrany na bardzo zaszczytne i odpowiednie stanowisko Klerka Miasta Chicago olbrzymią większością głosów. Na wiosnę w 1958 roku, mając zaufanie u swych Kolegów Demokratów Polskiego Pochodzenia, został wybrany prezesem Polsko-Amerykańskiej Organizacji Demokratycznej i pełnił tę funkcję przez okres dwóch kadencji, a od kilku lat także krajowym przewod. Wydziału Polskiego All American Council w Partii Demokratycznej. All American Council zajmuje się grupami narodowościowymi w Partii. Jan Marcin znany jest dobrze nie tylko w kołach politycznych naszego miasta i powiatu, ale już w całym kraju.



JAN C. MARCIN
Klerk Miasta Chicago,
Komityman 35-tej Wardy
— i —
B. Prezes Polsko-Amerykańskiej
Organizacji Demokratycznej

Przesyłamy Nasze z Głębi Serca Płynące

Najserdeczniejsze Życzenia
Związkowi Narodowemu
Polskiemu
Dla Nowej Administracji

i dalszego rozwoju tak wielce zasłużonej organizacji dla sprawy polskiej — oraz dalszego rozwoju i kontynuacji tej pięknej, a tak zbożnej pracy we wszelkich kierunkach Waszych poczynań.



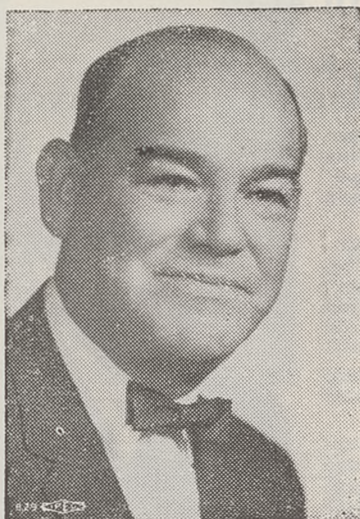


WM. J. CULLERTON
Alderman 38-ej Wardy

P. J. CULLERTON
Assesor of Cook County

Wraz z Całą Regularną Demokratyczną Organizacją 38-ej Wardy

Dla moich Rodaków Wszystkiego Najlepszego
we Wszystkich Waszych Poczynaniach
i Staraniach dla Dobra
Sprawy Polskiej



TED J. ZAREMBA

SKARBNIK-SUPERWIZOR
MIASTA CICERO, ILLINOIS

Zawsze oddany dla dobra Sprawy Polskiej
i zawsze popiera wszystko co polskie.

NAJLEPSZE ŻYCZENIA I POMYŚLNOSCI
DLA ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
ORAZ CAŁEJ POLONII POZDROWIENIA



WILLIAM N. ERICKSON

KOMISARZ POWIATOWY

BEST WISHES
TO ALL
OUR
POLISH
FRIENDS

FROM

NEWSPAPERS DRIVERS

LOCAL 706

INTERNATIONAL BROTHERHOOD
OF TEAMSTERS OF CHICAGO

GEORGE M. FLANNERY
SEC'Y-TREAS.

Serdeczne Życzenia
dalszego pięknego
rozwoju dla
Związku
Narodowego
Polskiego
i całej Polonii
składa





EDWIN P.
FIFIELSKI

Alderman 45-ej Wardy

WSZELKICH SUKCESÓW DLA DOBRA I ROZWOJU ORGANIZACJI BRATNIEJ POMOCY Z. N. P.

— zasyła —

DUDEK & BOCK SPRING MFG. CO.

4014-28 West Grand Avenue

Manufacturers of

AUTOMATIC WIRE FORMS AND SPECIALITIES
SPRING AND METAL STAMPINGS

CHICAGO, ILL.

DI 2-1020

4 3/4%

Nasza bieżąca rata dywidendy na wszystkich oszczędnościach.



Pieniądze Oszczędzane Do 15-go Zarabiają Od 1-go

Dywidendy Płatne 31-go Stycznia i Lipca



Otwórzcie Teraz Wasze Konto Oszczędnościowe

CRANE

Savings and Loan Association

LAfayette 3-1083

2555 W. 47-ma Ulica (47-ma i Rockwell)

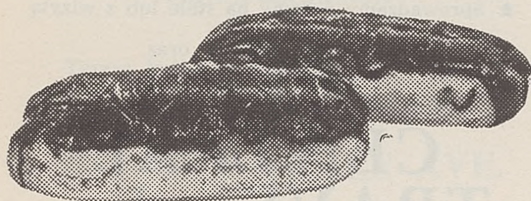
Otwarte w Poniedziałki i Czwartki do 8 Wieczorem. Zamknięte w Środy. We Wtorki i Piątki do 5 po połud. W Soboty do 12 w Południe.

DOSKONAŁEGO WYPIEKU CHLEB i INNE WSZELKIEGO RODZAJU CIASTA.
Pytajcie o Nie w Waszych Sklepach Towarów Spożywczych i Delikatosach.

ROSEN'S BAKERY

Tylko Ona Wypieka
CHLEB, BUŁKI i INNE CIASTA

słynne w Chicago i okolicy



PIEKARNIA i HURTOWNIA:

3015 West Lake Street

Tel. VAn Buren 6-1614



POWODZENIA

— życzy —

STANLEY ZIMA

COMMITTEEMAN 10-EJ WARDY

Prezes Grupy 94 Z. N. P.

9139 S. HOUSTON

KAWAŁY Z BRODĄ I BEZ

*

Na lekcji zoologii dzieci oglądają mysz.
— Proszę pani jak ustalić czy to jest samiec, czy samica?
— A jak myślicie? — pyta wymijająco nauczycielka.
— Najlepiej przez głosowanie.

*

Na dworze ulewa i grzmoty, dwaj jaskiniowcy siedzą przy ognisku w pieczarze.
— Odkąd zaczęli robić te doświadczenia z łukami i skałami i dziurawić niebo, pogoda fatalnie się popsuła.

*

Kierownik do urzędnika:
— Dlaczego nie poszedł pan na pogrzeb teściowej, tylko zjawił się w pracy?
— Najpierw obowiązek, a potem przyjemność, panie kierowniku.

*

FRANK T. SEDLACEK president

EARN HIGHER DIVIDENDS ON YOUR SAVINGS!

PONAD $120 MILIONÓW SILNA

4¾% DIVIDEND ON REGULAR SAVINGS ACCOUNTS



"at the sign of the weather torch"



OLYMPIC SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

6201 W. Cermak Rd., Berwyn • Ph.: BI 2-2424-ST 8-6201





SERDECZNE ŻYCZENIA
Dalszego Pięknego Rozwoju Dla Związku Narodowego Polskiego i Całej Polonii — przesyła

Adwokat Edward J. Komosa

Prezes Grupy 1464 ZNP i Wiceprezes Gminy 148 ZNP

ZABEZPIECZENIE . . .
52 lat praktycznego doświadczenia w wysokiej klasy morgeczach, oznacza zabezpieczenie dla naszych cszczędzających.
(Oszczędności złożone do 10-go zarabiają od 1-go.)



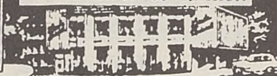


4¾%

SAVINGS
EARN
Dividends Paid
4 Times a Year!



Assets Over 80 Million



Złożone 1916

Lincoln Federal

Frank J. Kinst
Prezes

SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION OF BERWYN
Lincoln Circle - 6655 W. Cermak Road - Berwyn, Ill.
Telefon: PI 9-1900 - BI 2-2017

Dalszego Rozwoju Z.N.P. i Całej Polonii

WEZWIJCIE WYKWALIFIKOWANEGO KONTRAKTORA

Steel City Electric Co.

KONTRAKTOR ELEKTRYCZNY

Licencjonowany - Bondowany - Ubezpieczony

Pytać o
Ray Przybyl
SAginaw 1-3199

2348 E. 83rd St.
Chicago 17, Ill.

Czytajcie
Dziennik
Związkowy

Serdeczne Życzenia

Na

ROK 1968

składa

Samuel Sachnoff

FR 2-6800

38 SO. DEARBORN



SKORZYSTAJCIE Z NASZEJ NAJWYŻSZEJ
BIEŻĄCEJ DYWIDENDY
DAJE WAM ZYSK PLUS
BEZPIECZNE ULOKOWANIE

MORTON PARK
FEDERAL SAVINGS
AND LOAN ASSOCIATION

W CENTRUM CICERO 25th STREET, NA ZACHÓD OD LARAMIE Bezpłatne Parkowanie·

5217-25 W. 25th St.
Założona w 1910-tym
Tel. OLympic 6-0100 lub BIshop 2-2924
ZASOBY PRZESZŁO 15 MILIONÓW
FRANK SOBOTKA, Sekretarz i Zarządca

We Wszelkich
Sprawach
Zawsze Byłem
Dla Ludu
i z Ludem
Dlatego Osobiście
Zawsze Jestem
Na Wasze Usługi

JOHN G. FARY

Reprezentant
Do Legislatury
Stanowej
23-go Dystryktu



Polski Sklep Wędlin, Mięsa i Wszelkich Towarów Spożywczych

SLEZAK MEAT MARKET

2205 W. CHICAGO AVE.
Tel. HUmboldt 6-7685
Szynki Wędzone — Mięsa Różnego Rodzaju
Wyborową i Niezrównaną w Smaku
Krajaną Domowej Roboty
Kiełbasę Polską, Boczki,
Oraz Wiele Doskonałych Wędlin
Oraz Wiele Innych z Najlepszego Mięsa Najprzedniejszych Wędlin Własnego Wyrobu Na Sposób Polski i Europejski. Także Importowane Szynki z Polski.
CENY PRZYSTĘPNE — WYBÓR WIELKI

SERDECZNE ŻYCZENIA
SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU
— składa —
Całej Polonii i Przyjaciołom

NEW CITY AUTO COMMERCIAL WORKS

LUCIAN POMORSKI, Właściciel
5307 SOUTH ASHLAND AVENUE
Telefon: HE 4-7300

SERDECZNE POZDROWIENIA
CZŁONKOM
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
— przesyła —

NORTHWEST SPORT SHOP



2602 MILWAUKEE AVE.

Phone: DIckens 2-2239

SERDECZNE POZDROWIENIA
CAŁEJ POLONII
I WSZYSTKIM PRZYJACIOŁOM
— zasyła —

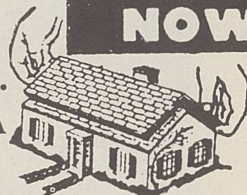
B. F. MALEC

Nowoczesny Zakład Pogrzebowy
834 N. Ashland Ave.
Tel. HA 1-5800

A. W. WANEK & CO.

NAJSTARSZA POLSKA AGENCJA ASEKURACYJNA W ŚRÓDMIEŚCIU
SPECJALNOŚĆ
Asekuracja od Ognia i Odszkodowania
Który jest członkiem Kongresu Polonii Amerykańskiej od założenia
175 W. Jackson Blvd. Chicago, Ill.
Pokój 958 Tel. 822-5973
GENOWEFA WANEK
Główna zarządczyni i kierowniczka

LEŚNIAK ROOFING CO.



FIRMA POKRYWANIA DACHÓW i ROBÓT BLACHARSKICH
Reperujemy i Kładziemy Nowe Dachy
Wykonujemy Wszelkie Roboty Blacharskie
Obliczenia Darmo — Ceny Niskie
Robota Gwarantowana
1802-06 West 18-ta Ulica Telefon CAnal 6-0569

COMPLIMENTS OF

DR. S. M. KOZIOŁ

PHYSICIAN-SURGEON

1138 MILWAUKEE AVENUE

BRunswick 8-0280

Dla największej polskiej organizacji
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
Wszystkiego Najlepszego
We Wszystkich Poczynaniach
zyczy

Dr. Stanley Swiontkowski

Jeden z naszych dzielnych rodaków, popierających zawsze sprawy polskie materialnie i moralnie to —

Dr. Henry C. Lewandowski

6449 So. Pulaski Road **Telefon 767-3744**

Wszelkich Sukcesów Dla Sprawy Polskiej
oraz Dla Nowej Administracji Z.N.P.
— zasyła —

WARSAW PACKING CO.

1839 DELAWARE ULICA **TEL. TUrner 2-2361**
GARY, INDIANA

Znana Firma z Doskonałych Produktów Mięsnych w Lake County, Michigan City, Gary, Whiting, Hammond, Indiana Harbor, East Chicago, South Bend i wielu innych.

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA
DLA NOWEJ ADMINISTRACJI Z.N.P.
W Dalszych Latach Waszej Pracy Dla Największej Polskiej Organizacji Dalszego Rozwoju,
Wiele Sukcesów we Wszelkich Poczynaniach
— przesyła —



Dr. EDWARD J. KRÓL

WEST LAWN MEDICAL BLDG.

4255 W. 63rd Street Telefon: RE 5-4834

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA
WSZELKIEJ POMYŚLNOŚCI
I DALSZEGO ROZWOJU Z.N.P.

— zasyła —

Dr. KAZIMIERZ R. STARSIAK

Naczelny Lekarz Macierzy Polskiej

DR. WALTER J. ŚWIATEK

OPTOMETRYSTA

2209 WEST CERMAK ROAD

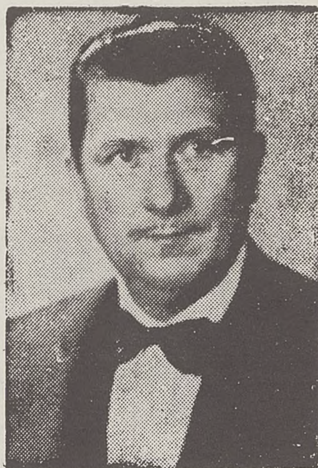
Main Floor — Na Parterze

Długoletnie doświadczenie. Pierwszorzędne przyrządy do badania wzroku i gruntowna wiedza. Grzeczna staropolska obsługa i fachowe dopasowanie okularów.

Telefon VIrginia 7-6592

SERDECZNE ŻYCZENIA
i GRATULACJE DLA NOWEJ
ADMINISTRACJI Z.N.P.

oraz Wiele Pomyślnego Sukcesu
w Waszych Poczynaniach w Latach
Waszej Pracy.



Dr. B. J. TATAROWICZ

On zawsze popiera wszystko co polskie
i co jest z polskością związane.